



PIOTR
GÓRSKI

PUŁAPKA
NA SZCZURY

PIOTR
GÓRSKI

PUŁAPKA
NA SZCZURY

Opracowanie graficzne okładki
Emotion Media

Ilustracja na okładce
iStock; 123RF

Redaktor prowadzący
Alicja Oczko

Opracowanie redakcyjne
Jakub Sosnowski

Korekta
Sylwia Kozak-Śmiech

© 2023 by Piotr Górski
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o.,
Warszawa 2023

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości
dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób
rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins
Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
ul. Domaniewska 34a
02-672 Warszawa

www.harpercollins.pl

ISBN: 978-83-276-9949-7

Opracowanie ebooka
Katarzyna Rek

PROLOG 1

Krystian Brandt się spóźniał i nie odbierał telefonów od żony, a ona robiła, co mogła, aby zatrzeć złe wrażenie. Usta jej się nie zamykały. To czyniło sytuację jeszcze bardziej nieznośną.

Dominika Wola-Karłowicz spojrzała na zegarek.

– Pani męża musiało zatrzymać coś ważnego.

Żona tamtego miała dość. Rozejrzała się bezradnie po restauracji, może spodziewając się, że facet wyskoczy spod stolika i zapanuje radość. Przygarbiła się. Mięśnie mimiczne jej twarzy rozluźniły się, naprężona przez lekarzy skóra lekko opadła, w rysach uwidoczniło się znużenie.

– Mam nadzieję, że przejechał go autobus i połamano mu nogi – rzekła cicho. – W innym przypadku urwę mu jaja.

Po raz pierwszy tego wieczoru Dominika poczuła sympatię do tej kobiety, ale to szybko minęło, bo tamta znowu wzięła się w garść, wyprostowała się i wyciągnęła dłoń po goblet z wodą Perrier.

Na palcu miała złoty pierścionek z drobnym brylantem i otoczką w kształcie serca. Dominika kiedyś też miała taki, bardzo podobny, może taki sam. Niemożliwe, że taki sam. Tamten był wykonany na zamówienie.

Tylko dlatego Dominika jeszcze czekała. Spóźnienie i brak kontaktu były oznaką lekceważenia, a ona nie przywykła, by ją lekceważyć. Fundusz, który reprezentowała, specjalizował się w wyciąganiu z kłopotów podupadających przedsiębiorstw. Dominika miała wiele do powiedzenia w kwestii tego, w co inwestowali, i to ona zazwyczaj się spóźniała.

Ale tego wieczoru tkwiła w tej francuskiej restauracji nad Motławą z widokiem na Filharmonię Bałtycką, czekała na jakiegoś nieistotnego klienta, słuchała paplania jego żony, bo miała nieodparte wrażenie, że to nie tylko taki sam pierścionek, ale że to ten sam.

„Na pamiątkę”, zabrzmiał w jej uszach szept sprzed lat i poczuła zimno przenikające przez skórę.

– Śliczny – powiedziała, wskazując pierścionek.

Kobieta, która nazywała się Zuzanna Brandt, spojrzała na nią z wdzięcznością.

– Prezent od męża.

– Przynajmniej daje piękne prezenty.

Zuzanna Brandt roześmiała się nieco zbyt hałaśliwie. Dominika wiedziała już, że będzie tu siedzieć nawet do jutra, aby poznać tego człowieka. To nie może być ten sam pierścionek, powtarzała sobie w myślach. Nie bądź głupia, takie rzeczy się nie zdarzają.

W końcu pojawił się w drzwiach i skinął na kelnera, o coś pytając. Dominika zorientowała się, że to on, bo Zuzanna aż podskoczyła na krześle. Kelner poprowadził go do stolika.

– Krystian Brandt. Przepraszam za spóźnienie – powiedział facet i wyszczerzył zęby. Tyle miał na ten temat do powiedzenia.

W średnim wieku, ubrany jak należy, uśmiech lekko cwaniacki. Ucałował żonę, Dominika podała mu rękę, nie wstając, a on ucisnął ją lekko.

Poczuła ulgę. Właściwie czego się spodziewała? To nie ten pierścionek i nie ten facet.

- Co zamawiamy? – rzucił w przestrzeń.
- Na to trochę za późno – odparła Dominika.
- Mam rozmawiać o interesach na głodnego?
- Mógł pan zjeść hamburgera po drodze.

Roześmiał się.

– Podoba mi się, jak traktujecie kontrahentów. Spóźniłem się pół godziny, a pani jeszcze tu jest. Nawet jeśli się nie dogadamy, polecę was znajomym.

Czy to ten głos, który zapamiętała? Złapała się na tym, że usiłuje porównać go z głosem z koszmarów. Dlaczego? Przecież już ustaliła, że to nie ten facet.

Ale serce biło jej szybko, niemal wyrywało się z piersi, więc to jednak mógł być ten głos.

– Jestem tu, bo pańska żona zajęła mnie rozmową. Umie interesująco prowadzić konwersację.

– Tak? – Na twarzy Brandta odbiło się szczere zdumienie. Popatrzył na żonę, potem na Dominikę. – No dobra, niech mnie pani przekona, żebym pozwolił wam zainwestować w naszą firmę.

Powinna pożegnać się i wyjść. Zamiast tego wytrzymała jego spojrzenie i powiedziała:

- Niech mnie pan przekona, żebym chciała w nią zainwestować.
- Dobrze sobie. Nie jesteście jedyni do tego tortu.

Kelner przyniósł kartę dań. Dominika podziękowała, ale Brandt wziął kartę i zamówił dla siebie i żony.

– W Cendrowski Investments nie ustawiamy się w kolejkach z innymi – rzekła Dominika. – I mamy bardzo kategoryczne kryteria, którymi się kierujemy.

- Takie chcecie sprawiać wrażenie.

Rozparł się na krzesło, prawą dłonią zaczął wybijać na stole jakiś rytm. Przynajmniej jeszcze nie ziewał ostentacyjnie.

Brandt nie był wart minuty czasu Dominiki. Czowała się coraz bardziej nieswojo.

– Pani jest siostrą Daniela Cendrowskiego?

– Przyrodnia.

– Pani brat to chodząca legenda. Choć słyszałem, że pije?

Dominika potrząsnęła włosami, bo Brandt chyba naprawdę sądził, że jej zależy. Rozdrażnił ją. Straciła mnóstwo czasu, poznała nieciekawego człowieka, a pierścionek był po prostu podobny.

Rozejrzała się za torebką. Najwyższy czas, żeby się stąd zabierać.

Na stole, przy świeczniku, leżał mały kartonowy medalion z logo restauracji. Brandt wziął go w dwa palce, obejrzał i uśmiechając się krzywo do Dominiki, schował do kieszeni marynarki.

– Na pamiątkę – powiedział.

Dominika leciutko zacisnęła palce na pasku torebki. Paznokcie wbiły jej się w skórę, poczuła ciepło krwi. Może więc tylko jej się wydawało, że to było leciutko.

Schowała dłoń pod stół.

– To nie kradzież – mruknął, patrząc na nią i po raz pierwszy tracąc pewność siebie. – Specjalnie to kładą, żeby zabierać, to dla nich reklama. Zresztą zapytam kelnera.

Czy on mnie poznał? – tłukło jej się w głowie. Nie, nie ma pojęcia, kim jestem. Ale to cwaniactwo, ta pewność siebie, czy to nie dlatego, że wie?

Uczyniła ze swojej trzydziestodziewięcioletniej twarzy uśmiechniętą maskę, aby nikt nie dostrzegł pod nią przerażonej młodej dziewczyny.

– Pani dobrze się czuje? – Brandt nachylił się do niej, patrzył uważnie, stracił całą nadętą pozę. W jego wzroku było coś, jakby

szczerze zaniepokojenie.

Nie poznał jej.

Miała ochotę krzyknąć. Rzucić się na niego, wydrapać mu te pełne troski oczy. Uciekać jak najdalej, nigdy go więcej nie spotkać.

Zamiast tego z najwyższym wysiłkiem się wyprostowała i uśmiechnęła przepraszająco.

– Na czym polegają pańskie kłopoty? – spytała.

PROLOG 2

Przez niedomknięte żaluzje późnopołudniowe światło wpadało do pokoju w postaci jasnych wydłużonych linii. Eryk Karłowicz patrzył, jak układają się skośnie na podłodze, odwrócony do Kaśki plecami, słuchając jej monotonnego oddechu. Zasnęła. To dobrze, tym razem obejdzie się bez sceny.

Ostrożnie podniósł się z łóżka i poszedł pod prysznic. Gdy wrócił, wciąż spała, a on zaczął się ubierać. Przypadkiem omal nie zrzucił z krzesła pluszowego misia. To by nie narobiło hałasu, ale kto wie, czy miś nie zacząłby płakać. Cała sypialnia Kaśki napakowana była pluszakami i lalkami. W dodatku wszystko tu było różowe, ściany, zasłony, pościel i dywanik pod łóżkiem.

I jej majtki, gdy jeszcze je miała na sobie.

Kobieta ma dwadzieścia sześć lat, pracę w korpo, nowoczesne poglądy, seks jest dla niej potrzebą fizjologiczną, a nie czymś, o czym warto pisać poematy, zresztą ona nie czyta poezji... Ale pojęcie o wystroju wnętrza ma jak dziewczynka meblująca domek dla lalek.

Ja to mam gust do kobiet, pomyślał.

Chwilę mu zajęło, nim zawiązał krawat. Spojrzał w lustro, którego ramy ktoś, kogo znał, okleił różowymi karteczkami zawierającymi życiowe motto typu: „Marzenie jest życzeniem wypowiedzianym przez serce”. Odbicie w lustrze mówiło mu, że jest przystojnym facetem po czterdziestce w drogim garniturze. Facetem, który urwał się trochę wcześniej ze świetnej pracy, aby przelecieć panienkę. Nie musiał patrzeć na łóżko, aby się przekonać, że urodzie panienki nie można nic zarzucić. Taki facet musi mieć to, co najlepsze. Z lustra gapił się na niego tępo rasowy okaz sukcesu życiowego.

– Wychodzisz?

Cholera. Uświadomił sobie, że od kilku chwil nie słyszy już, jak jej oddech wybija senny rytm. Co za głupie pytanie. Przecież widzi, że wychodzi.

– Obiecałem Dominice, że zdążę na kolację.

Poruszenie na łóżku, blask wyświetlacza w komórcie w różowym etui.

– Dopiero piąta. O której jecie kolację?

– Przygotujemy ją razem. Ostatnio spędzamy ze sobą zbyt mało czasu.

– Kiedy w końcu ją rzucisz?

– Kogo?

– Żonę, geniuszu.

Zmierzył ją niedbałym spojrzeniem.

– Dla ciebie?

– Nie traktuj mnie tak. Nie jestem zdziwiona do wyruchania.

A kim jesteś? – pomyślał.

– Nie myślę tak o tobie.

Wyskoczyła z łóżka, przebiegła do drzwi i zatarasowała je, rozkładając ręce jak bramkarz szykujący się do obrony karnego. Piekielnie ładna dziewczyna, zwłaszcza nago. Nawet nie malowała się nadmiernie. Tylko to pierdolone różowe otoczenie... Następnym razem zabierze ją do jakiegoś hotelu. Miał dosyć jej przytulnego pluszowego mieszkanka.

– A jeśli zajdę w ciążę? Może już zaszłam?

– Przestań.

– Ona nie chce dzieci? Ja mogę ci je dać.

Nieśpiesznie się zbliżył, wplotł dłoń w jej włosy i ostrożnie, żeby nie sprawić jej większego bólu, ale stanowczo, aby jednak coś zrozumiała, pociągnął i odstawił ją od wejścia. Syknęła z wściekłością, strzeliła go w twarz i zaczęła się szarpać. Zaczekał, aż się zmęczy i przestanie.

– Powiedziałem ci, że jem kolację z żoną. To dla mnie bardzo ważne.

– A ja ci powiedziałam, że może zostanę mamą.

Nie bał się tego. Brała tabletki, choć mu o tym nie mówiła i nalegała na ostrożność. Trzymała je w szufladzie szafki nocnej. Eryk regularnie sprawdzał, czy tabletek ubywa i czy ubywa we właściwy sposób. Tabletki nie były różowe.

– Czego chcesz, pieniędzy? – mruknął.

Znowu trzasnęła go w twarz. Miała temperament, dlatego do niej przychodził. Lubił jej ciało i tę wewnętrzną dzikość. Poza tym chyba nic więcej mu się w niej nie podobało, zresztą w niej nie było już nic więcej.

– Powiedziałem ci pierwszego dnia: nigdy z tobą naprawdę nie będę. Cokolwiek zrobisz, czyjekolwiek dzieci urodzisz.

Zamachnęła się po raz kolejny, ale on – wciąż trzymając ją za włosy – odstawił ją od siebie. Dała spokój i ją puścił.

– Spierdalaj – wysyczała. – Nigdy tu nie wracaj.

– Ubierz się – odparł i wyszedł.

W domu był sześć minut później. Pomyślał, że Kaśka za blisko mieszkała. Do tej pory zawsze dbał, by jego kobiety mieszkały w innych dzielnicach, ale z nią coś nie wyszło. Nie mógł się jej oprzeć i złamał zasady. To pewnie się na nim zemści. Miał tylko nadzieję, że nie zemści się na Dominice.

Zastał ją w kuchni, gdy wybierała łyżeczką awokado ze skórki. Objął ją od tyłu i pocałował w szyję. Była piękna, choć nie tak jak Katarzyna. I już nie miała dwudziestu sześciu lat.

– Brałeś prysznic? – spytała, odkładając nóż i sięgając po blender.

– Tak.

– Mogłabym cię poprosić, żebyś wziął jeszcze jeden?

Stojąc w strumieniu gorącej wody, tarł się gąbką, niemal zdzierając z siebie skórę. Kaśka miała wyjątkowo mocne perfumy. Każe jej je zmienić albo on ją zmieni.

Na tę myśl poczuł żal, bo nie chciał jej zmieniać za wcześnie.

Włożył świeżą koszulę i spodnie. Pomógł Dominice z krojeniem pieczeni. Stosując się do jej wskazówek, nakrył do stołu.

Jedli, usiadłszy naprzeciwko siebie przy stole, odgradzeni przez dwie zapalone świece. Rozmawiali. Dominika wydawała się zamyślona. Często taka była i kiedy miała ochotę wyjawić mu powód, sama o tym mówiła. Gdy nie miała ochoty, nie odpowiadała nawet kiedy pytał, więc dawno temu przestał pytać.

Dziś nie była w nastroju do zwierzeń.

Nie szkodzi. Przeczyta później jej myśli w pamiętniku. Prowadziła elektroniczny pamiętnik na starym laptopie Hewlett-Packard, który trzymała przy łóżku. Laptop i pamiętnik były zabezpieczone skomplikowanymi hasłami, ale z najbardziej skomplikowanym hasłem poradzi sobie najprostszy keylogger.

Ten laptop od lat służył jej wyłącznie do prowadzenia prywatnych zapisków. Dominika była nieprzeciętnie inteligentna i obeznana z nowoczesnymi technologiami, a praca w finansach uczuliła ją na cyfrowe zagrożenia, ale keyloggera nie wykryła. Nic zresztą dziwnego, wybrał taki, którego nie sposób wykryć bez skomplikowanego oprogramowania, a tego laptopa nie dostawali do rąk firmowi informatycy, regularnie szukający aplikacji szpiegowskich.

Sprawdzenie odczytów keyloggera dawało Erykowi coś absolutnie wyjątkowego: miał zarejestrowany każdy nacisk klawisza na komputerze żony. Widział, jak pisała i jak edytowała to, co wpisała. Czasem najwięcej dowiadywał się z tego, co zostało usunięte i nie dostawało się do ostatecznej wersji pamiętnika.

Człowiek ma taką właściwość, że niektóre rzeczy cenzuruje nawet przed sobą.

– Co z tymi klientami, z którymi się dzisiaj spotkałaś? – spytał.

– Wzięłam ich.

Powiedziała to pozornie niedbale, ale wyczuł w jej głosie dziwną nutę.

– Nadają się?

– Tak, przecież mówię, że ich wzięłam.

On też jej opowiedział o pracy. Pracowali razem w firmie inwestycyjnej należącej do jej brata, ale rzadko się tam widywali. Każde z nich miało swój zakres obowiązków i odpowiedzialności.

A potem przestali rozmawiać, po prostu razem byli. Czasem to musiało wystarczyć.

Po kolacji sprzątnęli ze stołu, a Dominika usiadła na kanapie z kieliszkiem czerwonego wina. Eryk włączył muzykę, takie klubowe retro, które ona najbardziej lubiła. Sam nie pił. Nie miał ochoty.

– Ładna jest? – odezwała się Dominika.

Nie mógł nic wyczytać z jej twarzy, więc żałował, że nie może przeczytać jej pamiętnika, zanim się odezwie.

– Nie taka ładna jak ty.

Skinęła głową.

– Przytul mnie – powiedziała.

Ostrożnie usiadł obok niej. Oparła mu głowę na piersi, a on położył na niej dłoń. Potem wstała, odstawiła kieliszek, z czułością dotknęła jego policzka.

– Nie skrzywdź jej.

– Nie skrzywdzę.

– Dobranoc.

Poszła do swojej sypialni, słyszał, jak zamyka za sobą drzwi na piętrze. On jeszcze długo siedział, nic nie robił i czuł się zmęczony. W końcu też wstał, pogasił światła i poszedł do siebie.

PROLOG 3

Rano nieco dłużej zeszło mu ze śniadaniem. Często schodziło mu dłużej. Dominika pocałowała go w policzek i wyszła z domu. Patrzył przez okno, jak jej czarny mercedes, prowadzony przez Maksa, majestatycznie wycofuje z podjazdu i znika za bramą. Maks Nawajski był jej osobistym szoferem i przyjacielem. Umiała zjednywać sobie przyjaciół, była dobra w tylu innych rzeczach.

Zostawił filiżankę z niedopitą kawą na stole. Poszedł do jej sypialni i otworzył laptopa. Pojawiło się żądanie hasła, chwilę się z tym wszystkim bawił, po czym włożył do gniazda USB wyjęty z kieszeni pendrive.

Czekał, podczas gdy dane się ładowały.

Nie czuł wyrzutów sumienia. Dominika tak niewiele mówiła mu o sobie. Więcej wiedział z jej pamiętnika niż ze wspólnych rozmów i razem przeżytych dni.

Wyjął pendrive'a i zamknął laptopa, dbając, aby zostawić wszystko w takim stanie, w jakim to zastał. Poszedł do swojego pokoju, włożył pendrive'a do swojego nowoczesnego notebooka i znowu chwilę czekał na załadowanie danych.

Przejrzał zapiski z ostatnich dni. Dużo o pracy, o nim tylko jedno zdanie. Miała nadzieję, że jej nie zostawi. Ostatniej nocy, po ich wspólnej kolacji, zrobiła jeszcze notatkę. Była krótka, ale wielokrotnie edytowana.

Gdy Eryk przeczytał ten wpis, poczuł zimno biegnące po kręgosłupie. Spotkała jednego z nich. Tego, który zabrał jej pierścionek zaręczynowy. Podarował go żonie, a ona nosiła go swobodnie na palcu.

Dominika była pewna, że to ten człowiek. Jej słowa były proste, ale wielokrotna edycja i drobne błędy, których zwykle nie popełniała, wiele mówiły o jej stanie psychicznym. Eryk lepiej

potrafił czytać uczucia z jej tekstów niż z wyrazu twarzy. Była świetną negocjatorką, pilnowała się, także w domu.

Na pamiątkę, przeczytał i ta fraza odbiła się w jego umyśle z wielokrotnioną. Starał się zachować spokój. Dominika pozwoliła facetowi myśleć, że ich fundusz jest zainteresowany inwestycją w jego firmę, jakby chciała trzymać go blisko.

To dobrze, tak należy trzymać wrogów. Zwłaszcza tych najgorszych.

Wyjął telefon komórkowy i wysłał do samego siebie maila z nazwiskiem tamtego. Wiadomość zniknęła z „Wersji roboczych” w skrzynce mailowej i pojawiła się jako nieprzeczytana w „Odebranych”.

Eryk miał dostęp do danych potencjalnych kontrahentów, bez problemu odnajdzie tego człowieka w bazie. Upewni się, że Dominika mimo wszystko nie pomyliła się i że to na pewno ten facet.

Dzięki niemu odnajdzie dwóch pozostałych.

Podszedł do okna i otworzył je na całą szerokość. Potrzebował powietrza. Budził się kolejny kwietniowy dzień, ale do niego wróciła październikowa noc sprzed dwudziestu lat i miał przez chwilę poczucie, że znalazł się w kompletnej ciemności.

PROLOG 4

Zuzanna Brandt patrzyła na męża, który wyćwiczonym ruchem zgarnął w torebkę psią kupę i wrzucił do kosza na śmieci. Pusia kręciła się wokół jego nogi, wdzięczna za posługę.

Zuzanna pociągnęła za smycz.

– Chodź tutaj.

Pusia nie posłuchała, co było typowe dla Pusi. Machała ogonem i cieszyła się wyjściem z domu.

– Pospacerujmy jeszcze trochę – powiedziała Zuzanna.

Mąż skinął głową. Był zamyślony i zdenerwowany, na pewno znowu przez tę nieszczęsną, walącą się firmę, ale była mu wdzięczna, że wyszli z psem razem. Był wrześniowy wieczór, ciemność dawno zapadła, przeszli się chodnikiem w kierunku Lewiatana.

– Kupię kilka piw – powiedział. – Coś dla ciebie?

Nic nie chciała. Wszedł do środka, a ona została z psem. Ulica była pusta. Niedaleko spacerował mężczyzna kryjący głowę pod białym kapturem. Robiło się zimno. Odniosła wrażenie, że tamten mężczyzna patrzy na nią, co ją zaniepokoiło.

Odwróciła głowę, a gdy ponownie spojrzała na mężczyznę, kierował się w stronę przystanku. Przestała o tym myśleć.

Pusia pociągnęła ją wzdłuż bocznej ściany sklepu. W zaułku, który po drugiej stronie był ograniczony odrapanym murowanym ogrodzeniem sąsiedniej posesji, stały dwa pojemniki, z których wysypywały się śmieci, i to one zwróciły uwagę psa. Suczka była z tego powodu niezwykle podekscytowana. Zuzanna łatwo ulegała Pusi i pozwoliła się kilka kroków poprowadzić. Pies chwycił zębami plastikowy worek i zaczął go szarpać. Zuzanna ściągnęła smycz. Tak się kończy, gdy pozwala się psu rządzić.

Męska dłoń zasłoniła Zuzannie Brandt usta, ktoś przyparł ją do muru. Usłyszała przy uchu uspokajający szept, ale jej to nie

uspokoilo. Szarpnęła się i dopiero ten automatyczny ruch ciała uświadomił jej, co się dzieje. Szarpnęła się znowu z całej siły, próbowała krzyknąć, ale dłoń niemal zmiażdżyła jej twarz.

– Uspokój się.

Znieruchomiała. Dłonie miała wolne, w jednej z nich ścisnęła smycz, której napięcie zelżało. Pusia wróciła, Zuzanna czekała, aż pies zacznie szczekać.

– Dawaj pierścionek – usłyszała przy uchu głos.

Posłuchała natychmiast. Miała kilka pierścionków, zdjęła z palca ten największy, z trójkątnym brylantem, i uniosła go. Poczowała, że ręka jej się trzęsie.

– Nie ten. Wiesz, który.

Pusia nie zaszczekała. Zuzanna zdała sobie sprawę, że pies łąsi się do człowieka, który przyciskał ją do muru. Zaczęła zdejmować ten pierścionek z sercem, po prostu uznała, że musi chodzić o niego, ale nie dawał się ściągnąć. Zawsze był za mały, nie pasował do jej ręki. Nigdy nie powinna go wkładać.

– Dalej – powiedział mężczyzna – bo będę musiał ci pomóc.

Zuzanna przekręciła go, szarpnęła z całych sił i podała mężczyźnie. Wziął go drugą ręką, tą, którą nie zasłaniał jej ust.

– Zapytaj, skąd twój mąż wziął ten pierścionek – usłyszała szept. – Zapytaj, co zrobił kobiecie, której go zabrał. – Zwolnił nacisk na jej usta.

– Dobrze – wyszeptała. Bała się, serce waliło jej jak oszalałe. Dlaczego Pusia nie szczeka? Czy nikt ich nie widzi? Tuż za murem stała latarnia i znajdowali się w dobrze oświetlonym miejscu.

– Tylko spokojnie i nie ruszaj się stąd – usłyszała, a nacisk na jej plecy zmalął.

Nie mogła tego zobaczyć, ale zdała sobie sprawę, że mężczyzna pochylił się, aby pogłaskać Pusię. Słyszała, jak suczka przebiera

łapami, zawsze tak robiła, gdy coś ją cieszyło. Lubiła ludzi, znajomych i obcych, było jej wszystko jedno, czy ci ludzie także ją lubią. Zuzanna Brandt pomyślała z rozpaczą, że jej pies jest głupi.

Jakby słysząc jej myśli, Pusia zawarczała i rzuciła się na mężczyznę. Doszły ją odgłosy szamotaniny, pies odskoczył, znowu zawarczał, zaczął szczekać i ujadać. Dlaczego mam takiego małego psa? – pomyślała Zuzanna z żalem i ogarnął ją strach, że ten mężczyzna go skrzywdzi.

On jednak odszedł. Słyszała jego oddalające się kroki.

Nie ruszyła się z miejsca jeszcze długą chwilę po tym, gdy kroki ucichły. Pusia biegała wokół jej nóg, szczekając i jazgocząc. Zuzanna zatrzęsała się, nabrała powietrza, aby krzyknąć z całych sił, ale z jej ust nie wypłynął najmniejszy dźwięk.

Odwróciła się od muru, podniosła psa i przytuliła. Dobrze, że zwlekałaś, pomyślała. On by ci zrobił krzywdę.

Z Pusią na rękach wróciła przed drzwi sklepu. Mężczyzny nie było. Krystian właśnie wychodził.

– Co się stało? – zapytał.

– Pies zaczął gryźć śmieci. – Wciąż ścisnęła w dłoni drugi pierścionek. A suczkę przyciskała do siebie tak mocno, że zaczęła się szarpać i piszczeć. – Zdjęłam pierścionek z palca. Zobacz, mam go tutaj.

Pokazała mu ten wielki pierścionek z brylantem i uświadomiła sobie, jak wiele był wart. Krystian popatrzył na nią podejrzliwie. Jestem w szoku, pomyślała Zuzanna. Ja chyba płaczę.

– Dlaczego zdjęłaś pierścionek, gdy pies zaczął gryźć śmieci?

– Nie wiem. – Zaśmiała się histerycznie. – Nie pamiętam.

1

Mżyło. Sławomir Kruk zamknął oczy i uniósł twarz, aby osiadły na niej krople wilgoci. W pobliżu rozbrzmiał czyjś głos:

– Komisarzu.

Trzeba było opuścić głowę, otworzyć oczy i spojrzeć na właściciela głosu. Mundurowy z notesem w dłoni.

– Tak?

– Technicy pytają, czy rozstawiać namiot i medyk ma na miejscu robić wstępne oględziny.

– To pytanie do prokuratora.

– Prokuratora jeszcze nie ma, kazali zapytać pana. – Policjant wzdrygnął się lekko. – Zimno tu.

Kruk wzruszył ramionami, bo wcale nie było zimno.

– Niech biorą się do roboty.

Mundurowy odszedł rozczarowany. Ludzie mają tendencję do chodzenia po linii najmniejszego oporu. Aby rozwiązać ten problem, stworzono hierarchię służbową. Ci, którzy są wyżej i nie muszą robić brudnej roboty, zlecają ją tym niżej, i dlatego robota w ogóle zostaje wykonana. Tak zawsze było, jest i będzie.

W oknach okolicznych bloków mieszkalnych paliły się światła. W wielu z nich widać było postaci wpatrzone w dół, w policyjne

radiowozy iskrzące się niebieskim blaskiem, ozdabiające skrywające się w wieczornym mroku osiedle. Jeszcze więcej tych postaci, niewidocznych z dołu, prawdopodobnie kryło się w oknach wypełnionych ciemnością. Mrok mieszkań zapewniał ludziom niewidzialność i poczucie bezpieczeństwa. Okna stały się ekranami telewizorów, gdzie odgrywano dla nich widowisko.

Choć właściwie punkt widokowy mieli wcale nie nadzwyczajny. Kruk uświadomił sobie to dopiero teraz.

Od najbliższego bloku odgradzały go drzewa i mała altana śmietnikowa z wejściem od ulicy, a dwa inne pobliskie bloki zwracały się ku niemu ślepyimi bocznymi ścianami. Zastanowił się, z ilu okien naprawdę dobrze było widać to miejsce, czyli gdy ktoś wyjrzy przez okno, to jego wzrok naturalnie i bez wysiłku padnie właśnie tutaj. Doszedł do wniosku, że jak na środek osiedla, to ze stosunkowo niewielu okien.

Prokurator dyżurny pojawił się, gdy namiot już stał. Ledwie tam zajrzał, bardziej po to, by zaznaczyć swoją obecność, niż żeby czymś pokierować. Był niewysoki, szczupły i miał nieszczęśliwą minę.

Przywitał się z Krukiem. Nazywał się Patryk Szczech, był niezłym prawnikiem i – co nie stanowiło tajemnicy dla tych, którzy go znali – wolał sprawy lżejszego kalibru.

– Mamy zwłoki bez głowy na osiedlowym śmietniku – powiedział Kruk.

Szczech przytaknął. Wiedział o tym, w końcu dlatego go wezwano.

– Niby nic – kontynuował Kruk. – Ale jak się zastanowić, ktoś się postarał. Zabójca nie jest leniwy. Odrąbać głowę, poćwiartować trupa, upchnąć do worków, wynieść na śmietnik, gdzie może cię zobaczyć przypadkowy przechodzień... Zabójcę trzeba za to docenić.

Prokurator ze zgrozą prześlizgnął się wzrokiem po bryłach okolicznych budynków.

– Myśli pan, że to stało się w którymś z tych mieszkań?

Kruk wzruszył ramionami. Skąd miał wiedzieć? Altana śmietnikowa nie była zamykana na klucz. Każdy, kto akurat przechodził tędy z trupem pod pachą, mógł tu swojego podrzucić.

– Do śmieci wrzucamy odpadki – mówił dalej Kruk. – Zabójca nie uważa, że ofiara zasłużyła na godne potraktowanie, typu pogrzeb i sakramenty.

– Nienawiść?

– Możliwe. A jeśli tak, to taka, która sięga poza grób. Ciekawe, gdzie podziała się głowa.

Prokurator popatrzył w stronę policyjnego namiotu, w którym zajmowano się ciałem. Wykonał gest, jakby chciał tam iść, ale ostatecznie pozostał w miejscu.

– Nie zwróciłem uwagi, czy denat ma dłonie.

Oczywiście, że nie zwrócił uwagi. Przecież nie wszedł do namiotu.

– Ma dłonie i nietknięte linie papilarne. Nie sądzę, że chodziło o utrudnienie identyfikacji. Ale myślę, że głowa nas jeszcze zaskoczy.

– Słucham?

– Chodzi o to, że jeśli zostanie znaleziona, to ktoś, kto ją znajdzie, będzie zaskoczony. Pan by nie był?

Prokurator wydawał się znużony. W końcu dotarło do niego, co robi Kruk.

– Czy coś z tego, co pan powiedział, ma jakiś sens?

– A bo ja wiem? Lubię sobie czasem pogadać nad trupem. Tym bardziej że ten mnie na pewno nie słyszy. Leży sobie w namiocie w kawałkach i nie ma głowy.

Prokurator poszedł do dwóch umundurowanych policjantów stojących niedaleko trzepaka, pod drzewami. Towarzyszył im potężny mężczyzna w swetrze, który co chwila wybuchał szlochem. To on znalazł zwłoki i bardzo się tym wzruszył. Był bezdomny i przetrząsał pojemniki na śmieci. Gdy przesunął jeden z worków z odpadkami, piętrzącymi się w pojemniku najbliżej wejścia, odsłonił wystający z innego worka ludzki palec. Facet w swetrze, którego nazwiska Kruk nie zapamiętał, a które znajdzie się w aktach, przyjrzał się temu bliżej i dostał za swoje.

Teraz trzymał w dłoni reklamówkę na śmietnikowe łupy i był pijany.

Kruk, aby nie moknąć, wszedł do namiotu. Zadaszenie było istotne, bo po drugiej stronie ulicy stało trochę gapiów i robiło komórkami filmy. Policja zdecydowanie by wolała, żeby ruchome obrazki z oględzin nie trafiły do Internetu. Niech sobie filmują namiot.

Zmrużył oczy, chroniąc je przed światłem przenośnych reflektorów.

– Co tam? – spytał.

Poszczególne części ciała kolejno rozłożono na folii. Były ręka prawa i lewa, ułożone odwrotnie, obie nogi, dla odmiany położone właściwie. Był też zlany zakrzepłą krwią korpus z genitaliami, którym właśnie zajmowali się medyk z technikiem. Technika Kruk nie znał. W policji była ostatnio spora rotacja: jedni odchodzili, następni zajmowali ich miejsce. Policja niby ta sama, a jednak inna.

– Ostrożnie – powiedział medyk, bo technik zahaczył workiem o kawałek kości wystającej z części ramieniowej tułowia.

To wszystko miało w sobie coś z oprawiania mięsa. Medyk musiał odłożyć odrąbane martwe ręce swoimi żywymi rękami, i Krukowi przemknęła myśl, że te ręce też mogły zostać odrąbane. W takich

momentach człowiek zdawał sobie sprawę, że ma sporo szczęścia, że wciąż chodzi po ziemi.

Położyli korpus denata na plecach, klatka piersiowa stała się dobrze widoczna.

– A to co, do diabła? – zapytał medyk.

Kruk nachylił się, żeby zobaczyć.

Zbliżył się drugi technik, spojrział przez ramię Kruka.

– Kurwa mać – wyrwało mu się.

– Taaa – odparł komisarz. Na klatce piersiowej denata ktoś wyrył w skórze napis. Jego treść kazała sądzić, że już nie znajdą dziś głowy.

2

Poćwiartowanie mogło mieć aspekt praktyczny. Jeśli doszło do zabójstwa i jeśli stało się to w którymś z pobliskich mieszkań, sprawca musiał jakoś pozbyć się zwłok. Rozczłonkowanie było jedną z rozsądniejszych możliwości, biorąc pod uwagę fakt, że trupa należało przenieść przez klatkę schodową i kawałek podwórka. Wykorzystano trzy worki: na korpus, nogi oraz ręce. Po przykryciu worków ze zwłokami innymi workami można było liczyć na to, że służby komunalne wywiozą trupa najbliższym transportem na wysypisko.

Jeśli jednak sprawca chciał ukryć zwłoki, po co ta koszmarna, krwawa komunikacja?

– Paskudna sprawa – powiedział cicho medyk. – Widział pan kiedyś coś takiego? – Dłonią w lateksowej rękawiczce dotknął jednej z liter wykonanych na skórze i wypełnionych zakrzepłą krwią. – Zrobiono mu to jeszcze za życia lub krótko po śmierci.

Technik, który stał bliżej Kruka, sięgnął po aparat. Rozległy się ciche cyknięcia i kilkakrotnie błysnął flesz, oślepiający nawet w blasku reflektorów.

Komisarz po raz kolejny przeczytał w myślach napis:

ZABIERAM ŁEB NA PAMIĄTKĘ.

– Brak elegancji w wysławianiu się. Przecież ludzie mają głowy.

– Komisarzu. – Medyk zmarszczył brwi. Był starszym mężczyzną o nie całkiem jeszcze posiwiałych włosach. Kruk kiedyś już z nim pracował, ale w żaden sposób nie potrafił przypomnieć sobie nazwiska. – To nie czas i miejsce na dowcipy.

Kruk pomyślał, że trudno o lepsze miejsce i czas, gdy dowcip, nawet kiepski, coś znaczył. Ten namiot zaczynał go dusić.

– Ma pan rację – powiedział.

– Nie trzeba wezwać prokuratora?

– Nie wejdzie, chyba że wciągnie go pan siłą. A to co?

Kruk zwrócił uwagę na dwa pionowe nacięcia w dole nieco przed literą N i dwa podobne u góry za literą E.

– Cudzysłów? – zasugerował medyk.

Miał rację. Właściwy napis brzmiał:

ZABIERAM ŁEB „NA PAMIĄTKĘ”.

Cokolwiek to miało znaczyć.

Medyk i technicy wrócili do pracy. Obrócili zwłoki na bok, znowu błyski flesza.

Człowiek w kawałkach jest groteskowy, pomyślał Kruk.

– Jak kurczakowi... – mruknął.

Korpus znów spoczął na plecach.

– Zgadza się. – Dłonie w lateksowych rękawiczkach dotknęły zakrwawionej szyi denata, z której dwie grube, tętnica i żyła, wystawały jak końcówki węża ogrodowego. Krew tutaj też zastygła i poczerniała. – Brzegi ran poszarpane, dwa kręgi szyjne zgruchotane. Głowa raczej została odrąbana. Potrzeba było więcej niż jednego uderzenia.

Kruk patrzył i kiwał głową.

– Ofiara nacierpiała się przed śmiercią. – Medyk wskazał zasinienia na klatce piersiowej. Były to inne uszkodzenia skóry niż powstałe przez litery. Niektóre z nich wyglądały znajomo: ktoś gasił na skórze ofiary papierosa. – Podobne ślady są na rękach i nogach. Na nadgarstkach i kostkach pierścieniowe otarcia, podbiegnięcia krwawe i charakterystyczne pęknięcia skóry. Ofiara została związana cienkim mocnym sznurkiem, drutem lub czymś podobnym.

Kruk patrzył na rozległość obrażeń. Było tego dużo. Dużo obrażeń, dużo bólu.

Nie zrobiło to na nim wrażenia. Pomyślał, że pewnie ze względu na fragmentaryczność zwłok.

– W workach nie było ubrań?

– Miał obrączkę na palcu – powiedział jeden z techników.

Podał Krukowi plastikową torebkę, w której połyskiwała złota obrączka. Od wewnętrznej strony był jakiś grawer. Komisarz usiłował przeczytać napis przybrudzony krwią.

– Małgorzata, 2001 – odpowiedział technik.

Kruk oddał mu torebkę. Denat miał żonę. Może żona go szuka.

– Jeszcze się nawet solidnie nie zepsuł – odezwał się medyk, mając na myśli zaawansowanie rozkładu, ale niech to diabli, jeśli to

był oficjalny żargon medyczny.

Była dwudziesta druga trzydzieści sześć dziewiętnastego października dwa tysiące dziewiętnastego roku. Kruk pozostał w namiocie do końca oględzin. Po wyjściu wymienił kilka uwag z prokuratorem. Szczecha zaciekał napis, ale wciąż nie na tyle, by wejść do namiotu i osobiście go obejrzyć. Policjanci w ubraniach ochronnych przetrząsali śmietnik. Inni, w mundurach, przemykali po osiedlu, rozpytując mieszkańców. Spóźnione samochody z trudem parkowały przy ulicy Henryka Hubertusa Jabłońskiego w Gdańsku, wyjątkowo dziś zatłoczonej. Mrok całkowicie rządził okolicą, a rozbiły go jedynie sztuczne światła latarni, radiowozów i reflektorów. Pojawili się dziennikarze i usiłowali zwrócić na siebie uwagę Kruka.

Prokurator podpisał papiery in blanco i odjechał. Kruk został pośród tego wszystkiego, ale każdy tu znał swoją rolę i wiedział, co robić.

Umarł człowiek. Może było to zabójstwo, a może jedynie zbezczeszczenie zwłok.

Teoretycznie mężczyzna mógł wracać z sesji sado-maso, stąd ślady wiązania i tortur, potknąć się na ulicy, uderzyć głową w krawężnik i umrzeć. A przypadkowy przechodzień mógł natknąć się na zwłoki, zapragnąć jego głowy, i tak dalej... Sprawa wciąż podpadała pod paragraf, ale chodziło o numer.

Kruk włożył dłonie do kieszeni płaszczu. Podejdą do tego jak do zabójstwa, to oczywiste. Do zabójstwa, co do którego sprawca wyraźnie chciał, by zostało odkryte, i nawet przemówił do odkrywców.

Machina tego, co od biedy można nazwać sprawiedliwością, ruszyła i będzie się kręcić.

Podjechał karawan. Mżawka przemieniła się w deszcz, ale było ciepło. Możliwe, że była to ostatnia ciepła październikowa noc. Kruk moknął i przyglądał się, jak ładowane są zwłoki.

3

Zapadła noc. Kruk miał ochotę wrócić do mieszkania, z którego przed kilkoma godzinami wyciągnął go nagły telefon, i położyć się spać. Zamiast tego pojechał na komendę, aby przejrzeć w systemie niedawne zgłoszenia zaginięcia. Szukał kobiety o imieniu Małgorzata i znalazł.

Na Komisariacie Policji IX w Gdańsku przy Balcerskiego Małgorzata Woronowicz zgłosiła w środę dziewiątego października zaginięcie męża, Marka Woronowicza. W niedzielę szóstego października około dziewiętnastej trzydzieści Woronowicz wyszedł z domu i nie wrócił.

Mieli pójść do przyjaciół, a on wcześniej chciał coś załatwić w biurze. Był udziałowcem dużej spółki handlowej Trust Sp. z o.o., takie wieczorne eskapady do firmy nie były dla niego niczym szczególnym. Żona poszła do przyjaciół sama, on ostatecznie nie dotarł, a po powrocie nie zastała go w domu. Gdy obudziła się nad ranem, męża nadal nie było.

Siedemdziesiąt dwie godziny później udała się na policję.

Nie śpieszyła się, pomyślał Kruk. Ale też był tego powód. Żona przyznała, że od jakichś trzech tygodni mąż zaczął znikać na całe noce. Znikał tak co trzeci, czwarty dzień. Uważała, że w tajemnicy przed nią spędza noce w kościele.

Ponieważ okoliczności zaginięcia nie wskazywały na zagrożenie życia lub zdrowia, a facet opuścił miejsce swojego ostatniego pobytu z własnej woli, zaginięcie otrzymało kategorię drugą. W bazie nie znalazło się nawet odwzorowanie jego linii papilarnych.

Właściwie to niewiele zrobiono w sprawie tego zaginięcia.

Kruk zastanowił się, czy nie zadzwonić do Małgorzaty Woronowicz, ale rzut oka na tani zegar ścienny, w który ostatnio komenda wyposażyła pokoje swoich oficerów, powstrzymał go przed wykonaniem tego telefonu.

Zamiast tego napisał SMS-a do sierżant Krystyny Bielińskiej, żeby mimo niedzieli pojawiła się rano w pracy. Wyjaśnił pokrótce, co ma zrobić.

Jeszcze tylko spojrzął na zdjęcie Woronowicza w policyjnej ewidencji. Przedstawiało go w jakimś biurze, na biurku stała śmiejąca się spizowa mała. On też uśmiechał się do obiektywu, jakby brał przykład z mały. Z pewnością w dniu, gdy robiono fotografię, nie miał pojęcia, do czego posłuży ona jego żonie. Woronowicz mieszkał w Gdańsku Osowej na Barniewickiej, całkiem daleko od Jabłońskiego. Trzymam za ciebie kciuki, żebyś to nie był ty, pomyślał Kruk.

Wyłączył komputer i pojechał do domu.

Znalazł się u siebie w mieszkaniu krótko po pierwszej w nocy. Wydawało mu się, że oględziny nie zrobiły na nim większego wrażenia, ale jego ciało wiedziało lepiej. Uparcie nie chciało zasnąć.

Błąkając się między wymuszonym snem a jawą, doczekał do szóstej dziesiątej rano. Wtedy odczytał SMS-a od Bielińskiej:

*Zadzwońłam do niej. Małgorzata i Marek Woronowicz
pobrali się 28.04.2001. Wysłałam technika.*

Kruk myślał, że to zajmie jej minimum kilka godzin, ale gdy przed ósmą rano wyjeżdżał z parkingu na komendę, dostał drugiego SMS-a od Kryśki:

Paluchy potwierdzone. To Woronowicz.

Nie można było nie być pod wrażeniem zdolności organizacyjnych Bielińskiej. Nie tylko znalazła bezrobotnego technika gotowego do pracy w niedzielę rano, ale technik, pod pozorem uzupełnienia dokumentacji zaginięcia, zdążył pobrać ślady linii papilarnych z przedmiotów codziennego użytku, których Woronowicz dotykał, upewnić się, że nie są to ślady innych domowników, wprowadzić je do bazy AFIS i porównać z liniami pobranymi od denata na miejscu zabójstwa i wprowadzonymi do bazy w nocy. Wszystko to w mniej niż dwie godziny.

Zachwycając się tym, jak sprawnie to poszło, Kruk jechał na komendę. Żeby nie było za łatwo, myśli zagłuszał ustawioną stanowczo za głośno muzyką z radia RMF MAXX.

Nie czekało go weekendowe lenistwo w pracy. Miał w planach spotkanie z kobietą, która dowie się od niego, że jej mąż nie żyje.

Małgorzata Woronowicz dowiedziała się o śmierci męża, ale nie od Kruka i nie od razu. Naczelnik Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku, Marcin Zych, wstrzymał komisarza. U Woronowiczów była już sierżant Krystyna Bielińska. Przebywała tam od szóstej czterdzieści rano. Nie znalazła technika, który mógłby z nią szybko pojechać, i sama zajęła się daktyloskopią. Zych właśnie posłał jej do towarzystwa aspiranta Radka Maszyńskiego i zlecił poinformowanie żony zmarłego.

– Tak będzie lepiej – powiedział.

Krukowi to pasowało. Nie palił się do takich zadań. Zajął się wnioskiem do operatora sieci komórkowej, w której telefon miał Woronowicz, o dostęp do lokalizacji i billingów. Podzwonił. Niedziela, ale co z tego. Obiecano mu ekspres.

Gdy Bielińska pojawiła się w jego pokoju na komendzie, było po dwunastej w południe. Kruk pomyślał sobie to, co myślał za każdym razem, gdy ostatnio widział Kryskę: jaka to interesująca kobieta. Odkąd pozbierała się po tragicznych wydarzeniach, kiedy przeszła piekło uwięziona w podmiejskim domu przez grupę przestępców, gdy zeszła opuchlizna i siniaki, gdy praca z psychologiem zaczęła przynosić efekty, pani sierżant przycichła. Wtedy Kruk odkrył w niej jeszcze coś, o co zaczął podejrzewać ją wcześniej, ale nie miał pewności.

Subtelność.

Miała na sobie białą bluzkę i spódnicę do łydek, niby nic specjalnego, ale na niej prezentowało się to specjalnie. Tylko pod oczami, mimo makijażu, uwidaczniały się cienie.

– Chciała wszystko wiedzieć – powiedziała, siadając. – A ja musiałam dawkować jej informacje. Radek to empatyczny facet, bardzo mi pomógł.

Kruk mruknął coś, że to prawda.

– Od kiedy bawisz się w technika? – spytał.

– Odkąd mam kłopoty ze snem. Niektórzy liczą barany, inni piją do upadłego, jeszcze inni pieprzą się z kim popadnie, a ja studiuję na własną rękę kryminalistykę. Norbert Walakiewicz pożycza mi książki. Ma tego cały regał, głównie angielskie pozycje.

Bielińska opowiedziała o spotkaniu z Małgorzatą Woronowicz. Dużo uwagi poświęciła powodom, dla których kobieta zgłosiła zniknięcie męża dopiero po siedemdziesięciu dwóch godzinach. Nie chodziło tylko o jego nocne eskapady. Miał z tym sporo wspólnego facet, który nazywał się Krystian Brandt.

– Ten cały Brandt, coś więcej o nim?

– Wspólnik w interesach. Mieszkają obok siebie: Woronowicze, Brandtowie, i trzeci wspólnik z żoną, Mulicki. Dom Brandtów stoi pośrodku. Ładne posiadłości, duże ogrody, zadbane.

– Aha – powiedział Kruk, którego wciąż dręczyła sprawa wykonanej przez Kriss ekspertyzy daktyloskopijnej. – Skąd miałaś sprzęt do zebrania paluchów? Te wszystkie proszki, czy czego oni tam używają.

– Kupiłam sobie.

– Za własne pieniądze?

– Za pieniądze Salomona. Co miesiąc przesyła mi kupę forsy. Nie mam jej na co wydać.

Salomon był jej mężem, który ją zostawił. Formalnie jednak wciąż pozostawali małżeństwem, a on dbał o nią z daleka.

Kriss wróciła do wizyty u Małgorzaty Woronowicz.

– Gdy powiedziałam, że znaleźliśmy jej męża...

– A jak wprowadziłaś paluchy do systemu? – drążył Kruk. – Przecież nie wróciłaś na komendę.

Bielińska spojrzała na niego, wyraźnie poirytowana. Wysunęła z torebki kawałek ultrabooka.

– Także kupiony za Salomona. Mam też aplikację skanującą w telefonie. Ciekawość zaspokojona?

Kruk skinął głową.

– Pokażesz mi kiedyś, jak to się robi?

– Słuchaj, czy sprawa zabójstwa cię w ogóle interesuje?

– Jasne.

– To dobrze, bo jak już jej powiedziałam, że go znaleźliśmy, żona Woronowicza spytała, czy obcięto mu głowę.

Kruk uniósł brwi. Przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– No i co?

– Nie dało się dalej rozmawiać. W tym momencie się załamała.

Zadzwonił telefon na biurku Kruka. Kruk odebrał, posłuchał i powiedział do aparatu:

– Dajcie go do pokoju przesłuchań. – Odłożył słuchawkę i spojrzał na Kryskę. – Krystian Brandt przyszedł. Pyta o ciebie. Mówi, że kazałaś mu się zgłosić.

Bielińska skinęła głową. W świetle słów Woronowiczowej to on powstrzymywał ją przed złożeniem zawiadomienia na policję i sam zajął się szukaniem jej męża. Wydzwaniał po ludziach, jeździł. Starał się wyjaśnić, gdzie Woronowicz udał się wieczorem w dniu zniknięcia, bo na pewno nie do biura, jak powiedział żonie. Nic nie osiągnął i ostatecznie Woronowicz sam się odnalazł w śmietniku na Jabłońskiego...

Woronowiczowa poszła wreszcie na policję za radą drugiego z przyjaciół, Karola Mulickiego.

– Co to za kobieta, ta Woronowicz? – spytał Kruk.

– Nie mam zdania. Będiesz rozmawiał z Brandtem?

– Ty to zrób. Ja sobie tylko popatrzę.

5

Posadzili go za stołem, sierżant Krystyna Bielińska usiadła naprzeciw, a Kruk z boku, pod samą ścianą. Brandt zdążył spotkać się z Małgorzatą Woronowicz, dowiedział się o śmierci Marka i wizycie policji. Na lokalnych portalach internetowych wyczytał o znalezieniu poćwiartowanych, bezgłowych zwłok. Połączył to wszystko w całość.

Kruk pomyślał, że namiot niewiele pomógł.

Bielińska wzięła od Brandta dane osobowe i sprawnie protokołowała.

– Nie chciałem, żeby Gosia szła na policję – powiedział. Sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

– Dlaczego? – spytała.

– Ostatnio mówił jej, że jeździ wieczorami do biura, ale ja wiedziałem, że to nieprawda.

– Gdzie jeździł?

– Kto go tam wie. Pomyślałem, że znalazł sobie inną kobietę.

– Dlaczego pan tak pomyślał?

– Gosia myślała, że noce spędza w kościele. W życiu go nie widziałem, by się modlił.

Miał na sobie czarną koszulę. Czarny płaszcz trzymał na kolanach.

– Rozmawiał pan z nim o tym?

– Nie chciał o tym rozmawiać. Gdy zaginął, podejrzewałem, że się gdzieś zawieruszył z tą kobietą. Zacząłem rozglądać się za tym, kim ona może być. Nie chciałem angażować policji, bo po co mu afera, gdy się znajdzie?

– Nie brał pan pod uwagę, że coś mogło mu się stać?

– Miałem różne myśli, to nie tak, że się nie zastanawiałem, ale chyba jednak nie. Chciałem go znaleźć, zanim Gosia spanikuje. Bałem się, żeby sprawa nie wyszła na jaw. Było mi przykro, ze względu na nią, ale co mogłem zrobić?

– Znalazł pan tę kobietę?

Spuścił wzrok i gwałtownie potrząsnął głową.

– Marek Woronowicz miał jakichś wrogów? Dostawał groźby?

Brandt uniósł głowę, oblizał wargi. Jego wzrok poszybował ponad Bielińską i zderzył się ze ścianą.

– Nic o tym nie wiem.

– Wiedziałyby pan, gdyby tak było?

– Razem pracujemy, razem jeździmy na wakacje, mieszkamy obok siebie. To taka prawdziwa przyjaźń.

Położył nacisk na ostatnim słowie. Chciał podkreślić, jakie znaczenie ma dla niego to, co mówi. Ale znowu oblizał wargi i tak naprawdę to odpowiedział na całkiem inne pytanie.

– Trzymamy się razem od młodych lat – ciągnął – jakoś tak to się wszystko złożyło. Prowadzimy wspólnie Trust, we trzech, jest jeszcze Karol Mulicki. Zawsze mogliśmy na siebie liczyć.

Umilkł i zapadła cisza, w której słyszeć było jedynie cichy szum przesuwanego się po kartce długopisu.

– Nie mogę zrozumieć, kto mógł chcieć śmierci Marka. Ludzie go lubili, miał wady, jak każdy, ale był przyzwoitym człowiekiem.

Bielińska tylko na niego patrzyła. W końcu zapytała:

– Wiedziałyby pan czy nie?

To go otrzeźwiło:

- Zauważyłbym, gdyby coś się działo. Jesteśmy naprawdę zżyci.
- Wymieniacie się żonami? – Kruk odezwał się po raz pierwszy.
- Słucham? – powiedział Brandt.
- Powtórzyć pytanie?
- Kim pan jest?

Kruk uświadomił sobie, że do tej pory nie zadał sobie trudu, aby przedstawić się świadkowi.

- Komisarz Sławomir Kruk. Prowadzę to śledztwo.

Brandt trochę się tym zmartwił, bo wyglądało na to, że musi odpowiedzieć Krukowi. Ale się nie poddawał:

- Nie rozumiem pytania.
- Przyjaźnicie się. Przyjaźń to piękna rzecz. Próbuję uściślić, jak daleko sięga.

- Nie wymieniamy się żonami.

– Dobrze, bo to by nie była przyjaźń, tylko perwersja. A więc jesteście... byliście trójką zżytych przyjaciół. Wszystko by pan zauważył. Nie zna pan jedynie kochanki kolegi, choć podejrzewa pan, że jakaś jest. Dla jego dobra powstrzymywał pan żonę kolegi od zawiadomienia policji o zaginięciu. – Kruk wstał i przystawił swoje krzesło z boku do stołu. Usiadł i zabrał Bielińskiej protokół oraz długopis, a następnie wykaligrafował dużymi literami: Nie wymieniali się żonami.

A potem zaczął te litery pogrubiać, ozdabiać i całkowicie go to pochłonęło. Obserwujący go Brandt mógł nawet dojść do wniosku, że Kruk kompletnie o nim zapomniał. Bielińska milczała. Brandt kilka razy chrząknął, nerwowo poprawił się na krześle, ale reakcji nie było. Dopiero gdy wyrazy zostały tak pogrubione, że napis aż krzyczał z kartki, Kruk wyprostował się i zachwycony samym sobą wskazał go palcem.

– NIE WYMIENIAJĄ SIĘ ŻONAMI – przeczytał.

Rzut oka na Brandta powiedział mu, że osiągnął cel.

– Dobra – warknął Kruk. – Pańskiemu kumpłowi ktoś zwinął głowę, resztę porąbał na kawałki i wyrzucił do śmieci. Takich rzeczy nie robi się bez powodu. Skoro takie z was zaprzyjaźnione niunie, musi pan co najmniej podejrzewać, dlaczego.

– Nic nie przychodzi mi do głowy.

– No to cieszymy się chociaż z tego, że pan tę głowę ma. Pański przyjaciel natomiast obawiał się, że straci swoją. Dlaczego?

– Obawiał się?

– O tym też pan nie wiedział?

Brandt usiłował schować głowę w ramiona jak żółw, który wypatrzył zagrożenie.

– Wszystko, co powiedziałem, to prawda.

Kruk wzruszył ramionami.

– W porządku.

Oddał Bielińskiej długopis, przesunął w jej stronę protokół, odsunął krzesło, przestawił pod ścianę. Zrobiwszy cały ten pakiet drobnych czynności, usiadł na tym krześle, zaplótł ręce na brzuchu i zastygł.

– Jak pan spędził niedzielny wieczór i noc szóstego października? – spytała Bielińska.

To był ten wieczór, kiedy zniknął Woronowicz.

– Byliśmy z Zuzą wieczorem u Karola i Michaliny Mulickich. Gosia też przyszła i Marek miał dojechać, powiedział jej, że jedzie coś załatwić w biurze, ale ja wiem, że nie było wtedy nic pilnego. Marek się nie pojawił. Przed północą wszyscy się rozeszliśmy, Zuza i ja poszliśmy do domu.

To wszystko już znali z akt zaginięcia.

– A wieczór i noc w ostatni piątek?

Kruk zastanowił się, co to za data, i wyszło mu na to, że Bielińska poczyniła pewne założenia, a on uznał je za trafne.

– Z żoną w domu.

– Na czym dokładnie polegały pańskie poszukiwania kolegi? Do kogo pan dzwonił? Gdzie pan jeździł? Czy wiadomo panu o kimś, kogo pan Woronowicz znał na osiedlu Jabłońskiego? Może kobieta, której pan szuka, mieszka właśnie tam?

Bielińska zadała mu jeszcze kilka innych pytań, ale odpowiedzi niczego nie wniosły. Spojrzała na Kruka, który pokręcił głową. Wyprowadziła Brandta z pokoju przesłuchań. Gdy jej nie było, Kruk nie poruszył się, siedział i pilnował protokołu. Po powrocie zgarnęła papiery. Napis: NIE WYMIENIAJĄ SIĘ ŻONAMI bił w oczy.

– Co to było? – spytała. – Przyjęcie zeznań świadka według Sławomira Kruka?

– Kłamie.

– Kłamie – zgodziła się Bielińska.

– Boi się?

– Jeśli tak, to nie nas.

Zebrała papiery ze stołu i wyszła.

Sprawa nie dostała się prokuratorowi Szczechowi, który był na miejscu ujawnienia zwłok. Przydzielono ją prokurator Marcie Krynickiej. To miała być kolejna sprawa, którą Krynicka i Kruk razem robili. Może specjalnie dostała się Marcie, bo ktoś w prokuraturze dowiedział się, że na miejscu zdarzenia był Kruk i uznał, że rzucą i trupa bez głowy, i komisarza młodej pani prokurator, niech się z nimi oboma męczy.

Kruk jakoś się z Martą ostatnio rozmijał. Chodziły słuchy, że wkrótce miała się zaręczyć. Zadzwonił do niej. Ucieszyła się, że go słyszy, ale była zła, że jej wciśnięto tę sprawę. Najbliższe dwa dni miała spędzić w sądzie i dała Krukowi wolną rękę.

Za zgodą Zycha w teren ruszył aspirant Radek Maszyński z ludźmi, których dostał do pomocy. Kruk zlecił mu zebranie informacji o Marku Woronowiczu. Praca, zabawy poza domem, Kruk chciał poznać zwyczaje faceta. Idealnie byłoby znaleźć kogoś, kogo ofiara znała na Jabłońskiego.

A czynności na Jabłońskiego trwały.

Przeszukano wszystkie pojemniki, a także inne okoliczne altany śmietnikowe, ale zgodnie z przypuszczeniami głowy denata nie znaleziono. Kruk pomyślał, że jest coś koszmarnie groteskowego w tym, kiedy grupa policjantów szuka ludzkiej głowy w odpadkach, ale nie podzielił się tym spostrzeżeniem.

Kruk nie miał szczególnych podstaw, by sądzić, że zbrodni dokonano na osiedlu, ale działał tak, jakby święcie w to wierzył. Ćwiartowanie w mieszkaniu pozostawiłoby ślady. Nawet najostrożniejszy rzeźnik musiał się pobrudzić. Komisarz nie mógł nakazać funkcjonariuszom rewizji mieszkań, więc zarządził, żeby przeszli się po klatkach schodowych i po piwnicach. Mieli wypatrywać śladów krwi, czegokolwiek, co mogło mieć powiązania z zabójstwem. Sprowadzono psy. Funkcjonariusze rozpytywali też

mieszkańców. Ktoś mógł tam widzieć Woronowicza albo go znać. Być może odwiedził tam kogoś, wizyta się przedłużyła i został na zawsze.

Kruk wiedział, że szuka po omacku i raczej błądzi.

Jednak nawet błędzenie przynosi czasem efekty, więc robił swoje. W piwnicach niczego nie znaleziono, Woronowicza nikt nie rozpoznawał ze zdjęcia. Nikt nie widział człowieka podzuczającego zwłoki.

Za to trafiono na dwudziestoletniego mężczyznę zainteresowanego kwestią: „czy już zabrano bezczelnego umarłaka”. Młoda posterunkowa, która z nim rozmawiała, dopytała, dlaczego umarłak był bezczelny, i okazało się, że w sobotę rano mężczyzna wynosił śmieci i umarłak kiwał na niego martwym palcem wystającym z worka. Mężczyznę to oburzyło i przydusił tę wystającą rękę swoim workiem ze śmieciami.

To rozjaśniło pewne kwestie.

Z informacji uzyskanych z firmy świadczącej usługi wywozowe wynikało, że pojemniki opróżniono w piątek rano. Worki ze zwłokami wrzucono do pojemnika wypełnionego już w trzech czwartych. Żaden z mieszkańców najbliższego bloku, których zidentyfikowano jako wynoszących śmieci o różnych porach w piątek, nie zauważył ludzkiego palca. Wieczór, a najpewniej noc z piątku na sobotę, to najbardziej prawdopodobny czas porzucenia zwłok. Dokładnie tak, jak założyła Kryśka Bielińska podczas przesłuchania Brandta.

Bliżej przyjrzano się workowi, z którego wystawał palec. Szybko ustalono, że plastik w tym miejscu nie został przerwany. Równe krawędzie otworu dowodziły, że worek przecięto ostrym narzędziem. Bezdomny, który znalazł ciało, przysięgał, że nie on to zrobił, i Kruk mu wierzył.

Nie można było wykluczyć, że przeciął go ktoś przypadkowy, a gdy zobaczył, co jest wewnątrz worka, uciekł.

Kruk jednak widział inną możliwość. Bardziej prawdopodobne było, że sprawca nie zamierzał ukrywać worka. Wyrył przekaz na skórze denata i chciał pokazać go światu. Położył zwłoki tak, aby od razu je znaleziono, rozciął worek, i tylko za sprawą mężczyzny wynoszącego śmieci w sobotę rano, cały kolejny dzień leżały niezauważone.

Mężczyznę zabrano na komendę wraz z opiekującą się nim babcią. Kruk z nimi rozmawiał. Mężczyzna miał problemy psychiczne, a babcia miała na to papiery. Za jej zgodą policja weszła do ich mieszkania, gdzie niczego istotnego dla śledztwa nie znaleziono.

Mężczyzna był pobudzony, dużo i hałaśliwie mówił, jego babcia miała zmęczone oczy. Kruk kazał ich odwieźć z powrotem. Podał starszej kobiecie ramię, odprowadził oboje do radiowozu i patrzył, jak samochód odjeżdża.

Od dwóch godzin na dworze było ciemno. Zaczynała się trzecia dekada października, dni były coraz krótsze i zapowiadano ochłodzenie.

Kończyli przeszukanie domu Woronowiczów i nic im to nie dało. Bielińska i dwóch posterunkowych w mundurach metodycznie, centymetr po centymetrze, przetrząsali dom. Na początku jeden z funkcjonariuszy robił trochę bałaganu, ale Bielińska usadziła go krótko:

– Nie trzepiesz narkomańskiej meliny, chłopcze, jesteś w domu ofiary zabójstwa.

„Chłopiec” był nieco starszy od niej, ale nie robił już bałaganu.

Kruk niby też uczestniczył w pracy, ale tak naprawdę szwendał się tylko po domu.

– Napije się pan kawy, komisarzu? – spytała Małgorzata Woronowicz.

Była niewysoką, rozłożystą kobietą o pięknych czarnych włosach, prawdopodobnie farbowanych. Typ macierzyński. Jej dzieci przebywały we Francji w ramach wymiany uczniowskiej – jak powiedziała Krukowi – ale już ściąga je do domu. Nie zostały jeszcze powiadomione o tragedii. Wracają do kraju, nie wiedząc o tym, że jadą na pogrzeb ojca.

Poszedł za nią do kuchni. Ubrała się na czarno, wzrok miała lekko nieobecny. Włączyła ekspres i czekali oboje, aż się nagrzej.

– Czego właściwie szukacie?

Już go o to pytała, ale chyba nie zarejestrowała odpowiedzi.

– To wstępne czynności śledcze. Szukamy czegoś, co mogłoby mieć związek ze śmiercią pani męża.

– Czego?

– Nie wiemy. Ale mamy nadzieję to rozpoznać, gdy już znajdziemy.

Nie miał pewności, czy tym razem go słyszała. Twarz miała pustą.

– Mąż mógł mieć inną kobietę? – spytał Kruk.

Uniosła głowę, spojrzała na niego uważniej. Wreszcie jakaś przytomna reakcja.

– Czy pan wie coś, czego ja nie wiem?

– Zgłaszając zaginięcie, powiedziała pani, że mąż chodził nocami do kościoła. Może to nie był kościół?

Zaparzyła kawę w filiżankach z bawarskiej porcelany. Posadziła go przy kuchennym stole nakrytym białym obrusem. Ukryła twarz w dłoniach, a gdy ją odkryła, rzekła stanowczo:

– Nie było innej kobiety.

Kruk skinął głową, a ona uznała to za wyraz powątpiewania.

– Kłamał, że wychodzi do pracy, ale to jeszcze nie zdrada.

Patrzyła na niego zapadniętymi oczami, wyglądającymi spod doskonale ułożonej fryzury. Niektóre rzeczy robi się odruchowo, na przykład układa włosy. Są ludzie, których tragedia przytłacza, kładą się do łóżka i nie mogą się z niego zwlec. Inni żyją jakby nigdy nic. Na pozór.

– Myślę, że jestem dość spostrzegawcza. Wiem, jakie pozy przybiera mężczyzna, który zdradza. – Mówiła głosem bezbarwnym jak woda. – Marek był moim drugim mężem. Wyszłam za mąż bardzo młodo, moje pierwsze małżeństwo trwało rok.

– Ludzie są różni – powiedział Kruk.

– Nie tak bardzo. Człowieka zdradzają drobiazgi, a ja jestem wyczulona. – Jej oczy stały się nagle dzikie. Nachyliła się do Kruka i oznajmiła z mocą, przymykając powieki: – Nie tak łatwo pozbyć się zapachu innej kobiety, rozumiesz?

Złagodniała. Te oczy, przed chwilą gwałtownie zmienione, znów patrzyły na Kruka pusto.

Kawa była doskonała, a kobieta siedząca naprzeciwko Kruka bardzo spokojna.

– Czy mąż się czegoś bał?

Roześmiała się. Ta kobieta potrafiła zaskakiwać.

– Ostatnio zaczął się bać, że ktoś utnie mu głowę.

Wciąż się śmiała, coraz bardziej histerycznie. Kruk widział setki sposobów, w jakich objawia się szok po stracie. Ten nie był najdziwniejszy.

– Zrobił się nerwowy. Miał jakieś problemy w firmie.

– Jakie?

– Nie wiem, żyjąc z nim, miałam ten komfort, że mogłam lekceważyć sprawy finansowe. Jakies dwa tygodnie przed zniknięciem zapytał, co bym zrobiła, gdyby go znaleziono bez głowy. I czy mam przeczucie, jak umrę.

– Miała pani?

– Do cholery, nie. Zapytałam, o co mu chodzi.

– I co?

– A on odparł, czy naprawdę chcę wiedzieć. Znał mnie doskonale. Nie chciałam.

– Dlaczego?

– Przez te wszystkie lata, kiedy z nim żyję, nie pierwszy raz miał kłopoty, zawsze wtedy stawał się milczący, kłamał, że musi nadgonić zaległości w pracy, i znikał na całe noce. Gdy się w końcu pojawiał, był już ogarnięty. Nie lubiłam, gdy przynosił kłopoty do domu. Nie lubię kłopotów, nie chcę o nich wiedzieć.

– I ma pani pewność, że nie chodziło o kobiety.

– Te nocne wizyty w kościele to był jego sekret przed kolegami. Myślał, że i przede mną. Wyłączał telefon, tłumaczył, że w biurze musi się skupić.

Podniosła się i zrobiła im po kolejnej filiżance kawy. Kruk nie naciskał i czekał. W końcu usiadła znowu.

– Kościół ma charakterystyczny zapach. Jego ubranie pachniało nim, gdy wracał nad ranem.

Kruk był pod wrażeniem, ta kobieta szpiegowała męża na wędch.

– Modlitwa to był jego sposób na problemy. Może jednak powinnam była z nim rozmawiać.

Kuchenne okno wychodziło na część ogrodu. Za drzewami, na sąsiedniej posesji, dwie kobiety rozmawiały, spoglądając na dom Woronowiczów. Jedna w średnim wieku, dość ładna. Druga, młodsza, wydała się Krukowi przepiękna.

– Przyjaciółki – wyjaśniła Małgorzata Woronowicz. – Wspierają mnie.

– Dlaczego ich tu nie ma?

– Czekają, aż odejdziecie.

W drzwiach pojawiła się Krystyna Bielińska. Z zainteresowaniem popatrzyła na Kruka i Małgorzatę Woronowicz przy kawie.

– Napije się pani? – spytała gospodyni.

Bielińska pokręciła głową. W dłoniach, spowitych lateksowymi rękawiczkami, trzymała plik pocztówek. Jedną z nich już zabezpieczyła, bo umieściła w foliowej torebce.

– Pani mąż zbierał stare pocztówki? – spytała.

Małgorzata Woronowicz przytaknęła.

– Nie znosiłam ich. Stare, pożółkłe, niektóre brudne, ale on lubił je kolekcjonować. Głównie przedstawiają dawny Gdańsk. Wyjątkowo zabytki z innych miast, jeśli go coś zachwycało.

– Gdzie je kupował?

– W Internecie, w sklepach ze starociami, od innych dziwaków, takich jak on. Nigdy mnie to nie interesowało. Dlaczego pani pyta?

Bielińska podała Krukowi tę pocztówkę, którą zabezpieczyła. Wyglądała jak stara, ale chyba taka nie była. Na awersie widniało czarno-białe zdjęcie rzeźby antycznego herosa trzymającego w dłoniach odrąbaną głowę brodatego mężczyzny. Na rewersie

widniał napisany drukowanymi literami tekst: ODRĄBIĘ WAM ŁBY ZA TO, CO ZROBILIŚCIE 19.10.1999.

Na odwrocie nie było opisu, kogo przedstawia rzeźba, ani gdzie się znajduje. Nie było podpisu nadawcy, nie było daty napisania tekstu, był za to adres Woronowicza i stempel pocztowy na znaczku. Data nadania dwunasty września dwa tysiące dziewiętnaście.

Kruk pokazał pocztówkę Woronowiczowej.

– Widziała to pani?

Pokręciła głową.

– Nie widziała pani, kiedy to przyszło?

Nie widziała. Zwykle mąż odbierał pocztę.

– Co jest na innych pocztówkach?

– Życzenia z wakacji, pozdrowienia albo są puste – odparła Bielińska. – Większość z tych pocztówek adresowanych jest do innych ludzi. Rozumiem, że je w takim stanie kupował?

Małgorzata Woronowicz przytaknęła.

– Mówi coś pani ta data? – spytał Kruk.

Odwróciła wzrok, patrząc gdzieś w przestrzeń, ale nie był to wzrok osoby próbującej coś sobie przypomnieć.

– Nie znałam go jeszcze wtedy.

– Nie o to pytałem.

Mięśnie szczęki uwidoczniły się jej pod policzkami.

– Ta data nie mówi mi zupełnie nic.

Kruk zdał sobie sprawę, że zadał niewłaściwe pytanie. Otworzył usta, żeby zadać właściwe, jednak Bielińska go uprzedziła:

– Ale pani wie, co zrobił mąż?

– Wiem, że coś zrobił. Coś, przez co pił i próbował znaleźć wybaczenie u Boga. To było dawno, ale nie potrafił o tym zapomnieć. Kilka razy, w trakcie naszego wspólnego życia, zamierzał mi o tym opowiedzieć.

– Nie opowiedział? – spytała Bielińska.

– Powstrzymałam go.

Bielińska i Kruk spojrzeli po sobie, a Woronowiczowa wyjaśniła:

– Bałam się, że to zniszczy nas oboje, tak jak niszczyło jego.

Miałam za dużo do stracenia. – Skierowała na nich chłodny wzrok: –
To was szokuje?

– Musiała się pani chociaż domyślać.

Woronowiczowa wyciągnęła rękę do Kriss. Bielińska spojrzała
pytająco na Kruka, który skinął głową, więc podała jej pocztówkę.

Woronowiczowa utkwiała wzrok w rzeźbie.

– Bał się tego i tak skończył.

– Co zrobił pani mąż? – warknął Kruk.

Milczała. Przełknęła tylko ślinę.

Kruk postarał się nadać swojemu głosowi łagodniejszy wyraz.

– Cokolwiek zrobił, już mu to nie zaszkodzi.

– Myślę, że kogoś zabił. Nie chciałam nic o tym wiedzieć.
Chciałam mieć dobre życie.

– Zabił kogoś – powiedział Kruk, biorąc z jej rąk pocztówkę,
i jeszcze raz przeczytał umieszczoną tam groźbę. – I nie zrobił tego
sam.

– Nie? – powiedziała Woronowiczowa, ale w tej chwili wyglądała
na osobę, której jest wszystko jedno.

Uniosła głowę i spojrzała przez okno, gdzie rozmawiały dwie
sąsiadki, przyjaciółki i żony przyjaciół jej męża.

Małgorzata Woronowicz nie odprowadziła ich do wyjścia. Nagle opuściły ją siły i poszła się położyć. Policjanci ruszyli do samochodów: mundurowi do radiowozu, a Bielińską zabrał Kruk. Owocem trzech godzin poszukiwań była tamta pocztówka. Bielińska trafiła na nią w stosie dwustu czterdziestu sześciu innych.

– Jak ty ją w ogóle znalazłaś?

– Przeglądałam pocztówki po kolei.

– A skąd pomysł, że tam w ogóle mogło coś być?

– Nie miałam żadnych pomysłów. Po prostu sumiennie dokonywałam przeszukania.

Ktokolwiek inny byłby na jej miejscu, a pocztówka nie zostałaaby znaleziona. Mniej zdyscyplinowany funkcjonariusz przejrzałby kilka pocztówek z wierzchu, uznał, że facet miał nudne hobby, i szukałby czegoś ciekawszego.

Marcin Zych miał nosa, że ją zatrudnił w wydziale. A ten, kto ją Marcinowi zarekomendował, też musiał być bystrym gościem.

– Mamy już uzasadnienie opóźnienia w zawiadomieniu policji i mętnej historyjki, którą próbował sprzedać nam Brandt – rzekł Kruk.

– Podejrzewamy, że jest zamieszany w zabójstwo?

– Podejrzewamy to samo, co wcześniej, tylko bardziej: Brandt kłamał. Małgorzata Woronowicz sądzi, że jej mąż kogoś zabił. Jeśli zabił, to pocztówka zmusza nas do szukania współsprawcy czy też współsprawców tego zabójstwa. Możemy bezpiecznie założyć, że wszyscy trzej wspólnicy Trustu są zamieszani.

– O ile pocztówka ma znaczenie.

– Pocztówka ma znaczenie, nie deprecjonuj swojego odkrycia. Znaleźliśmy Woronowicza bez głowy, to raz. A dokładniej bez łba, to dwa. Charakterystyczna frazeologia groźby z pocztówki i napisu na zwłokach nie pozostawia wątpliwości. Dwunastego września została

wysłana pocztówka ze specyficznym wyrażoną groźbą, a pomiędzy szóstym a dziewiętnastym października groźba została zrealizowana.

- Myślisz, że Woronowicz powiedział Brandtowi o groźbie?
- Miałyby to zachować dla siebie? To dotyczyło ich wszystkich.
- Przeraził się. Zaczął noce spędzać w kościele.
- To trzy. Pocztówka ma znaczenie.

Bielińska zamyśliła się.

- Wiesz, kogo przedstawia rzeźba na odwrocie?
- Wygląda na jakiegoś antycznego herosa. Nie przypominam sobie, żeby gdzieś w Gdańsku była taka rzeźba.

- Myślisz, że to też może mieć znaczenie?

Kruk wzruszył ramionami. Skąd miał wiedzieć.

- Woronowicz zachował tę pocztówkę – powiedziała Bielińska bardziej do siebie niż do niego. – Zachował ją – powtórzyła.

W tym akurat nie było nic dziwnego. Kolekcjonerzy tak mają.

Kruk rozejrzał się po ulicy. Tamte kobiety wciąż stały w ogrodzie przy sąsiednim domu. Przyjaciółki. Sąsiadki. Jedna z nich musiała być żoną Brandta.

Zamiast odjechać, wysiadł z samochodu i ruszył w ich stronę. Natychmiast przestały rozmawiać.

- Komisarz Sławomir Kruk z komendy wojewódzkiej – przedstawił się.

Nie odezwały się. Nie uważały, że też powinny poinformować go, kim są. Ta młodsza stała w pozie lekko niedbałej. Kruk dawno nie widział tak pięknej kobiety. Bielińska przyciągała jego spojrzenia, ale od tamtej nie mógł oderwać wzroku.

- Która z pań jest panią Brandt? – spytał Kruk.
- To ja – powiedziała starsza.
- Mąż w domu?

- W pracy.
- Jaki adres?
- To tu niedaleko, na...
- Może ma pani wizytówkę męża?

Zaskoczył ją. Brandt otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie.

- Przyniosę.

Ruszyła ogrodem w stronę domu. Łatwo poszło, ale ta młodsza też miała zamiar odejść.

- Pani Mulicka?

Posłała mu znudzone spojrzenie. Była całkowicie świadoma swojego wdzięku i tego, jakie robi wrażenie. Zdaje się, że dawno zdążyło jej to spowszednieć.

- Tak.
- A gdzie pani mąż?
- Też w pracy. To będzie ten sam adres.

Wykonała taki gest, jakby powiedziała wszystko, co chciała, i podjęła drugą próbę odejścia, ale Kruk był szybszy.

- Co pani o tym myśli?

Wzruszyła ramionami. Zbliżyła dłoń do torebki i wyjęła z niej cieniutkiego papierosa. Trzymała go między palcami jednej ręki, druga dłoń odruchowo podsunęła Krukowi zapalniczkę. Nie była przyzwyczajona, by sama sobie przypalać. Gdy Kruk to uczynił, zaciągnęła się i przymrużyła oczy z zadowolenia.

- O co pan pytał?

Kruk zmarszczył się, bo nie obchodziła go odpowiedź, i pytanie już wypadło mu z głowy.

– Nie pamięta – odezwała się Bielińska, która wyszła z za pleców Kruka. – Komisarz się na panią zapatrzył.

- Przepraszam. – Mulicka spuściła wzrok.

– Nie trzeba, jego i mnie nic nie łączy. Pytał, co pani myśli o tym, co się stało z pani sąsiadem. Pani przemyślenia bardzo go interesują.

– Właściwie to za bardzo nie wiem, co się stało. Wiem, że nie żyje. Mówi się też... – Dłonią z papierosem wykonała charakterystyczny gest przy szyi i wbiła w nich wzrok.

Bielińska wielokrotnie zamruwała, to był naprawdę przekonująco wykonany gest.

– Co pani chce nam przez to powiedzieć?

– Krystian powiedział, że znaleziono Marka bez głowy.

– Pani dobrze знаła Marka Woronowicza? – spytał Kruk.

– Jako męża Małgosi.

Na ścieżce między drzewami pojawiła się pani Brandt. Mulicka zaciągnęła się dymem i uśmiechnęła do nadchodzącej.

Pani Brandt podała komisarzowi wizytówkę upierścienioną ręką. Jeden z pierścionków miał nieprzyzwoicie wielki brylant. Kruk przeczytał dane na wizytówce: Krystian Brandt, dyrektor wykonawczy, Trust Sp. z o.o. z siedzibą na Nowym Świecie w Gdańsku, numer telefonu.

Kruk uznał, że pierwsze podejście ma zaliczone i rozmowę z Mulicką będzie kontynuował innym razem. Pożegnał się i zostawił obie kobiety w ogrodzie.

Wrócili z Bielińską do samochodu.

– Co pani o tym myśli... – Krystyna powtórzyła wcześniejsze pytanie Kruka. – No, no... Ty to umiesz zagadać do świadka.

– Odczep się, Krysiu – poprosił grzecznie Kruk.

Uruchomił silnik.

– Wydawało mi się, że wiemy, gdzie pracuje Brandt. Nie musiałeś o to pytać.

– Adres wypadł mi z głowy.

– I jedziemy do ich firmy?

– Innym razem.

– Okazałeś się uroczy. Taki bystry. Ta ślicznotka będzie tęsknić.

Kruk ruszył, i jakby zaprzeczając własnym słowom, pojechał właśnie w stronę Nowego Świata. Zaraz jednak wjechali w Raatza, zmierzając na obwodnicę.

Jeśli myślał, że Bielińska skończyła, to się mylił:

– Co pani o tym myśli... Żebym tylko tego nie zapomniała, powinnam sobie tę kwestię zapisać. – Zaczęła przeszukiwać kieszenie płaszcza i z okrzykiem triumfu wyciągnęła z kieszeni notes i długopis. – Radek mówił mi, że pracując z tobą, wiele się nauczę.

– Ucz się w milczeniu, Krysiu.

– Będę się uczyć, mistrzu, ale pomilczę później. Co to miało być? Zauroczenie ładną buzią i młodym tyłkiem?

Kruk westchnął.

– No właśnie – rzekł. – Jest młoda.

– Niecałe trzydzieści lat. Lubisz takie, Kruk? Ja też nie jestem jeszcze jakaś stara.

– Pamiętasz, co powiedział Brandt o nich wszystkich? To przyjaciele z dawnych lat i są cholernie zżyci. Wierzę mu.

– Co z tego?

– Właśnie to. Są zżyci i tkwią w długoletnich małżeństwach. Ona jest młoda, a to oznacza, że jest tam nowa. Nowa młoda kobieta wewnątrz zżytej grupy ludzi w średnim wieku. Jeśli mają sekrety sięgające dalszej przeszłości, jej to nie dotyczy. Jest szansa, że ta dziewczyna rzuci światło na coś istotnego, nawet nieświadomie.

Bielińska milczała, nagle zapatrzona w świat za szybą samochodu. Dopiero po chwili usłyszał jej cichy głos:

– A niech cię, Kruk.

9

Krystian Brandt tkwił w poczekalni od dwudziestu minut. Owszem, zrobiono mu kawę, ździra z paznokciami jak sęp co pięć minut podchodziła tanecznym krokiem i upewniała się, że kanapa nie uwiera go w dupę, ale w niczym nie zmieniało to faktu, że kazano mu czekać.

W normalnych okolicznościach pouczyłby ździrę, ile kosztuje jego czas. Kazałby jej ruszyć tym tanecznym krokiem do szefa i kopnąć go w jaja. Jednak okoliczności nie były normalne. Marka znaleziono w kawałkach na pieprzonym śmietniku. Co więcej, znaleziono dokładnie na TYM śmietniku. Markowi wcześniej grożono, Marek nie zlekceważył groźby i uznał, że zacznie się bać, ale sam strach jeszcze nikogo nie ocalił.

Brandt siorbnął resztkę kawy, co natychmiast uruchomiło ździrę, która przysłała zaproponować następną. Miał ochotę jej poradzić, żeby wsadziła sobie tę kawę w tyłek.

– Poproszę – powiedział i świeża kawa wkrótce zmaterializowała się na stoliku.

Drżącymi palcami nasypał do kawy cukru. Co za cholerna firma, w której ludziom każe się tkwić w poczekalni jak w przychodni. Jeśli ktoś pozbawił Marka głowy i w taki sposób pograł sobie z jego zwłokami, to co, jeśli Krystian będzie następny?

Drzwi do pokoju Eryka Karłowicza wreszcie się otworzyły i Karłowicz podszedł do Brandta.

– Przepraszam, że kazałem panu czekać – powiedział. – Mam przynajmniej nadzieję, że Tamara dbała o pana.

– Jak o własnego ojca – odparł Brandt, siląc się na jowialność. Podniósł się i uścisnął Karłowiczowi dłoń.

Facet był mężem tej całej Dominiki, z którą Brandt odbył kiedyś wstępne spotkanie na swoją zgubę. Co za sytuacja, ludzie w kłopotach ustawiali się do nich w kolejce i potem taki bubek, którego jedyną zasługą jest to, że jest szwagrem Cendrowskiego, każe człowiekowi czekać.

I gdyby jeszcze dorastali do swojej reputacji. Te pół godziny urażonej dumy Brandt schowałby do kieszeni bez mrugnięcia okiem. Tymczasem skurwiel pośrednio przyczynił się do katastrofy Trust Sp. z o.o. i nie wydawało się, żeby był tym specjalnie przejęty.

Usiedli w gabinecie Karłowicza. Tamara poniosła za Brandtem kawę. Karłowicz zaproponował koniak. Na biurku miał kieliszek z resztką trunku na dnie. A więc to prawda, co o nich mówią. Tę firmę prowadzi banda utalentowanych pijaków.

Odmówił.

– Czy żona czuje się lepiej? – spytał Brandt. – Podczas naszego spotkania zasłabła.

Spotkanie miało miejsce w kwietniu, pół roku temu, ale uznał, że takie pytanie będzie na miejscu. Facet zawsze dziwnie reagował na wzmiankę o żonie. Nie należało mu tego oszczędzać.

– To było wtedy – dodał Brandt – kiedy wydawało się, że współpraca z wami jest cokolwiek warta.

Karłowicz nieśpiesznie nalał odrobinę koniaku do kieliszka. Podniósł go z lśniącego jak diabli biurka. Zakołysał, nasycił się aromatem.

– Lepiej – powiedział cicho. – Myślę, że ma powody, by czuć się lepiej.

Co to miało znaczyć? Brandtowi przyszło na myśl, że kazał wtedy Woli-Karłowicz na siebie czekać. Nic nie wskazywało, by Karłowicz był przed chwilą specjalnie zajęty. Brandt musiał czekać, bo ona czekała. Nagle to przeczytał w jego twarzy.

Niech go, kurwa, szlag trafi. Zawsze, gdy tu przychodził, musiał czekać.

– Nie sądziłem, że pan się dziś pojawi – rzekł Karłowicz.

– Pewnie miał pan taką nadzieję.

– Słyszałem, co stało się z pana współnikiem. Proszę przyjąć wyrazy mojego głębokiego smutku.

Wyrazy smutku, też się postarał. W jego głosie żadnego smutku nie było. Miał w dupie to, co się stało.

– Tak, to tragedia – powiedział Brandt. – Byliśmy nie tylko współnikami, ale i przyjaciółmi. Świadomość jego śmierci wciąż jeszcze do mnie całkiem nie dotarła.

– Też tak uważam.

Brandt utkwiał w nim wzrok.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Sądzę, że w obecnej sytuacji powinien pan dać sobie czas.

Brandt spodziewał się, że facet będzie się starał go zbyć. Nic z tego, króliczku.

– Czemu?

– Powinien pan dać sobie czas na ochłonięcie i nie podejmować pochopnych decyzji.

– Straciłem przez pana sześć milionów. Niech mi pan nie mówi o pochopnych decyzjach.

– Przeze mnie?

– Pan nadał mi tego niedojdę.

Karłowicz słuchał Brandta z lekkim uśmiechem na twarzy.

– Jedyne wspomniałem, że ma kontakty. To pan ślepo rzucił się we współpracę.

– Ożeż kurwa mać! Pan niemal za niego poręczył.

– Nic podobnego. Nie ręczymy za zewnętrznych doradców.

Brandt odetchnął głęboko. Karłowicz wyglądał na zadowolonego. Żadnej skruchy, wyjaśnień, obietnic, propozycji wyjścia z beznadziejnej sytuacji.

Brandt nie mógł uwierzyć. Ci ludzie ratowali przedsiębiorstwa, w które nikt oprócz nich nie wierzył. Stawiali na nogi absolutne trupy. Prześwietlił ich, jak tylko się dało, i nie znalazł ani jednego przypadku, by zawiedli. Jeśli coś nie wychodziło, inwestowali własne pieniądze, których mieli całe morza, i nie odpuszczali aż do pełnego sukcesu.

A ten skurwiel właśnie się na niego wypinał i uważał, że ujdzie mu to na sucho.

– Oczekuję od pana pomocy – powiedział Brandt. – Zaufałem panu, bo łączy nas identyczna filozofia biznesu.

Karłowicz bawił się kieliszkiem koniaku. Miał łagodny wyraz twarzy człowieka, który rozmawia z dzieckiem.

– Będę z panem szczery – powiedział.

Ten wstęp zapowiadał, że z pewnością nie będzie.

– Bardzo starannie selekcjonujemy firmy, z którymi współpracujemy. Chodzi o filozofię biznesu, jak trafnie pan zauważył. Bywamy w związku z tym przedmiotem kpin, także w prasie branżowej, ale nawet najbardziej zacierzewieni prześmiewcy nie mogą nic poradzić na prosty fakt. – Karłowicz spojrział Brandtowi prosto w oczy. – Z bankrutów czynimy gazele biznesu.

Brandt chciał mu powiedzieć, żeby przestał pieprzyć. Tracił tu czas wyłącznie dlatego, że to wiedział. Chciał usłyszeć, że wyciągną

z bagna jego firmę, i tylko to go obchodziło. Jeśli tego nie usłyszy, Karłowicz zacznie mieć kłopoty.

– Temu nie można zaprzeczyć – odparł z pojednawczym uśmiechem.

– To daje nam pewną swobodę i wolność wyboru. Odrzuciliśmy was. Po co pan znowu przychodzi?

Brandt zebrał cały spokój, jaki w nim pozostał, aby nie wybuchnąć.

– Facet, do którego mnie pan skierował, wsadził nas na minę. Dlatego przychodzę.

– Transakcja nie wypaliła. Zdarza się. Sprawa jest między wami.

– Zaufałem panu, przeforsowałem transakcję w zarządzie, wyszedłem na głupca.

– Śpieszył się pan, nie zadbał pan o gwarancje, a teraz szuka pan winnych.

– Facet mówił, że Grecy to zaufani ludzie i nic nie może pójść źle.

– Zawsze coś może pójść źle i poszło. Podobno pan go zastrasza.

Brandt przymrużył oczy. Nareszcie Karłowicz zaczynał kapować.

– Co jeszcze ten skurwiel panu powiedział?

– Coś, z czego wynika, że nie mamy podobnej filozofii biznesu.

– Pomoże nam pan stanąć na nogi?

– Sposób, w jaki zminimalizowaliście straty... – Karłowicz pokręcił głową, wydawał się zagubiony. – Jedynie postawa pana Mulickiego dodaje otuchy.

A więc jednak! Brandt poczuł satysfakcję. Stare, dobre zastraszanie zawsze działa na takich rzadkich cwaniaków. Strych na pewno był już u Karłowicza dziesięć razy. Powiedział mu, że Brandta nie należy lekceważyć.

Milczał, żeby facet pociągnął dalej, wyjawiał, z jakiego powodu się złamie i nawiązą współpracę, żeby wynagrodzić Brandtowi

poniesione straty.

Karłowicz zmienił się nagle na twarzy. Przeobrażenie było tak gwałtowne i niespodziewane, że Brandt miał przez chwilę wrażenie, że rozmawia z innym człowiekiem.

– Nie chcemy mieć z wami nic wspólnego.

To nie było to, na co Brandt czekał.

– Słucham?

Karłowicz wychylił zawartość kieliszka jednym haustem i odstawił szkło. Rozparł się w fotelu i tak siedział.

– Mówić bez ogródek?

– Liczę na to.

– Może, gdyby... – Zastanowił się. – Musimy wiedzieć, dlaczego ktoś w taki sposób sprawił pana Woronowicza. Robota była rzeźnicka, chcemy poznać jej powody i upewnić się, że pan Woronowicz sobie na swój los nie zasłużył.

– O czym pan gada, do diabła?

– Filozofia biznesu, cały czas o nią chodzi.

– Gra pan na czas? – powiedział Brandt przez zaciśnięte zęby. – Śledztwo może trwać miesiącami...

Karłowicz spojrział na zegarek i wstał. Znów był spokojny, jakby zagubiony.

– Oby trwało krócej.

Brandt także wstał. Źle ocenił faceta. Nie przestraszył się tak jak Strych. Śmierć Marka wiele zmieniała.

Spróbował jeszcze raz:

– Bez urazy, ale chciałbym porozmawiać z prezesem Cendrowskim.

– Nie żywię urazy, jednak prezes Cendrowski nie spotka się z panem.

Skończył, nie zamierzał wyjaśnić, dlaczego. Brandt sam musiał o to spytać:

– Dlaczego?

– Bo od spotkania się z panem ma mnie.

Nie ukrywał niechęci. Oczy my lśniły, pewnie od alkoholu. To było coś więcej niż niechęć.

Karłowicz czekał, aż Brandt sobie pójdzie. Nie wyciągnął jednak ręki na pożegnanie. Brandt to zrobił. Ot tak, na próbę sił.

Karłowicz podał mu swoją dłoń z wysiłkiem, jakby nagle zaczął się brzydzić.

10

Analiza daktyloskopijna pocztówki z groźbą wykazała jedynie ślady linii papilarnych Woronowicza. Kruk dostał billingi i lokalizacje jego komórki. Ostatnie logowanie miało miejsce w domu szóstego października o godzinie dziewiętnastej czterdzieści sześć.

Radek Maszyński zlokalizował kościół, w którym księża udostępniali wiernym, aktualnie jako jedyni w Gdańsku, boczną kaplicę niemal przez całą noc, i pojechał tam po konsultacji z Krukiem.

Gdy wrócił na komendę, miał informację, że dwóch z trzech księży, z którymi rozmawiał, poznało Woronowicza na zdjęciu.

Często przychodził nocą. Żaden z nich nie pamiętał, by widział go za dnia na jakiejś mszy.

Kruk się zastanowił.

– Noc to szczególna pora: zapadają ciemności, galerie handlowe zamykają bramy, niektórym zdarza się wtedy zajrzeć w głąb duszy i dopada ich przerażenie.

– Mówisz o sobie?

– Mówię ogólnie. Ludzie potrzebują miejsca, gdzie mogliby w takich chwilach pójść.

– Po to wymyślono nocne lokale – powiedział Radek.

– One nie dają nadziei, że miłosierdzie jest także dla skurwysynów.

Radek zabrał się za analizę billingów. Kruk myślał o tym, jakimi słowami modlił się Woronowicz. O co się modlił. I czy został wysłuchany.

Narzucającym się wnioskiem było, że nie, ale to wcale nie musiało być takie oczywiste.

Na pewno jednak otrzymał pokutę.

Dochodziła dwudziesta dwadzieścia. Maszyński dawno poszedł do domu, Kruk zajrzał do pokoju Bielińskiej. Na oparciu krzesła wisiała jej torebka, ale Kryśki nie było. Znalazł ją w sali konferencyjnej. Siedziała, mała przy wielkim stole, i nie podniosła głowy znad jakichś wydruków. Wszedł, usiadł, czekał. Zdawała się go nie widzieć.

– Gapisz się – mruknęła.

– Nie lubisz swojego pokoju?

– Tu jest lepiej.

– Dlaczego ja jestem tu o tej porze, to wiem. Ale dlaczego ty?

– Pewnie z tego samego powodu.

Mieszkała sama w wielkim domu, odkąd zostawił ją mąż. Przez jakiś czas wzięła na współlokatorkę koleżankę z komendy, policyjną psycholog, ale tamta miała własne przejścia, dlatego miesiąc temu wzięła urlop zdrowotny i wyjechała z Gdańska.

– Co to za wydruki? – spytał.

– Informacje o firmie Trust Spółka z o. o. znalezione w Internecie. Nie mam oczu na ciągle gapienie się w ekran. – Poprawiła okulary. – Niektóre strony internetowe wydrukowałam.

– Komenda wolałaby, żebyś oszczędzała papier. Coś ciekawego?

– Duża hurtownia. Importują towary z zagranicy, głównie z krajów Unii i z Chin, a potem odsprzedają detalistom. Cała filozofia. Skupiłam się na poszukiwaniu danych z jak najdalszej przeszłości. W dziewięćdziesiątym dziewiątym roku Internet był w powijakach, ale próbuję coś wyczytać o tym, jak zaczęli.

– Możesz ich po prostu zapytać.

– Tak zrobię, ale jeszcze trochę poszukam. Jak zadajesz pytania i jesteś przygotowana, trudniej cię zbyć... – Umilkła, wpatrzona w kartkę przed sobą. – Mam tę datę.

– Co?

– Data z pocztówki.

Podawała kartkę Krukowi. Był to wydruk ze strony internetowej firmy Trust Sp. z o.o. Przeczytał nagłówek:

– *Historia firmy.*

Przebiegł wzrokiem niżej:

– *Historia przedsiębiorstwa sięga roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego. Dziewiętnastego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku trzech młodych ludzi zarejestrowało działalność gospodarczą i uczciło to symboliczną lampką wina. Nikt z nich nie przypuszczał, że jest to początek czegoś wielkiego...*

Kruk doczytał do końca i popatrzył na Kriss.

– Piękna końcówka dnia. – Przetarł oczy dłonią. Czuł się jeszcze bardziej zmęczony.

– Ktoś zabił faceta za to, że przed dwudziestoma laty założył firmę?

– Może firma załazła komuś za skórę.

– Firma powstała dziewiętnastego października. Woronowicza, choć zaginął dwa tygodnie wcześniej, też znaleźliśmy dziewiętnastego października. To przecież nie przypadek.

Po całym dniu twarz Bielińskiej była znużona. Cienie pod oczami miała dziś mocniejsze.

– Zostaw to – powiedział. – Martwych nie wskrzesisz, jutro do tego wrócimy.

– Za to, co zrobiliście – powtórzyła Bielińska słowa z pocztówki. – Może powinniśmy zacząć bać się o niektórych żywych.

– Zaczniemy wcześniej rano. Nie odpuścimy Brandtowi, musimy poznać prawdziwy powód, dla którego wstrzymywał żonę ofiary przed zawiadomieniem policji. I spotkamy się z tym trzecim.

– Posiedzę jeszcze trochę.

Kruk też nie ruszył się z miejsca i dalej się jej przyglądał. Westchnęła, zdjęła okulary i wreszcie na niego spojrzała.

– No dobra. Zbieram się, podwiesz mnie?

– Gdzie twój samochód?

Jeździła hondą accord, którą także zostawił jej mąż. Samochód miał cztery lata, Salomon Bieliński kupił go w pośpiechu, gdy Honda zdecydowała, że przestają oferować ten model na rynku europejskim. Salomon miał sentyment do tego modelu, Kryśka miała sentyment do niego. Honda accord to był samochód pełen emocji.

– Dla odmiany przyjechałam komunikacją. Czasem tak mam, że muszę coś zmienić w codziennej rutynie.

– Podwiozę cię. To też będzie zmiana w rutynie.

Zebrała się w dwie minuty. Zeszli na parking i wsiedli do jego toyoty. Nie rozmawiali wiele. Krystyna była zamyślona.

Zaparkował pod jej domem. Wciąż siedziała, zapatrzona w przednią szybę. Kruk pozwolił, by samochód pozostał chwilę z włączonym silnikiem, a potem go wyłączył. Nie chciał jej popędzać.

– O czym myślisz, Kruk, gdy jesteś sam?

Nic się nie działo. Wiatr zamiótł poźółkłe liście na drugą stronę ulicy.

– A bo ja wiem? Różnie.

– Twoje życie to praca, co będzie, jak ją stracisz?

– Znajdę inną.

Z pobliskiego sklepu wyszła kobieta dźwigająca wypełnioną reklamówkę. Przeszła po tych zdmuchniętych przez wiatr liściach, które zaskrzypiały pod jej butami.

– Co ty w ogóle robisz, by się rozerwać?

– Czasem napiję się wódki.

– Z kim?

– Głównie sam.

– Jesteś panem życia, wiesz?

Uśmiechnął się. Siedziała obok wyprostowana i wciąż patrzyła przez szybę, niemal na niego obrażona.

– Co jest, Kysiu?

– Natknęłam się niedawno na koleżankę z liceum. Szła z jakimś wymoczekiem, pchała wózek z dzieciakiem, wymoczek prowadził za rękę drugiego dzieciaka. Pomyślałam, jak to dobrze, że los mi tego oszczędził.

– Jesteś młoda. Jeszcze i ty pójdziesz w takim konwoju.

– Nie chcę.

– A co to ma do rozrywki?

Leciutko wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, myśli płaczą mi się pod nogami.

– Chodźmy się napić.

Dała spokój z gapieniem się przez szybę. Poświęciła mu całą swoją uwagę.

– Gdzie? Gdzie zwykle chodzisz?

– Nie chodzi o to, gdzie zwykle chodzę, tylko o to, gdzie pójdę z tobą. Chodźmy na Długą, usiądziemy w jakimś lokalu na zewnątrz, wiesz, w jednym z tych, gdzie palą się ognie między stolikami. A jak się bardziej ochłodzi, wejdziemy do środka.

– Ognie palą się o tej porze roku?

– Nie wiem, dawno nie byłem.

Zastanowiła się. Miał wrażenie, że w myślach idzie już z nim Długą, siadają w lokalu, potem z niego wychodzą, znowu idą Długą, tylko są już trochę zrobieni i wszystko im się bardziej podoba. Kruk nie wiedział, gdzie doprowadziły ją te myśli, ale pokręciła głową.

– Dzięki. Nie pójdziemy się napić.

– Teraz już wiesz, dlaczego piję sam.

11

Mieszkanie Kruka, gdy do niego wrócił, wydało mu się dziwnie ciche, choć pewnie nie było ani trochę bardziej ciche niż zwykle. Włączył muzykę w radio. Znalazł mięso z indyka w lodówce, usmażył je, a na drugiej patelni podsmażył warzywa. Zjadł późną kolację, wyłączył radio. Wróciła cisza.

Włożył naczynia do zmywarki. To była jedna z tych czynności, które wykonuje się codziennie i które mówią ci, że oto minął kolejny dzień. I że jeśli miałeś jakieś oczekiwania wobec tego dnia, to się przeliczyłeś. Zapalił w pokoju wszystkie lampy i położył się na kanapie. Przedramieniem zasłonił oczy przed światłem. Dziwny jesteś, pomyślał. Zapalasz światło i chowasz się przed nim.

Chyba zasnął, bo gdy się podniósł, dochodziła druga w nocy. I dzwonił jego telefon. Kruk odebrał, powiedział do aparatu, że zaraz będzie, i poszedł do łazienki. Wziął szybki prysznic, przebrał się i wyszedł z mieszkania. Dwadzieścia minut zajął mu dojazd na Barniewicką. Przez ten czas głównie rozmawiał przez telefon.

Przed domem Brandtów stały trzy policyjne radiowozy, Kruk zaparkował, zostawił samochód i stanął obok dwóch techników na podjeździe.

– Właściwie skończyliśmy – powiedział jeden z nich.

Przy nodze technika stała przenośna lodówka. Technik uchylił wieko, a z jej dna ktoś się do Kruka uśmiechnął.

Z lodówki łypała na niego ludzka głowa zawinięta szczelnie w przezroczysty stretch, trochę przybrudzony mokrą ziemią. Otwarte oczy, rysy twarzy zniekształcone przez śmierć i folię, tworzące wrażenie uśmiechu, plamy krwi na policzkach, czole i włosach. Kruk też się do tej głowy uśmiechnął.

– Tu była. – Technik wskazał kępę niskich gęstych krzewów, pozbawionych liści o tej porze roku. – Z podjazdu niemal nie było jej widać. Pies ją obskakiwał i dlatego właściciel domu się zainteresował.

Technik westchnął i dodał z żalem:

– Zadzwoń w środku nocy, jakby to nie mogło poczekać do rana.

– Zdjęcia zrobione? – upewnił się Kruk.

– Jasne.

Kruk obejrzał miejsce znalezienia głowy. Było dość blisko płotu oddzielającego posesję Brandtów od Woronowiczów. I niedaleko od ulicy.

– Jak długo mogła tu leżeć?

– A bo ja wiem? Trochę nawiało na nią ziemi. Może leżeć od wczoraj, albo i dłużej. Tak sobie patrzyłem, że tu teren lekko opada. Jeśli ktoś ją wrzucił z ulicy, mogła potoczyć się właśnie w te krzaki.

Kruk poszedł wzrokiem za ręką technika, który wskazał możliwą trajektorię upadku rzuconej zza płotu głowy. Komisarz zastanawiał się nad tym przez moment.

– Zwijamy się – powiedział technik.

– Jeszcze chwila.

Kruk wszedł do domu bez pukania i skierował się prosto do salonu. Krystian Brandt siedział przy stole z twarzą w dłoniach.

Zuzanna Brandt kulila się na kanapie, przyciskając do serca małego psa, który na widok komisarza poruszył nozdrzami.

Kruk bez słowa usiadł na kanapie obok Brandtowej. Głęboko odetchnął, popatrzył na nich oboje. Nie miał im nic do powiedzenia, więc nic nie mówił.

– Nie mogłem spać – odezwał się Brandt. – Pusia chciała wyjść, więc ją wypuściłem. Siedziałem trochę w kuchni, pomyślałem, że może jak przejdę się po powietrzu, w końcu zrobię się senny. Pusia tam była, w krzakach. Coś ją zainteresowało. Podszedłem i zobaczyłem. Do diabła...

Kruk skinął głową. Nadal nic nie mówił.

– To nie pierwszy raz, kiedy Pusia biegała w to miejsce. Tylko mnie nie chciało się za nią iść.

– Od jak dawna tam biega?

– Dwa, może trzy dni. A może biegała i wcześniej, tylko nie zwróciłem uwagi.

– Nie szczekała?

– Szczekała, ale ona szczeka często i bez sensu.

Kruk musiał wziąć pod uwagę możliwość, że choć głowa została znaleziona później, to pojawiła się na posesji Brandtów przed tym, gdy zwłoki Woronowicza zostały porzucone w altanie śmietnikowej. Musiał brać pod uwagę wszystkie możliwości, nawet te, w które nie wierzył.

Brandtowie byli jak oteźpiali. Kruk uznał, że ich pobudzi.

– Jestem zadowolony – rzekł. – Cieszę się, że łeb się znalazł.

– Słucham? – odezwała się Zuzanna Brandt

– Bałem się, że się nie znajdzie. Sprawca się nam pochwalił, że zabrał go na pamiątkę. A tu proszę, pamiątkę oddaje.

Dziwna zmiana zaszła na twarzy Brandta. Jego żona znieruchomiała, a pies wyrwał się z jej rąk, zeskoczył na podłogę

i zaczął obwąchiwać buty Kruka.

– Zdziwił się pan? – spytał Kruk Brandta.

– Co takiego?

– Gdy znalazł pan łeb kolegi.

– Dlaczego pan tak mówi? Łeb...

– Sprawca tak mówi, ja tylko powtarzam. Wyrył komunikat na skórze pańskiego przyjaciela od serca. Zastanawiam się, czemu zmienił zdanie, w dodatku przed pańskim domem.

Brandt spuścił wzrok.

– Jaki komunikat? – spytał głosem jak spod ziemi.

– Właśnie taki. Że zabrał łeb na pamiątkę.

Zapadła cisza. Kruk pochylił się i pogłaskał psa. Pusia przez chwilę pozwalała się głaskać, po czym cofnęła się, cicho zawarczała i wyszczerzyła zęby. Chyba miała ochotę go ugryźć, więc Kruk cofnął rękę.

– Pan na pewno wie, że Marek dostawał groźby. – Kruk wiedział tylko o jednej groźbie, ale celowo użył liczby mnogiej.

– Wiem?

– Wie pan czy nie?

Brandt pokręcił głową.

– Małgorzata Woronowicz nie powiedziała państwu, co u niej znaleźliśmy?

– Oczywiście, że powiedziała – wtrąciła pośpiesznie Zuzanna Brandt. Patrzyła na męża w taki sposób, jakby chciała mu tym coś przekazać.

Brandt gapił się niewidzącym wzrokiem na psa, który wrócił do właścicielki i pozwolił się wziąć znowu na rękę.

– Dziewiętnasty października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku – powiedział Kruk bardzo powoli.

Nikt nie zareagował. Nikt nic nie powiedział.

Kruk wstał i wyszedł przed dom. Wrócił z technikiem, który na polecenie komisarza wziął ze sobą przenośną lodówkę.

– Na stół z tym i otwieraj – zarządził Kruk.

Lodówka stanęła na stole. Technik zdjął pokrywę i się cofnął. Ani Brandt, ani jego żona się nie poruszyli.

– Proszę wstępnie zidentyfikować – rzekł Kruk.

– Widziałem to już. Mówiłem, że to on.

– Proszę podejść i dokonać identyfikacji.

Brandt podniósł się z miejsca. Oczy miał wytrzeszczone, jak gdyby już widziały to, co dopiero spodziewał się zobaczyć. Spojrzał na żonę, która pokręciła głową. Zamknęła oczy. Brandt stanął nad stołem.

Był blady, ale zrobił się jeszcze bledszy. Kruk miał nadzieję, że facet zemdleje, gdy tak stał i patrzył na zawartość lodówki. Bez słowa wrócił na miejsce i usiadł, zwieszając głowę.

– To Marek.

– Tylko jego łeb – powiedział Kruk, dając znak technikowi, żeby zamknął lodówkę. – Spójrz na pana Brandta.

Technik spojrzał.

– Tak wygląda jego łeb, kiedy jest jeszcze na miejscu. Jak będzie milczał i robił durnia z policji, szykuj drugą lodówkę.

Technik gapił się na Brandta, ale Krukowi też rzucił ciekawe spojrzenie.

– Dziewiętnasty października dziewięćdziesiątego dziewiątego – powtórzył Kruk. – Cokolwiek wtedy zrobił pan Woronowicz, nie zrobił tego sam. Jak pan myśli, co łeb kolegi robił przed pana domem?

– Powiedz mu – odezwała się Zuzanna Brandt. – Albo ja mu powiem.

– Zamknij się! – warknął Krystian.

Kruka ucieszyło, że żadne z nich nie wspomniało, że tamtego dnia została założona spółka Trust. Zdaje się, że żadne z nich nawet o tym nie pamiętało. A jeśli pamiętało, nie kojarzyło tego z bieżącymi wydarzeniami.

– Powiedz mu, albo ja to zrobię.

– Nie waż się powiedzieć słowa, kobieto.

– O czym? – rzekł Kruk.

– Niech pan rozmawia ze mną! – Brandt prawie krzyknął. – Ze mną, rozumie pan?

Brandtowa się wycofała, choć czujnie patrzyła na męża.

– Powinniśmy porozmawiać – rzekł do niego Kruk. – Rozmowa zbliża ludzi.

– Potrzebuję czasu.

– Ja mam czas – powiedział Kruk. – Ale pan?

– Proszę dać mi dwie, trzy godziny.

– Po co?

Brandt się zawahał.

– Muszę z kimś porozmawiać.

– Dam panu i trzy tygodnie, to nie o moją głowę toczy się gra.

– Jeśli coś mi grozi, policja nam pomoże?

Kruk wzruszył ramionami. Udał, że się zastanawia.

– U nas są ludzie jak wszędzie. Wielu nie lubi tej roboty, bo za co ją lubić. Nawet jak się przejmują, to tylko w godzinach służby. Idą do domu i zapominają. Przypominają sobie, jak wracają na komendę. – Kruk uśmiechnął się do Brandta. – Za to ja przejmuję się cały czas.

Brandt skinął głową, że rozumie.

– Chciałbym wyjść. Mogę?

– Spotkać się z panem Mulickim?

Drgnął.

– Może.
– Gdzie on w ogóle jest? Nie powiadomiliście go, co się stało? Nie przyjechał okazać wsparcia?
– Jeszcze nie wie. – Brandt znowu się zawahał. – O tym.
– Niech pan idzie, jest pan wolnym obywatelem.
– Nic nie mów, rozumiesz? – Brandt zatrzymał się przy żonie. – Proszę cię.
Zuzanna Brandt przycisnęła psa do piersi tak mocno, że aż zapiszczał. Przymknęła oczy i tak siedziała.

12

Sekcję zwłok Woronowicza zrobiono rano. Lekarz dostał na stół sekcyjny kompletne ciało. Kruk miał na biurku wstępny protokół o dziesiątej trzydzieści i pojechał z nim do prokuratury.

Prokurator Marta Krynicka przywitała się z nim serdecznie. Nie widzieli się ostatnio, nawet przelotnie. Jakoś tak się zawsze składało, że mijali się na korytarzach, a żadne z nich nigdy nie zaszło zapytać, co słyhać. Kruk teraz zapytał. Odpowiedziała, że dobrze.

– A co u ciebie?

Podał jej protokół sekcyjny.

– Ta sprawa.

Nie mieli sobie za dużo do powiedzenia. Kruk słyszał, że związała się z pewnym prokuratorem, ale wciąż nie nosiła obrączki.

– Ledwo zdążyłam przejrzeć papiery – powiedziała, biorąc do rąk protokół. Przeczytała kilka zdań i zamknęła teczkę. – Mój Boże... Zwłoki w kawałkach... Głowa w ogrodzie... Jakiś napis na skórze... Co to ma być?

Dekapitacja, poćwiartowanie i wyrycie napisu na skórze były najbardziej efektownymi aspektami, więc może nic dziwnego, że zwróciła uwagę właśnie na to. Kruk jednak zdążył się już do tego przyzwyczaić i zastanawiał się nad czymś innym.

Sekcja potwierdziła ustalenia z oględzin. Doszły też nowe.

Za prawdopodobną przyczynę śmierci uznano uderzenie czymś tępym w głowę. Na czaszce znaleziono ślady dwóch takich uderzeń: na skroni i w tylnej części czaszki. To ostatnie spowodowało pęknięcie i wgniecenie części kości, było prawdopodobnie śmiertelne.

Głowę odcięto, a raczej odrąbano siekierą, tasakiem albo podobnym narzędziem.

Przed śmiercią Marek Woronowicz został związany i poddany torturom. To, czym go związano: drut, sznurek czy – jak zasugerował medyk dokonujący sekcji – plastikowe trytytki, przebiło skórę, mięśnie i oparło się dopiero na kościach. Na rękach, nogach, palcach i pośladkach znaleziono ślady rdzy. Układ śladów pozwalał postawić hipotezę, że Woronowicz został przywiązany nagi do stalowego rdzewiejącego krzesła i torturowany w pozycji siedzącej. Szarpał się, a więzy wrzynały mu się w ciało.

Facetowi jeszcze za życia połamano dwie kości, przypalano go papierosem, intensywnie bito.

– Na kilka godzin przed śmiercią facet trafił do piekła – rzekł Kruk. – Tyle wiemy. Gdzie trafił po śmierci, to już nie nasza sprawa.

– Okropny sadyzm. Zemsta?

Kruk pobieżnie zapoznał ją z najnowszymi ustaleniami, których jeszcze nie było w papierach.

– Gdy się dowiemy, co stało się w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, będziemy mogli lepiej zrozumieć motyw – rzekł. – Tortury stosuje się, aby kogoś do czegoś zmusić, na przykład do wyjawienia informacji, przyznania się do czegoś albo żeby kogoś za coś ukarać.

– Obrażenia są rozległe – powiedziała Marta. – Woronowicz był mężczyzną w średnim wieku, prowadzącym komfortowy tryb życia. Zwyczajny człowiek, nie komandos szkolony do wytrzymywania bólu. Sądzę, że gdyby chodziło o informacje, wyjawiłby je przy pierwszej złamanej kości.

Spodobało mu się jej rozumowanie. Oprawcy nic nie zatrzymało. Bił bez litości, sprawiał ból, w końcu zabił.

– Istnieje jeszcze inny motyw tortur – powiedziała Marta cicho. – Niektórzy zwyczajnie lubią to robić. A jeśli trafił nam się świr?

Westchnęła i znowu otworzyła teczkę. Patrzyła na zdjęcie napisu na skórze wykonane przez technika w namiocie. Napis potwierdzał rzecz oczywistą: ten, kto podrzucił ciało na śmietnik, zabrał głowę. Najważniejsze więc wcale nie było to, o czym mówił napis, ale w jaki sposób mówił i że w ogóle mówił.

A także do kogo mówił. Sprawca przygotował teatr i musiał wiedzieć, że pierwszym widzem będzie policja. Jeśli przemawiał do policji, Marta mogła mieć rację i mógł to być świr. Kruka niepokoił cudzysłów. Nie wiedział, czy uznać go za potwierdzenie teorii świra czy jej zaprzeczenie.

Chyba że wcale nie mówił do policji. Głowa Woronowicza, zabrana „na pamiątkę”, odnalazła się w ogrodzie Brandta. Kruk przywiązywał do tego faktu pewne znaczenie.

Było coś jeszcze. Medyk nie potrafił oszacować czasu zgonu. Zwrócił uwagę na drobne obrażenia na rękach i nogach, które jego zdaniem nie były śladami tortur, ale mogły być pozostałością po mrożeniu zwłok. Mrożenie skutecznie utrudniało wiarygodne wnioskowanie ze stopnia rozkładu i fakt, że gdy zwłoki znaleziono, rozkład był we wczesnej fazie, przestawał mieć znaczenie.

Krukowi musiało wystarczyć, że Woronowicz został zamordowany w okresie między datą zniknięcia a podrzuceniem zwłok do altany.

Marta miała wiele pytań. Kruk odpowiadał wyczerpująco, żeby była na bieżąco i nikt nie wpadł na pomysł, że sobie nie radzi i trzeba ją wymienić. Martę Kruk znał. Z Martą się dogadywał.

– Jakież wytyczne co do sposobu prowadzenia śledztwa, pani prokurator?

– Złap tego, kto jest zły, i daj mi dowody, abym mogła wnieść oskarżenie.

Skinął głową. Oczywiście, że tak zrobi.

Ten podział zadań zupełnie mu odpowiadał.

13

Krystian Brandt czekał już na Kruka na komendzie. Był bez żony, ale towarzyszył mu adwokat. Brandt twarz miał szarą i wymiętą jak

człowiek, który nie przespał nocy, bo dręczyły go ważne sprawy. Adwokat też nie wyglądał najlepiej, być może ważne sprawy Brandta dręczyły tej nocy i jego.

– Czy mogę coś dla pana zrobić? – spytał adwokata Kruk.

– Mój klient chce złożyć zeznanie, będę przy tym obecny. Czy mam wyjaśniać, w jakiej sprawie?

– Dobrze – powiedział Kruk. – Zapraszam do pokoju przesłuchań. Podeszłem kogoś, kto przyjmie zeznanie.

– Zaraz. – Brandt zareagował nerwowo. – Myślałem, że będę rozmawiał z panem.

– Wstydzę się rozmawiać w obecności adwokatów. Oni są tacy...

Kruk szukał właściwego słowa. Trochę to trwało. Obaj mężczyźni czekali, aż komisarz dokończy zdanie, nie mając pojęcia, że dawno porzucił ten pomysł.

– Mój klient chce przyznać się do przestępstwa – powiedział adwokat. – Rozumie pan, skąd moja obecność.

Kruk rozumiał. Adwokat miał dbać o to, aby Brandt nie powiedział ani za dużo, ani za mało, bo to też niekiedy szkodzi. Zeznania miały być takie w sam raz, a więc ciekawiły Kruka tylko odrobinę, w gruncie rzeczy zbyt mało, aby poświęcać im czas.

– To chwalebne. Mówiłem, że kogoś przyślę.

– Mój klient będzie rozmawiał tylko z panem.

– Czemu?

– Powierzono panu śledztwo w sprawie śmierci Marka Woronowicza.

– Co z tego?

– Mojemu klientowi zależy, aby znaleziono zabójcę.

– Zaręczam, że przeczytam zeznanie. Wszystko, co powie, trafi do mnie. Każde słowo.

– Nalegamy.

– Zeznanie przejrzę w dziesięć minut, przyjęcie go zajmie mi godzinę, dwie albo i dłużej, a ja mam co robić.

Na zmęczonej twarzy adwokata pojawiła się irytacja.

– Może więc doradzę klientowi, żeby zrezygnował ze swoich zamiarów.

– Jasne – zgodził się Kruk. – Niech wraca do domu, odpręży się, obejrzy telewizję czy coś. A, i niech pozbiera ludzkie głowy z trawnika.

– Do diabła – powiedział Brandt. – Pan się domagał, żebym powiedział, co wiem.

– Mówię po raz trzeci: przyślę kogoś, kto przyjmie zeznanie. To będzie kompetentny funkcjonariusz policji.

Brandt ciężko odetchnął, jego czoło brzydtko lśniło od potu. Zwrócił się do prawnika:

– Dziękuję panu, mecenasie. Jest pan wolny.

– Popelnia pan błąd.

– Wiem. Nie jest to, niestety, największy błąd, jaki popełniłem w życiu.

W jego spojrzeniu była determinacja, decyzja została podjęta. Adwokat odczytał to właściwie.

– Przepięstwo, do którego przyzna się mój klient, uległo przedawnieniu – rzekł do Kruka. – Nie grożą mu za nie żadne sankcje karne.

– Rozumiem – odparł Kruk, ale prawnik już na niego nie patrzył. Zwracał się do Brandta, mówił tonem jak do dziecka: – Pomaga pan policji w śledztwie. Nic panu nie grozi za to, co pan zrobił. Czekam pod telefonem, w każdej chwili może pan do mnie zadzwonić. Niech pan zachowa spokój, jasny umysł i niech pan nie pozwoli komisarzowi w nic się wmanewrować.

– Dziękuję, mecenasie. – Brandt podał mu rękę.

– Ja też dziękuję. – Kruk mu ręki nie podał, patrzył tylko, jak prawnik schodzi schodami, opanowany i spokojny do końca.

Brandt sprawiał ponure wrażenie.

– Chodźmy – powiedział Kruk i poprowadził go za sobą tam, gdzie rozpościerała się otchłań.

14

Kruk nie przystąpił do przesłuchania od razu. Pozostawił faceta w pokoju przesłuchań, żeby chwilę na niego zaczekał. Po godzinie wrócił, przeprosił i wyszedł na kolejną godzinę. Chciał, żeby Brandt skruszał. Zwykle Kruk stosował taką taktykę wobec ludzi, którzy nie chcieli mówić, ale uznał, że może też ją wykorzystać wobec tego człowieka, w którego szczerą intencję nie wierzył.

Przetrzywał go tak do szesnastej. Brandt naprawdę się zawziął, żeby zeznawać.

– Dlaczego to muszę być ja? – spytał dla rozluźnienia Kruk, gdy w końcu znaleźli się razem w pokoju przesłuchań i przygotowywał kamerę.

– Nie zapyta pan, co zrobiłem?

– Zapytam. Gdy uruchomię nagrywanie.

– Już pana znam. Łatwiej mi będzie mówić.

– Na tyle łatwiej, że zrezygnował pan z adwokata?

Brandt wzruszył ramionami. Był znużony czekaniem.

Kruk poprosił go, żeby wstał z krzesła i przesunął pod ścianę jedyny stół. Krzesła zostawił na środku pokoju, wskazał jedno z nich, takie bez podłokietników, Brandtowi. Sam usiadł na drugim, z podłokietnikami, i ustawił je trochę z boku. Nie wziął żadnego formularza ani nic do pisania. Na razie nie zamierzał zabierać się za sporządzanie protokołu. Bez pośpiechu zadał kilka pytań wstępnych o imię i nazwisko, adres, miejsce pracy i tego typu oczywistości. Obserwował zachowanie faceta, gdy odpowiadał.

Pokiwał głową, bo odpowiedzi zyskały jego pełną akceptację, i zapytał niczym starego kolegę:

– O czym pan chciał mi powiedzieć?

– Zanim zacznę, chcę, żeby pan wiedział, że żałuję tego, co się stało.

Kruk znowu pokiwał głową jak ktoś, kto to świetnie rozumie. Coś się kiedyś stało, wiadomo, rzeczy się dzieją. Siedzący obok Brandta, bo przecież nie konfrontacyjnie naprzeciw, komisarz wie o tym najlepiej.

– W dziewięćdziesiątym dziewiątym roku założyliśmy firmę – powiedział Brandt. – Mieliśmy wielkie marzenia, snuliśmy śmiałe plany. Czas był sprzyjający, komuna upadła dekadę wcześniej, przed ludźmi chcącymi coś robić otworzyły się możliwości.

Nie przeszedł od razu do rzeczy. Przygotowywał sobie grunt pod prawdziwe wyznanie. Kruk cierpliwie czekał.

– Zamierzaliśmy... Chcieliśmy prowadzić legalny interes, jednak nie byliśmy głupi, widzieliśmy, co się wokół dzieje. Wciąż było wtedy sporo chaosu, Dziki Zachód w Polsce jeszcze nie całkiem się skończył, można było wiele zarobić na mniej legalnych przedsięwzięciach. Ufaliśmy sobie, ale...

Zrobił przerwę.

- Kogo pan ma na myśli, mówiąc „my”?
- Oprócz siebie Marka i Karola.
- Marka Woronowicza i Karola Mulickiego?

Brandt skinął głową.

– Tamtego dnia, gdy zarejestrowaliśmy firmę, poszliśmy to opić. Usiedliśmy w takiej knajpie w Śródmieściu, piliśmy jak smoki, z każdą kolejną godziną byliśmy bardziej pewni, że zdobędziemy świat. I wtedy ktoś to powiedział. Że musimy móc na siebie liczyć w każdej sytuacji. Zawsze. Powinniśmy odbyć jakiś rytuał, aby wejść w świat, z którego nie ma odwrotu. W mafii, na wejściu, trzeba kogoś zabić...

Krukowi wydawało się, że tworzyli przedsiębiorstwo, a nie mafię, ale uśmiechnął się tylko smutno, ze zrozumieniem. Ten uśmiech to tani numer, ale tanie numery działają czasem zadziwiająco dobrze. Ten ośmielił Brandta.

– Wie pan, snuliśmy plany, ale przede wszystkim byliśmy pijani. To było takie gadanie pijaków. I na gadaniu by się skończyło... ale zamknięto nam lokal. Chcieliśmy pić dalej, zapłacić za dalsze otwarcie, ale wykopano nas za drzwi. Wracaliśmy przez nocne miasto piechotą, pijąc wódkę z butelki i mając poczucie krzywdy, rozdrażnieni, że nas tak potraktowano, nas, którzy zamierzaliśmy zdobyć świat, i szliśmy tak, gadając o lojalności, wierności i zaufaniu. Ulice były puste. Chwilami padało, co tylko pogłębiało nasze rozdrażnienie. Szliśmy długo, cholernie długo, weszliśmy na Jabłońskiego, Karol wtedy mieszkał kilka ulic dalej. I wtedy napatoczyła się tamta kobieta.

Brandt spojrział na Kruka z niepokojem. Nie miał się czego bać, za to Kruk zaczął się martwić o kobietę z opowieści.

– Szła sama, atrakcyjnie ubrana, śpieszyła się. Gdy nas zobaczyła, przeszła na drugą stronę ulicy. Może gdyby nie przeszła... nie wiem.

Poczuliśmy się dotknięci, odczuliśmy to jak brak szacunku, którego już raz nam tej nocy nie okazano. Ktoś z nas coś do niej zawołał. Nie zareagowała, przyśpieszyła kroku. Poczuliśmy się jeszcze bardziej zlekceważeni. Pijani i zlekceważeni, pechowo się ułożyło. Marek ruszył w jej stronę, żeby ją przekonać, że nie ma się czego bać. A ona... zaczęła uciekać.

Brandt popatrzył przed siebie, choć tak naprawdę patrzył wstecz.

– Pan wie, co robi pies, gdy się zaczyna przed nim uciekać? Nie myśli, rzuca się w pogoń. Tacy wtedy byliśmy: kompletnie pijani i bezmyślni. Żli, że nas tak potraktowała, chcieliśmy ją dogonić i przekonać, że nie jesteśmy groźni. No, może dać małą nauczkę. Kobieta była powolna, widzę ją jak dziś, jak próbuje uciekać w butach na wysokich obcasach. Może gdyby miała inne buty...

Kruk miał już dość tego „może gdyby”, ale starał się nie dać tego po sobie poznać.

– Marek ją dogonił. Zaczęła błagać, żeby ją zostawił, żeby nie robił jej krzywdy, że to się wyda, że pójdziemy do więzienia. Przecież nie mieliśmy zamiaru jej krzywdzić, dlatego gdy to powiedziała, Marek uderzył ją w twarz, powiedział, że jest głupia. Chwycił ją, zatkał usta ręką. Zagroził, że jak zacznie krzyczeć, zabije ją. Zaciągnął ją do najbliższej altany śmietnikowej, a my poszliśmy za nimi.

Zapadła cisza. Kruk westchnął, aby dać Brandtowi do zrozumienia, że zdaje sobie sprawę, jak ciężko mu o tym mówić. I że współczuje, że będzie musiał. I podziwia za to, że się zdecydował.

– Niektóre rzeczy pamiętam, jakby działy się przed godziną. Inne widzę jak przez mgłę. Słyszę głos Marka... mówił, że zrobimy to wszyscy, że żaden z nas się nie może wyłamać. I pamiętam jeszcze, jak się na to zgadzamy. Kiedy dzisiaj o tym myślę, nie rozumiem, jak

to się mogło stać. Dlaczego to zrobiliśmy... jak to zrobiliśmy. Rozumie pan?

W jego oczach tliła się nadzieja, że Kruk jakoś to zrozumie.

– Tak.

Wsparcie Kruka odniosło skutek. Brandt lekko się wyprostował i opowiedział resztę. Nie robił już przerw. Opowiedział ze szczegółami o zbiorowym gwałcie. Zrobili to po kolei: Woronowicz, Brandt, Mulicki. I jak ją potem tam zostawili, ledwo przytomną, na śmietniku.

– Marek powiedział, że wszyscy jesteśmy tak samo winni, wszyscy w tym uczestniczyliśmy. Czasem budzę się w nocy i widzę, jak odchodzimy, a ona leży między kubłami.

– Rozumiem – powiedział Kruk.

– Wie pan, co jest najdziwniejsze w tym wszystkim? To stało się pośrodku osiedla, otaczały nas setki, może tysiące ludzi, a byliśmy jakby na pustyni. Zostawiliśmy ją tam. Nie krzyczała. Przez cały ten czas nie próbowała nawet krzyczeć. Następne dni śledziliśmy gazety, słuchaliśmy radia, oglądaliśmy lokalną telewizję. Czekaliśmy, aż o tym napiszą, powiedzą, pokażą. Nie doczekaliśmy się. O tej kobiecie nie wspomniano nigdy słowa. Kilka dni później pojechałem na tamto osiedle, aby dowiedzieć się, co mówią ludzie. Nikt nic nie mówił. Nikt nic nie wiedział. Odeszła. Zniknęła. Z tamtego miejsca i z naszego życia. Tak samo nagle, jak się pojawiła.

Kruk wstał, położył Brandtowi rękę na ramieniu, żeby go wesprzeć. Na twarzy miał wyraz zrozumienia, potrafił taki mieć. Ale dla Kruka Brandt był ludzkim śmieciem, którego miejsce było na tamtym śmietniku, w workach, obok przyjaciela. Brandt był do uprzątnięcia.

Na szczęście ktoś już rozpoczął sprzątanie.

Brandt skończył i już tylko siedział wyczerpany.

Kruk przysunął stół i usiadł za nim. Sięgnął po papiery.

– Jeszcze tylko chwila – powiedział łagodnie. – Spiszemy zeznanie.

15

Wstawał ranek. Przez uchylone drzwi do jej sypialni Eryk patrzył, jak Dominika się przebiera.

Stała nago, zwrócona bokiem, poważna. Miała piękne ciało, kształty, które określa się jako posągowe, bo nie ma w nich najmniejszego braku ani naddatku. Pochyliła się, aby włożyć majtki, a on poczuł obezwładniające pragnienie i żal. Zszedł do kuchni, nie chciał, żeby go dostrzegła. Nie protestowałyby. Jedyne, na co mu pozwalała, to patrzeć.

Wstawił czajnik. Żal zamienił się w gniew i wściekłość.

– Eryk. – Weszła do kuchni już ubrana i w pełnym makijażu.

– Słucham?

– Widziałeś moje klucze do domu?

– Chyba tak.

Poszedł do przedpokoju, wyciągnął klucze z kieszeni swojej kurtki i wrócił do kuchni.

– Gdzie były? – spytała, krojąc chleb.

– Na korytarzu obok butów.

– Musiały mi wypaść.

Wyciągnął do niej rękę z kluczami.

– Połóż na stole, proszę.

Położył. Schował te klucze, żeby przypadkiem dotknąć jej dłoni, gdy będzie je podawał. Źle to rozegrał. Była zajęta, nie udało się. W grze, jaką było ich wspólne życie, stracił punkt.

Zjedli śniadanie, rozmawiając o planach na ten dzień. O cenach nieruchomości. O planach rozszerzenia działalności funduszu, jakie miał brat Dominiki. Nie poruszyli żadnego tematu, który miałyby znaczenie.

Wszedł Maks. Położył na stole rachunki, które wyjął z ich skrzynki na listy. Skinął głową Erykowi, zapytał ją, czy jest gotowa. Potrzebowała jeszcze chwili, podczas której Nawajski czekał na nią w milczeniu. Eryk też nic nie mówił, spoglądając niby od niechcienia na potężną postać nieodłącznego towarzysza swojej żony.

Wkrótce oboje wyszli.

Gdy samochód Dominiki zniknął za bramą, Eryk poszedł do jej sypialni. Ściągnął dane i udał się do swojego pokoju podłączyć pendrive'a do komputera.

Przez te kilka dni, odkąd dowiedziała się, że znaleziono zwłoki Marka Woronowicza, Dominika nie napisała nic. Wczoraj jednak, gdy stanął pod zamkniętymi drzwiami jej sypialni, miał wrażenie, że słyszał szelest naciskanych klawiszy.

Tekst, który w nocy napisała, składał się z krótkich zdań. Niemal go nie poprawiała, jakby słowa spływały z jej palców dokładnie tak, jak chciała je zapisać:

Jeden nie żyje. Prawie go nie pamiętam. Na stronach „Dziennika” czytałam o jego życiu. Nie wiem, co czułam. Całe to jego życie działa się już po tym, co mi zrobił. Widziałam zdjęcia z jego przeszłości. Brał na nich udział w jakichś uroczystościach. Uśmiechał się, jakby nic się

nigdy nie stało. Ma dzieci. Są już prawie dorosłe. Taki człowiek ma dzieci. Ja ich nie mam, bo mieć ich nie mogę. Obejmował żonę, ścisnął ludziom ręce, a może w tej samej chwili myślał o tym, co mi zrobił. Albo nigdy już o tym nie myślał. Nie wiem, co gorsze.

Wiem, co czułam, gdy czytałam, w jakim stanie go znaleziono. Nie chcę o tym pisać. Nie chcę się do tego przyznawać nawet sama przed sobą. Nie napiszę o tym. Dlaczego pamiętam go najmniej z nich wszystkich?

Bo tamci dwaj byli gorsi. Zginął. Już go nie ma.

Myślę już tylko o tamtych. Myślę o nich bez przerwy. Żyją. Odkąd ich rozpoznałam, nie daje mi to spokoju. Nie chcę wciąż o tym myśleć. Staram się. Nie potrafię. Chcę, żeby umarli. Nie powinnam tak myśleć, winię się za to, ale chcę. Tak, chcę, żeby umarli. Obaj.

Ten, który mi zabrał pierścionek.

I ten ostatni, który wtedy był pierwszy, najgorszy z nich.

Eryk zamknął komputer. Siedział bez ruchu, podniósł się z miejsca jak stary człowiek. Otworzył okno, żeby zaczerpnąć tlenu.

Czując, jak zimne powietrze mrozi jego ciało, zadzwonił do Klary. Dla Klary porzucił Kasię i każdego dnia bardziej tego żałował. Klara czytała romanse, lubiła wielkie słowa, wyznania i cały ten szajs. Uważała, że łączy ich nieszczęśliwa miłość, ale pewnego dnia wszystko się ułoży i będą żyli długo i szczęśliwie. Razem, oczywiście.

– Dzień dobry, kochanie – powiedział.

Chwila ciszy w aparacie powiedziała mu, że Klara napawa się brzmieniem tego słowa.

– Dzień dobry.

– Wybacz, że dzwonię. Musiałem usłyszeć twój głos.

Znowu pauza, tym razem dłuższa.

– Niestety, nie mogę teraz rozmawiać, jestem już w pracy.

– Myślę o tobie. Chcę zrywać ci majtki zębami, wsadzić ci...

– Nie jestem zainteresowana ofertą. Proszę usunąć mój numer z państwa bazy.

W jej głosie pojawił się głębszy ton. Oczyma wyobraźni widział, jak zaczyna pocierać udo o udo pod biurkiem. Kilka byle jakich słów wystarczało, aby się podnieciła. Romantyczna i rozbuchana, fatalna kombinacja.

– Do zobaczenia wieczorem – powiedział.

Rozłączył się. Poczul się jeszcze gorzej. Musi ciągnąć tę komedię z Klarą, dopóki się da. Była przydatna. A potem...

Sam nie wiedział, co stanie się potem.

16

Telefon dzwonił bez końca. Przystawał, znowu zaczynał. Kruk podniósł głowę z poduszki. Położył się nad ranem. Teraz dochodziła jedenasta, przez okno wlewało się do pokoju chłodne jesienne słońce.

– Tak? – W końcu odebrał.

– Odpierdoliło ci? – usłyszał Marcina Zycha. – Dzwonię od ósmej.

– To nie powód, aby tak brzydko do mnie mówić.

– Z samego rana był u mnie adwokat Brandta, wściekły jak diabli.

Oskarża komendę o brutalność i tortury wobec jego klienta. Oprócz skargi grozi pójściem do prasy.

Kruk usiadł, przetarł dłonią twarz. Dotarło do niego, że położył się spać w ubraniu.

– Niech idzie.

– Trzymałeś faceta trzynaście godzin, siedział na komendzie całą noc, towarzyszyłeś mu nawet do toalety.

– Bo nie jestem cyborgiem. Też czasem muszę się odlać.

– Trzynastogodzinne nocne przesłuchanie? Kurwa żeż twoja mać...

Kruk powlókł się do kuchni. Włączył ekspres do kawy.

– Adwokat mówi, że Brandt jest zdruzgotany – ciągnął Marcin. – Bez przerwy płacze, nie wie, co podpisał ani dlaczego to zrobił.

– On taki już jest. Nigdy nie wie, dlaczego robi różne rzeczy. Niestety, nie przeszkadza mu to ich robić.

– Sławek, kurwa...

– To, co podpisał, leży w mojej szafie, chyba jej nie zamknąłem. Jak chcesz mu przypomnieć, do czego się przyznał, poczytaj sobie.

– Adwokat ci nie odpuści.

Ekspres zachrobotał, gdy przepłukiwał głowice. Kruk podstawił filiżankę i nacisnął przycisk podwójnego espresso.

– Pierdołę głupiego chuja.

– Podobno pod domem Brandta stoi patrol. Adwokat lamentuje, że szpiegują Brandta, i żąda, żeby ich natychmiast odwołać.

– Przesadza – mruknął Kruk. – Chłopaki stoją tam dla bezpieczeństwa Brandta. Istnieje ryzyko, że ktoś z siekierą będzie chciał odrąbać mu łeb.

W aparacie zapadło milczenie.

– Jesteś tam czy mogę już iść pod prysznic? – spytał Kruk.

– Nie rób ze mnie głupka, słyszę, że właśnie zrobiłeś kawę.

– Ty wiesz takie skomplikowane rzeczy, a adwokat Brandta nie rozumie rzeczy najprostszyc.

- Podobno uniemożliwiłeś mu uczestnictwo w zeznaniach.
- Sam klient kazał mu wypierdalać. Znasz mnie, co ja mogę?
- Rusz dupę i widzę cię u siebie.

Kruk siedział przy ekspresie i wypił – jedna po drugiej – trzy kawy. Dopiero wtedy znalazł w sobie dość siły, aby wziąć prysznic i się ubrać. Zjadł byle co i pojechał na komendę. Zastał Marcina rozpogodzonego. Naczelnik odbył ponowną rozmowę z adwokatem Brandta i wyjaśnił z nim parę rzeczy. Prawnik wciąż groził, że pójdzie do mediów, ale do tej pory nie poszedł, co oznaczało, że już nie pójdzie.

– Szkoda – mruknął Kruk trochę rozzalony. – Tajemnica spowiedzi nas nie obowiązuje i mogłoby nam się coś wymsknąć do mediów o panu Brandcie.

Przy stoliku w rogu pokoju Marcina siedziała Marta Krynicka. Czytała dokumentację z nocnego przesłuchania Kruka. Na nosie miała okulary.

Zreferował im obojgu wczorajsze zeznania faceta.

– Brandt, zanim wpadł na komendę, poszedł do Mulickiego uzgodnić wersję. Prowodyrem uczynili Woronowicza, bo facet nie żyje i nie zaprzeczy.

– Brandt się przyznał ze strachu? – spytał Marcin.

– Znalazłem przy jego podjeździe głowę Woronowicza. W trakcie naszej pogawędki, o którą masz pretensje, zeznał, że w połowie września ktoś napadł na jego żonę. Zabrał jej pewien pierścionek istotny dla sprawy. Facet długo nie poczuje się swobodnie.

– Co za pierścionek?

Kruk opowiedział im, czego się dowiedział od Brandta w temacie pierścionka, choć było to w papierach, które czytała Marta. Pierścionek pierwotnie należał do kobiety z Jabłońskiego. Brandt ściągnął go jej z palca. Zabójca Woronowicza wyrył na skórze denata

słowa, które Brandt wypowiedział do tamtej kobiety w roku dziewięćdziesiątym dziewiątym. Prawdopodobnie, aby to uwypuklić, użył cudzysłowu.

Komisarz uważał, że zabójca Woronowicza nie kierował swojego przekazu do policji, tylko za jej pośrednictwem przemawiał do Brandta. Chciał, by się bał i wyznał grzechy. Ponieważ policja nie ujawniła treści napisu i Brandt o nim nie wiedział, pomogła wrzucona w tym samym celu na jego posesję głowa kolegi. To, że Kruk mógł usiąść w pokoju przesłuchań z Brandtem, było zasługą sprawcy.

Komisarz niemal czuł się zobowiązany.

– A ten Mulicki? Jego też trzeba przesłuchać.

– Chciałem do niego jechać, ale wezwał mnie szef.

– Szef miał powody. W tle pojawia się podejrzenie zabójstwa kobiety. Dlaczego adwokat sądził, że sprawa jest przedawniona?

– Przedawnienie zgwałcenia następuje po piętnastu latach, zgwałcenia ze szczególnym okrucieństwem po dwudziestu, zabójstwa po dwudziestu pięciu. Adwokat przygotował klienta na opowieść pomijającą wątek ewentualnej śmierci ofiary. W pierwszej wersji zeznań w ogóle nie było o tym mowy.

Marcin uważnie patrzył na Kruka. Nie powiedział nic, bo zrobiła to za niego Marta:

– A kiedy się pojawił?

– Mniej więcej około dziewiątej godziny przesłuchania. Brandt myślał już tylko o tym, że chce wrócić do domu, i zaczął pękać. – Kruk uniósł wzrok i spojrzał Marcie w oczy. – Gdy skończyli z tą kobietą, zastanawiali się, co z nią zrobić. Wtedy zebrała resztę sił, by uciec. Woronowicz ją złapał i pchnął na ścianę śmietnika. Upadła, uderzyła o coś głową i przestała się ruszać.

– Marek Woronowicz? – Marta odchrząknęła.

– Oczywiście, któż by inny. Na skroni miała ranę, z której płynęła krew. Nie mogli jej ocucić. Zostawili ją tam i uciekli. Brandt przysięga, że tego nie chcieli, to był wypadek.

– Zabili kobietę.

– Zabili albo i nie, ale ślad po niej zaginął. Być może Woronowicz wierzył, że ją zabili, i dlatego szukał odkupienia w kościele. Nie wiem, w co wierzy Mulicki. Brandtowi chyba zawsze było to obojętne, choć starał się, bym myślał, że jest inaczej.

– On wycofa to zeznanie, jak dojdzie do siebie i zaczną do niego trafiać sugestie adwokata.

– Bez znaczenia. Nie mamy ciała, nie znamy tożsamości ofiary, tragedia wydarzyła się dwadzieścia lat temu, nie zbierzemy śladów na miejscu. I tak nic z tym nie zrobimy.

– Nie wie, kim ona była?

– Tak mówi. Woronowicz przeszukał jej torebkę, ale nie miała dokumentów.

– Co o tym myślisz?

Kruk wzruszył ramionami.

– Ten sam śmietnik na Jabłońskiego, zwłoki w kawałkach, napis na skórze...

– Po tylu latach taka brutalność?

– ...głowa w ogrodzie Brandta, rabunek pierścionka. W tym nie ma żadnej subtelności, tamta sprawa wróciła.

– Dlaczego uderzenie nadeszło właśnie teraz? Nie rok, dwa, dziesięć lat temu? – spytał Marcin.

– Doskonałe pytanie. Jestem pod wrażeniem pana przenikliwości, panie naczelniku.

– Spierdalaj. – Marcin spojrzał przeproszająco na Krynicką, ale Marta знаła takie słowa i nie zwróciła uwagi.

– Myślę, że ona przeżyła – powiedział Kruk. – Ta kobieta.

– Przesłanki?

– „Na pamiątkę”. Cudzysłów. Sprawca cytuje Brandta. Ktoś, kto się za nią mści, mężczyzna, bo z siekierą nie biega kobieta, zna przebieg wydarzeń sprzed lat.

– Daleś ochronę Brandtowi – powiedziała Marta. – A co z tym trzecim? On też może być zagrożony.

– Wszystko wskazuje na to, że następny będzie Brandt. Tak, i ten trzeci też powinien na siebie uważać. Tak więc nasza sytuacja staje się nie do pozazdroszczenia – mruknął niechętnie Kruk.

Marcin uniósł brwi.

– Dlaczego?

– Bo będziemy knuć przeciw sprawcy, a jednocześnie trzymać za niego kciuki.

17

Salon wyglądał tak samo, jak Kruk go zapamiętał, gdy był tu środowej nocy. Zasobny czysty dom z rodzinnymi zdjęciami na ścianach.

Kruk napił się kawy i odstawił filiżankę na talerzyk. Filiżanka była biała, a talerzyk czarny.

– Kim pani jest, pani Brandt? – powiedział, bo to pytanie tknęło mu się pod czaszką dostatecznie długo, żeby je w końcu zadać.

– Nie rozumiem.

Siedzieli przy stoliku kawowym na białych fotelach. Dużo tu było bieli, na przykład biała była bluzka Zuzanny Brandt i białe domowe pantofle. Jej męża z nimi nie było, pojechał do pracy. Kruk upewnił się, że tam jest, zanim przyszedł do jego żony. Po spotkaniu z Marcinem i Martą nie pojechał do Mulickiego, jak pierwotnie planował. Przyjechał do niej, do Zuzanny Brandt.

– Zapytam o to samo inaczej. Co to był za pierścionelek, który zabrano pani szesnastego września wieczorem?

Spojrzała na swoją rękę, były tam inne pierścionki, także ten z wielkim brylantem.

Zasłoniła się filiżanką. Nie na wiele jej się to zdało, bo gdy odstawiła ją na spodeczek, Kruk wciąż tu był.

– Jak wyglądał mężczyzna, który na panią napadł? – Kruk uznał, że zacznie od lepszych pytań.

– Nie wiem, miałam go za plecami. Wcześniej widziałam kogoś w białym kapturze. To mógł być on.

– Czemu nie zawiadomiła pani policji?

– Mąż nie chciał.

– Co powiedział?

– Że to nic nie da i policja go nigdy nie złapie.

– Uwierzyła mu pani?

– Nie.

Jej twarz pozostawała spokojna, ale za nią sporo się działo.

– Mąż powiedział, że napastnik zażądał konkretnie tamtego pierścionka. Czy to prawda?

– Chciałam mu dać ten najcenniejszy, bałam się.

– Nie zabrał go?

– Nie chciał. Kazał dać inny, powiedział: „Wiesz, który”. I rzeczywiście, wiedziałam.

– Jak to?

Głęboko odetchnęła i spojrzała Krukowi wyzywająco w oczy.

– Znalazłam go kiedyś w rzeczach męża. Jak już panu powiedział, mąż ma zwyczaj zabierania pamiątek z różnych miejsc, mają mu przypominać o minionych chwilach. Najczęściej to są drobiazgi: ulotki, znaczki, podkładki, takie tam śmieci. Wrzuca to do szuflady biurka, do szafy, i nigdy więcej się tym nie zajmuje. Raz na jakiś czas przeglądam jego rzeczy i wyrzucam. Tak znalazłam pierścionek.

– O jakich chwilach miał przypominać mu ten pierścionek?

Przymknęła oczy. Milczała.

– Kiedy go pani znalazła?

– Pięć lat temu. Ukrywał go przede mną, ale tego dnia zajrzałam głębiej.

– Powiedział, skąd go ma?

– Zabrał go kobiecie, którą zgwałcili.

Powiedziała to w tak naturalny sposób, że Kruk poczuł się jak chłaśnięty w twarz. Potrzebował chwili, aby zadać kolejne pytanie:

– Dlaczego się przyznał?

– Chciał, żebym wiedziała.

Kruk milczał, a ona dodała:

– W gruncie rzeczy Krystian jest okrutnym człowiekiem. Był pewny, że nic nie zrobię z tą wiedzą. Mamy dzieci, wspólne życie, dobre życie.

– Gdzie są pani dzieci?

– Wyjechały razem z dziećmi Marka i Gosi. Przyjaźnią się. Co miałam zrobić? Obrócić to wszystko w ruinę dla majaków przeszłości jak Dorota?

Krystian Brandt musiał dobrze znać swoją żonę. Kruk pokiwał głową.

– Kim jest Dorota?

– Byłą żoną Karola. Karola Mulickiego. Powiedziałam jej, a ona od niego odeszła. Może dlatego, że ona i Karol nie mają dzieci. Posiadanie dzieci wiele zmienia. – Zuzanna Brandt zaśmiała się histerycznie. – Oddała mu wszystko, co od niego dostała. Nie chciała nawet alimentów. Wiem, że miała zamiar iść na policję, ale na to najwyraźniej się nie zdobyła.

– Powiedziała pani Małgorzacie Woronowicz?

– Nie chciała słuchać. Woli żyć w stanie nieustannego zaprzeczenia. Nawet teraz, po tym, co się stało.

– Mąż mówił, co się stało z tamtą kobietą?

– Nigdy jej więcej nie spotkał – odparła natychmiast.

– Tylko tyle, czy tego zdania nauczył panią jego adwokat?

Nie doczekał się odpowiedzi. Zuzanna Brandt sprawiała wrażenie, że nie usłyszała. Zadał jej inne pytanie, czy ma jakieś zdjęcie pierścionka. Wstała i wyszła z pokoju. Powiew wiatru z uchylonego okna poruszył białymi zasłonami. Czekając na Zuzannę Brandt, Kruk zatęsknił za Dorotą, kobietą, której nigdy nie spotkał.

Minęło pięć minut. Dziesięć.

Zasłony nadeły się pod mocniejszym podmuchem. Kruk wstał i zamknął okno, po czym poszedł za panią domu.

Znalazł ją w niewielkim pokoju, na krześle przy małym stoliku, na którym stało pudełko ze zdjęciami. Ręce miała opuszczone, w dłoni fotografię. Spojrzała na Kruka przelotnie, po czym wróciła wzrokiem do zdjęcia.

Całą przeciwległą ścianę zajmował ścienny regał. Było tam kilka podobnych pudełek, trochę książek, a także wiele drewnianych skrzyneczek różnego kształtu i wielkości, pokrytych obrazkowymi symbolami. Te skrzyneczki były rodzajem puzzli 3D, czy też miniaturowego escape roomu, zagadką, gdzie nagrodą za

rozwiązanie było dostanie się do środka skrzyneczki. Leżały tam także drewniane puzzle matematyczne, coś niczym krypteks, jakby żywcem wyjęty z *Kodu Leonarda da Vinci*, puzzle strunowe zabezpieczające butelkę z winem, miniaturowe labirynty.

Pan Brandt miał widać swoje zainteresowania, bo jakoś nie pasowało to Krukowi do jego żony. A może wcale nie, może ten zestaw logicznych zagadek należał do któregoś z ich dzieci.

Kruk przeszedł wzdłuż regału i wyjął Zuzannie Brandt z ręki zdjęcie. Przedstawiało ją samą w innym czasie, przy innym stole, z upierścienioną dłonią przy twarzy. Dłoń była tak obrócona, że wszystkie pierścionki były świetnie widoczne.

Zuzanna Brandt wskazała mu taki z sercem, a on długą chwilę mu się przyglądał.

– Zatrzymam zdjęcie – powiedział.

– Ten mężczyzna, który zabrał mi pierścionek – powiedziała. – Kazał mi zapytać męża, skąd go ma. Gdyby wiedział...

Wstała. Myślał, że wróci do salonu, ale ona wzięła tylko jedną z drewnianych skrzyneczek z regału i bezmyślnie obróciła w palcach. Nie chodziło jej o skrzyneczkę, ale żeby coś zrobić z rękami. Odłożyła ją.

– Nie zrobił mi krzywdy, pogłaskał Pusię – powiedziała.

– Co zrobił?

– Pogłaskał Pusię, a ona na niego warczała. Zrobił to na sam koniec, zanim sobie poszedł, już po tym, jak zabrał mi ten pierdolony pierścionek.

Kruk obserwował ją z narastającym zaciekawieniem. Z powrotem usiadła i mówiła już bardziej do siebie niż do niego. Jej oczy błądziły po meblach, podłodze, po ścianach, unikając jedynie jego, i nigdzie nie zatrzymując się na dłużej.

– Chce pan wiedzieć, dlaczego nosiłam ten pierścionek? Bo mi się spodobał. Pamiętam, jak pierwszy raz nasunęłam go na palec i nie chciałam zdjąć. Znałam już wtedy historię pierścionka. Poszłam tamtego dnia po bułki, w głowie mi się kręciło, że to robię, ale powtarzałam sobie, że przeszłości nie zmienię, a pierścionek jest piękny. W piekarni znajoma ekspedientka od razu zwróciła na niego uwagę. Ludzie często zwracali na niego uwagę...

– Kto jeszcze zwrócił na niego uwagę? – spytał Kruk cicho, bo miał wrażenie, że za tą paplaniną Brandtowej kryło się nadciągające załamanie nerwowe.

– Każdy, tylko nie Krystian. Jedyne, co zrobił, gdy zauważył go po raz pierwszy, to się roześmiał. Nosiłam biżuterię tamtej kobiety, a jemu się to podobało.

– Kim jest każdy?

– Och, różni ludzie, z którymi się spotykam. Ostatnio ta kobieta z funduszu. Krystian zabrał mnie na spotkanie biznesowe w restauracji, lubię restauracje. Och – powiedziała, tknięta nagłą myślą. – To już było tak dawno.

– Jaka kobieta? Jak się nazywa?

– Nie pamiętam, wszystko mi jedno, do diabła i z nią, i z panem. Czy to wszystko? Mogę już iść?

– Ja pójdę. Pani jest u siebie domu.

Rozejrzała się zaskoczona, przymknęła oczy.

– Kim pani jest, pani Brandt? – powtórzyła pytanie Kruka z początku rozmowy. – Kim pani jest, skoro potrafi pani żyć z tym człowiekiem i zaczęła pani nosić tamten pierścionek?

Potrząsnęła głową z wściekłością.

– Kim pani, do kurwy nędzy, jest? – wyszeptała i to przeważało szalę.

Zamierzała dostać ataku hysterii.

- Dosyć – powiedział Kruk. Zmęczyło go stanie, usiadł na krześle obok. – Spazmy później.
- Słucham? – Uniosła twarz.
- Proszę opowiedzieć ze szczegółami o tym, jak zrabowano pani pierścionek.

18

Karol Mulicki był nieosiągalny. Kruk nie zastał go w domu ani w firmie. Zostawił mu swoje zamiary, ale nie oddzwaniał.

Komisarz niespecjalnie się zmartwił. Nie było pośpiechu. Poleciał Bielińskiej, żeby za nim biegła.

Spotkał się z Marcinem Zychem. Krystian Brandt był w posiadaniu nagrań z dwóch kamer monitoringu w okolicach Lewiatana z dnia, kiedy dokonano napadu. Następnego dnia po napadzie na jego żonę obszedł okoliczne budynki, opowiedział o tym, co się stało, i poprosił o pomoc. Owocem tego działania były dwa krótkie nagrania, z którymi nie poszedł wtedy na policję, ale które policja dostanie teraz.

Póki co Kruk miał na stole analizę logowań i billingi komórki Woronowicza. W ostatnich tygodniach sygnał kilkakrotnie zamierał w okolicach jednego z kościołów. Zawsze działo się to nocami i brak

logowań trwał kilka godzin. Sygnał wracał gdzieś na trasie pomiędzy kościołem a domem Woronowicza.

Wniosek był prosty: jadąc do kościoła, wyłączył telefon.

W dniu zniknięcia Woronowicza sygnał także zamarł, tylko tym razem wcześniej: chwilę po jego wyjeździe z domu. O ile ktoś nie ukrywał się w jego samochodzie i nie przystawił mu pistoletu do głowy, to Woronowicz również tamtego wieczora z własnej woli wyłączył komórkę.

Choć do kościoła nie pojechał.

Szukano trzyletniego mercedesa Woronowicza, ale zniknął bez śladu, podobnie jak jego właściciel. Od dealera Mercedesa policja dostała informację, że Woronowicz tuż po zakupie wymontował na własną rękę wszystkie układy śledzące pozycję samochodu, godząc się na utratę gwarancji.

Facet dbał o prywatność.

Dzień upłynął Krukowi na analizach i próbach uporządkowania posiadanych informacji. Marcin Zych przydzielił do sprawy kilku nowych ludzi, którzy przeszukiwali archiwa, sprawdzając, czy pod koniec dziewięćdziesiątego dziewiątego roku było jakieś zgłoszenie, które można podpasować pod wydarzenia opowiedziane przez Brandta.

Po dziewiętnastej Bielińska poszła do Kruka. Był sam. Paweł Lalkarz, z którym Kruk dzielił pokój, dawno już był w domu.

– Co z Mulickim? – spytał Kruk.

– Wczekałam go. Wreszcie wrócił do firmy. Zapracowany facet: jego wspólnik nie żyje, a on odbywa jedno spotkanie biznesowe za drugim. To dlatego, że firma ma problemy finansowe i walczy o przetrwanie.

– Jak wrażenia?

– Zaskakująco pozytywne, nawet ty musiałbyś go polubić.

Kruk uprzejmie przytaknął.

– Mulicki udziela się charytatywnie na wielką skalę – powiedziała Bielińska, a w jej głosie zadźwięczało coś jak cień podziwu. – Robi to od lat. Jego gabinet jest wytapetowany podziękowaniami, dyplomami i wyrazami wdzięczności. Facet czyni wokół siebie dobro.

– Szuka odkupienia?

– Zadeklarował pełną współpracę, w zamian prosił o dyskrecję. Jego pracownicy są zdezorientowani i przerażeni okrucieństwem zbrodni.

– Której?

Bielińska uniosła brwi.

– Zapewniłam, że jesteśmy dyskretni.

– Oczywiście.

– Przyjdzie na komendę jutro o ósmej rano, mam z nim rozmawiać?

Kruk się zamyślił. Rozparł się na krześle, wyciągnął przed siebie nogi i myślał.

– Sławek...

– Załatwię to.

Bielińska odwróciła się, żeby wyjść.

– Jak spotkasz Radka – zawołał za nią Kruk – przyślij go do mnie.

Pomieszczenie, które znajdowało się za drzwiami z tabliczką „ZARZĄD”, było przestronne, ale i tak wyglądało na wstęp do czegoś większego. Stały tam trzy biurka rozstrzelone między ścianami. Przy każdym z nich siedziała kobieta z plaketką z imieniem. Ponieważ kobiety były młode i nie miały na identyfikatorach nazwisk, Kruk założył, że nie należały do zarządu.

Założenie to mogło być trafne, bo obok każdego z biurka znajdowały się kolejne drzwi prowadzące gdzieś dalej. Jedna z kobiet uśmiechnęła się do niego zachęcająco, więc podszedł właśnie do niej. Plaketka głosiła, że nazywała się Klara. Nad plaketką miała przypiętą czarną wstążkę. Wszystkie tak miały.

– Jestem umówiony na ósmą z prezesem Mulickim. Komisarz Sławomir Kruk z KWP w Gdańsku.

Wyglądała na zmartwioną. Była nieatrakcyjną kobietą, bardzo chudą, o włosach jak siano, która zrobiła wszystko, aby tę nieatrakcyjność podkreślić ubiorem i sposobem bycia.

– Prezes przed chwilą dzwonił, że godzinę się spóźni i żeby mu nie przeszkadzać.

Teraz to Kruk się zmartwił, choć w gruncie rzeczy rozbawiło go, że Mulicki sądził, że jego wizyta na komendzie potrwa godzinę.

– Czy mógłbym poczekać? Przez tę godzinę już nic nie załatwię.

– Oczywiście. Wyślę SMS-a do pana prezesa i poinformuję go, że pan czeka.

Wskazała kanapę i stolik pod ścianą. Zajął miejsce, rzucił na blat teczkę z dokumentami, które wieczorem zabrał z komendy. Klara zaproponowała mu kawę, a on przyjął propozycję z wdzięcznością. Przez kilka minut popijał kawę i obserwował kobiety. Brandta chyba także nie było. Dzwoniły telefony, one je odbierały i ustalały terminy spotkań, dostaw, kontaktowały się z księgowością, bo kończyła się jakaś kontrola skarbową. Ogólnie jednak atmosfera była niemrawa.

W końcu sięgnął po teczkę i rozłożył dokumenty na stole.

– Jeszcze kawy? – spytała Klara.

Poprosił. Gdy podawał jej filiżankę, nie zdołała się powstrzymać i rzuciła okiem. Kiedy odnosiła filiżankę uznał, że powinien się usprawiedliwić:

– Prowadzę wiele różnych śledztw naraz. Jak mam chwilę, zastanawiam się nad tym, co mnie najbardziej dręczy. To akurat sprawa brutalnego gwałtu zbiorowego.

Nie była to prawda. Papiery dotyczyły napadu na monopolowy, ale było na nich dużo groźnie wyglądających pieczętek.

Klara spuściła wzrok, jakby się przestraszyła.

– Sprzed dwudziestu lat – dodał Kruk.

Podniosła wzrok ponownie. Być może upływ czasu sprawił, że poczuła się bezpieczniej. Wróciła na miejsce.

– Kto mógł zabić prezesa Woronowicza? – odezwała się kobieta siedząca pośrodku. Miała na imię Wioletta.

– Pracujemy nad tym.

W jej oczach była troska, ale i zniecierpliwienie.

– Nie powinien pan zajmować się inną sprawą. Prezes Woronowicz zasługuje, żeby znaleźć jego mordercę. To był przyzwoity człowiek, dobry przełożony.

Zadzwoił telefon i odebrała. Gdy skończyła, Kruk wyczekał i złowił jej wzrok.

– Zrobimy wszystko, żeby znaleźć zabójcę.

– Naprawdę? A ile to potrwa? Zajmuje się pan jakąś sprawą sprzed dwudziestu lat, co tylko oznacza, że przez dwadzieścia lat nie znaleźliście sprawcy.

Ostatnie słowa wymówiła z naciskiem. Należała do kobiet, które lubią postawić na swoim i łatwo nie odpuszczą, kiedy wydaje im się, że mają przewagę.

– Sprawcy tamtego zgwałcenia są policji znani.

– To po co pan wciąż nad tym siedzi?

Kruk spojrział, czy to właściwy moment. Wszystkie trzy przerwały pracę, patrząc na niego.

– Bo to okropna sprawa. Noc, pusta ulica, samotna kobieta wraca do domu. Z naprzeciwka wychodzi trzech pijanych mężczyzn. Kobieta nie chce ich prowokować, przechodzi na drugą stronę ulicy. Ale właśnie to ich prowokuje, sprowokowałyby ich wszystko. Zaczynają ją zaczepiać, a ona rzuca się do ucieczki. Biegnie z trudem, nosi szpilki.

Zadzwoił telefon na biurku trzeciej kobiety. Siedziała najdalej, jej plakietka była trudno widoczna, ale dało się dostrzec, że nazywała się Irena. Odebrała, pośpiesznie coś zapisała i odłożyła słuchawkę.

Żadna z pozostałych kobiet nie wróciła do swoich czynności. Czekwały na ciąg dalszy, Kruk wystarczająco je zaciekawił.

– Podobno nie krzyczała. Niektórzy ludzie nie umieją krzyczeć o pomoc. To rodzaj wstydu: ich życie jest zagrożone, a oni nie potrafią wydobyć z siebie głosu, bo może to wszystko żart, może zostaną wyśmiani. Dziwne, ale prawdziwe.

– Co się z nią stało? – spytała kobieta z plakietką Wioletta.

– Dopadli ją. Zaciągnęli do pobliskiej altany śmietnikowej. Dalszą część może sobie pani wyobrazić.

Wyprostowała się. Spojrzała na niego z niechęcią w oczach.

– Nie chcę sobie tego wyobrażać.

– Jeśli policja zna sprawców – włączyła się Klara – dlaczego pan wciąż się tym zajmuje?

– Tego przestępstwa nigdy nie zgłoszono.

A przynajmniej wciąż nie udało się na nic trafić w archiwach.

– Zwyrrodnialców nie złapano?

– Niestety, ofiara najwyraźniej nie poszła na policję.

– Pan powiedział, że wie, kim byli. – W jej głosie pojawiło się napięcie.

– Jak mówiłem, to sprawa sprzed dwudziestu lat. Jako że ofiara prawdopodobnie nie została zamordowana i mówimy o samym zgwałceniu, przestępstwo się przedawniło. Prawo jest bezsilne.

Dziewczyna kręciła głową, jakby nie chciała przyjąć tego do wiadomości.

– To niesprawiedliwe, nie może tak być.

– Prawo jest prawo.

– I nie ma żadnej możliwości, żeby ich ukarać?

– Zgodnej w prawem? Nie ma.

Kruk złożył dokumenty do teczki. Zawiązał ją na tasiemkę.

– A niezgodnej z prawem? – spytała cicho dziewczyna.

– Ktoś już się tym zajął i dlatego mam sporo pracy. Jeden z oprawców od kilku dni nie żyje. Znaleziono go bez głowy na tym samym śmietniku, na którym dwadzieścia lat wcześniej, wraz z dwoma innymi, zgwałcił tę kobietę.

Zadzwonił telefon na biurku Ireny. Nie odebrała go. Zadzwonił telefon na biurku Klary.

Kobiety siedziały nieruchomo, telefony dzwoniły. Żadna się nie poruszyła i telefony wreszcie ucichły.

Kruk wstał.

– Pójdę już. Zastanawiam się, czy prezes Mulicki nie pomylił miejsca i nie czeka na mnie na komendzie. – Nikt mu nie odpowiedział. – Lubią panie swoją pracę?

Klara siedziała zamysłona, szczypiąc końcami palców czarną wstążkę przypiętą do bluzki.

– Tak – odpowiedziała bezmyślnie.

Obok biurka stała jej otwarta torebka, z której wystawał mały notes. Nie dało się nie dostrzec odręcznego napisu na okładce: *Mój Mały Osobisty Dzienniczek*. Chrząknął zmieszany, bo poczuł się tak, jakby poznał jakąś jej wstydliwą tajemnicę.

Za plecami Klary wisiała tabliczka z wygrawerowanym tekstem:
Misja firmy TRUST.

Kruk nie mógł się powstrzymać, podszedł i trochę poczytał. Czego tam nie było: przejrzyste zasady, dobro kontrahenta i pracownika, wzajemny szacunek.

– Jak napis w kiblu – powiedział.

20

Gdy Kruk pojawił się na komendzie, Mulicki czekał już półtorej godziny w pokoju przesłuchań w towarzystwie Radka Maszyńskiego. Nie rzucił się na komisarza z pretensjami. Uniósł tylko wzrok i powiedział bardzo spokojnie i bardzo smutno:

– Umawialiśmy się na ósmą. Pański wielki kolega kazał mi wyłączyć telefon, bo podobno tu telefonów nie wolno. Mogłem jedynie siedzieć i czekać, aspirant Maszyński nie pozwolił mi stąd wyjść.

– Tylko grzecznie prosiłem – powiedział flegmatycznie Maszyński.

- A gdzie pan chciał iść? – spytał Kruk.
- Przyszedłem tu z własnej woli, a pan mnie uwięził.
- Przesadza pan. Proszę jeszcze chwilę poczekać. I niech pan sobie włączy telefon, jeśli pan musi.

Kruk poszedł do swojego pokoju i schował w szafie dokumenty napadu na monopolowy. Wyjął teczkę z zabójstwem Woronowicza i wyciągnął stamtąd kilka zdjęć. Włożył je do szarej koperty i zabrał ze sobą.

Gdy Kruk wrócił do pokoju przesłuchań, na stole leżała włączona komórka Mulickiego: Samsung najnowszej generacji w skórzanym etui.

- Przeczytałem wiadomość od asystentki – powiedział. – Ściągnął mnie pan tutaj, odłączył od telefonu, na straży postawił osiłka i poszedł do mojej firmy. Po co?

Kruk usiadł i zwrócił się do Radka Maszyńskiego:

- Dzięki, osiłku, możesz iść.

Maszyński podniósł się. Był rzeczywiście potężnym facetem, gdyby kiedyś policja kręciła film werbunkowy, Radek powinien w nim zagrać. Wzbudzał odruchowy szacunek u mężczyzn, a kobiety czuły się przy nim bardzo bezradne. Na nieszczęście bądź szczęście dla kobiet, w ogóle tego nie widział. Miał żonę, którą kochał, i małe dzieci. Często chodził niewyspany, tłumaczył, że to z powodu dzieci, ale może i z powodu żony. Wyszedł bezszelestnie, zamykając za sobą drzwi.

- Nie zadzwonił pan do biura, żeby się dowiedzieć?
- Asystentka powiedziała, że czekał pan na mnie godzinę, a potem pan wyszedł.

Mulicki ubrany był w świetnie skrojony szary garnitur. Miał pobielające skronie i regularne rysy twarzy. Nie pasował do tego

pokoju. Wyglądał jak ktoś, kto wpadł tu w przerwie na kawę, aby kupić to miejsce i je wyburzyć.

– Mówiła jakoś tak dziwnie. Czy pan z nią o czymś rozmawiał?

W jego głosie pojawiło się napięcie. Czekał na odpowiedź, ale się nie doczekał, i rzekł z nadzieją:

– Czy po prostu pomylił pan miejsce spotkania?

Kruk pochylił się nad stołem, wbił w niego wzrok.

– Ustalmy coś. Tutaj ja będę zadawał pytania.

– Ponieważ nie muszę z panem rozmawiać, zadawajmy je obaj.

– Musi pan. Jest pan świadkiem w sprawie o zabójstwo. Świadczenie gadają, aż im się uszy trzęsą.

Mulicki się zastanowił.

– Dobrze. – Wyprostował się, rozłożył ręce. – Jaki cel ma to wszystko?

Kruk aż cmoknął.

– Znowu pytanie. Nawyk?

Mulicki siedział i czekał.

– Proszę opowiedzieć przebieg nocy z dziewiętnastego na dwudziestego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

– Krystian...

– Potrzebujemy pańskiej wersji.

– Wersji... Pan uważa, że Krystian kłamał?

Facet był świetny. Zadawanie pytań musiało być jego dziejową misją. Zadawał je spokojnie, z niejakim namysłem, ale wciąż były to pytania.

Kruk gapił się na Mulickiego. Wreszcie coś do niego dotarło.

Zaczął mówić. Opowiedział przebieg całego wydarzenia sprzed lat. Wszystko się zgadzało z opowieścią Brandta. Ich nocna droga i picie wódki, samotna kobieta, śmietnik na Jabłońskiego i wszystkie

późniejsze wydarzenia z wyjątkiem jednego. Nie wspomniał o uderzeniu kobiety i pozostawieniu jej martwej na śmietniku. Ale Kruk przecież wiedział, że ten temat pojawia się dopiero po dziewięciu godzinach rozmów.

– I co ja mam z panem zrobić? – powiedział Kruk, gdy Mulicki skończył. Słuchał go uważnie i bardzo mu się nie spodobało to, co usłyszał.

– Wiem, że Krystian zeznał, że na koniec Marek uderzył tę kobietę, a ona straciła przytomność. Nie potwierdzam tego. Krystian również to wycofa. Wymusił pan na nim to zeznanie podczas całonocnego przesłuchania.

Kruk machnął lekceważąco ręką. Bali się, podejrzenie zabójstwa byłoby podstawą do wszczęcia postępowania.

– Wiem, że to kłamstwo.

– Naprawdę?

– To pan ją uderzył.

Mulicki nie zareagował. Dopiero po chwili zapytał:

– Krystian powiedział, że to ja?

– Skądże. Posłusznie wskazał na Woronowicza.

– Ale pan myśli, że to ja?

– Tak, tak właśnie myślę.

– Mogę spytać dlaczego?

– Cały czas pan o coś pyta. Ale dobrze, wyjątkowo, niech pan zapyta.

Mierzyli się wzrokiem. Mulicki ciężko odetchnął i spytał:

– Dlaczego?

– Przebieg zdarzenia, opowiedziany mi przez pana i pana Brandta, jest identyczny.

– Ponieważ mówimy prawdę.

Kruk cofnął swoje krzesło, rozparł się na nim, popatrzył na siedzącego przed nim mężczyznę z odrobiną znudzenia, które zaczynał czuć.

– Ludzka pamięć nie jest obiektywnym i niezmiennym rejestrem na dysku. Za każdym razem, gdy odtwarzamy w pamięci wspomnienie, przekształcamy je. Giną nam jedne szczegóły, pojawiają się inne, bo wyszarpujemy je z otchłani podświadomości albo je wymyślamy, bo chcielibyśmy, by tam były. Korygujemy wspomnienie, bo nie możemy się pogodzić z jego niektórymi aspektami. Zabarwiamy je aktualnym nastrojem, ulegamy sugestiom ludzi, z którymi dzielimy wspomnienie, racjonalizujemy i wierzymy we własne racjonalizacje. Im częściej coś wspominamy, tym większa szansa, że wspomnienie ulegnie wypaczeniu. Zwłaszcza wspomnienie sprzed dwudziestu lat.

– Do czego pan zmierza?

– Po tylu latach oczekiwałem od was dwóch mniej więcej zbliżonych lub nawet dość różnych historii.

– Nie są zbliżone?

– Dostałem historie identyczne, i co jeszcze bardziej niepokojące, wyrażone tymi samymi słowami.

– Co to znaczy dla pana?

– Przedstawiliście mi uzgodnioną wersję wydarzeń. O tym, że będzie uzgodniona, domyśliłem się już wtedy, gdy Brandt pobiegł do pana po pozwolenie na otwarcie ust. No to popracowałem nad nim trochę, żeby się przebić głębiej. Nad panem pracować mi się nie chce. Nie wiem, jaka była pierwotna wersja, ale wątku potencjalnej śmierci ofiary nie mógł pan zaakceptować, bo to przestępstwo, które wciąż można ścigać, dlatego się z tego wycofacie.

Mulicki przymknął powieki, chwilę tak trwał.

– Jeśli kobieta została uderzona, czego nie potwierdzam, dlaczego pan sądzi, że ja to zrobiłem?

– Ja wiem, że została uderzona, i obstawiam, że pan to zrobił. Gdyby zrobił to Brandt, nie leciałby do pana po zgodę. Gdyby zrobił to martwy w tej chwili Woronowicz, w ogóle nie byłoby tematu. Poza tym jest pan prezesem zarządu.

– Ależ to nie ma nic do rzeczy!

– Jakoś pan nim został. Raczej nie dlatego, że w różnych sytuacjach trzymał się pan z tyłu.

– Myli się pan, jest... było nas trzech. Jestem prezesem zarządu, ale wszystkie najważniejsze decyzje podejmujemy zawsze... podejmowaliśmy wspólnie. Głosowaliśmy, liczyła się większość głosów.

– Jakoś mnie pan nie przekonał – wyszczerzył zęby Kruk.

– Dlaczego mi pan to wszystko mówi?

– A dlaczego nie? Nie prowadzę śledztwa przeciwko wam. Nic wam nie mogę zrobić.

W oczach Mulickiego błysnęło.

– Natomiast może pan próbować zniszczyć nas wizerunkowo.

– Musząc przebijać się przez wasze kłamstwa, tracę czas. Zdajecie się zapominać o kontekście naszych rozmów. Rozmawiamy, bo ktoś zabił jednego z was, a w kolejce czeka dwóch pozostałych.

Zapadła cisza.

– Nie wiedziałem, że jest jakaś kolejka.

– Wie pan, takiego przedsiębiorstwa nie stworzył idiota.

Mulicki się zamyślił.

– Na co możemy liczyć ze strony policji?

– Mamy kogoś pod domem Krystiana Brandta, bo to on dostał głowę w prezencie. Pan też może się cieszyć, bo mieszkacie obok siebie. Zwiększyliśmy liczbę patroli w okolicy.

– Mamy więc czuć się bezpieczni?

– Możemy w ogóle odwołać ludzi, jak się nie podoba. – Kruk rzucił na stół szarą kopertę. – To chyba pańska przyszłość.

Mulicki nieśpiesznie otworzył kopertę i wyjął plik zdjęć. Kruk dał mu fotografie zrobione na miejscu ujawnienia zwłok Woronowicza i obserwował reakcję. Mulicki oglądał zdjęcia spokojnie, jednak w miarę jak przekładał kolejne, ręce zaczęły mu drżeć.

Znieruchomiał, gdy dotarł do fotografii przedstawiającej napis na skórze. Wpatrywał się w nią całą minutę. Zostało mu jeszcze kilka fotografii, ale ich nie obejrzał. Złożył zdjęcia, włożył do koperty i położył ją na stole.

– A więc to prawda, przeżyła – szepnęła. – Od tylu lat biję się z myślami, wracam pamięcią do tamtej przeklętej nocy i usiłuję odgadnąć, co mogło się z nią stać.

– Dlaczego uważa pan, że przeżyła?

Mulicki uniósł wzrok. Popatrzył na Kruka dziwnie lekko, jakby do tej pory coś go gniołło, a on się pozbył ciężaru.

– Jeśli człowiek, który zabił Marka, wie o tym, co zabrał Krystian, i o tym, co wtedy powiedział, musiał się jakoś tego dowiedzieć. Ona przeżyła, komisarzu.

Kruk wrócił myślami do przesłuchania Brandta. Cofnął się dalej, do wizyty u Brandtów w nocy, gdy podrzucono im głowę, i jeszcze dalej, do szesnastego września tego roku, kiedy Zuzanna Brandt została napadnięta. Mulicki myślał tak samo jak wcześniej Kruk, ale Kruk poszedł już o krok dalej.

– Brandt wypaplał to swojej żonie. Pan o tym wie, bo z tego powodu odeszła od pana pańska pierwsza żona.

Lekkość w postawie Mulickiego gdzieś znikła. Wyglądało, jakby nagle zwałił się na niego cały świat.

– Zuza nie powiedziała nikomu, jest na to za bystra. Małgosia stara się z całych sił, żeby nic nie wiedzieć. Dorota odeszła i nie chce mnie widzieć, ale to właśnie dlatego, że chce zapomnieć o mnie, albo już zapomniała. Nie chodzi i nie rozpowiada o naszym życiu.

– Wierzy pan w to, w co chce pan wierzyć.

– Nie, komisarzu – powiedział cicho. – Do tej pory nic nie wyszło poza nasz krąg.

– Po co to było? Pan był prowodyrem, niech pan nie zaprzecza, bo to obraża moją inteligencję. Niech pan odpowie, po co to zrobiliście?

Mulicki wyraźnie zamierzał zaprotestować, ale rzut oka na Kruka sprawił, że zmienił zdanie. Przygarbił się.

– Przecież Krystian panu powiedział.

– Ona się nie liczyła, chodziło o przypiecztowanie paktu między wami? Akt pierwotnej podłości, abyście mogli zawsze sobie ufać? Tak pan to sobie wtedy wymyślił?

Mulicki długo siedział nieruchomo, a w końcu niechętnie skinął głową. Kruk zastanowił się, czy nie dałoby się jednak tego wszystkiego podpiąć pod inny paragraf. Zmowa przestępca, zorganizowana grupa. Może trzeba było pogadać z Martą Krynicką. A potem wyobraził sobie, jak by wyglądała w praktyce próba oparcia na tym oskarżenia, przierzucanie się paragrafami przez prawników, i niespecjalnie go ta wizja porwała.

– Kim ona była? – warknął Kruk.

Mulicki wzruszył ramionami.

– Gdyby potrafił pan sobie wyobrazić, jak bardzo chciałbym wiedzieć.

– A co by pan zrobił, gdyby pan wiedział?

– Chciałbym, żeby zrozumiała, jak bardzo żałuję. Pokazałbym jej, jak wygląda moje życie. Co robię dla ludzi, żeby zatrzeć zło, które

uczyniłem. Poprosiłbym ją, żeby mnie nie nienawidziła, tylko tyle.
Bo wiem, że na wybaczenie nie zasługuję.

Mulicki popatrzył na Kruka.

– Zrobiłbym to wszystko, jeśli znalazłbym w sobie dość odwagi.
Bo czasem myślę o tym i boję się, że by mi jej zabrakło i nie
zrobiłbym nic.

Kruk pokiwał głową.

Miał ochotę roześmiać mu się w twarz.

21

Całą resztę dnia Kruk spędził na komendzie. Niemal dwie godziny stracił z Marcinem u zastępcy komendanta, gdzie relacjonował szczegóły sprawy. Woronowicz był liczącym się przedsiębiorcą, znał kilku ważnych ludzi, podobnie jak znali ich jego wspólnicy, zastępca chciał się upewnić, że w sprawie nie ma wątków politycznych.

Kruk go zapewnił, że nie ma. Gdyby zastępca się uparł, Kruk z kamienną twarzą zapewniłby go także, że nie będzie, żeby tylko mieć spokój i wrócić do czynności.

W archiwach brakowało jakichkolwiek wzmianek o wydarzeniu na ulicy Jabłońskiego zrelacjonowanym przez Brandta. Żadnych zgłoszeń, które mogły pasować. Sprawdzono cały październik dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Potem sprawdzono listopad, a wkrótce także wrzesień, grudzień oraz styczeń i luty następnego roku.

Nic.

Kruk zlecił przepatrzenie zaginięć z tamtego okresu. Jeśli się mylił i kobieta nie żyła, ktoś z jej rodziny lub znajomych musiał zgłosić zaginięcie.

Nie natrafiono na nic, co by pasowało na tyle, by zwrócić uwagę komisarza.

Kruk też spędził trochę czasu w archiwum, usiłując pomóc w poszukiwaniach i znaleźć coś, czego inni nie znaleźli. Radek i Kryśka pracowali w terenie, zbierali informacje. Póki co, oni także nie mieli dla niego nic interesującego.

Dzień był senny. Około osiemnastej trzydzieści poczuł, że przestaje myśleć. Poddał się i pojechał do domu. Zjadł, wziął zimny prysznic, ale to nic nie dało. Położył się na chwilę i obudził o piątej rano następnego dnia.

Długo pił kawę, nie śpiesząc się z opuszczeniem mieszkania. A gdy w końcu wyszedł, dochodziła ósma i wybrał się na Jabłońskiego.

Stanął na ulicy przed altaną śmietnikową, w której znaleziono zwłoki Woronowicza. Było chłodno, szaro, blade jesienne słońce z rzadka wyglądało zza chmur. Było też pusto. W sobotę rano w taką pogodę ludzie nie śpieszyli się z opuszczaniem domów. Kruk włożył ręce w kieszenie kurtki. Altana była niewielka, więc pojemniki na szkło, papier i tworzywa sztuczne stały na zewnątrz. Znajdował się tam jeszcze pojemnik Caritasu. Altana miała brzydki stalowy dach i wejście od strony ulicy. Obok stał trzepak, a z tyłu rosły krzewy i drzewa.

Kruk myślał o tym, jak to miejsce wyglądało w dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Ile się od tego czasu zmieniło. Wróciło to dziwne uczucie, które już naszło go podczas oględzin. Znajdował się pośrodku osiedla, ale budynki, ten z tyłu altany i te po drugiej stronie ulicy, zwracały się ku niemu ślepyimi ścianami. Inne bloki dzieliła od miejsca, gdzie stał, pewna odległość.

Przyszła mu na myśl kobieta, która szła tu pewnej nocy dwadzieścia lat temu. Jak bardzo samotna i bezradna musiała się poczuć, gdy odkryła, że choć była pośród ludzi, to znalazła się na pustkowiu, a świat odwrócił się od niej.

Czy ktoś z mieszkańców osiedla coś słyszał lub widział? Dwadzieścia lat to bardzo długo, ilu ludzi z tamtych czasów wciąż tu mieszkało, czy było kogo pytać? Kruk nie przyszedł rozmawiać z ludźmi. Dwadzieścia lat temu pijani oprawcy zostawili tutaj kobietę, o której myśleli, że nie żyje. Zastanawiał się, co mogło się z nią stać.

Wrócił do samochodu.

Bezpośrednio z Jabłońskiego pojechał na Barniewicką. Podczas wizyty Mulickiego na komendzie Kruk zapomniał zadać mu pytanie o jego samochód. Nikt nie odpowiadał na dzwonięcie. Domy jego przyjaciół także stały puste, nie było policyjnych obserwatorów pod domem Brandta.

Kruk wykonał kilka połączeń i dostał informację, że Brandt jest na pogrzebie Woronowicza. Zaklął. Małgorzata Woronowicz szybko i dyskretnie załatwiała swoje sprawy. Kruk wybrał numer naczelnika Zycha. Zagapił się, ale może dało się to jeszcze naprawić.

– Potrzebuję pilnie fotografa – powiedział.

22

Dominika Wola-Karłowicz przyglądała się ceremonii z oddalenia. Przyszło niewielu ludzi niczym czarna mała chmura otaczająca księdza, trumnę i świeżo wykopany grób. Ona sama stała przy

nagrobku kogoś, kto zmarł w siedemdziesiątym trzecim, a stan nagrobka wskazywał, że leżący tam człowiek dawno już nie miał gości.

To nie było istotne. Widziała żonę tamtego, jego dzieci. Widziała dwóch pozostałych, tuż przy księdzu, z rodzinami. Patrzyła na ich kobiety. Jedną z nich, Zuzannę Brandt, znała, a ta druga była taka młoda. I piękna. Co by zrobiła, gdyby Dominika jej powiedziała? Może jej powie. Spotka ją gdzieś przypadkiem, w sklepie, galerii, gdziekolwiek. Zapoznają się, usiądą przy kawie, aby porozmawiać. I wtedy się dowie.

Tamta młoda kobieta spojrzała na mężczyznę, z którym była, i głębiej wsunęła dłoń pod jego ramię. Przytuliła się, jakby chciała mu dodać otuchy. Ktoś się przesunął i Dominika straciła ich z oczu. Wiedziała, że nigdy nie pójdzie się z nią zapoznać.

Młody mężczyzna w ortalionowej kurtce robił z oddali zdjęcia żałobnikom aparatem z długim obiektywem. Musiał być z policji. Dominika uznała, że na nią czas. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie przyjść, ale tak naprawdę lepiej byłoby dla niej tu nie przychodzić.

Stała, widziała ich, a oni nie podejrzewali, że ona jest tutaj. To było dziwne uczucie, dodawało mocy. W jakiś fascynujący sposób było to uczucie przyjemne.

Czuła się jak czarny anioł zwiastujący śmierć.

W każdym razie trumna jednego z nich wędrowała do ziemi.

Ta myśl sprawiła, że się uśmiechnęła.

– Mnie też pogrzeby bawią – usłyszała głos obok siebie.

Słowa te wypowiedział wysoki mężczyzna w czarnej kurtce, którego przed chwilą widziała, jak spaceruje między grobami i tak jak ona przygląda się żałobnikom.

– Jest coś pocieszającego w tym, że niektórzy ludzie umierają – dodał.

Odwróciła się do niego plecami, naciągając mocniej ozdobny szal, aby przesłonić twarz.

– Czyj to grób? – spytał. – Dawno zmarły krewny?

Cofnęła się, żeby odejść. Zastąpił jej drogę. W uniesionej dłoni trzymał policyjną odznakę.

– Komisarz Sławomir Kruk z Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku. Proszę o dowód osobisty.

– Dlaczego? – spytała, czując, że ogarnia ją panika. Po co tu przychodziła? Dlaczego nie została w domu, zamiast wybierać się na pogrzeb oprawcy?

– Rutynowe czynności.

– Legitymujecie ludzi na cmentarzu?

– Zdarza się.

Zaczęła przetrząsać torebkę, mając świadomość, że robi to na próżno. Nie miała ze sobą dokumentów. Nigdy ich nie nosiła.

– Chyba zapomniałam – powiedziała, zmieniając taktykę. Uśmiechnęła się do policjanta i rozłożyła bezradnie ręce.

Nie oddał uśmiechu.

– Gdzie pani mieszka?

– Nie rozumiem...

– Pójdziemy po dokumenty.

– Czy to konieczne?

– Jak się pani nazywa?

Zawahała się.

– Dominika Wola-Karłowicz – odruchowo ściszyła głos.

– Chciałbym potwierdzić pani tożsamość.

– Dlaczego?

Policjant uważnie się jej przyglądał.

- Jak pani tu dotarła?
- Mam samochód na parkingu.
- Zadowolę się prawem jazdy.
- Nie prowadzę. – Zawahała się. – Mam kierowcę.
- Gdzie pani pracuje?
- Czemu pan pyta?
- To tajemnica?
- Odpowiadam za kontakty z klientami w firmie inwestycyjnej.

Odniosła wrażenie, że jej odpowiedź go zastanowiła. Spojrzał na jej dłoń.

– Chodźmy do samochodu. Zaczekam z panią, niech kierowca pojedzie po dokumenty. Chyba że pani zadzwoni i ktoś inny je przywiezie.

- On potwierdzi moją tożsamość.
- To mi nie wystarczy.
- Nie może pan...
- A jednak to robię.
- Nic nie zrobiłam.
- O nic pani nie oskarżam.

Ceremonia miała się ku końcowi, pierwsi żałobnicy zaczęli się rozchodzić. Niektórzy zmierzali w ich stronę.

– Dobrze – powiedziała pośpiesznie. – Chodźmy do samochodu.

Wyszli z cmentarza. Jej mercedes stał zaparkowany nieco z boku. Maksym czekał oparty o maskę, niedbale palił papierosa.

Na jej widok uniósł głowę i rzucił niedopałek na ziemię. Zorientował się, że nie wraca sama, towarzyszy jej ten człowiek, i jego twarz z jakiegoś powodu stała się czujna.

– Ten pan jest z policji – powiedziała. – Zapomniałam dokumentów, proszę, żebyś pojechał do mnie i je przywiózł.

Podowała mu klucze od domu. Był jej zaufanym człowiekiem, mogła powierzyć mu wszystko. Spojrzała na komisarza, który przyglądał się rzuconemu niedopałkowi i na coś czekał.

Wymieniła z Maksem spojrzenia.

– Mógłbyś? – powiedziała i nie musiała kończyć. Maks podniósł niedopałek, przyjrzał mu się krytycznie, po czym leniwym krokiem powędrował do pobliskiego kosza na śmieci, gdzie go zmiażdżył i wyrzucił.

Z cmentarza zaczęli wychodzić uczestnicy pogrzebu. Dominika odwróciła się do nich plecami i stanęła twarzą do policjanta.

– Właściwie to jestem umówiona. Jeśli tu zostanę, spóźnię się.

– Szkoda, że nie ma pani dokumentów.

– A może zgodziłby się pan pojechać z nami. Pokażę panu dokumenty, Maksym pana odwiezie, a ja będę mogła udać się na spotkanie.

Zaproponowała to bez cienia nadziei, że się zgodzi.

– Nie – odparł.

Nie chciała, żeby ją ktoś tu widział. Żeby widzieli ją tamci ludzie. Może nie było po temu racjonalnych powodów, ale pragnienie było silne. Rzuciła przerażone spojrzenie za siebie. Niektórzy szli w ich stronę. Był pośród nich Krystian Brandt.

Ogarnęła ją złość na tego policjanta. Nie miał prawa tak postępować. Powinien podać jej powód legitymowania, miała prawo żądać od niego podstawy prawnej, a jemu powinno wystarczyć wylegitymowanie Maksa i przyjęcie jego poświadczenia jej tożsamości. To, co się teraz działo, naruszało jej dobra osobiste. Otworzyła usta, by mu zagrozić, że złoży zażalenie do sądu.

– Bardzo pana proszę – powiedziała.

Nieśpiesznie popatrzył tam, gdzie ona przed chwilą patrzyła. Przeniósł wzrok na nią. W oczach miał coś nieokreślonego.

– Właściwie czemu nie.

Usiadł na tylnym siedzeniu, a ona uciekła na miejsce obok Maksa i pochyliła się, udając, że szuka czegoś w schowku. W tym czasie Maks sprawnie wyprowadził samochód z parkingu, manewrując między żałobnikami. Odetchnęła i się wyprostowała. Mercedes wjechał na aleję Żołnierzy Wyklętych.

– Pani wie, kogo chowano? – spytał policjant.

– Nie.

– Nie wie też pani, jak zginął?

– Nie.

– Odniosłem wrażenie, że pani nie chciała rzucać się w oczy.

– Skąd taki pomysł?

– Stąd, że efekt był dokładnie przeciwny. Była pani najbardziej rzucającą się w oczy osobą na całym cmentarzu. Przepraszam, ale musiałbym bardzo się starać, żeby nie zwrócić na panią uwagi.

Przyszło jej na myśl, że powinna przestać próbować zbyć tego człowieka. On na to nie pozwoli, a te jej nieporadne próby sprawiały tylko tyle, że zyskiwał nad nią coraz większą przewagę.

– A co spowodowało, że pan zwrócił?

– Przed wszystkim jest pani świetnie ubrana, to zawsze zwraca uwagę. Na czarno, ale poza konduktem. Mocno bolała pani nad grobem, niestety, co chwila nad innym, a ostatnim wyborem stał się dla pani grób sprzed pięćdziesięciu lat. Nie spuszczała pani wzroku z pogrzebu, szczerze mówiąc, tak samo jak my. No i to notoryczne osłanianie twarzy przed wiatrem, którego nie ma. Pani nie zauważyła, ale gdy wyszło słońce, pani zaczęła osłaniać twarz nawet mocniej, więc może to o słońce chodziło. Jest pani wampirem?

Rzuciła na niego szybkie spojrzenie. Nie potrafiła odgadnąć, co sobie myśli. Wzruszył ramionami.

– Ja to rozumiem, kondukt pogrzebowy był wtedy najbliżej pani. Jeszcze by ktoś panią rozpoznał.

– Co pan sugeruje?

– Jest pani inteligentną kobietą, to widać od razu. Nieracjonalne zachowanie oznacza wielkie emocje.

– Jest pan znawcą emocji?

– Przyszedłem na cmentarz, aby przyjrzeć się osobom biorącym udział w pogrzebie. Proszę mnie nie obwiniać, że jak patrzę, to widzę.

– Nie przyszedłem na pogrzeb. Spacerowałam po cmentarzu.

Policjant nie powiedział nic. Maks patrzył na drogę przed sobą i udawał, że niczego nie słyszy.

– Jeśli chodzi o słońce, biorę antybiotyk. Mam zakaz ekspozycji na promieniowanie UV.

Podjechali pod jej dom na ulicy Polanki, wjechali na podjazd, zaprosiła policjanta do środka, ale pozostawiła go w przedpokoju. Pobiegła do sypialni i przyniosła dowód osobisty oraz prawo jazdy.

– Dominika Wola-Karłowicz – przeczytał. Wyjął z kieszeni notes, spisał dane. Oddał jej dokument wraz ze swoją wizytówką.

– Po co mi ona?

– Na wszelki wypadek.

– Na jaki?

– Po co poszła pani na pogrzeb?

– Nie poszłam na pogrzeb, mówiłam, że byłam na spacerze.

Zabrzmiało to tak, jakby nie uwierzyła samej sobie. Skinął głową.

– Pokaże mi pani antybiotyk, który pani bierze? A jeśli właśnie się skończył, poproszę nazwisko lekarza, który go pani przepisał.

– Nie ma pan prawa...

– Nie mam.

Obracała w palcach jego wizytówkę. Wydział dochodzeniowo-śledczy.

– Rzeczywiście, dziś wzięłam ostatnią dawkę.

Przyjął to bez zdziwienia. Nie zapytał ponownie o lekarza, jakby uważał, że nie warto. Stał w holu, lustrując otoczenie, może na coś czekał. Jeśli na zaproszenie do pokoju, nie miała zamiaru go zapraszać.

Wyjął z kieszeni komórkę, sprawdził na wyświetlaczu godzinę.

– Powiniennem już być na komendzie. Spełni pani obietnicę i zapewni mi podwózkę?

– Tak, ale czy nie zostawił pan samochodu na cmentarzu?

– Przypomniałem sobie, że umówiłem się z Mulickim i Brandtem. To przyjaciele tego człowieka, którego dzisiaj chowano. Bezpośrednio z cmentarza mają przyjechać do mnie.

Starła się unikać jego wzroku.

– Może zabierze się pani ze mną, pozna ich pani?

– Co? – Poczula, jak blednie. – Po co?

Wzruszył ramionami.

– A może już pani zna Krystiana Brandta? A jego żonę?

– Czego pan ode mnie chce? – Dominika usłyszała siebie, jak podnosi głos. Nie chciała tego, ale nic nie mogła na to poradzić. – Czemu się pan do mnie przyczepił? Czemu nie da mi pan spokoju?

Krzyczała. Policjant tylko na nią patrzył i nagle zrozumiała, że skłamał. Nie był umówiony z tamtymi.

– Proszę się uspokoić – powiedział. – Nie spotka ich pani. I nikt mnie nie musi odwozić.

Nie mogła się uspokoić, nie potrafiła.

– Już dobrze. – Z wahaniem dotknął jej ramienia. – Już dobrze.

Wychodząc, Kruk natknął się na kierowcę. Stał w tej samej pozycji jak na cmentarzu, oparty o maskę samochodu, paląc papierosa z zachłannością człowieka, który na inne przyjemności nie ma co liczyć.

Ich spojrzenia się spotkały i żaden swojego nie cofnął. Maks, czy jak on się tam nazywał, wypuścił tylko dym z płuc. W jego postawie było coś wyzywającego.

– Proszę o dowód osobisty – powiedział Kruk.

Facet się nie oburzył, nie spytał o powód, nie gardłował, że Kruk nie ma prawa. Swoje odczekał, po czym sięgnął do schowka w samochodzie i wyciągnął stary portfel. Dał go Krukowi, nie troszcząc się o wyjęcie dowodu. Komisarz musiał sam sobie poradzić. Były tam jeszcze prawo jazdy, dwie wysłużone karty debetowe, dowód rejestracyjny samochodu Dominiki Woli-Karłowicz, kilka wymiętych kuponów Lotto, potwierdzenie ubezpieczenia i samotny błękitny banknot pięćdziesięciozłotowy.

– Na łapówkę za mało – zagadał Kruk, wskazując pieniądze.

Spisał nazwisko i adres z dowodu. Maksymilian Nawajski, mieszkał niedaleko, druga liczba po nazwie ulicy wskazywała, że w bloku. Ponieważ była to wysoka liczba, facet zajmował lokal na którymś z wyższych pięter wieżowca.

Kruk oddał mu portfel.

– Od dawna pracuje pan jako kierowca? – spytał.

Nawajski wypuścił kłęb dymu, popatrzył na Kruka i rzucił niedopałek na podjazd. Leżało tam wiele innych niedopałków, musiał mieć dyspensę od właścicieli na zaśmiecanie posesji.

Wyciągnął paczkę starych, dobrych marlboro i nieśpiesznie wysupłał kolejnego papierosa.

– Poczęstuje mnie pan? – spytał Kruk.

Nawajski spojrział na niego wzrokiem zupełnie bez wyrazu, po czym podał mu paczkę. Kruk włożył papierosa do ust, odpalił użyzoną zapalniczką. Zwykle nie palił, ale widok marlboro przypominał mu czasy, kiedy nigdzie nie ruszał się bez papierosów tej marki. Potem rzucił i całe lata nie dotykał papierosów w ogóle. Teraz palił okazyjnie. Czasem w takich sytuacjach jak ta.

Oparł się o maskę mercedesa, przyjął niemal identyczną pozycję jak tamten. Identyczne pochylenie, ten sam układ ramion, lekko opadająca głowa i oczy patrzące czujnie. Jak się upodabniasz do kogoś, możesz odczuć trochę z jego podejścia do świata. Kruk poczuł, że świat jest ogólnie pojebany, ale dobrze, że są fajki.

Wypalił i rzucił niedopałek na kostkę brukową.

– Brawo – pochwalił Nawajski.

– A już myślałem, że pan jest niemowa.

Nawajski zaproponował kolejnego papierosa. Kruk podziękował. Sprawdził godzinę. Nawajski najwyraźniej nie miał zamiaru kontynuować rozmowy. Kruk stał jeszcze chwilę, wreszcie wzruszył ramionami.

Tęsknie spojrział na drzwi wejściowe do domu. Ani drgnęły pod jego spojrzeniem i nikt się w nich nie pojawił.

– Z tym pilnym spotkaniem to też lipa – mruknął.

Nawajski uniósł brwi i zaciągnął się mocniej niż do tej pory.

– Do zobaczenia – powiedział Kruk i nie było to pożegnanie, tylko obietnica, po czym opuścił posesję.

Zamierzał wrócić po samochód piechotą, ale w okolicach Starego Maneża przebiegł przez ulicę w niedozwolonym miejscu i zatrzymała go policja. Chłopaki z patrolu podrzucili go na Srebrzysko, ale i tak zanim przepchnął się toyotą na komendę przez popołudniowe korki, było już po siedemnastej. Na biurku znalazł pendrive'a ze zdjęciami z pogrzebu. Wgrał je na swój komputer i przejrzał bez pośpiechu.

Niewiele mu to dało. Przeszedł się po pokojach, sprawdzając, czy jest coś nowego. Kryśka szła do domu. Kruk też opuścił komendę i poszedł na hamburgera, bo niedaleko, na jednej z uliczek Starego Miasta, pozostał z lata food truck.

Wrócił i znowu usiadł do dokumentacji sprawy. Przeglądał papiery jeden po drugim, czytał o rzeczach, które znał.

Uwagę Kruka nieodmiennie zwracał pewien detal. Wymagało to wyjaśnienia, a Kruk wciąż nie wyjaśnił tego z Mulickim. Otóż Woronowicz jeździł mercedesem, podobnie jak Brandt. Mulicki – jak Kruk zdążył się już zorientować – miał bmw.

Kruk mógł łatwo sprawdzić swoje podejrzenie, rozmawiając z serwisem, ale wtedy dostałby suche fakty, a co najgorsze, nie dałby Mulickiemu szansy na to, by skłamać.

Spojrzał na zegar na ścianie.

Uznał, że może już jechać.

Niedługo po osiemnastej znowu znalazł się na ulicy Barniewickiej. Cały dom Woronowiczów rozbłyskał światłami, w oknach poruszały się ludzkie cienie. Woronowicz nie żył, ale miał gości. U Brandtów było ciemno.

Przed domem Mulickich stał citroën berlingo z logo firmy ślusarskiej. Kruk wszedł na ganek. Jakiś mężczyzna kucał przy otwartych drzwiach i kończył wymieniać wkładki patentowe. Kruk powiedział „dzień dobry”, wyminął mężczyznę i znalazł się w domu. Hol był przestronny, posadzka wyłożona kamienną, biało-czarną szachownicą, przy drzwiach stał stolik, na nim otwarta kobieca torebka, klucze do samochodu i portfel. W wejściu do salonu stała pani Mulicka z kieliszkiem wina w dłoni, spoglądając na Kruka z ciekawym, rozchwianym wzrokiem.

- Ja do męża – powiedział.
- U sąsiadów. Stypy ciąg dalszy.
- Pani nie z nimi?
- Ktoś musiał wpuścić ślusarza.

Wychyliła kieliszek do dna. Zniknęła w pokoju. Kruk podszedł i stanął na progu, przyglądając się jej, jak nalewa sobie kolejny kieliszek wina z butelki, która już ledwie dyszała.

- Napije się pan, komisarzu Kruk?

Pamiętała jego nazwisko. Miło.

- Jestem na służbie, dziękuję.

– Niech pan wejdzie. Czuję się bezpiecznie, kiedy jest ze mną policja. Niedawno zgubiłam klucze. Karol najpierw to zlekceważył, ale teraz, po tym wszystkim, spanikował. – Podeszła do niego i wyciągnęła rękę, podając mu swój kieliszek. – Chociaż odrobinę, powie mi pan, czy to dobre wino.

Zakołysał winem w kieliszku, powąchał. Bardziej niż zapach wina czuł jej perfumy. Musiała wylać na siebie pół flakonu.

– Doskonałe. – Oddał jej kieliszek.

– Głupstwa pan mówi. Tandetny biały sikacz, którym nawet nie można się upić.

Wychyliła i ten kieliszek do dna. Była wyraźnie wytrącona z równowagi.

– Nie znam się na winach – powiedział Kruk.

– Naprawdę? To nie uchodzi. Karol też się nie zna, ale on się nie przyzna. Nauczył się na pamięć przewodnika po winach i każdego tym zanudza.

Wzięła go pod ramię i poprowadziła do stołu. Posadziła na ładnym ozdobnym krześle, a sama usiadła obok.

– Zostanie pan na noc i będzie nas bronił? Odkąd Krystian znalazł w krzakach przed domem głowę Marka, boję się wyjść do ogrodu.

– Kiedy wróci mąż?

– Z pewnością wcześniej, niżbyśmy chcieli. Czuje pan ode mnie perfumy?

– Troszeczkę.

– Trochę dziś przesadziłam. Bałam się, że przesiąknę odorem śmierci. Przesiąkłam?

Nachylił się do niej, a ona do niego, aby mógł ją powąchać, jak przed chwilą wino.

– Nie.

– Całe szczęście. Widziałam pana na pogrzebie, ale zniknął mi pan z oczu. W co zaplątał się Marek, że tak skończył?

– Sprawdzamy różne wątki.

– Oczywiście, pan nic nie powie.

– Pani niczego nie podejrzewa? Znała go pani.

– Nie za bardzo. Zbierał pocztówki. Był typem kolekcjonera. Rozumie pan, o czym mówię?

– Tak mi się wydaje.

– Równie interesujący, jak jego hobby. Nieszkodliwy dziwak. Dlaczego ktoś mu to zrobił?

Michalina Mulicka żyła w błogiej nieświadomości albo chciała sprawiać takie wrażenie.

– Niech mi pani o nim opowie.

– Coś więcej? Nie pił. Karolowi to nie przeszkadzało, ale Krystiana drażniło. Tego wieczora, kiedy Marek zniknął, Krystian wpadł do nas z Zuzą i trochę wypiliśmy. Karol zadzwonił po Gosię i Marka, ale przyszła sama, bo Marek gdzieś pojechał. Próbowwała dodzwonić się do niego, żeby do nas dołączył, jak wróci, ale miał wyłączoną komórkę. Ostatnio często o tym myślę. Widzę nas wszystkich przy tym stole, lekko pijanych i rozmawiających o błahostkach, widzę Gosię dzwoniącą do Marka, rozdrażnioną, że nie odbiera. Wcale jej to nie zaniepokoiło. Była tylko zła. A on może w tym czasie umierał.

Wzdrygnęła się. Wstała i podeszła do barku. Wybrała na chybił trafił kolejną butelkę. Wręczyła ją Krukowi wraz z korkociągiem.

– Gdy byłam mała, wierzyłam, że takie rzeczy się przeczuwa.

Kruk otworzył butelkę. Nie mogła się doczekać. Piła wino w milczeniu. Przyjemnie było przebywać sam na sam z tą kobietą i rozmawiać o krwawych zbrodniach.

Na szafce przy telewizorze stało zdjęcie ślubne Mulickich. Kruk podszedł tam, wziął zdjęcie i obejrzał je sobie. Para młoda stała przed urzędem stanu cywilnego w Gdańsku. Ona w beżowej garsonce, on obok niej. Sprawiali wrażenie dwójki ludzi szczęśliwych, że się spotkali.

Kruk przyglądał się zdjęciu, Mulicka przyglądała się jemu.

– Poznała pani jego pierwszą żonę? – spytał.

– Nie. Skąd to pytanie?

- Nie próbowała pani przestrzec?
- Przed czym?
- Przed swoim byłym mężem.
- Czemu miałyby mnie przestrzegać?
- Odeszła od niego. Dlaczego odeszła?

W jej oczach, pośród alkoholowej mgły, pojawiło się coś jakby podejrzliwość.

Kruk odłożył zdjęcie na miejsce. Wykonał gest, jakby miał zamiar zbierać się do wyjścia, ale ona go uprzedziła:

- Co pan chce mi powiedzieć?
- Nic. Po prostu pytam.

– Nie sędzę. Poznałam Karola pięć lat temu. Jestem pielęgniarką, pracowałam w szpitalu, Karol trafił na mój oddział z podejrzeniem choroby serca. Leżał tam chłopiec z nietypową wadą zastawki. Konieczna była droga operacja za granicą. Rodzice zorganizowali zbiórkę, ale to byli prości ludzie i nie mieli siły przebicia. W pół roku uzbierali jedną czwartą kwoty, a stan chłopca się szybko pogarszał.

Uśmiechnęła się do siebie, do Kruka, a może do Karola sprzed pięciu lat.

– Karol odbył badania, nie miał choroby serca i szybko wyszedł ze szpitala, ale zaangażował się w sprawę chłopca. Sam wyłożył znaczną kwotę, nagłośnił sprawę, rozpuścił wici wśród kontrahentów i znajomych. W ciągu dwóch miesięcy cała kwota została uzbierana i chłopiec miał operację.

- Co Karol Mulicki dostał w zamian?

Spojrzała na niego z urazą.

– List z podziękowaniem od rodziców chłopca. Pisany odręcznie na kartce A4 wydartej z brulionu. Zrobili kleks w prawym dolnym rogu, więc nie wyglądał pięknie nawet wtedy, gdy mu go wręczali.

- Wisi u niego w biurze?

– Tak. Tam właśnie go sobie powiesił.
– Czemu powiedziała mi pani o tym, gdy spytałem o jego żonę?
– Bo wysłał jej kopię tego listu. Na tym etapie, gdy go poznałam, pomógł już wielu ludziom. Za każdym razem wysyłał dowody wdzięczności byłej żonie. Gdy się rozstawali, powiedziała mu, że jest łajdakiem. Chciał jej udowodnić, że nie miała racji.

– Wzruszyło to panią?

– W jakiś sposób mi zaimponowało. Żona mu nie odpisywała, czasem próbował dzwonić, ale rzucała słuchawką. On przyjmował to z godnością i robił swoje.

– Dlaczego uważała go za łajdaka?

– Gdy zaczęli biznes, nie działali całkiem uczciwie. Gdy po latach się o tym dowiedziała, zostawiła go. Uważam, że musiała być trochę przewrażliwiona, to były inne czasy. Karol chciał jej udowodnić, że chociaż kiedyś postępował źle, to gdy już zarobił pieniądze, zaczął dzielić się z potrzebującymi.

– Ach tak – powiedział Kruk.

Zapadła cisza. Mulicka wróciła z podróży w przeszłość i chyba dotarło do niej, jaka jest teraźniejszość, bo opróżniła kieliszek do dna. Od razu znów sobie naląła.

– Ufa pani mężowi?

– On mi ufa. Mówi o wszystkim, wprowadza w każdy aspekt życia, który mnie interesuje, mam kartę do jego osobistego konta, znam PIN do jego komórki.

Wielkie rzeczy, Kruk też znał jego PIN. Maszyński podpatrzył Mulickiego, gdy uruchamiał telefon na komendzie, i umieścił PIN w aktach. Potraktował to jako wiedzę operacyjną.

Wyglądało na to, że Michalina Mulicka weszła w posiadanie wielu nieistotnych sekretów, aby to, co ważne, mogło pozostać zakryte przed jej wzrokiem.

Ślusarz zawołał ją z korytarza. Poszła tam, rozmawiali, wróciła i zaczęła rozglądać się za torebką.

– W holu – podpowiedział Kruk. – Na kamiennym stoliku.

Wybuchnęła śmiechem. Była już nieźle zrobiona. Znowu wyszła i Kruk słyszał, jak płaci. Ślusarz życzył jej wszystkiego dobrego. Pożegnał się i wyszedł.

Wróciła i rzuciła na stół pęk nowych kluczy.

Napiła się wina, tym razem spokojniej.

– Co teraz? – spytała. – Jak zakończymy ten dzień pełen śmierci?

Przyglądał się jej. Położyła dłoń na jego dłoni i stwierdziła:

– Może, dla odmiany, pocznjemy nowe życie?

Roześmiała się. Nie poruszył się. Cofnęła rękę.

– Przepraszam. – Potrząsnęła włosami, w tej chwili wydała mu się zupełnie trzeźwa. – To ponury dzień, a ja usiłuję zabawić się pana kosztem.

Kruk nie uważał, by miała za co przeproszać. Cokolwiek jej się wydawało, bawiła się tylko tyle, na ile jej pozwolił.

– Muszę wracać do reszty – powiedziała.

– Pójdę z panią. Wywoła pani męża?

Zamknęła dom na nowe zamki. Komisarz stanął przy swoim samochodzie, a ona poszła do Woronowiczów. Poruszała się zmysłowo, kołysząc biodrami. Jej ubiór, choć stosowny, był cholernie seksowny. Kruk patrzył w okna, próbując odgadnąć, która sylwetka może należeć do niej. Nie odgadł, cienie w oknach były zbyt niewyraźne.

Komisarz powiódł wzrokiem po trzech budynkach przy Barniewickiej, domach trójki przyjaciół. Stały w pewnym oddaleniu od innych zabudowań. Miał wrażenie, że ich posiadłości przytulały się do siebie, a pozostałe budynki przy ulicy wolały zachować dystans.

Kruk wiedział, że to głupie myślenie. Jasne było, że to Woronowicz, Brandt i Mulicki sami wybrali dla siebie właśnie takie, odsunięte od innych miejsce pod budowę domów, ale Krukowi bardziej podobało się myśleć, że to miasto się od nich odsuwało.

Wyszedł Mulicki.

– Mam pytanie – powiedział komisarz.

– Jako wstęp do dłuższego przesłuchania? Poprzednia rozmowa była dość krótka. Ile potrwa zadawanie tego jednego pytania? Dwanaście, trzynaście godzin?

Kruk wyszczerzył się do niego.

– Przykro mi, nie mam tyle czasu dla pana.

– Proszę zadać mi swoje pytanie.

– Jakim samochodem pan jeździ?

Spojrzenie Mulickiego poszybowało w stronę jego domu i stojącego tam bmw.

– Przecież pan widzi.

– Świetny samochód. Dobrze się go prowadzi? Nie psuje się?

– To bmw. Serwisuję go regularnie.

– Nie zgubię się nim w obcym mieście? Pytam, bo myślę o kupnie tego modelu. Sprzedają takie na raty?

Mulicki spojrzał na Kruka w zamyśleniu, a potem, ociągając się, zaczął mówić, potwierdzając podejrzenia komisarza.

Kruk słuchał z narastającą niechęcią. Facet nie usiłował się wybielić, nie racjonalizował.

Był szczery.

Przynajmniej częściowo.

Niedzielę Kruk miał wolną, a gdy przyjechał w poniedziałek na komendę, w ich pokoju był już Paweł Lalkarz. Uniósł wzrok zza swojego biurka, mruknął coś na powitanie.

Kruk powiesił kurtkę na wieszak. Paweł coś pośpiesznie przeklikał. W ostatnich miesiącach strasznie schudł. Eleganckie garnitury, które nosił, zwisały z niego smętnie jak z niedobranego wieszaka. Twarz miał zmęczoną. Tłumaczył, że słabo sypiał.

Weszła Krystyna Bielińska z informacją, że Kruk ma pilnie stawić się w gabinecie Marcina Zycha.

– Najpierw to – mruknął Paweł i przywołał Kruka gestem.

Wklepał coś na klawiaturze. Obrócił monitor swojego komputera w ich stronę, aby mogli zobaczyć.

Z ekranu patrzył mężczyzna otyły jak kamienica, grubo po pięćdziesiątce, w płaszczu i kapeluszu. Właściwie trudno było powiedzieć, że patrzył, bo twarz miał rozmytą, co znaczyło, że nie był osobą powszechnie znaną, zdjęcie zrobiono w sytuacji prywatnej i przysługiwała mu ochrona wizerunku. Tyle że grafik się nie przyłożył i dało się wyłapać rysy twarzy. Zdjęcie zostało umieszczone na jakiejś stronie internetowej. Kruk zwrócił uwagę, co to za strona.

– Kto to jest i jak doznał zaszczytu wzmianki na Blubelku? – spytał.

– Dla nas, bywalców i wielbicieli Blubelka – powiedział Paweł skromnie – to po prostu nowy chłopak Kasi Soronickiej.

– Tej od gotowania? – zainteresowała się Bielińska.

– Nowej gwiazdy programu kulinarnego telewizji publicznej. Ostatnio zerknąłem. Kasia umie ugotować idealne jajko na miękko.

– Cenna umiejętność – powiedział Kruk. – Właściwie to rodzaj sztuki.

– Ten program jest dla takich jak ty – ciągnął niezrażony Paweł. – Kasia stawia na dania proste, szybkie i pożywne. Zwraca się do widzów, dla których gotowanie to czary albo w gotowaniu stawiają pierwsze kroki. Kasia sama stawia w tym pierwsze kroki, ale ma wiele wdzięku i nosi bluzki z dekoltem.

– Ile Kasia ma lat?

– Dwadzieścia osiem, stoi u progu wielkiej kariery.

– A ten otyły starzec to jej chłopak? – upewnił się Kruk. Kasia od gotowania nie miała nic wspólnego z ich sprawą, ale przyjemnie było oderwać myśli od zabójstw i zanurzyć się w świat, gdzie szczyt kompetencji stanowiło ugotowanie jajka z wdziękiem. Taka była tajemnica zainteresowania Pawła Blubelkiem, Pudelkiem i innymi tego typu stronami. Czysty eskapizm.

– Aktualny. Są razem od trzech miesięcy. Dla Kasi być z kimś tak długo to szok, dziwię się, że nie poszła na terapię. Za to zdążyła udzielić kilku wywiadów, że to być może miłość jej życia. Ludzie pełni nienawiści wyszperali, że facet jest właścicielem wielkiego funduszu inwestycyjnego i jest warty kilkaset milionów. Błędnie łączą ten fakt z intensywnością uczuć Kasi.

– Pawełku – warknął Kruk, którego mimo wszystko zainteresowała wzmianka o funduszu. – Piękne to, ale czemu zwracasz mi tym głowę?

– Powinieneś się orientować.

– Koniec z Blubelkiem – powiedział Kruk. – Idę.

– Idź – mruknął Paweł i obrócił do siebie monitor. – O, coś nowego u Dody.

Bielińska zajrzała mu przez ramię i Kruk zostawił ich oboje.

Bez pukania wszedł do gabinetu naczelnika wydziału dochodzeniowo-śledczego. Zych spojrzał na niego groźnie, głównie dlatego, że nie był sam. Towarzyszył mu ogromny mężczyzna rozparty na krześle, ewidentnie dla niego za małym. Mężczyzna był wzburzony.

– Jest i komisarz Kruk – powiedział Marcin.

Ogromny mężczyzna natychmiast spurpurowiał na twarzy.

– Czego pan chce od mojej siostry? – powiedział cicho, ale z tłumioną wściekłością, podnosząc się przy tym z miejsca.

Kruk wyszczerzył do niego zęby, choć tak naprawdę szczerzył się do Pawła Lalkarza. Niemal dźgnął faceta wyciągniętym palcem wskazującym.

– Znam pana z Blubelka!

Mężczyzna opadł na krzesło, jakby go ktoś usadził. Zapadła cisza, którą przerwał Marcin:

– To jest pan Daniel Cendrowski, rodowity gdańszczanin, obecnie obywatel Warszawy, właściciel kilku funduszy inwestycyjnych, z których niektóre są zarejestrowane w Trójmieście, w związku z czym bywa w Gdańsku na tyle często, aby zdążyć się rozczarować gdańską policją.

No to Kruk miał już jako taki obraz, o czym tu rozmawiano.

– Ma pan świetną dziewczynę – powiedział z uznaniem, po czym dodał porozumiewawczo: – Śledzę.

Miał jeszcze ochotę do niego mrugnąć, ale uznał, że to już by była przesada. Podsunął sobie krzesło i usiadł naprzeciw faceta na tyle blisko, że aż za blisko.

Przestał się uśmiechać. Był teraz cholernie poważny. Nachylił się do mężczyzny.

– W czym problem?

Praca policjanta wymagała czasem dobrego aktorstwa.

– Zabierz to krzesło, Kruk – warknął Marcin. – No już, do tyłu.

Kruk posłuchał. Usiadł wygodniej, skinął głową. Był spokojny i facet też już był. Sytuacja opanowana.

– Powie mi pan, kim jest pańska siostra? – spytał Kruk.

– Zgarnął ją pan wczoraj z cmentarza.

– Po co to zrobiłeś? – spytał Marcin.

– Nie zgarnąłem, tylko pojechałem z panią do domu jej własnym samochodem z jej własnym kierowcą. To była grzeczność z mojej strony, bo wracałem potem pieszo. Chciałem ją tylko wylegitymować, ale nie miała przy sobie dokumentów.

– Po co ją pan legitymował? – rzekł Cendrowski.

– Tak już mam – warknął Kruk. – Widzę samotną atrakcyjną kobietę na cmentarzu i ją legitymuję. Żadnej nie przepuszczę.

– Sławek... – zaczął Marcin.

– Kto to w ogóle jest, ten facet z Blubelka, że mam się tłumaczyć? Co mają do rzeczy jego fundusze?

Marcin zeskanował spojrzeniem biurko. Odnalazł wzrokiem wieczne pióro, sięgnął po nie, po czym lekko stuknął nim w blat.

– Dlaczego wylegitymowałeś panią Wolę-Karłowicz?

– Obserwowaliśmy pogrzeb ofiary zabójstwa. Ta kobieta stała z boku, przyglądała się ceremonii. Rutynowo poprosiłem ją o dokumenty.

– Zaraz – powiedział Cendrowski. – Chodziło o jakieś zabójstwo?

– To wydział dochodzeniowo-śledczy, nie przestępstwa gospodarcze – odparł zimno Zych.

Spokojny uśmiech pojawił się na twarzy mężczyzny. Sprawiał wrażenie kogoś, kto lubi wypić, na zdjęciu na Blubelku musieli wyretuszować mu czerwony nos.

– Przepraszam, panie komisarzu – zwrócił się do Kruka. – Zaszło nieporozumienie. Kiedyś dręczyli mnie pańscy koledzy z CBA, myślałem, że znowu zaczęli.

– Nie mam kolegów w CBA.

– Myślałem, że zabrali się też za moją rodzinę.

– Dręczyli pana dla przyjemności?

– Na pewno mieli swoje powody. Nie mam żalu, dopóki ograniczali się wyłącznie do mnie.

Puścił do Kruka oko. Facet zrelaksował się, bo chodziło o zabójstwo. Kruka trochę zatkało.

– Pan śledzi Blubelka? – podjął Cendrowski.

– Pasjami.

Mężczyzna roześmiał się, po niedawnym wybuchu złości nie zostało śladu.

– A wie pan, że jak piszą o mnie w prasie branżowej, każę to czytać asystentom. Gdy zajęły się mną ploty, zacząłem osobiście zaglądać. To naprawdę ciekawe, jakbym podglądał sam siebie.

– Czyta pan komentarze?

– A po co? Są przewidywalne i prostackie: obrzydliwie gruby, stary i bogaty facet i młoda śliczna kobieta z telewizji... dużo kropek maskujących wulgaryzmy... co to on jej, co to ona jemu... tego rodzaju ściek. Jestem na to uodporniony.

Z pewnością był odporny na wiele rzeczy. Z tego, co mówił teraz Marcin, a wcześniej Paweł, facet miał wielkie pieniądze. Do wielkich pieniędzy nie dochodzi się, mając miękkie podbrzusze.

– Jeśli to wszystko, muszę iść. – Kruk wstał.

Cendrowski wstał także.

Ponownie przeprosił, podał Krukowi rękę i zaprosił go na whisky, gdyby komisarz miał kiedyś ochotę. Kruk podziękował, powiedział, że chętnie wpadnie, ale nie zapytał, gdzie miałby wpaść, i wyszedł.

26

Kruk dostał na swój komputer przekazane przez Brandta nagrania z kamer monitoringu w pobliżu Lewiatana, ale początkowy entuzjazm szybko ustąpił miejsca rozczarowaniu.

W dniu i o godzinie wskazanej przez panią Brandt rzeczywiście widać było ją i jej męża, jak idą w kierunku sklepu. Ledwo wyszli z zasięgu kamery, pojawił się idący za nimi mężczyzna w białym kapturze. Kilkanaście minut później widać było jeszcze wracających Brandtów. Ich mowa ciała wyraźnie się zmieniła, ona dwukrotnie obejrzała się za siebie, on coś do niej mówił i ewidentnie był zdenerwowany.

Kruka zainteresował człowiek w kapturze, ale jakość nagrania była słaba, a okres, w jakim mężczyzna był w zasięgu kamery, tak krótki, że właściwie nic to Krukowi nie dało.

Na drugim nagraniu, wykonanym z innej kamery i pod innym kątem, człowieka w białym kapturze widać było nieco lepiej, ale wciąż nie na tyle, aby można było znaleźć punkt zaczepienia. W ostatniej chwili przed wyjściem spoza zasięgu kamery

wykonywał on pewien gest: lewa ręka z dala od kamery, opuszczona do tej pory wzdłuż ciała, uniosła się lekko, a prawa wyszła jej na spotkanie. Dłonie spotkały się lekko z boku, na wysokości bioder. Dłoń bliższa kamery ujmowała śródreczę drugiej. W tym momencie mężczyzna wychodził z kadru. Było to jedyne, co przyciągnęło uwagę Kruka, ale sam nie wiedział dlaczego.

Kruk przy swoim biurku na komendzie zabrał się więc za przeglądanie po raz kolejny zdjęć zwłok Woronowicza. Sprawca groził, ujawniał motywy. Ale po co? Kruk zwątpił w sensowność ochrony Brandta. Jeśli sprawca miał dalsze plany, to ich nie ułatwiało, tylko sprawiało, że stawały się trudniejsze do wykonania. Może więc nic więcej się nie zdarzy?

Wszedł Marcin.

– Dzwonią dziennikarze – rzekł. – Nie mogę się opędzić. Jak odsyłam do rzecznika, to przysyłają pytania SMS-ami. Nie rozumiem, czemu to robią. Nigdy nie odpowiadam na SMS-y.

Kruk także miał kilka telefonów. Odebrał tylko od Rybińskiego z „Dziennika” i grzecznie go spławił. Rybiński czasem się przydawał, a grzecznie spławiony dziennikarz nie czuł się niedoceniony.

– Przekażmy im to nagranie. Może ktoś coś wtedy widział i się zgłosi.

Marcin przytaknął i usiadł, chyba zbierało mu się na rozmowę. Krukowi brakowało na to czasu. Wybrał numer. Powiedział prawdę Cendrowskiemu, nie miał kolegów w CBA. Miał tam tylko jednego jedyne koleżę i nie przepadali za sobą.

Jacek Błęcki nadspodziewanie łatwo zgodził się na spotkanie. Kruk rzucił do słuchawki, że już do niego idzie, i się rozłączył. Zostawił Marcina samego sobie. Gdańska siedziba Centralnego Biura Antykorupcyjnego mieściła się nieopodal. Tam Kruk się dowiedział, że Błęckiego nie ma.

Komisarz wrócił do swojego pokoju na komendzie, zanim zadzwonił ponownie. Wykorzystał ten czas, żeby wyluzować. Marcin jeszcze nie wyszedł.

– Jaja sobie robisz? – rzucił Kruk do aparatu.

– Nie mówiłem, że jestem na miejscu. Wybrałem się postrzelać. Zapraszam.

Dodał, że strzelnica, w której się akurat znajdował, mieściła się w Gdyni.

– Zaczekam, aż wrócisz. Albo spotkamy się jutro.

– Jak chcesz, ale rano wyjeżdżam do Łodzi.

Kruk nie lubił strzelać i nie lubił strzelnic. Błęcki o tym wiedział.

– Dobra – warknął Kruk. – Jadę do ciebie, złamasie.

Schował telefon i napotkał spojrzenie Marcina.

– No co? – mruknął.

– Zabierz ze sobą Kriss – powiedział Marcin. Twarz miał kamienną.

– Myślisz? – Kruk wyszczerzył zęby, bo nagle pomysł spotkania z Błęckim wydał mu się całkiem przyjemny.

Kamienny wyraz nie schodził z twarzy Marcina.

– Zdecydowanie tak.

Gdy wpuszczono ich do budynku strzelnicy i szli korytarzem, Bielińska zadała Krukowi pytanie, które najwyraźniej nurtowało ją całą drogę:

– Po co tu jestem?

– Błęcki nie toleruje kobiet w policji. W każdym razie nie w robocie operacyjnej.

Bielińska wzruszyła ramionami.

– No to już go lubię.

– Wyrzuciłby was hurtem i zrobił z was kosmetyczki.

– Mówię poważnie, Kruk. Ja też uważam, że policja to nie miejsce dla kobiet.

To było ciekawe. Bielińska długi czas pracowała pod przykryciem, rozpracowując dealerów narkotykowych. Była dobra w tym, co robiła. Mówiło się, że najlepsza z najlepszych, dopóki nie straciła głowy dla bandziora i nie położyła całej akcji przeciwko jego grupie. Dźwigała na barkach parszywe brzemię.

Weszli do strzelnicy. Błęcki był tu sam. Stał w pozycji strzeleckiej, w wyciągniętych przed siebie rękach trzymał pistolet i oddawał strzał za strzałem. Kruk rozejrzał się za słuchawkami, ale wtedy Błęcki skończył, nacisnął przycisk prowadnika i poczekał, aż tarcza do niego przyplynie. Obejrzał ją sobie, większość otworów była dokładnie pośrodku.

Zobaczył ich. Zdjął słuchawki.

Był z siebie zadowolony, że widzieli jego popis. Kruk mu nie zazdrościł. Lubił strzelać, był w tym dobry, kiedyś po takich strzelaniach czuł się równie zadowolony jak Błęcki. Do czasu, aż pewnego dnia podczas akcji po raz pierwszy zastrzelił człowieka. Stało na tym, że działał w obronie własnej, ale być może działał za szybko i za celnie. I może nie była to tak całkiem obrona własna, w każdym razie Kruk, gdy o tym myślał, nie miał pewności.

Od tamtej pory nie poszedł na strzelnicę z własnej woli. Szedł, gdy było obowiązkowe szkolenie. Wciąż miał niezłe oko, ale przez jakiś czas po tamtym wydarzeniu, za radą Marcina Zycha, nawet nie nosił służbowej broni.

Gdy znowu zaczął nosić, o mało nie zastrzelił faceta, który rzucił się na niego z łapami. Przeraziło to Kruka i póki co schował broń do szafy pancерnej. Nie był na to gotowy.

– Cześć, Kruk. – Błęcki wyciągnął do niego rękę. – Miło, że znalazłeś czas. A pani to kto?

– Sierżant Krystyna Bielińska – przedstawił ją Kruk.

Błęcki patrzył jeszcze na nią dokładnie jedną sekundę, po czym stracił zainteresowanie.

– Mam sprawę – rzekł Kruk.

– Tak od razu do brzegu? Może najpierw lekki trening?

Wskazał ręką na stół za sobą. Leżała tam broń różnego typu, począwszy od pistoletów i pistoletów maszynowych, na AK47 skończywszy.

Błęcki się nie ograniczał.

– Innym razem.

– Dobrze. – Rzucił słuchawki na stół. – Czego chcesz?

– Twoje biuro chodziło kiedyś za facetem. Nazywa się Daniel Cendrowski.

– Może.

– Przestaliście?

– Może za nim chodziliśmy, a może nie. A jeśli chodziliśmy, to może przestaliśmy, a może nie. Wydaje ci się, że mogę mówić o takich rzeczach każdemu cymbałowi, który przychodzi do mnie z lalunią?

Agent specjalny Marek Błęcki siedział w CBA od lat. Zajmował się grubymi sprawami.

– Krysia jest przeszkodą?

– Może wyślesz koleżankę na kawę, niedaleko jest kawiarnia.

Bielińska stała grzecznie i cicho, jakby to nie o niej mówiono.

– A ty wtedy wszystko mi powiesz?

Błęcki wyszczerzył zęby.

– Nie.

Kryśka westchnęła, trochę znudzona. Podeszła do stołu i podniosła lugera.

– Proszę zostawić broń – rzekł Błęcki.

Odłożyła ją bez słowa. Kruk ją podziwiał, bo z jej twarzy nie dało się niczego wyczytać.

– Przypadkiem zderzyłem się z siostrą Cendrowskiego w związku ze śledztwem w sprawie trupa w kawałkach. Słyszałeś?

Skinął głową. Mierzył Bielińską wzrokiem.

– Cendrowski wparował dziś do naczelnika z wielką gębą – rzekł Kruk – ale jak mnie zobaczył, szybko się rozpogodził. Wiesz, z tej radości, że nie jestem tobą.

To była prostacka próba i Błęcki ją zignorował.

– Czego chciałeś od jego siostry?

– Wpadłem na nią przypadkiem, nie wiem, czy jest istotna dla śledztwa. Chciałbym pójść na skróty i zapytać, na co trafiliście, łącząc za Cendrowskim.

– Chciałbym ci pomóc, ale nie mogę, za malutki jesteś.

Kruk przespacerował się kilka kroków i stanął obok niego. Facet był wzrostu Bielińskiej, sięgał mu do ramienia.

Agent się roześmiał.

– Wciąż jesteś za malutki, Kruk. Może jednak postrzelasz?

Błęcki podniósł ze stolika cezetkę i zaproponował Krukowi. Kruk nie chciał. Za to Kriss się zainteresowała i wyciągnęła rękę, ale Błęcki udał, że tego nie zauważył. Odłożył pistolet na stół.

Błęcki brał udział w wielu konkursach strzeleckich, niektórych na wysokim poziomie. Nie wygrał żadnego. Czasami był drugi. Niektórzy tak go nawet nazywali: Pan Drugi.

– Wiesz co? – powiedział Kruk. – Zmierzymy się. Założmy się.

Błęcki machnął ręką.

– Nie masz szans.

– Zrobimy to jeden na jeden. Wojewódzka kontra CBA.

Błęcki stanął w rozkroku przy swoim stole z zabawkami. Oparł się na szeroko rozstawionych rękach i obrzucił je krytycznym wzrokiem.

– Na ile metrów?

– Dwadzieścia pięć.

– O co zakład?

– Przegrasz i dasz mi informacje o Cendrowskim i jego siostrze, które przydadzą się w mojej sprawie.

Błęcki odstąpił od stołu i machnął lekceważąco ręką. Nie brał pod uwagę przegranej.

– Osobiście zgodziłbym się bez wahania, ale nie wchodzi w grę. Nie obiecuję ci czegoś, czego nie mógłbym dotrzymać. Nawet gdybym coś wiedział.

Kruk zastanowił się.

– No to nie mamy o co się bić.

– O satysfakcję, musi ci wystarczyć. Mnie starcza. Wybierz broń.

Kruk podszedł do stołu. Naliczył dziewięć sztuk broni.

– Co proponujesz, Krysiu?

– Glock 17 – odparła.

Kruk podniósł broń. Włożył magazynek, wymierzył w odległą sylwetkę.

– Potrzebujesz porady mamy, z czego strzelać? – powiedział Błęcki.

Nawet nie próbował ukryć kpiny. Podniósł pistolet Tara TM-9 i zważył w dłoni. Chodziły słuchy, że CBA ma zamiar sporo ich zakupić i Błęcki już się z tym próbował.

Kruk podał glocka Bielińskiej.

– Mama nawet za mnie postrzela.

– Wykluczone.

– Wojewódzka kontra CBA, przyjąłeś. Krysia jest z wojewódzkiej, ty z CBA, pasuje.

– Mam się próbować z... – Błęcki się zawiesił.

– Z Krysią – podpowiedział Kruk. – Rasowa tleniona blondynka, figura jak łania, twarz aniołka z pocztówki. Gotuje, wynosi śmieci, robi na drutach, umie strzelać.

– Spadaj, Kruk – mruknęła Bielińska. – Nie wynoszę śmieci. To znaczy teraz wynoszę, ale jak był Salomon, nie tykałam palcem.

– Chyba że się boisz. – Kruk popatrzył na Błęckiego, który odkładał właśnie pistolet na stół.

– Wydaje ci się, że sprowokujesz mnie takim gadaniem? Nie strzelam się z kobietami.

– Ale chodzi o strzelanie do tarczy, nie do kobiet.

– Bez urazy. – Błęcki ukłonił się Bielińskiej. Mimo wszystko miał w sobie coś z dżentelmena.

– Nie żywię urazy.

– No to wynosimy się stąd, Krysiu – rzekł Kruk.

Błęcki zwrócił się w jego stronę.

– A co z Cendrowskim?

– Zesrałeś się, gdy miałeś postrzelać. Wiem, o co chodzi. Boisz się, że znów będziesz drugi. Co ty tam możesz wiedzieć.

Przez chwilę patrzyli na siebie bez sympatii.

– Dobrze – warknął Błęcki. – Niech będzie.

A jednak zadziało.

Założył sportowe tarcze, nacisnął przycisk i tarcze zaczęły oddalać się na szynach. Błęcki podał im wszystkim słuchawki, a Kryśce okulary ochronne, wziął ponownie broń, wykonał w stronę Bielińskiej zapraszający gest.

– Damy mają pierwszeństwo.

– W takim razie zaczynaj – mruknął Kruk.

Bielińska potrząsnęła głową.

– Strzelajmy równocześnie. Pięć strzałów.

Nałożyli słuchawki, Kruk się cofnął. Błęcki i Bielińska przyjęli pozycje strzeleckie. Kruka nie obchodził agent CBA. Patrzył na Kryskę. Stała na rozstawionych nogach, trzymając broń oburącz, całkowicie skupiona.

Wystrzelali po pięć pocisków bez pośpiechu. Błęcki cofnął się, rzucił słuchawki, okulary i pistolet na stół. Nacisnął przycisk, aby tarcze do nich wróciły.

Patrzyli wszyscy troje, jak papierowe koła stawały się coraz bliższe.

Błęcki miał dobre skupienie, same dziesiątki, ale jedna z nich na krawędzi dziewiątki. Bielińska ustrzeliła centralnie pięć dziesiątek.

– Gratuluję – powiedział Błęcki. – Czułem, że Kruk coś kombinuje, jak tylko panią zobaczyłem. Lubi go pani?

Bielińska tylko się uśmiechnęła.

– Dasz mi materiały, jakie zebrałeś na Cendrowskiego i jego rodzinę – rzekł Kruk.

– Bo przegrałem?

– Bo to mi pomoże w śledztwie.

– Pogadam z górą, może coś odtajnimy, co ci się przyda.

– Nie coś, tylko wszystko. Właśnie się przekonałeś, że nie jesteś taki cudowny, żeby mi mówić, co się przyda.

Błęcki wykonał jeden z tych swoich niedbałych gestów, który mógł oznaczać cokolwiek. Zerkał na Bielińską.

– Czy ja o pani nie słyszałem? To nie pani odpowiada za ten kocioł na Śląsku?

– Odwał się, Jacek – warknął Kruk.

Błęcki miał poważny wyraz twarzy.

Kruk i Bielińska wracali w milczeniu. Pytanie Błęckiego zapadło między nimi, Kryśka spochmurniała. Kruk pożałował, że ją ze sobą zabrał.

Chciał poprawić jej nastrój, ale nie miał na to pomysłu. Błęcki przywołał wspomnienia. Wtedy, na Śląsku, wiele przeszła. Przez dwa dni handlarze narkotyków znęcali się nad nią w najokrutniejszy sposób, a ona to przeżyła, zabiła jednego, a gdy pojawiło się wsparcie, policja aresztowała dwóch innych. Okupiła to potworną traumą, zakończonym małżeństwem i perspektywą utraty pracy. Utrata pracy mogła wydawać się najmniej ważna, ale taka nie była, bo praca była już jedynym, co jej zostało. Do wydziału Kruka przygarnął ją Marcin Zych.

Kruk spoglądał na nią co jakiś czas znad kierownicy, usiłując przeniknąć jej myśli.

W końcu miała tego dość.

– No co? – spytała.

– Nie zaprzeczyłaś, gdy powiedziałem, że robisz na drutach.

Westchnęła, jakby zrzucając z siebie ciężar przeszłości, i nawet się uśmiechnęła.

– Kiedyś zrobiłam szalik.

Klara wygięła nagie ciało w łuk, zakręciła nogami młynka i zrzuciła kołdrę z nich obojga. Wydawało jej się, że to zabawne, a może nawet seksowne, bo widziała to w jakimś filmie. Eryk uniósł się na łokciu i ponownie okrył ich oboje.

– To smutne, że tak rzadko ze mną jesteś – powiedziała.

– Dzisiaj jestem.

– To też jest smutne, bo jutro cię nie będzie. Zaczynam tęsknić.

– Wrócę.

– Co z tego, skoro w końcu i tak pójdziesz do żony. Nienawidzę jej.

Mrok dawno zapadł, cienie wieczoru padały na podłogę, Klara była wciąż gorąca po tym, co ze sobą robili, a czego Eryk tak naprawdę wcale nie chciał. Był zmęczony, ostatnio kiepsko sypiał, wciąż się budził czujny i gotowy, by wstać i biec. Nie było dokąd biec, co uświadamiał sobie po dłuższej chwili, więc tylko leżał, czekając, aż organizm się uspokoi. Było to wyczerpujące.

Zatęsknił za Kasią. Gdy pewnego dnia obwieścił, że między nimi koniec, nie urządziła mu jednej ze swoich scen. Wydawała się raczej zdziwiona.

– Do kogo odchodzisz, bo przecież nie do żony? – spytała.

– Do nikogo. Po prostu czas to skończyć.

– Zawsze się do kogoś odchodzi.

Patrzył na nią i czuł żal, że ją traci. Ona patrzyła, jakby mu współczuła.

– Nie wierzę, że jest fajniejsza niż ja – powiedziała.

Kobieta, której się pragnie i którą się traci, ogromnie zyskuje na wartości. Kobieta, która tak łatwo przyjmuje to, że ją rzucasz, zyskuje niezasłużoną przewagę.

– Możesz wpaść czasem, jeśli będę akurat wolna. Tylko ręce trzymaj teraz z daleka.

Obiecał sobie, że więcej do niej nie wróci, ale był u niej od tamtej pory dwa razy. Od Dominiki oddzielał go mur, a z Klarą ledwo wytrzymawał. Nigdy by się nie spodziewał, że będzie jeździł do Kasi, aby po prostu z nią posiedzieć i porozmawiać.

Odkąd zerwali, przestała się wściekać, okazało się, że potrafi zajmująco prowadzić rozmowę, zniknęło nawet pretensjonalne motto z lustra. Jakby we wcześniejszym etapie ich znajomości cały czas grała, uważając, że konwencja ich spotkań tego wymaga. Tylko jej sypialnia wciąż pozostawała różowa, a jemu zaczęło się to podobać. Nie pytał, czy znalazła kogoś na jego miejsce w różowym łóżku, a ona o tym nie mówiła.

Obie wizyty u Kasi przebiegły bardzo przyjemnie.

Teraz też zapragnął tam pójść. Zmusił się, żeby przytulić Klarę, a ona mu się poddała.

– Nienawidzę jej – powtórzyła, jakby sądziła, że powinna.

– Kogo? – Zatopiony w myślach w pierwszej chwili uznał, że Klara mówi o Kasi, i zaskoczyło go, skąd o niej wie.

– Twojej żony.

Z westchnieniem przekręcił się na plecy. Włożył ręce pod głowę. Obróciła się w jego stronę zalękniona, wiedziała, że przyjmował taką pozycję, gdy był na nią zły. Zwykle był to pierwszy zwiastun jego ewakuacji.

– W piątek był u nas w biurze policjant. – Usiłowała skierować jego uwagę na coś innego. Nie zareagował, bo nie chciał jej niczego

ułatwiać. – Naprawdę, ale nie w mundurze. Taki prawdziwy policjant, jak w filmie. Wysoki, przystojny i...

Zawahala się.

– Jaki?

– Nawet miły, ale się go bałam.

Lekko się skuliła i wtuliła w niego, aby mu pokazać, jaki to był strach.

– Przez to, o czym mówił. Prezes Woronowicz zginął, bo kiedyś skrzywdził kobietę.

Leżał i słyszał, co mówiła, starając się przekonać siebie, że to historia innych ludzi, coś, co nie ma z nim nic wspólnego.

– Nie sam, chyba zrobili to wszyscy trzej – powiedziała.

– Co zrobili?

– Policjant powiedział Wioli, żeby wyobraziła sobie siebie na miejscu tamtej kobiety. Wiola nie chciała, ale ja to sobie wyobraziłam.

Zrozumiał, że nie chciała nazwać tego, co się wydarzyło i o czym powiedział jej gliniarz.

– Świat to potworne miejsce – wyszeptała.

– Co jeszcze mówił policjant?

– Powinieneś być zawsze ze mną.

– Tak powiedział?

– Draniu, ja tak mówię.

Eryk Karłowicz poczuł się bardzo samotny. Często tak czuł się z Klarą. Był z nią samotny bardziej, niż kiedy był całkiem sam, ale to przecież nie była jej wina.

– Myślę o tej kobiecie – powiedziała. – Nie wiem, jak można żyć po czymś takim. Nie mieści mi się to w głowie.

– Cicho – powiedział. – Nie mów już o tym.

Leżeli w ciemności. Słyszał jej oddech, pomyślał, że zasnęła.

– Nie mogę przestać myśleć. Powinnam rzucić pracę.

Zaniepokoiła go.

– Mówiłaś, że ją lubisz.

– Ale policjant powiedział, że oni to zrobili. Wiola i Irena chcą odejść.

– Policja przyszła wam obwieścić, że wasi szefowie to przestępcy?

– Nie bezpośrednio. Nie jestem głupia. Myślę, że policjant nie mógł powiedzieć tego wprost, ale chciał, żebyśmy to wiedziały.

– Po co miałyby chcieć?

– Nie wiem.

Poczuł jej palce na swojej piersi.

– Dobrze, że zostajesz dziś ze mną na noc. – Objęła go i wcisnęła głowę w jego ramię. – Przy tobie czuję się bezpieczna. Ty nie potrafiłbyś być okrutny.

Mocno zacisnął powieki. Nie miał pewności, czy powiedziała to ona, czy jakiś głos w jego głowie.

Nie, to powiedziała ona.

– Kiedy znowu się spotkamy?

– W środę.

– Zostaniesz na całą noc?

– Dzisiaj zostanę.

– A potem kiedy?

Nienawidził tej jej intensywnej skłonności do planowania wszystkiego.

– Zobaczymy.

– Chciałabym wiedzieć.

– Zobaczymy.

Wyskoczyła z łóżka i sięgnęła po torebkę. Wyciągnęła dzienniczek i szybko go przekartkowała. Otworzyła go na trzydziestym październiku i narysowała rozpolowione serce. Szybki

seks oznaczała sercem rozpołowionym z żalu. Pełne serce oznaczałoby całą wspólną noc.

Serce nie miało nic wspólnego z tym, co tu robili. Klara notowała wszystko, sprawy firmowe i prywatne, była poukładana, żyła według planneru, a gdy ich umówione spotkanie miało nie dojść do skutku, robiła się nerwowa, więc starał się nie zawałać terminów.

Być może ta jej staranność i rozplanowanie życia czyniły z niej idealną sekretarkę, ale w ogóle nie była w jego typie. Ledwo z nią wytrzymał, kiedy zaczynała mówić. Jednak potrzebował mieć ją przy sobie jeszcze przez jakiś czas.

Wróciła do łóżka, a on ją objął. Zrobił to mocno, z niechęcią, mając ochotę zadusić. Jęknęła z bólu i się odsunęła.

– Czasem wydaje mi się, że jest w tobie dwóch ludzi – powiedziała. – Dwóch ludzi w jednym moim Eryku.

– Tak? – odparł bez zainteresowania.

– Jeden czuły, troskliwy, dobry, drugi zły, brutalny, zmuszający siebie i innych do robienia takich rzeczy, na które nie mają ochoty.

– Jakich rzeczy?

– Cały czas tylko mnie wypytyjesz o pracę.

– Nic podobnego, to ty sama mi o niej opowiadasz.

– Bo widzę, jak bardzo cię to interesuje.

Te jej pełne wyrzutu oczy wpatrywały się w niego niczym oczy psiaka. Przytulił jej głowę do swojej piersi, aby przestała na niego patrzeć. Tym razem starał się być delikatny.

– Po prostu się cieszę, że dzielisz się ze mną swym życiem. Gdy dwoje ludzi jest razem, powinni ze sobą rozmawiać. My rozmawiamy.

– Ty mi nic o swojej pracy nie mówisz.

– Dla mnie praca to tylko sposób na zarabianie pieniędzy. Ty jesteś zaangażowana. Fascynuje mnie to w tobie, lubię słuchać

o tym, jaka to dla ciebie pasja. To mnie do ciebie przyciąga.

Eryk cieszył się, że Klara nie może widzieć teraz jego twarzy. To, co mówił, nie miało wiele sensu.

– Naprawdę?

– Chcę wiedzieć, co pochłania twój czas i myśli, kiedy mnie z tobą nie ma.

– I byłbyś ze mną nawet wtedy, gdybym rzuciła tę pracę?

Odsunęła się, żeby jednak na niego spojrzeć. To pytanie zawisło między nimi. Nie miał pojęcia, że ona tak myśli. Wydawało mu się, że potrafi ukryć intencje, a Klara jest naiwna i zapatrzona w niego jak w obraz.

– Oczywiście – powiedział.

Zapadła cisza. Klara znowu się do niego przysunęła, powoli go objęła ze wzbierającą ufnością.

– Ale tego nie rób – dodał.

29

Dominika Wola-Karłowicz włożyła słomkę do ust i upiła niewielki łyk szaleńczo kolorowego drinka. Miała na głowie ciemną perukę, w której wyglądała trochę wulgarnie. Siedziała sama przy barze, raz po raz odpierając ataki kolejnych mężczyzn próbujących się zaprzyjaźnić. Kruk obserwował ją zza stolika oddalonego od niej na

tyle, że wciąż mógł mieć nadzieję, że Wola-Karłowicz go jeszcze nie zauważyła, podobnie jak warujący po drugiej stronie baru Nawajski.

– Właściwie po co tu jesteśmy? – spytała Krystyna Bielińska, usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję w raczej niewygodnym fotelu.

Zadała to pytanie piąty raz. Kruk odpowiedział, gdy zapytała po raz pierwszy, pozostałe razy sobie darował. Znaleźli się w tym nocnym lokalu, bo Błęcki oddzwonił dwie godziny po ich spotkaniu. Skontaktował Kruka z młodym agentem, który uprzejmie przyszedł do biura komisarza, udzielił kilku informacji i nie dał do wglądu żadnych akt. To przez niego znaleźli się tutaj.

– Czego ty właściwie chcesz od tej kobiety? – nie ustępowała Bielińska.

Informacje, które Kruk otrzymał od młodego agenta, były niezbyt obszerne. Biuro przez jakiś czas chodziło za Wolą-Karłowicz w ramach dochodzenia prowadzonego w sprawie Cendrowski Investments SA, ale szybko przestali się nią interesować. Czego dotyczyło dochodzenie, nie powiedział. Dominika Wola-Karłowicz, trzydzieści dziewięć lat, zamężna z Erykiem Karłowiczem, mieszkała w domu przy ulicy Polanki, co Kruk już wiedział, dzieci brak. Oboje z mężem pracowali w firmie jej brata. Ona odpowiadała za kontakty z istotnymi klientami.

Prześwietlono jej życie prywatne. Od czasu do czasu spędzała noc w jakimś lokalu w obstawie swojego kierowcy. Były to różne nocne lokale. Siedziała tak całą noc, zawsze sama i nigdy nie wracała z mężczyzną. Jej mąż zwykle w tym czasie spędzał noc z inną kobietą.

Kruk z Bielińską zaparkowali w pobliżu jej domu i mieli szczęście. Był poniedziałek, a mimo to o dwudziestej trzeciej sześć przyszedł tam Maksymilian Nawajski, wszedł do samochodu Woli-

Karłowicz, ona wsiadła na tylne siedzenie i pojechali, a Kruk za nimi.

Biorąc to wszystko razem do kupy, wciąż byli tu bez powodu. Bielińska była z Krukiem, bo się uparła.

– Czemu marnujesz ze mną czas? – spytał.

– Nie chcę siedzieć w domu sama. Rozumiem, czemu wynajdujesz sobie niepotrzebną nocną obserwację.

Nie miał zamiaru się spierać. Obserwował Nawajskiego. Z danych Biura wynikało, że to kierowca w Cendrowski Investments, ale w rzeczywistości osobisty szofer Woli-Karłowicz. Cały czas do jej dyspozycji. Woził ją o różnych godzinach dnia i nocy zarówno w sprawach służbowych, jak i prywatnych.

– Co sądzisz o tym facecie? – spytał Kruk.

– Brak życia prywatnego, brak rodziny, tylko praca. Jest taki jak ty.

– Ja spłakałbym się, gdybym robił jako szofer bogatej kobiety.

– Otarłbyś łzy, kiedy przyszedłby przelew z wypłatą.

– Chyba że jest nie tylko szoferem.

Kruk sięgnął do kieszeni i wyjął zdjęcie. Była na nim Dominika Wola-Karłowicz pośród grobów. Ujęcie wykonano z daleka, ale fotograf powiększył twarz.

– Jej brat dba o prywatność, ale trafił na Blubelka – powiedział. – Zdjęcia jej męża są na stronie internetowej funduszu i na stronach internetowych portali, które robiły reportaże na jego temat. Jej zdjęć nie ma nigdzie. Po co włożyła perukę?

Popatrzył na twarz kobiety na zdjęciu i porównał ją z twarzą kobiety przy barze. Było głośno i tłoczno, nowoczesna muzyka pop nie podobała się Krukowi. Bielińska zamyśliła się. Wyglądała ślicznie, wielu mężczyzn przyglądało jej się z oddalenia, gdyby nie Kruk, jej strach na wróble, miałyby powodzenie. Czasem nachodziły

go myśli, w których nie byli jedynie ubranymi po zęby kolegami z pracy. Bielińska uniosła dłoń, wyprostowała palec wskazujący i poruszyła nim. Dopiero teraz Kruk zdał sobie sprawę, że ten palec mu grozi.

– Jesteś na głodzie, Kruk – powiedziała, nie patrząc na niego. – Znajdź sobie kobietę.

Odwrócił wzrok.

Przy Woli-Karłowicz zatrzymał się jakiś facet. Trzymał w dłoni szklankę i coś mówił. Chwiał się, kiedy stał, tak był pijany. Wola-Karłowicz pokręciła głową, ale facet nie ustępował. Powiedziała coś ostrzej, jednak to go nie zniechęciło, i próbował ją chwycić za rękę. Nawajski podszedł, przepłoszył faceta i wrócił na swoje miejsce przy barze.

Kobieta z funduszu, pomyślał Kruk, wracając myślami do rozmowy z Zuzanną Brandt. Kobieta z funduszu zwróciła uwagę na pierścionek.

Z głośników popłynął stary kawałek Bee Gees, miła odmiana po dotychczasowej sieczce. Tłum zafalował i wiele osób popłynęło na parkiet tańczyć.

Przy Woli-Karłowicz zatrzymał się elegancki starszy mężczyzna. Zamienili kilka słów i mężczyzna usiadł, bo podczas exodusu na parkiet zwolnił się stołek obok. Kruk widział tylko jego plecy, ale i tak miał wrażenie, że skądś go zna. Dominika wciąż piła tego samego drinka zwrócona do Kruka profilem i widział wyraz jej twarzy, gdy starszy mężczyzna coś mówił, żywo gestykułując, może starając się ją rozbawić, a może do czegoś przekonać.

Posłała mu wymuszony uśmiech i lekko się odchyliła. Pojawił się przy nich Nawajski. Jego twarz była poważna, powiedział coś do starszego mężczyzny, który przypatrzył mu się z uwagą, ale nie zamierzał odchodzić. Wymiana zdań trwała kilka minut. Starszy

mężczyzna skinął na koniec głową Dominice, wstał i odwrócił się, żeby odejść.

Kruk go rozpoznał. Mężczyzna nazywał się Brychan i miał kartotekę. Nielegalny hazard, gry losowe i takie tam. Człowiek wysoko wykształcony, kulturalny i brutalny, dżentelmen w każdym calu, i mimo wieku wielki kobieciarz.

Zanim odszedł, żartobliwie pogroził Nawajskiemu palcem, niemal tak samo jak Bielińska Krukowi. Ale na miejscu Nawajskiego Kruk by się nie śmiał z tego żartu.

– Kogo my tu mamy – mruknęła Bielińska, która też go poznała.

Nawajski nie wrócił od razu na miejsce, odetchnął ciężko i rozejrzał się po sali, a niezrażony Brychan zagadywał już kolejną kobietę.

Nawajski dostrzegł Kruka.

Jego twarz się nie zmieniła, odruchowo dotknął tylko marynarki w miejscu, gdzie jak Kruk wiedział, nosił papierosy. Odwrócił się i skierował do wyjścia.

– Facet dużo pali – powiedział Kruk.

Bielińska nie odpowiedziała, bo nie miała nic do powiedzenia. Dominika Wola-Karłowicz wpatrywała się w lustro za barem. Kruk zastanawiał się, po co tu przyszła, dlaczego w ogóle chodziła po nocnych lokalach, bo najwyraźniej nie szukała przygód.

Zadzwoiła komórka Kruka.

– Dobrze się pan bawi, komisarzu? – usłyszał w aparacie głos, który zidentyfikował jako głos Daniela Cendrowskiego.

– Tak sobie.

– Zaprosiłem pana na whisky, pan mnie zignorował i zamiast tego chodzi po nocnych knajpach.

– Późno już.

– Nigdy nie jest za późno na whisky. Dominika będzie tak siedziała do rana, potem wróci do domu i nic się nie wydarzy. Gwarantuję panu, że ze mną będzie ciekawiej.

– Skoro pan tak mówi – powiedział Kruk. – Gdzie przyjechać?

– Do mojego domu w Oliwie.

Cendrowski podał adres i rozłączył się.

– Biorę taksówkę – powiedział Kruk. – Spotkam się z Cendrowskim.

– O wpół do drugiej w nocy?

– Zostań tu i obserwuj ją dalej.

– Po co? Namierzyłeś ją podczas pogrzebu, kim ona twoim zdaniem jest?

Skupiony wraz jej twarzy dowodził, że ma różne teorie.

– Po prostu tu zostań i patrz, co robi.

– Świetnie – odparła Krystyna, a potem powiedziała to jeszcze raz: – Naprawdę świetnie.

Zobaczyli Nawajskiego, który wracał na swoje miejsce przy barze, ale Kruk był już myślami gdzie indziej. Uśmiechnął się do Bielińskiej.

– Dzisiaj nie będę pił sam.

Taksówka wysadziła Kruka przed bramą dużego domu i odjechała. Ktoś zdalnie otworzył furtkę, komisarz przespacerował się wzdłuż oświetlonego podjazdu i zaczekał, aż niewysoka kobieta odwoła z podwórka dwa owczarki niemieckie. Potem jeszcze musiał stawić czoła tej kobiecie.

– Pan komisarz Kruk?

Grzecznie potwierdził.

– Dlaczego przychodzi pan o tak późnej porze?

Typ starej panny: chuda, krótkie włosy, ubiór bez ozdób, spojrzenie, które niewiele wybacza.

– A mogę spytać, kim pani jest?

– Byłą żoną Daniela.

Może nie miała imienia. Może miała, ale brzydkie. Nazwała się „byłą żoną Daniela” – w porządku.

– Pani były mąż obiecał mi whisky. Zawsze przychodzę na darmowy alkohol.

Miała wąskie usta, które po jego odpowiedzi stały się jeszcze węższe. Wprowadziła go do domu. Był to ładny dom pozbawiony ostentacji. Cendrowski czekał na Kruka w salonie.

– Cieszę się, że pan przyszedł.

– Pan komisarz chce się napić – powiedziała kobieta.

– Doskonale, bo ja też chcę.

– Nie powinienesć.

Spóźniła się z tą uwagą. Cendrowski był nieźle zrobiony i zachowanie żony, byłej żony, ani trochę nie motywowało go do trzeźwości.

– Słuchaj, dam ci trochę pieniędzy. Bierz i jedź na zakupy.

Wyjął z kieszeni plik setek i rzucił na stół, rozsypując je. Niektóre spadły na podłogę, ale nie pofatygował się, by je podnieść.

Ona je zebrała. Ułożyła banknoty na stole.

– Jest noc – objaśniła i wyszła z pokoju.

– Moje były żony. Mam ich kilka, nie wie pan, jakie to utrapienie. Mają swoje życie, ale uważają, że wciąż są za mnie odpowiedzialne.

Kruk był pod wrażeniem tej małej rodzinnej scenki. Najwyraźniej mieli swoje układy i późno się kładli.

Z faceta był solidny kawał grubasa. Miał szarą twarz obrzękłą od pijaństwa, a na niej smutny uśmiech. Nosił dres, ale trzy paski na spodniach nie powodowały, że wyglądał bardziej sportowo. Był zupełnie niekształtny, a mimo to romansował z młodą kobietą z telewizji, a były żony troszczyły się o niego. Może miał zniewalające wnętrze. Może w oczach kobiet był adonisem.

Cendrowski nalał im whisky. Podał Krukowi szklanekę, wskazał fotel. Usiedli. Gdy tylko Kruk upił pierwszy łyk, Cendrowski przeszedł do rzeczy:

– W barbarzyński sposób ginie człowiek. Pan prowadzi śledztwo. Na pogrzebie tego człowieka zatrzymuje pan przypadkową osobę. Zarywa pan noc, żeby ją obserwować. Niepokoję się.

– Gdy pan tak to ujmuje, sam wpadam w stany lękowe.

– W piątek odwiedził pan Trust i opowiedział asyistentkom ponurą opowieść.

– Która z asyistentek pracuje dla pana?

– Opowieść szybko się rozeszła. Zarząd może zarzucić panu zniesławienie. Tylko czekać, aż napisze o tym jakiś dziennikarz. Firma zaliczy straty wizerunkowe.

– No i?

– Trust jest w kręgu naszych zainteresowań biznesowych.

– Psuję panu interesy?

Cendrowski dał Krukowi znać, żeby dopił whisky. Wstał i potoczył się do obszernego barku. Zagrzechotały kostki lodu, podczas gdy przygotowywał kolejne porcje.

– Niech pan na mnie spojrzysz. Powierzyłby mi pan swoje pieniądze?

– W życiu.

– Dlaczego?

– Wygląda pan na takiego, co by je wydał w monopolowym.

Daniel Cendrowski huknął śmiechem.

– Jest pan rozsądnym człowiekiem. I niezbyt zasobnym, jak sądzę? Widzi pan, są tacy, którzy powierzają mi fortuny. Patrzą na mnie, tak jak pan, ale nie widzą schlanego wieprza, tylko lśniący talent do interesów. Perłę finansów. Ostatnią nadzieję bankrutujących inwestorów. Czasem gapię się w lustro i widząc, jak wyglądam, wstydzę się, że nikt, kto mi do tej pory zaufał, nie stracił złamanego grosza.

– Co z tego wynika?

– Chodzi o to, że nie tak łatwo zepsuć mi interesy.

– Nie dlatego rozmawiamy.

– Słusznie. Chodzi o to, że Trust, firma, w której zmarły był współnikiem, zwróciła się do nas kiedyś z propozycją współpracy. Dominika najpierw się zainteresowała, a potem może zbyt pochopnie ją odrzuciła. Ostatnio poleciłem jej ponownie rozważyć temat. Dlatego interesuje się tymi ludźmi, zwłaszcza gdy jeden z nich zmarł w tragicznych okolicznościach.

Cendrowski wrócił ze szklaneczkami. Whisky była świetna, ale on nie poświęcił jej nawet jednego słowa. Interesował go zawarty w niej alkohol.

– No i wszystko jasne, dlaczego chodzi za nimi na cmentarze. A mnie zapewniała, że jest tam przypadkiem.

– Kpi pan. Pańskim zdaniem siostra ma coś wspólnego z zabójstwem?

– Ktoś ma, facet sam nie porąbał się na kawałki.

- Ona też nikogo nie porąbała.
- Kobiety zwykle osobiście tego nie robią. Takiej Salome, na przykład, głowę Jana Chrzciciela przyniesiono na tacy.
- Salome to sprawa sprzed wieków. Nie interesuje mnie. Mnie interesuje policyjny samochód śledzący Dominikę dzisiejszej nocy.
- Siedziałem w nim. – Kruk wzruszył ramionami. Zastanowił się, czy Cendrowski dowiedział się, że Kruk śledził Dominikę od jej domu, czy też się tego domyślił. – Wpatrywałem się w zdjęcie pańskiej siostry. Wie pan, na cmentarzu fotograf strzelił jej kilka udanych fotek, choć starała się ukryć twarz.
- Co z tego?
- A jeśli pokazałbym to zdjęcie temu i owemu spośród żałobników?
- Po co?
- Nie wiem. Przeczucie.
- Przeczucie, tak?
- Moje przeczucia często się sprawdzają. Miałem na przykład przeczucie, że Dominika poznała Krystiana Brandta i jego żonę. A pan mi właśnie potwierdza, że prowadziła z nim rozmowy.
- Powiedziałem tylko, że prowadziliśmy rozmowy z Trustem.
- Kto prowadził je z waszej strony, a kto z ich?
- Cendrowski był bardzo poważny.
- Pytam jeszcze raz: po co chce pan pokazywać jej zdjęcie komukolwiek?
- Nie komukolwiek. Karolowi Mulickiemu. Nie muszę mieć skrupułów, bo nie tak łatwo zepsuć panu interesy. Krystian Brandt jej nie rozpoznał, prawda? Może będzie tak i z Mulickim.
- Nie wiem, o czym pan mówi.
- W każdym razie proszę się nie martwić, wciąż się waham. Nie zrobię tego wcześniej niż w środę.

– To ultimatum?

Cendrowski przyglądał się Krukowi z uwagą, jakby starając się ocenić, na czym mu zależy. Co można mu obiecać, aby go kupić, albo jaką stratą zagrozić, aby przerazić.

Wróciła jego była żona, ta w typie staropanieńskim.

– Pamiętasz, że Edyta przyjeżdża? Chciałabym, żebyś był rano na chodzie.

– Wyślij jej trochę pieniędzy, żeby nie przyjeżdżała.

– Edyta nie przyjmie od ciebie złotówki. Martwi się o twoje serce. Wyszła.

Daniel Cendrowski wzruszył ramionami i nachylił się do Kruka:

– Edyta, kolejna z moich byłych żon. Jeszcze jedna nieprzekupna. Takie są najgorsze.

– Dużo ich pan ma?

– Małe stadko. Wszystkie nieszczęśliwe w nowych małżeństwach, cyklicznie mnie nawiedzają i uprzykrzają mi życie.

– Troszczą się.

– Taki sobie wymyśliły sens istnienia. Ale wiatr wieje, trawa rośnie, a ja piję.

Ponownie zgarnął szklanki i napełnił. Wizyty przy barku sprawiały mu przyjemność.

– O czym to rozmawialiśmy? – spytał, gdy usiadł.

– Chciał mnie pan przekonać, żebym zostawił pańską siostrę w spokoju, bo mógłbym trafić na coś, co by mi się nie spodobało.

– Tak pan mnie odebrał?

– Jestem podejrzliwy.

– No to niech pan wreszcie powie prosto z mostu, czego pan od niej chce?

Kruk zakręcił szklaneczką z whisky. Patrzył, jak alkohol obmywa kostki lodu.

– Pan ufa sobie, jeśli chodzi o inwestycje, prawda?

Cendrowski patrzył na niego bardzo uważnie. Nie było po nim widać wypitego alkoholu. W tej chwili wzrok miał trzeźwy.

– To tak jak pan?

– Metaforycznie rzecz ujmując.

– Moja siostra to materiał na trafioną inwestycję?

Kruk wychylił szklaneczkę do dna. Whisky była zimna, ale go rozgrzewała.

– Widzi pan, mam dobre wyniki – powiedział. – Dużo lepsze niż przeciętna. W instytucji, w której statystyki są wszystkim, ja winduję je w górę. Paradoksalnie, nie głaszczę się mnie za to po głowie, ale nie o to chodzi.

– Jest pan inteligentny.

– Takiego udaję, bo nauczyłem się kilku trudnych wyrazów. Znam: „promiskuityzm” oraz „defenestracja”, ale w gruncie rzeczy jestem tępy.

– To zupełnie jak ja – rzekł Cendrowski, wciąż bardzo poważny. – I do tego jestem pijakiem.

– Mam wyniki, bo mam czas. Całe morze czasu, z którym muszę coś zrobić. I jeśli chcę, mogę spędzić noc w lokalu, w którym bawi pańska siostra, i zastanawiać się, dlaczego zakłada perukę. Ktoś inny na moim miejscu miałby problem: żona, dzieci, czytanie bajek na dobranoc, w planach wycieczka z psem do weterynarza. Wie pan, te wszystkie sprawy, tak zwane prawdziwe życie. Ktoś inny zastanawiałby się, czy to właściwy trop, czy jest w tym sens i czy go to w ogóle obchodzi, bo może wolałby zamiast tego napić się piwa przed telewizorem. Ja mogę tkwić nocą w gównianym lokalu, bo nikt nie zadzwoni, żebym wracał. Mogę tak sobie sprawdzać wszystkich kłamców, którzy stają na mojej drodze, badać ich życie, powody, dla

których kłamią. Czasem są to nieistotne powody, ale w końcu coś mi się trafia.

– Na przykład?

– Na przykład to, że osobisty kierowca i ochroniarz pewnej kobiety ma nocną linię telefoniczną z jej bratem. Że brat się troszczy, sprawuje nad nią zdalną opiekę, co jest cenne, biorąc pod uwagę, w jakim rozkładzie jest w naszych czasach instytucja rodziny.

Cendrowski potrząsnął głową i sięgnął po jego szklaneczkę, aby ją napełnić.

– Wystarczy – powiedział Kruk.

– Cóż... – Cendrowski odezwał się po dłuższej chwili, po czym potrząsnął głową. – Nie rozumiem. W czym moja siostra kłamie?

– Rozumie pan. Bo kłamie pan razem z nią.

Kruk wstał.

– Dziękuję za whisky. I za rozmowę. Niech pan nie pije więcej, żeby nie martwić Edyty.

Cendrowski także się podniósł. Odprowadził Kruka do drzwi.

– Mój dom stoi dla pana otworem, jeśli smakuje panu moja whisky.

– Po cichu liczyłem, że spotkam panią Soronicką. Nie widziałem z bliska gwiazdy telewizji.

Cendrowski przechylił głowę, przymknął oczy, uważnie popatrzył na Kruka.

– Gwiazdy telewizji najlepiej wypadają w telewizji. Ogląda pan jej programy?

– Zamierzam.

– Ona to dopiero kłamie. Ta dziewczyna jest kulinarnym antytalentem. Przypali nawet wodę w czajniku.

– Może się jeszcze nauczy.

– Na to liczę. Nie wszystkie kłamstwa są złe, komisarzu. Bez niektórych nie dałoby się żyć.

Kruk wzruszył ramionami.

Jakby o tym nie wiedział.

31

Udostępnienie w mediach nagrania białego kaptura pod Lewiatanem na Barniewickiej nic nie dało. Mimo to Kruk uparcie wracał do przyniesionego przez Brandta zapisu z drugiej kamery.

Ustawił nagranie na zapętleniu. Kończyło się i uruchamiało ponownie. Mężczyzna pojawiał się w polu widzenia kamery, przecinał je i po trzynastu sekundach opuszczał, a przedtem wykonywał ten gest.

Komisarz zatrzymał nagranie tuż przed jego końcem. Gdy jedna dłoń mężczyzny zamknęła się na drugiej.

Rozpoznawał ten gest, był charakterystyczny, wiązało się z czymś konkretnym, tylko w tej jednej chwili nie potrafił sobie uświadomić, z czym.

Wyłączył monitor. Sięgnął po notatkę Bielińskiej z poprzedniej nocy. O czwartej dziesięć nad ranem Dominika Wola-Karłowicz opuściła nocny lokal, a Nawajski zawiózł ją bezpośrednio do domu.

Samą.

Nawajski wypalił przed domem Dominiki kilka papierosów, zostawił samochód na podjeździe i piechotą ruszył do siebie. Bielińska czekała przed domem, aż zgasną światła.

W pokoju na piętrze paliły się do rana.

Krystian Brandt obserwował przez okno biura, jak policyjny samochód bez oznaczeń odjeżdża z parkingu. Mówią, że strach przed śmiercią jest najsilniejszy ze wszystkich, i pewnie taka jest prawda. Ale przecież gdyby to była prawda, nie kazałby adwokatowi pozbyć się policyjnej asysty.

Odczekał kwadrans. Wyszedł z gabinetu, rzucając w przelocie sekretarce, że wraca za dwie godziny. Drzwi do gabinetu Karola były zamknięte, dochodziły stamtąd przytłumione głosy. Karol był w trakcie jakiegoś spotkania i Brandt pośpiesznie wyszedł na korytarz, nie chcąc na niego wpaść.

Nie zamierzał się tłumaczyć, gdzie jedzie.

W drodze do samochodu wyłączył komórkę i odłączył baterię. Wyprowadził auto z parkingu i włączył się do ruchu.

Strach przed śmiercią jest silny, ale najważniejsze są interesy.

Brandt jechał w kierunku obwodnicy, zwracając uwagę na jadące obok samochody. Bez przerwy spoglądał w lusterka wsteczne. Uspokoił się, dopiero gdy się upewnił, że nikt za nim nie jedzie.

Z obwodnicy zjechał na stację paliw Shella w pobliżu Ikei, a stamtąd na nieduży plac w pobliżu, na którym często parkowały ciągniki siodłowe z naczepami. Teraz też stał tam jeden, a dalej czarny peugeot. Brandt zatrzymał się, nie gasząc silnika. Z peugeotą wysiadł mężczyzna w garniturze i podszedł do samochodu Brandta.

Krystian Brandt opuścił boczną szybę po stronie pasażera. Mężczyzna zajrzał do środka. Miał blond włosy, niemal białe.

– Dawaj – warknął Brandt.

Mężczyzna przez okno podał Brandtowi niewielką paczkę w opakowaniu z szarego papieru, okręconą brązową taśmą. Brandt ruchem głowy kazał mu rzucić ją na siedzenie. Dopiero gdy tamten to zrobił, podniósł ją i wrzucił do schowka.

– Ile dziś tego jest?

– Cała reszta mojej prowizji. Jesteśmy kwita?

– Wciąż jesteś moim dłużnikiem – rzekł Brandt, gwałtownie ruszając i jednocześnie zamykając okno, a mężczyzna musiał odskoczyć.

Brandt widział w lusterku, jak stoi i patrzy za samochodem.

Minął Ikeę, zawrócił i ponownie wjechał na obwodnicę, nabierając prędkości na kierunku warszawskim. Na węźle Gdańsk Południe zjechał na siódemkę i jechał nią aż do węzła Gdańsk Wschód, skręcił na Przejazdowo, tam odbił Jesionową na wiadukt, ale przed wiaduktem zjechał w wąską ślepią uliczkę, biegnącą kawałek wzdłuż S7.

Przy tej uliczce stały niewielkie zabudowania. Brandt zatrzymał się przed starą bramą, zamkniętą na rdzewiejący łańcuch z nową kłódką. Kłódka była nietknięta. To nic nie znaczyło, miał już kiedyś włamanie i wtedy jacyś ludzie weszli przez dziurę w siatce ogrodzeniowej. Zrobili sobie na jakiś czas w jego nieruchomości pijacko-narkomańską metę i Brandt ciężko to przeżył. Po tamtym incydencie zabezpieczył nieruchomość. Wpadł na pomysł. Miał moment genialnej inspiracji.

Żadnego monitoringu, żadnej ochrony. Te środki czasami nawet działały, ale wymagały zaufania do obcych, a tego Brandt nie

akceptował. Nie tutaj. Jego pomysł był genialny i brutalny, kombinacja, która się zawsze sprawdza najlepiej.

Otworzył bramę i wjechał na posesję. Były tam dwa budynki, jeden większy, kiedyś pełniący funkcję małej hali produkcyjnej, i mniejszy, dawne biuro w obrzydliwie brudnożółtej elewacji. Brandt zaparkował na tyłach hali, aby nikt jadący S7 nie mógł go stamtąd dostrzec. Wrócił i zamknął za sobą bramę, choć już nie zakładał łańcucha.

Nie miał zamiaru spędzać tu dużo czasu.

Mały podupadły biurowy budynek sprawiał wrażenie, że trzyma się na słowo honoru. Jednak kraty w oknach, choć pociemniałe ze starości, wciąż były zdrowe. A stare drzwi, choć wyblakłe od słońca, opierały się na mocnych zawiasach. W drzwiach był nowy zamek.

Brandt kupił tę nieruchomość na licytacji komorniczej w zupełnej tajemnicy. Miał wobec niej plany.

Zabrał owiniętą taśmą paczkę oraz latarkę ze schowka samochodu i wszedł do środka.

Instalacja elektryczna nie działała, do środka wpadało jedynie przymglone światło dnia. Było tu brudno, stały stare meble, na tyle zniszczone jeszcze w czasach, gdy opuszczano budynek, że nikt nie zawracał sobie głowy ich zabieraniem. Czuło się zapach wilgoci i pleśni. Ostrożnie przeszedł przez dwa pomieszczenia i otworzył kluczem stare, obdarte, butwiejące drzwi do piwnicy.

Otworzyły się ze skrzypieniem.

Zapalił latarkę.

Cicho i ostrożnie wszedł na prowadzące w dół stopnie. Na dole były kolejne drzwi – solidne, stalowe. Brandt pchnął je, co wymagało pewnej siły, a one się bezszelestnie otworzyły i pozostały otwarte. Przed sobą miał krótki korytarz, zakończony kolejnymi ciężkimi stalowymi drzwiami.

Kiedy Brandt kupił tę nieruchomość, były tu inne stalowe drzwi. Wtedy je zamykał, ale gdy doszło do tamtego włamania, nieproszeni goście poradzili sobie z nimi z zadziwiającą pomysłowością. Fakt, że były zamknięte, podziałał na nich jak płachta na byka. Może się spodziewali, że prowadzą do jaskini pełnej skarbów, bo wyważyli jedno i drugie drzwi, aby dostać się do pomieszczenia na dole.

Skarbów nie znaleźli, ale Brandt, gdy odkrył włamanie, i tak wpadł w panikę. Inspiracji do właściwego zabezpieczenia piwnicy doznał krótko potem, przeglądając plany wykorzystania nieruchomości, znalezione w jednej z szuflad starego biurka po jej zakupie. Poprzedni właściciel miał niezłe pomysły, tylko zabrakło mu gotówki, a może i wiary, do zrealizowania zamierzeń.

Brandt taką wiarę miał. Z jednej strony budynek stał poza Gdańskiem, co było niedogodnością. Z drugiej, znajdował się tak blisko drogi S7, którą każdego dnia przejeżdżały ogromne ilości samochodów, że odpowiednio obanerowany, sam sobie byłby reklamą.

Brandt wymienił wyłamane drzwi na specjalistyczne, do otwarcia których nie wystarczy zwykły łom. Drzwi były ciekawe także z kilku innych względów, i co najważniejsze, nie zostawiał ich zamkniętych.

Uznał, że jeśli ktoś już się włamał do budynku, to z kolejnymi zabezpieczeniami w środku w taki czy inny sposób sobie poradzi. Jeśli nie będzie miał przy sobie odpowiednich narzędzi, z pewnością je zdobędzie i wróci.

Po co więc budować zapory, które da się sforsować? Brandt wpadł na lepszy pomysł.

Pchnął drugie stalowe drzwi. Prowadziły do pomieszczenia, które było niedużą piwnicą. Zatrzymał się na progu.

Pierwszą rzeczą, jaka uderzyła jego zmysły, był metaliczny zapach. Drugą było to, że na podłodze coś się rozlało, coś ciemnego, co dawno wyschło, lecz zostawiło wielkie plamy. Wodził po tym strumieniem światła latarki. Trzecią była konstatacja, że to zapach i plamy krwi.

Wszedł głębiej, ponownie omiótł latarką pomieszczenie i to, co dotychczas tylko jawiło się w mroku, ujrzał w jej świetle w całej okazałości. Drzwi zamknęły się za nim z cichym trzaskiem zapadających blokad.

Pomieszczenie wyglądało jak rzeźnia, czarne od zakrzepłej krwi. Na podłodze wałały się elementy odzieży. Brandt rozpoznał ubrania Marka.

Na środku pokoju stało stalowe krzesło, pod nim poprzecinane plastikowe trytytki. Pod ścianą leżała siekiera na długim drzewcu. Drzewce było jasne i nowe w strumieniu światła latarki, mała biała nalepka z ceną wciąż jakimś cudem się na nim trzymała, pomimo licznych zacieków biegnących przez całą długość tej drewnianej części. Ostrze pokryte było rdzawociemnymi plamami. W rogu stała wysłużona zamrażarka, zezłomowana tu jeszcze przez poprzednich właścicieli, ale wciąż sprawna.

Brandt patrzył na to wszystko, stał i się nie ruszał. Znajdował się w miejscu śmierci Marka. Skąd Marek się tu wziął, w miejscu, o którym nie miał prawa wiedzieć, i co tu się, do kurwy nędzy, stało?

Nasłuchiwał. Cisza. Mijały minuty, a on stał nieruchomo, słuchając tej ciszy. I nagle uświadomił sobie, że wcale tu nie jest cicho, tylko dźwięk, który słyszał, był dla niego tak bardzo znajomy, że go nie rejestrował. Z kąta dobiegało mruczenie. Lodówka pracowała, w pomieszczeniu była elektryka.

Ktoś tu był i uruchomił generator.

Przejęto jego własność. Może ten ktoś nadal tu jest. W budynku. Stoi tak samo jak Brandt, nieruchomo, nasłuchując. Czeka, aż Brandt się poruszy.

Nic się nie działo. Brandt, im dłużej nic nie słyszał, tym bardziej czuł, że się nie myli. Nie był sam.

Nagle odwrócił się, mając nieodparte uczucie, że ktoś przyczął się za jego plecami.

Nikogo nie było.

Masz paranoję, przemknęło mu przez głowę. Zawsze miałeś. Nikogo tu nie ma. Nie w tym pomieszczeniu. Budynek też jest pusty.

Ostrożnie wrócił do drzwi. Skoro działała elektryka, mógł włączyć jarzeniówki pod sufitem, ale włącznik światła znajdował się w korytarzu.

Chwycił klamkę, klamka ustąpiła, ale jej naciśnięcie nie spowodowało zwolnienia blokad.

Oczywiście, że nie spowodowało. Włożył latarkę w zęby, wyjął z kieszeni klucze i z trudem wsunął klucz w zamek.

Cały czas nasłuchiwał.

Przygotowywał się na to, co zobaczy, gdy otworzy drzwi.

Cendrowski zadzwonił przed siedemnastą. Kruk był już w domu i robił to, do czego nie mógł się zmusić rano. Golił się.

– Jak pan dziś spędza wieczór, panie komisarzu?

– Znowu zaprasza mnie pan na whisky?

– Mógłby pan, gdyby pan chciał, zjeść o ósmej kolację w Navidi na Starym Mieście.

– Tym razem zamierza mnie pan dokarmiać?

– Kolację zje pan z Dominiką.

Było jakieś zmęczenie w głosie Cendrowskiego. Może męczył go wypity alkohol, a może inne rzeczy.

– Ósma może być.

– Spotka się pan z nią prywatnie. Nie jako policjant.

– Bzdura.

– Niech pan będzie delikatny.

Zapadła cisza. Kruk patrzył na swoje odbicie w lustrze. Półnagi facet z pianą do golenia na twarzy.

Nikt nie przerwał tej ciszy. Cendrowski się rozłączył.

Kruk zdążył ogolić pół policzka, gdy zadzwonił Błęcki z CBA. Domagał się wdzięczności i napomknął przy okazji, że gdyby Kruk coś miał na Cendrowskiego, to Błęcki by chętnie posłuchał. Temat co prawda dawno upadł, ale można by go wznowić.

– Czemu właściwie za nim chodziliście? – spytał Kruk.

– Facet odnosi za dużo sukcesów. Upewnialiśmy się, że wszystko jest legalnie.

Znaczyło to pewnie, że działalność Cendrowskiego stanęła jakiemuś ważniakowi kością w gardle i szukano haków.

Kruk odparł, że na pewno da znać, ale musiało być coś w jego głosie takiego, że agent specjalny mu nie uwierzył. Kruk usłyszał wiele gorzkich słów.

Trzeci telefon odebrał przed samym wyjściem z domu. Dzwonili z komendy. Krystian Brandt zrezygnował z policyjnej ochrony, a po jedenastej wyjechał z biura i słuch po nim zaginął. Nie było z nim kontaktu, miał wyłączoną komórkę. Jego żona ze względu na ostatnie wydarzenia od razu zawiadomiła policję.

Zrezygnował z policyjnej ochrony. To zaciekało Kruka.

Jego żona zaczynała się niepokoić.

Kruk nie.

34

Do restauracji przyszedł wcześniej, ale ona już tam czekała. Kelner był uprzedzony, powitał go, używając jego imienia i nazwiska. Poprowadził Kruka do stolika. Dominika Wola-Karłowicz podała mu rękę, nie wstając. Miała na sobie ciemny żakiet, wyglądała w nim doskonale.

Zdążyła wypić pół kieliszka białego wina. Kruk poprosił kelnera o wódkę.

Na początku jedli przystawki i wymieniali grzeczności, jakby spotkali się tu dla przyjemności. Potem przyszedł czas coś zamówić, ona zdecydowała się na owoce morza, Kruk wybrał stek, który był tu cholernie drogi.

– Lubi pan proste dania? – spytała.

– Sądząc po cenie, mięso jest ze złota.

– Pan świetnie wie, że cena dania to nie tylko koszt składników. Jest tam także kunszt kucharza, wystrój miejsca, obsługa oraz – czego akurat może pan nie wie – odrobina tego czegoś, co sprawia, że na twarzy kobiety, którą pan tu zaprasza, pojawia się uśmiech.

Kruk pokiwał głową.

– Pani się nie śmieje.

– Boję się tej rozmowy.

– Rozumiem.

– Ja nie bardzo rozumiem, czemu tu jestem.

– Jest pani tutaj, bo pani brat wybrał właśnie to miejsce, odpowiednie dla pani. Kunszt kucharza, wystrój, obsługa oraz odrobina tego czegoś, o czym akurat nie wiem, mają sprawić, że poczuje się pani jak u siebie. W każdym razie pewniej. Pani brat trafnie założył, że nie jest to miejsce dla mnie.

– Sun Tzu zaleca wybranie terenu, na którym zyska się przewagę.

– Co dowodzi, że przygotowaliście się do tego spotkania jak do bitwy.

Na końcu sali było podwyższenie. Stanęła na nim kobieta w długiej sukni ze skrzypcami w dłoniach. Zaczęła grać.

– Podoba się panu? – spytała Dominika Wola-Karłowicz.

– Tak.

Trochę słuchali, a potem Wola-Karłowicz zaczęła mówić o muzyce. Inicjatywa była po jej stronie i bała się ją stracić. Mówiła o muzyce długo i ciekawie, wiedziała o tym sporo.

Kelner przyniósł jedzenie.

Stek był przyzwoity, ale nie nadzwyczajny. Człowiekowi się wydaje, że jak dużo zapłaci, to dostanie za swoje pieniądze nie wiadomo co. A czasami po prostu drogo się płaci.

Potem Kruk zamówił dla niej drugi kieliszek wina, a dla siebie kawę.

– Brandt opowiedział mi historię sprzed lat – rzekł. – Jest tam kobieta i trzech oprawców.

Obserwował jej twarz. Pozostała zadziwiająco pogodna.

– Więc ta historia jest smutna.

– Niestety.

– Chce mi ją pan opowiedzieć?

Skrzypaczka opuściła salę, odprowadzana stonowanymi brawami. Przez chwilę zrobiło się cicho.

– Albo pani ją zna, więc nie muszę jej opowiadać, albo pani jej nie zna, i tym bardziej nie powinienem.

– Ale pan podejrzewa, że ją znam.

– Zna ją pani?

Delikatnie skubała kciukiem i palcem wskazującym dolną wargę.

– Znam wiele smutnych historii, jedna z nich wydarzyła się w dziewięćdziesiątym ósmym. W jesienny wieczór młoda dziewczyna wyszła z lekcji muzyki, aby wrócić do domu. Grała na skrzypcach, a tamtego wieczoru lekcja się przedłużyła. Dziewczyna nigdy nie dotarła do domu.

Kruk znieruchomiał. Czekał na ciąg dalszy.

– To była głośna sprawa – powiedziała. – Rodzina dziewczyny przeżyła koszmar, gdy znaleziono jej ciało, a potem drugi, z powodu nieudolnie prowadzonego policyjnego śledztwa. Zabójcy nigdy nie znaleziono.

To była gra Cendrowskiego. Grzebał w życiu Kruka i wyciągnął z niego to, co chciał rozegrać. Kruk odruchowo poczuł szacunek dla faceta, ale to szybko przemieniło się we wściekłość.

Spojrzał na Wolę-Karłowicz wzrokiem, z którego ulotniła się cała sympatia. Dostrzegła to, zawahała się, a gdy się znowu odezwała,

głos jej nie zmienił się ani o ton. Mówiła spokojnie, łagodnie, cicho:

– Współczułam tej dziewczynie, przerażona tym, co ją spotkało. Wyciągnęłam dla siebie lekcję z jej historii. Obiecałam sobie, że zawsze będę ostrożna.

Wola-Karłowicz spojrzała Krukowi w oczy. Jej wzrok stał się pusty.

– Byłam taka młoda, a gdy raz, jeden, jedyny raz złamałam tę zasadę, moja młodość się skończyła. I wtedy tamta dziewczyna stała mi się jeszcze bliższa, i wyciągnęłam z jej historii inną lekcję: nie warto iść na policję.

Zasłoniła się kieliszkiem wina.

– To był jednak zły pomysł, aby rozmawiać w restauracji. Niech mnie pan stąd zabierze.

Kruk przywołał kelnera. Okazało się, że rachunek był już zapłacony. Cendrowski wszystko załatwił.

Kruk nie protestował, zapytał tylko o kwotę i zostawił na stole napiwek w tej samej wysokości.

Wyszli z Wolą-Karłowicz przed restaurację i Kruk zaprosił ją do swojego samochodu.

– Będzie pan prowadził po alkoholu?

– To była tylko jedna wódka. Nic wielkiego.

Wsiadła. Powolnym, mechanicznym, pełnym fatalizmu gestem zapięła pasy.

– Gdzie panią zawieźć?

– Do domu.

Siedziała wyprostowana ze wzrokiem wbitym przed siebie.

– Niech pan pyta, o co chce.

Było krótko po dwudziestej drugiej, a ulice wciąż tętniły życiem, jaśniały białymi i czerwonymi światłami samochodów. Kruk się nie śpieszył, jechał prawym pasem, pozwalając, by wszyscy go wyprzedzali.

– Miałam niecałe dwadzieścia lat i wyszłam sama nocą z prywatki u znajomych – odezwała się Dominika Wola-Karłowicz. – Pokłóciłam się z przyjacielem, myślałam, że za mną pobiegnie.

Kruk nie patrzył na nią, tylko na drogę przed sobą. Nie chciał jej utrudniać.

– Nie pamiętam, o co się pokłóciliśmy. Wielu rzeczy nie pamiętam z tamtej nocy. Wiele innych pamiętam, choć próbowałam zapomnieć. Mieszkałam niedaleko, poszłam piechotą, chciałam zdążyć przed deszczem. Wciąż mówiło się o śmierci tamtej dziewczyny, bałam się iść sama, ale myślę, że w ten sposób chciałam ukarać chłopaka, zyskać powód do wyrzutów.

Kruk na nią spojrział. W jej oczach zobaczył mrok dawno minionej nocy.

– Wtedy ich pani spotkała – powiedział.

– Próbowałam uciec, ale zaciągnęli mnie na ten śmietnik. Każdy z nich był inny. Okrutny na swój sposób. Dziś znam ich nazwiska, ale przez lata myślałam o nich jak o numerach. Pierwszy, drugi, trzeci. Według kolejności, w jakiej to robili.

Kruk żałował, że nie są na komendzie, w pokoju przesłuchań. To było odpowiednie miejsce na takie rozmowy. Jej głos się zmienił, zmatowiał.

– Pierwszy był najbardziej brutalny, to on im przewodził. Obiecywał, że to, co mi zrobią, zostanie ze mną na zawsze. Drugi zabrał mi pierścioneł. Na pamiątkę. Te słowa słyszę w koszmarach. Trzeci, ten, który nie żyje, miał opory. Nie podobało mu się to, co robili. Ten pierwszy go zmusił, w końcu tamten uległ.

– Jak go zmusił?

– Groził, zachęcał, mówił, że nie może się wyłamać, że to ich rytuał.

Kruk skręcił w ulicę Polanki. Zapadła cisza. Żadne z nich się nie odezwało do momentu, gdy ich oczom ukazał się dom Karłowiczów.

– Mój umysł się w pewnej chwili wyłączył. Ten pierwszy mnie na koniec uderzył i straciłam przytomność. Gdy się ocknęłam, już ich nie było.

Kruk zatrzymał toyotę przy bramie wjazdowej. Dominika użyła pilota i wjechali na podjazd. Przed domem wyłączył silnik. Było cicho, w budynku paliły się światła.

– Jak się pani dostała do domu?

– Ocknęłam się, wstałam i poszłam. Krwawiłam. Płakałam, bo podarli mi sukienkę, na którą pracowałam całe lato w smażalni przy plaży. O tym wtedy myślałam, o sukience. Zdawało mi się, że idę całe wieki, ale tak naprawdę zdołałam przejść kilka kroków. Stałam na pustej ulicy, tak blisko domu i zupełnie zagubiona, gdy zatrzymała się przy mnie taksówka.

– Co było dalej? – spytał Kruk, gdy umilkła.

– Kierowcą był młody mężczyzna. Przeraził się, gdy mnie zobaczył, chciał wołać policję, wieźć mnie na pogotowie, ale go ubłagałam, żeby tego nie robił. Chciałam tylko uciec do domu i się

tam zamknąć. Zawiózł mnie. Moi rodzice umarli, gdy miałam czternaście lat, od jakiegoś czasu mieszkałam sama, studiowałam na wydziale ekonomii uniwersytetu, opiekował się mną starszy przyrodni brat, ale on mieszkał w Warszawie.

– Nie poszła pani na policję?

– Nie.

– Komu pani powiedziała?

– Wiedziało o tym trzech ludzi. Mój brat, mój chłopak i ten taksówkarz. Nie może pan iść do tamtych i pokazywać im mojego zdjęcia. Dziewczyna, którą skrzywdzili, została na osiedlowym śmietniku i niech tak zostanie.

Zapadła cisza, ale się skończyła, bo Kruk usłyszał swój głos:

– Nie zostanie. Ta sprawa wróciła. Pani mąż wie?

Sięgnęła po torebkę i położyła ją na kolanach. Siedziała nieruchomo. Zamierzała wyjść, ale jeszcze nie w tej chwili.

– Wyszłam za swojego chłopaka. Wtedy, gdy to się stało, byliśmy już zaręczeni. Nie chciałam ślubu, ale Eryk nie pozwolił mi się wycofać.

Kruk patrzył na nią, milczał.

– Trzeci nie żyje – rzekł wreszcie. – Drugi prawdopodobnie zaginął. Czy dobrze nadaję numery?

Uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Krystian Brandt zaginął?

– Jak to się stało, że poznała pani ich nazwiska?

– Przypadek. Brandt skontaktował się z naszą firmą, szukał finansowania. Rozpoznałam go.

– On pani nie?

Pokręciła głową.

– Komu pani o nim powiedziała?

– Nikomu.

– Mężowi? Bratu? Nawajskiemu?

– Nikomu.

– Gdzie jest dzisiaj Nawajski?

Zaskoczyło ją to pytanie.

– A gdzie miałyby być?

– Wydawało mi się, że zawsze pani towarzyszy.

– Nie dzisiaj.

– Dużo mu pani płaci?

– Poprzednie pytanie było dziwne. To jest jeszcze dziwniejsze.

– Ile się komuś płaci, aby był zawsze do dyspozycji, nie zakładał rodziny, krążył w pobliżu?

– Ma pan rację, dużo. Bardzo dużo. Wielu naszych dyrektorów zarabia mniej.

– Co robi z pieniędzmi?

– Co chce. Maks to nie tylko pracownik, przede wszystkim przyjaciel. Czuję się przy nim bezpieczna.

– Był kiedyś taksówkarzem?

Uniosła brodę i zastygła tak, zwrócona do niego profilem. Mógł sobie studiować zarys jej twarzy.

– Tak, kiedyś był – powiedziała i powtórzyła: – Czuję się przy nim bezpieczna, choć nigdy mnie przed niczym nie ochronił. Tak, to irracjonalne, a rzeczy irracjonalne potrafią być silne.

Przed drzwiami wejściowymi do domu przemknął kot, uruchomił fotokomórkę i światło z ganku prześwietliło jej profil. Kruk zastanowił się, co można zrobić dla takiej kobiety i jak daleko się posunąć na drodze do zatracenia. Uznał, że dosyć daleko.

– Przeprowadziłam się. Zmieniłam mieszkanie, chciałam wyjechać z miasta, ale nigdy nie wyjechałam. W latach, które nastąpiły po tym wszystkim, bałam się wyjść z domu. Gdy wychodziłam, nie brałam dokumentów, bo dzięki temu tamtej nocy

pozostałam dla nich anonimowa. Do dzisiaj ich nie noszę. Nie wiedziałam, kim oni są. Rozpoznawałam ich w każdym mężczyźnie, który na mnie spojrzał, zwrócił na mnie uwagę, uśmiechnął się do mnie. Wyobrażałam sobie, że to jeden z nich, wie, że to ja i szydzi ze mnie.

Kruk skinął głową, nie przerywał jej.

– Tamtej nocy słyszałam, jak mówili do siebie, że wracają z jakiegoś lokalu. Dlatego zaczęłam odwiedzać nocne kluby, miałam nadzieję, że na nich trafię, rozpoznam, sama nie będąc widziana. Obciąłam włosy, zmieniłam ich kolor, robiłam mocny makijaż, ubierałam się krzykliwie. Zaczęłam wyglądać inaczej i stałam się kimś innym. Chciałam wiedzieć, kim są, choćby po to, by nie widzieć ich w każdym. Trwało to wiele lat.

– W końcu jednego pani spotkała.

– Wtedy, kiedy już od dawna przestałam szukać. Przez przypadek. Po tym wydarzeniu znowu zaczęłam wychodzić nocami. Nie dlatego, żeby ich spotkać, przecież już wiedziałam, kim są. Po prostu to do mnie wróciło. To pewnie wydaje się panu dziwne, prawda?

– Jeśli znajdziemy trupa Brandta, co pani sobie pomyśli?

Pokręciła głową.

– Nie wiem.

– Ucieszy się pani, przerazi, otworzy butelkę szampana?

– Minęło dużo czasu.

– To ma znaczenie?

– Nie wiem, co pomyślę. Może to samo, co przy śmierci pierwszego.

Kruk nie zapytał, co pomyślała wtedy.

Otworzyła drzwi samochodu.

– Proszę wejść ze mną – powiedziała.

– Nie będę pani więcej męczył. Musiałem zadać te wszystkie pytania.

– Proszę wejść ze mną, dom jest pusty.

Kruk ruchem brody wskazał budynek.

– Ktoś jest w domu, palą się światła.

– Ja je zapaliłam przed wyjściem. Nie znoszę ciemności. I nie chcę być sama, nie po tym wszystkim, o czym rozmawialiśmy. Proszę ze mną wejść, mąż nadrabia zaległości w pracy, wróci przed północą. Jeszcze przez chwilę proszę dotrzymać mi towarzystwa.

36

Włączyła płytę. W powietrzu zawibrowały delikatne dźwięki jazzowej muzyki, z tego rodzaju, który zawsze będzie kojarzył się z ciemną nocą, przymgłonymi światłami i piękną kobietą zamyśloną przy stoliku w nocnym lokalu. Stacey Kent zaśpiewała o tym, jak nieczuły jest jej kochanek. Nie można się było nie poddać nastrojowi, bo noc rzeczywiście była ciemna, światła przymgłone, a kobieta piękna.

Usiadł na sofie, a ona podała mu szklanekę z odrobiną whisky na dnie. Na moment ich palce się zetknęły i było to przyjemne. Pierwszy, pozornie przypadkowy dotyk, po którym dłonie zaczną

szukać okazji, aby ponownie się spotkać. Zajęła miejsce obok, możliwe, że nazbyt blisko.

– Komisarzu?

– Tak?

– Gdy mówiłam o tamtej dziewczynie, którą zamordowano w dziewięćdziesiątym ósmym, zrobiło to na panu wrażenie. Pan brał udział w śledztwie?

Nastrój się rozwiął jak dym nad popielniczką pełną niedopałków. Kruk niemal zapomniał, że uczestniczył w grze.

– Wtedy jeszcze byłem na studiach.

– Co pan studiował?

– Filozofię.

Zamyśliła się. Kruk powąchał whisky, ale jej nie ruszył. Odstawił szklankę na mały stolik. Za dużo tego picia, jeśli miał jeszcze wsiąść do samochodu.

– Znał ją pan?

– Skąd ten pomysł? – spytał Kruk, choć świetnie wiedział skąd.

– Bo ja ją znałam. To dlatego jej śmierć tak mnie dotknęła. Znałam ją tylko z widzenia ze szkoły średniej, ale nie dało się jej nie zapamiętać. Była niezwykła.

Kruk starał się nie zastanawiać nad jej słowami. Rozglądał się po pokoju. Nigdzie nie zauważył żadnych zdjęć, jakby wspomnienia były tu czymś zakazanym.

– Daniel mówi, że pan ją znał.

Skupił na niej wzrok. Miała wielkie oczy z rodzaju tych, które potrafią zasłonić cały świat.

– Wiem, że pani brat mnie przeświecił. Jak dociera się do takich informacji o ludziach? Pytam, bo pracuję w policji, i nie jesteśmy tak dobrzy jak on.

– Daniel mówi, że pan ją kochał.

Nagle chwyciła jego dłoń i lekko ścisnęła mu palce. Zbliżyła się, by mógł poczuć jej zapach, jej oddech, by mógł zacząć wyobrażać sobie gładkość jej skóry. Było w niej coś takiego, że zapragnął jej opowiedzieć o sobie.

Zamiast tego zdołał tylko zabrać rękę.

– Myśli pan o niej codziennie?

– Często, jak na czas, który minął, ale coraz rzadziej.

Nachyliła się, by być jeszcze bliżej niego. Zbliżała się powoli, ale każdy centymetr zrywał kolejne niewidzialne tamy.

– Nie możemy myśleć cały czas o złych rzeczach, które nas spotkały. Nie możemy nawet myśleć o tym każdego dnia.

Pochyliła głowę, a włosy opadły jej na twarz. Ostrożnie je odsunął, bo chciał dobrze widzieć jej oczy.

– Zdarzały mi się całe miesiące, kiedy zapomniałam – powiedziała. – A potem to wracało.

– Wracają rzeczy, które pozostają otwarte. Które krzyczą, że sprawiedliwości nie stało się zadość.

– Co to z nami robi? Jak bardzo nas zmienia?

Równie nagle, jak przed chwilą wzięła go za rękę, teraz się wyprostowała. Odsunęła lekko. Uśmiechnęła się przeproszająco.

Siedzieli w milczeniu, dwoje ludzi, którzy ledwo się znali, ale nie było to krępujące ani nieprzyjemne. Nie wiadomo kiedy, w trakcie tej krótkiej rozmowy, wywiązał się między nimi rodzaj więzi. To była zasługa Dominiki, zrobiła to z wyrachowaniem, albo wcale nie.

Taka więź, świeża i ulotna, czasem zbliża mężczyznę i kobietę. Zbliża ich na chwilę, na tyle, na ile trzeba, a gdy budzą się rano, nie rozumieją, co się właśnie stało i dlaczego to się stało, bo więź jest delikatna i znika.

Kruk czuł, że wciąż jeden gest, z jego lub z jej strony, może sprawić, że się zbliżą. Nie wykonał go. Ona też pozostawała

nieruchoma, bliska i daleka jednocześnie.

– Początkowo jej los był dla mnie ostrzeżeniem – odezwała się. – Współczułam jej. Potem, po tym wszystkim, co się ze mną stało, zazdrościłam jej. – Uniosła wzrok, jej oczy były suche i puste. – Ona nie żyła, a ja jej zazdrościłam. Bo nie została zgwałcona.

37

Kruk stanął przed furtką prowadzącą do domu Zychów i nacisnął przycisk domofonu. Dochodziło wpół do pierwszej w nocy. Ich okna, tak jak okna wszystkich domów wokoło, pozostawały ciemne i mokre od lekkiego deszczu. Nie czekał długo. Zadzwieczał brzęczyk, Kruk pchnął furtkę i wszedł na posesję. Musieli zobaczyć go z okien.

Gdy doszedł do drzwi wejściowych, Matylda, żona Marcina, czekała już na progu, krzyżując ręce. Miała na sobie lekki szlafrok, była boso. Na jej twarzy widniał ten charakterystyczny wyraz osoby, która została wyrwana z głębokiego snu.

– Obudziłeś nas – powiedziała.

Była ładna, ale nie aż tak bardzo, żeby burzyć dla niej Troję. Mimo to należała to tych kobiet, które zyskują na atrakcyjności z latami.

– Nie powinnaś wychodzić do obcych w środku nocy – rzekł Kruk.

– A ty nie powinienes nocą przychodzić.

– Gdzie Marcin?

– Powiedziałam mu, że jeśli jesteś pijany, każę ci iść do diabła.

– Nie jestem pijany.

Skinęła głową. Znali się z Krukiem długo. Jako nastoletnia dziewczyna uważała, że Kruk jest fajny. On nie zwracał na nią uwagi i doszła do wniosku, że Marcin jest fajniejszy. Przez te wszystkie lata, które upłynęły, musiała wielokrotnie gratulować sobie rozsądku.

– Jeśli to sprawa służbowa, mogłeś zadzwonić.

– Będziesz mnie trzymać na progu?

– Zastanawiam się, gdzie cię trzymać.

Marcin pojawił się za nią, ostrożnie chwycił za ramiona i przesunął. Skinął na Kruka.

– Właż.

Poszli we dwóch do salonu. Kruk usiadł na kanapie. Marcin wzdrygnął się, zajmując miejsce przy stole. Był w piżamie, w salonie było dość chłodno, a on został wyciągnięty z łóżka.

– Byłem na kolacji z tą Wolą-Karłowicz – rzekł Kruk.

– To nie mogło poczekać do rana?

– Znała Emilię.

Marcin przetarł twarz dłonią, jakby chciał w ten sposób zetrzeć z niej sen.

– Czyli to mogło poczekać.

– Dominika Wola-Karłowicz jest tą kobietą, która została zgwałcona w pięćdziesiątym dziewiątym przez tych trzech skurwysynów.

Zych pokiwał głową. Nie odezwał się.

– Powinniśmy prześwietlić jej otoczenie, zabójca Woronowicza i Brandta będzie znajdować się w jej pobliżu. Albo wcale nie powinniśmy tego robić.

Marcin spojrzał na niego uważnie.

– Brandt żyje.

– Zniknął. Myślisz, że go znajdziemy?

– Zajmiemy się tym. Rano omówimy to na odprawie. Rano, Sławek.

Zapadła cisza.

– Po co przyszedłeś?

– A do kogo miałem przyjść?

W otwartych drzwiach pokoju pojawiła się Matylda. Nie było wątpliwości, że słyszała całą rozmowę.

– Jeśli chcesz zostać, pościelimy ci w gościnnym – powiedziała.

Pokręcił głową. Jego i Matyldę wiele dzieliło, miała do niego pretensje, że przez niego Marcin ma często kłopoty. Ale zdarzały się momenty, gdy potrafiła go zaskoczyć.

Pod wpływem jej spojrzenia poczuł niepokój.

– Dziękuję. – Podniósł się z miejsca. – Lepiej już pójde.

– Widzimy się jutro – rzekł Marcin. – Wyśpij się.

Matylda odprowadziła Kruka do wyjścia. Była zamyślona. Kruk wyszedł za zewnątrz i zatrzymał się, aby zapiąć kurtkę. Wciąż mżyło. Na ulicy światła latarni odbijały się od mokrego asfaltu.

– On czasem chciałby o tym zapomnieć – odezwała się.

– Nie pozwolę mu na to.

Pokiwała głową, jakby dobrze o tym wiedziała i rozumiała to, a w każdym razie nie zamierzała z tym walczyć. Zamknęła drzwi i Kruk został sam na progu ich domu.

Poszedł do samochodu, usiadł za kierownicą, ale nie uruchamiał silnika. Poczul się winny, że przyszedł do Zychów.

Choćby nie wiadomo jak usiłował nie dopuścić tego do siebie, był wstrząśnięty po spotkaniu z Dominiką Wolą-Karłowicz. Po latach miał kontakt z kobietą, która знаła Emilię, współczuła jej i bardzo nie chciała, aby spotkało ją to samo. I właściwie to jej nie spotkało. Spotkało ją coś innego.

Za to przeżyła.

Przynajmniej tak się mogło wydawać na pierwszy rzut oka, bo chodziła, uśmiechała się, mówiła, tak jak robią to żywi ludzie.

Wróciły do Kruka żal i wściekłość, które czuł przez te lata po śmierci Emilii. Jej zabójca chodził wolny, nigdy nie został złapany. Za to, co zrobiono Emilii, Kruk chciał ukarać oprawców tej drugiej kobiety. Demon, który spał w jego głowie, obudził się. Powstał i domagał się krwi. Godził się, żeby to była ich krew.

Bo czemu nie.

Choćby dlatego nie, że był policjantem. Musiał dbać, by siekiera zabójcy nie spadła na kolejne grzeszne łby.

Demon w głowie Kruka śmiał się w głos.

Przed oczami zamajaczyły mu twarze Brandta i Mulickiego.

Już ja o was, kurwa, zadbam.

W pokoju paliła się mała stołowa lampka, oświetlając butelkę wódki i stojącą obok szklankę. Butelka wciąż była zmrożona, krople wilgoci perliły się na niej jak szlachetne kamienie. W jednej trzeciej była pusta. Albo w dwóch trzecich pełna, w zależności od tego, jak patrzeć.

Kruk wychylił porcję, którą wcześniej nalał do szklanki. Czekał, aż wódka zacznie działać. Nie miał zamiaru się upić, tylko się trochę odprężyć. Dochodziła trzecia w nocy. Nie mógł spać po spotkaniu z Dominiką Wolą-Karłowicz i wizycie u Zychów.

Był ciekaw, czy wszyscy na świecie już śpią.

Sięgnął po telefon i wybrał numer z listy odebranych połączeń. Mężczyzna po drugiej stronie zgłosił się po pierwszym sygnale.

– Manipuluje pan mną – powiedział Kruk.

– Skoro pan to wie, nic nie osiągnę.

– Skąd pan ma o mnie informacje?

Ciche westchnienie w głośniku telefonu. Daleki brzęk kostek lodu w szklance.

– Jestem trochę magikiem. A z magią jest tak, że jak się ją próbuje wyjaśniać, z magika zostaje kuglarz.

– Pan myśli, że co teraz zrobię?

– Nie myślę o tym.

– Może jednak pokażę jej zdjęcie dwóm znajomym facetom, a jeśli to nie zadziała, każę im patrzeć do skutku?

– Nie robi pan tego. Nie jest pan podły.

Kruk syknął w słuchawkę.

– Nie bądź pan śmieszny. Prowadzę sprawę o zabójstwo, to nie zabawa w berka.

Po drugiej stronie zapanowała cisza.

– Nie, pan tego nie robi – usłyszał po chwili Kruk. – Tym się nie martwię.

– A czym się pan martwi?

– Tym, co się z nią stanie, jeśli będzie musiała stanąć twarzą w twarz z ludźmi, którym prawo gwarantuje bezkarność tylko dlatego, że upłynęło trochę czasu.

– Dwadzieścia lat.

– Dwadzieścia lat czy dwadzieścia minut, co za różnica?

Zapadła cisza, w trakcie której nic się nie działo. Kruk wiedział, że to bezruch pozorny. W trakcie tej ciszy Cendrowski z pewnością wprowadził do organizmu sporą dawkę alkoholu.

– Wciąż myślę o tym, dokąd poprowadzi pana śledztwo. Boję się tego. Nie podoba mi się to. Od lat wiedziałem o tym, co jej zrobiono, ale że ich rozpoznała, dowiedziałem się niedawno. – Zawahał się. Dało się to wychwycić z tonu, jakim wypowiedział ostatnie słowa. – Zmusiłem ją, żeby mi powiedziała.

– I pogrywa pan ze mną.

– Niestety, nie jestem do tego zdolny. Zbyt wiele rzeczy mnie niepokoi.

Kruk wreszcie poczuł uderzenie alkoholu. Przez chwilę się tym upajał.

– Rozważaliście Trust jako klienta – rzekł.

– Zgadza się.

– Na pewno sporo o nich wiecie.

– To też się zgadza.

– Niech pan mi coś da – powiedział Kruk. – Byle co. Muszę jakoś spędzać czas.

Rano Kruk spóźnił się na odprawę. W konferencyjnym stół był długi, a Marcin Zych, Krystyna Bielińska i Radek Maszyński siedzieli stłoczeni przy jednym z jego końców. Kruk zajął miejsce dobrych pięć krzeseł dalej od nich wszystkich.

– Cały wydział zaginięć został postawiony na nogi – rzekł Marcin Zych. – Chłopaki się starają. Co jest, Sławek? Po naszej części stołu śmierdzi?

Kruk pozostawił to pytanie bez odpowiedzi.

– Jak z lokalizacją komórki Brandta?

– Komórkę wyłączył, jeszcze zanim wyjechał z biura – odpowiedziała Bielińska. – GPS w samochodzie nie działa. Przegapiliśmy to. Powinniśmy byli skojarzyć, że skoro Woronowicz wymontował wszystkie układy śledzące, to możliwe, że jego wspólnicy też tak zrobili. Chcę sprawdzić bmw Mulickiego.

Kruk wyciągnął z kieszeni dwie tabletki aspiryny. Połknął i popił wodą z butelki na stole.

– Strata czasu.

– Musimy wiedzieć, czy z jego samochodem jest tak samo. A jak to potwierdzimy, powinniśmy przekonać go, by zgodził się, by założyć mu GPS.

– Strata czasu jest wtedy, gdy chcesz się dowiedzieć czegoś, co już wiesz.

Bielińska spojrzała na niego z zaciekawieniem, które zmieniło się w zrozumienie.

– Raczej co ty wiesz.

– Albo gdy robisz coś, co nie przyniesie efektu.

Nikt się nie odezwał, więc Kruk uznał, że on musi.

– Trzech łajdaków założyło białe koszule. Chyba nie uwierzyliście, że kiedyś robili lewe interesy, a potem się nawrócili?

Wszyscy trzej wymontowali z aut wszystko, co mogłoby zdradzać ich położenie. To nawyk bandziora, który nie chce być lokalizowany.

– Nikt z nas tego nie chce – powiedział Marcin.

– Niektórzy mają potrzebę prywatności – dodała Bielińska.

– Mulicki nawet nie ukrywa, że to nawyk z przeszłości: zostawiać za sobą jak najmniej śladów. Rozmawiałem z nim po stypie. Nie uwierzycie, ale ja wierzę facetowi. Potrafi być szczery do bólu. Nie wierzę tylko w to, że przeszłość zostawił za sobą.

– Czemu założenie GPS Mulickiemu nie przyniesie efektu? – spytała Bielińska.

– Krysiu, powtórz sobie, co przed chwilą mówiłaś o komórce Brandta. Przypomnij sobie, co było z komórką Woronowicza – powiedział cicho Kruk.

Marcin Zych wygładził klapę marynarki.

– Sławek, jak chcesz prowadzić dalej śledztwo?

– Trust, firma Woronowicza, Brandta i Mulickiego, zajmuje się głównie handlem z Chinami, ale od paru lat interes idzie coraz gorzej i zaczęli szukać towarów z innych krajów. Odpływają klienci, firmy chińskie wchodzą bezpośrednio na rynek polski i przestają potrzebować pośredników, pojawił się AliExpress. Jakby tego było mało, w Truście mieli niedawno serię kradzieży, zaczął ginąć towar z magazynu. Okoliczności były takie, że zaczęto podejrzewać współników, że okradają własną firmę. Było kilka anonimowych donosów do urzędu skarbowego, przeprowadzono kilka kontroli.

– Skąd masz te informacje? – spytała Bielińska.

– Rozmawiałem z Cendrowskim. Trust w kwietniu zwrócił się do niego o pomoc, nie doszło do współpracy, ale dzięki temu Cendrowski trochę wie o sytuacji firmy. Jest coś jeszcze. Przed trzema miesiącami dokonali chybionej transakcji w Grecji. Kupili kontener skórzanej konfekcji: portfele, torebki, etui na karty, tego

typu rzeczy. Miały to być oryginalne markowe produkty, ale ich wystawiono. Dostali kontener podróbek. Wszystko trafiło do utylizacji. Straty sięgają sześciu milionów złotych, a grecki kontrahent zniknął.

Bielińska popatrzyła na niego spod nasuniętych na nos okularów.

– Co nas to obchodzi?

– Przyjrzymy się temu wszystkiemu.

– Gwałtowny zwrot kierunku śledztwa?

– Nowe info, nowe działanie.

– Nie interesuje nas zniknięcie Brandta?

– Interesuje. Jak słyszałem, cały wydział zaginięć został postawiony na nogi.

Nie odezwała się. Miała przed sobą otwarty notes i coś w nim zapisała.

– Trust się wali – powiedział Kruk. – Przyjrzymy się, czy ktoś za tym nie stoi.

– A co z Dominiką Wolą-Karłowicz? – Bielińska nie podniosła wzroku znad notesu, choć nic więcej w nim nie zapisywała. – Już nie jeździmy za nią po nocach?

Była stanowczo zbyt bystra i niezależna. Kruk odczekał chwilę, zanim odpowiedział:

– Data na pocztówce z groźbą to dzień założenia Trustu. Musimy sprawdzić wątek biznesowy, może zabójstwo jest z tym powiązane.

– Data na pocztówce wskazuje datę zgwałcenia, a śmietnik na Jabłońskiego jest miejscem, gdzie to się stało. Odnalazłeś ofiarę, która ma motyw zemsty. Nagle porzucasz ten trop?

– To nie ona.

– Co?

– Przesłuchałem ją wczoraj w nocy. Wykluczyłem ją. To nie ona.

Marcin utkwiał w nim wzrok. Nic nie powiedział.

– Skąd możesz mieć pewność? – Bielińska nie zamierzała ustąpić. – Mamy mocny punkt zaczepienia. Zamiast skoncentrować się na ofierze, przeświecić jej otoczenie, mężczyzn w jej pobliżu, którzy mogliby mścić się w jej imieniu, nagle zarzucasz ten wątek?

– Zemsta to jedna z hipotez.

– Są inne?

– Nie będzie, jeśli zafiksujemy się na tej jednej i nie spojrzymy szerzej.

– Mamy czas, żeby się szerzej rozglądać? A Brandt?

Kruk zaczynał się niecierpliwić.

– Marcin... co tam Marcin, naczelnik Zych mówi, że chłopaki od zaginięć się starają.

– Z automatu powinniśmy to przejąć.

– Nie jesteśmy lepsi od nich, a jest nas zbyt mało, żeby zajmować się wszystkim. Chcesz, to wprowadź ich w to, co wiemy. Potem zajmiesz się Trustem.

Decyzja zapadła, Marcin zaaprobował, i nikt nie próbował już jej podważyć. Następne pół godziny dyskutowali o tym, co mieli. Gdy spotkanie się skończyło, Zych i Maszyński wyszli z pokoju, ale Bielińska się ociągała. Wreszcie podniosła się, podeszła do Kruka i pociągnęła nosem.

– Zioniesz wódą i nic nie daje, że siadłeś daleko.

– Kriss – powiedział Kruk.

Uniosła brwi.

– Nigdy tak do mnie nie mówisz. Chyba że jesteś zły.

– Co ci chodzi po głowie?

– Sabotujesz własne śledztwo?

Stała przed nim drobna, spięta, nieustępliwa. Kruk nie zamierzał się tłumaczyć.

– Te kradzieże, trefna transakcja to kość rzucona na chybił trafił – powiedziała. – Dlaczego właśnie tym mamy się zająć? Naprawdę chodzi o finanse Trustu, czy żeby zostawić w spokoju Dominikę Wolę-Karłowicz?

Kruk spojrział jej prosto w oczy. Wytrzymała to spojrzenie.

– Masz zająć się Trustem.

– Brandt zniknął, trzeba skupić wysiłki, by go odnaleźć. Trzeba... – zawahała się – ...zacząć obserwację altany śmietnikowej na Jabłońskiego. Na wszelki wypadek.

– Dość.

– Nie będę siedziała cicho.

– Z nas wszystkich ty najmocniej wgryzłaś się w Trust. Pociągniesz to dalej. Załatwisz formalności i dowiesz się w skarbówce, co mają. Kradzieże zostały na pewno zgłoszone, przejrzysz w naszych bazach, co z tym zrobiono.

– Pozbywasz się mnie.

– Nic podobnego.

Bielińska długo patrzyła mu w oczy.

– Pozbywasz się mnie – powtórzyła.

– Kruk chce skierować śledztwo w zaułek, który sam uważa za ślepy. Jestem przeciwna, więc wysyła mnie na zsyłkę do skarbówki. Nie znam się na finansach. Nawet jeśli tam coś jest i jest wielkie jak piramida, ja tego nie zauważę.

Marcin Zych w zamyśleniu potarł brodę. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Nie wiem, czy traktować to jako akt lojalności wobec mnie, czy nielojalności wobec Sławka.

Krystyna Bielińska też nie wiedziała. Ten problem niespecjalnie ją interesował.

– Przyszłam z tym do ciebie. Ty Krukowi oka nie wykolesz.

Dwukrotnie puknął wiecznym piórem w blat biurka.

– Kruk wie, jak prowadzić śledztwo. Ma doświadczenie i intuicję. Ucz się od niego, zamiast podważać jego decyzje.

– Nie mówię, że nie może mieć racji. Mówię, że sam nie wierzy w to, co robi. Nowy wątek w śledztwie obiektywnie ma jakieś podstawy, ale to morze pracy. Jeśli skupimy się na nim, rozproszymy się tam, gdzie skupialiśmy się do tej pory. Myślę, że o to mu chodzi.

– Mówisz o tej kobiecie, którą wyłuskał na cmentarzu? Może uznał, że to ślepy strzał. Kruk potrafi przyznać się do błędu.

– To nie był ślepy strzał.

– Ciekawe, że tak uważasz. Jak więc ty poprowadziłabyś śledztwo?

– Mówiłam Krukowi, ale mnie ignoruje. Skupiłabym wszystkie nasze wysiłki na szukaniu Brandta, wzięłabym pod obserwację śmietnik na Jabłońskiego, bo może ktoś znowu zechce wyrzucić tam śmieci.

Marcin spojrział na nią uważnie, ale się nie odezwał.

– Dałabym ochronę Mulickiemu, ostatniemu z trójki. Kruk przekierowuje naszą uwagę gdzie indziej, żeby ta kwestia nie

wypłynęła.

– Jaka kwestia?

– Nie tylko Brandt jest zagrożony. Mulicki to trzeci z ludzi, o których mamy przesłanki sądzić, że mogą wkrótce stracić życie.

Naczelnik Zych wyraźnie był zirytowany.

– Policja to nie agencja ochrony, ale pomyślę o tym.

– Ty też mnie zbywasz?

– Powiedziałem, że pomyślę.

– Czasem wydaje mi się, że obaj nosicie maskę. Maskę policjanta.

Chyba boję się spojrzeć, co się pod nią kryje.

Zych odłożył pióro i wyprostował się.

– Wracaj do pracy. Warto iść tropem pieniędzy, to zawsze najlepszy trop.

– Tak jest, panie naczelniku. Oby się pan namyślił, zanim sytuacja bardziej się skomplikuje.

Eryk Karłowicz ociągał się z wyjściem do pracy. Wrócił do domu późno i nie spał całą noc. To zaczęło się krótko po tym, gdy znaleziono zwłoki pierwszego z nich i gdy Eryk otrzymał pierwszego maila. Nie potrafił nic na to poradzić, że tak reagował.

Dominika już wyjechała, więc zgrał odczyty keyloggera z jej komputera. W swoim pokoju otworzył laptopa. Najnowsze lenovo błyskawicznie wzbudziło system, Eryk włożył do portu pendrive'a. Żadnych wpisów.

Odruchowo uruchomił przeglądarkę internetową. Wszedł na stronę Protonmail.com, gwarantującego ścisłą prywatność dostawcy usług pocztowych z serwerami w Szwajcarii. Zastygł z dłońmi na klawiaturze. Poczł lekkie mdłości, ale się przełamał.

Logowanie do konta było dwustopniowe, Eryk wpisał login: „napamiatke” i najpierw jedno, a potem drugie hasło.

Skrzynka pocztowa została otwarta. Był tam tylko jeden mail, nieotwarty, wysłany z tego samego adresu, na który przyszedł, z ikonką spinacza informującą, że mail zawiera załącznik.

Pole: „Temat wiadomości” było puste.

Eryk otworzył wiadomość. Tworzyły ją zaledwie trzy słowa tekstu, a załącznik stanowiły trzy zdjęcia. Pobrał je na dysk twardy

komputera.

Otworzył pierwsze zdjęcie. Przedstawiało mężczyznę na krześle w pustym pomieszczeniu o brudnych ścianach. Mężczyzna był nagi, z rękami skutymi z tyłu plastikowymi zaciskami przytwierdzonymi do oparcia, bo krzesło było stalowe. Głowę miał zwieszoną, ale i tak dało się zobaczyć zasinienia i opuchliznę na twarzy. Z ust kapłała krew zmieszana ze śliną, a z półotwartych, rozbitych warg wystawał złamany ząb.

Krwi było więcej, tors mężczyzny był skrwawiony, cały w ranach. Jeszcze żył, ale na skórze wycięty miał napis. Eryk nie bez trudu go przeczytał.

Otworzył drugie zdjęcie.

Na betonowej posadzce leżały zwłoki bez głowy. Napis był teraz lepiej widoczny. W kadrze znalazło się jeszcze stylisko siekiery.

Eryk przełączył na zdjęcie trzecie. Przedstawiało odciętą głowę. Była to głowa tego samego człowieka, upiornie wpatrująca się w Eryka. Obok stało kartonowe pudełko i rolka stretchu.

Eryk Karłowicz był spokojny. To, jak bardzo był spokojny i jak niewielkie wrażenie zrobiły na nim te zdjęcia, było zaskoczeniem dla niego samego.

Na co były te groźne miny, panie Brandt, pomyślał.

Usunął zdjęcia, a potem wyczyścił kosz.

Uruchomił program czyszczący, uniemożliwiający odzyskanie usuniętych plików.

Wszedł z powrotem do poczty. Ponownie przeczytał treść wiadomości: DAJ MI PIERŚCIONEK. Wpatrywał się w nią długą chwilę, po czym usunął wiadomość i się wylogował.

Usiadł w fotelu pod oknem. Patrzył przez szybę na ogród. Przymknął oczy. A więc Brandt mu powiedział, że go stracił, a on się domyślił, że to Eryk go miał.

Spał, ale wydawało mu się, że nie śpi, że chodzi po domu, patrzy przez okno, ogląda telewizję, otwiera laptopa i przegląda strony internetowe, a na monitorze pojawiają się krwawe zacieki. Gdy się ocknął, nie był ani trochę bardziej wypoczęty.

Wziął prysznic, przebrał się. Wrócił do pokoju i wiedziony niejasnym podejrzeniem, ponownie zalogował się do Proton Maila. Skrzynka pocztowa była pusta z wyjątkiem jednej nieodczytanej wiadomości wysłanej przed półgodziną, w czasie, kiedy spał na siedząco.

Wiadomość została wysłana z tego samego adresu mailowego, na który przyszła. Nadawca logował się do tej samej skrzynki pocztowej.

DAJ MI PIERŚCIONEK. DLA CIEBIE JEST NIEBEZPIECZNY, A JA ZASŁUŻYŁEM NA NIEGO.

Eryk Karłowicz wstał i poszedł do sąsiedniego pokoju. Otworzył mały, wbudowany w ścianę sejf i wyciągnął z niego złoty pierścionek z sercem ze szlachetnych kamieni. Obracał go w palcach.

Jego świadomość chciała zatrzymać pierścionek, ale podświadomość biła na alarm. To prawda, że niebezpiecznie jest go teraz posiadać. Musisz się go pozbyć, słyszał głos, który przebijał się przez zmęczenie, bezsenne noce, wszechogarniające otępienie.

Odłożył pierścionek do sejfu. Wrócił do pokoju z laptopem. Kliknął ikonkę „Odpowiedz” i napisał jedno słowo: GDZIE?

Wysłał wiadomość.

Natychmiast pojawiała się jako nieprzeczytana w folderze „Odebrane”.

Usiadł w fotelu i patrzył w ekran. Mijał czas. Nic się nie działo. Wiadomość ciągle widniała jako nieprzeczytana. Głowa mu opadła, miał wrażenie, że zasnął, poderwał głowę i spojrzał w ekran.

Wiadomość tkwiła tam pogrubiona, czarna, nieodczytana.

Eryk wylogował się z poczty.

Zatopił się w fotelu i zamknął oczy. Był nieludzko zmęczony, niemal fizycznie czuł, że hormony stresu wypełniają każdą komórkę jego ciała. Ale nie potrafił zasnąć, nie tak naprawdę. Tkwił pomiędzy jawą a snem, mając poczucie, że chodzi po domu, wraca, korzysta z laptopa, choć tak naprawdę nie ruszał się z fotela. Zasypiał na chwilę i się budził.

Posiadanie pierścionka było niebezpieczne, ale czy nie bardziej niebezpieczne było oddawanie go człowiekowi z drugiej strony skrzynki mailowej?

Eryk mu ufał.

Poza tym, przynajmniej w tej chwili, było mu wszystko jedno.

42

Kruk zażyczył sobie logowania telefonu Brandta z trzech ostatnich miesięcy i je dostał. W trakcie tego okresu było wiele incydentów, kiedy komórka przestawała się regularnie logować do masztów.

Co mogło mieć jakieś znaczenie, a mogło też nie mieć żadnego.

Kruk zadzwonił do Mulickiego, ale ten nie odebrał. W Truście jego asystentka, Klara, powiedziała Krukowi, że prezesa nie ma, po czym przyciszyła głos i konfidencjonalnym tonem wyznała, że

prezes dotrzymuje towarzystwa pani Brandt, która szaleje z niepokoju.

Komisarz pojechał na Osowę i stanął przed furtką prowadzącą na posesję Brandtów. Widział stąd parkujące na podjeździe sąsiedniego domu bmw Mulickiego. Przygotował się na widok roztrzęsionej Zuzanny Brandt. Spodziewał się wyrzutów, niechęci, wybuchu wściekłości, ale gdy rozległ się brzęczyk, a Kruk otworzył furtkę i zapukał do drzwi wejściowych, otworzyła mu Michalina Mulicka. Wyglądała na mocno zmęczoną, a na jego widok się ożywiła.

– Coś wiadomo o Krystianie? – spytała pośpiesznie.

Cofnęła się o krok, aby go przepuścić. Pokręcił głową i jej ożywienie przygasło.

– Pani Brandt w domu? – spytał, choć nie do niej przyszedł.

– Ano w domu – powiedziała niespodziewanie zaczepnie. – Niech będzie pan wobec niej delikatny. Nie mówi się tu o panu w ciepłych słowach.

– Pani Michalino... – Zatrzymał ją, bo skierowała się w głąb korytarza. – Jakim człowiekiem był Krystian Brandt?

Jej oczy otworzyły się szeroko.

– Był?

– Zanim zniknął.

– Nie lubi mnie.

– To pani można nie lubić?

Przez zmęczenie przebił się lekki uśmiech.

– Nie lubi mnie, ale z wzajemnością – dodała, ścisząc głos. – Jest antypatyczny, choć oczywiście chciałabym, żeby się znalazł i wrócił do Zuzy.

– Jest jakiś szczególny powód waszej niechęci?

Oczy jej się zwężyły, usta rozchyliły.

– Karol nie pije, ale dla Krystiana robi wyjątek. Krystian czasem przychodzi i piją do upadłego. Zniechęca mnie, gdy mężczyźni się tak zachowują, zwłaszcza mężczyzna, za którego wyszłam.

To było ciekawe. Michalina Mulicka miała większe powody, żeby czuć niechęć do mężczyzny, za którego wyszła. Wydała mu się zagubiona.

– Panie komisarzu – powiedziała, ścisząc głos jeszcze bardziej. – Co się tu dzieje? Oni tam coś przede mną ukrywają, prawda?

Może Mulicki trzymał żonę w szafie albo zamkniętą w klatce. Wyglądało jednak na to, że Michalina nie orientowała się w sytuacji.

Kruk już miał zamiar to zmienić, ale w holu pojawiła się Zuzanna Brandt, a za nią Małgorzata Woronowicz.

– Znaleźliście go? – spytała Brandt.

– Nie – odparł Kruk.

Małgorzata Woronowicz pogłaskała ją po dłoni. Mowa ciała obu kobiet świadczyła o uldze. No tak, co prawda go nie znaleźli, ale to wciąż znaczyło, że może żyć.

W tym domu ewentualność śmierci Brandta rozważano bardzo poważnie.

– On panu zaufał – powiedziała z nienawiścią Zuzanna Brandt. – Dręczył go pan, a on panu ufał, że pan go ochroni.

Ci ludzie zbyt wiele mówili o zaufaniu. Mieli na tym tle jakąś obsesję.

– Robimy, co w naszej mocy.

– To dlatego pan... – zaczęła Brandt, ale rzuciła szybkie spojrzenie na Mulicką i nie dokończyła.

Zapadła cisza, Kruk stał w progu i nikt nie zaprosił go dalej.

– Po co pan przyszedł?

– Przyszedłem do pana Mulickiego.

W tym momencie pojawił się i Mulicki. Wyglądał na znacznie postarzałego od soboty, kiedy Kruk widział go ostatni raz. Miał nadzieję, że Michalina też to widzi.

– Możemy porozmawiać na osobności?

Zostawili kobiety w holu i ruszyli na zewnątrz. Mulicki wyszedł na dwór tylko w koszuli. Było chłodno i gdy powiał wiatr, lekko się wzdrygnął.

– O co chodzi?

– Dlaczego pan Brandt wyłączył komórkę tuż po wyjeździe z biura?

– Nie wiem.

– Robił tak już wcześniej?

Wzruszenie ramion.

– Jak pan myśli, czy pan Brandt mógł się domyślać, gdzie pojechał pan Woronowicz?

– Wykluczone. Po zniknięciu Marka przekopał całe miasto i nie trafił na żaden ślad.

– Odwlekał, jak mógł, zawiadomienie policji. Sprzedał nam bajeczkę, że podejrzewał Marka o romans.

Mulicki patrzył na Kruka z narastającym znużeniem.

– Do czego pan zmierza?

– Komórki obu pańskich przyjaciół umilkły, zanim zaginęli. Mamy podstawy sądzić, że wyłączyli je sami. Zapytam jeszcze raz, jak pan myśli, dlaczego je wyłączyli?

– Naprawdę nie wiem.

– To dziwne, bo ja wiem.

Zapadła cisza. Mulicki przetarł twarz dłonią. Miał worki pod oczami, widomy znak nieprzespanej nocy. Było coś optymistycznego w świadomości, że facet nie sypiał snem sprawiedliwego.

– Komórkę wyłączamy, kiedy nie chcemy, by do nas dzwoniło – rzekł Kruk. – Naprawdę pan tego nie wiedział?

– Nie sądziłem, że pyta pan o oczywistości.

– Tak robią ludzie uczciwi, którzy mają dosyć. Inni ludzie mogą zrobić to, żeby nie zostawiać za sobą śladów logowań. Kiedy jadą gdzieś, gdzie nie chcą, żeby wiedziiano, że byli.

– Po co wtedy biorą komórkę?

– Bo chcą móc z niej skorzystać, jeśli zajdzie potrzeba. – Kruk poufale poklepał go po ramieniu. Nie spodobało mu się to. – Komórki wyłącza się na przykład, kiedy robi się interesy, o których nikt ma nie wiedzieć. Nielegalne interesy.

– Nie robimy takich interesów.

– Ale kiedyś je robiliście?

Mulicki z wysiłkiem skinął głową.

– Tak. Kiedyś robiliśmy. Tak zaczynaliśmy.

– Dlatego musieliście sobie ufać.

Ich spojrzenia się spotkały.

– Tak. Musieliśmy sobie ufać.

– Trust – drążył dalej Kruk. – Zaufanie. Stąd nazwa spółki.

– Właśnie.

– Przypieczętowaliście to zaufanie aktem nieopisanej podłości.

Żaden z nich nie odwracał wzroku.

– Tak.

– Okrucieństwa.

– Tak.

– Bestialstwa.

Mulicki tym razem nie odpowiedział, ale wciąż gapił się w oczy Kruka.

– Skurwysyństwa – rzekł Kruk.

– Tak. Bardzo żałuję. Gdybym mógł cofnąć czas...

– Ale czasu nie da się cofnąć, na szczęście dla pana, bo można bezpiecznie wyrażać żal, co nigdy niczego nie zmienia.

– Czego pan ode mnie chce?

– Wyłącza pan czasem telefon?

Zastanowił się.

– Chyba nie. Nie mam takiej potrzeby.

– A przed udaniem się w jakie miejsce albo na spotkanie z jakim człowiekiem wyłączyłby pan komórkę?

Mulicki milczał.

– Nie wiem – rzekł wreszcie. – Ale dziękuję.

– Za co?

– Myślałem, że jest pan przeciwko mnie. A to wygląda jak ostrzeżenie.

Próbował wyczytać coś z oczu komisarza. Kruk się nie przejął.

Lepsi od niego próbowali.

43

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Bielińska poinformowała Kruka, że musi się z nim podzielić tym, czego się dowiedziała o firmie Trust.

Nie chciała rozmawiać w pokoju Kruka, nie chciała rozmawiać u siebie. Rozłożyła się z zebraną dokumentacją w konferencyjnym.

Dokumentacja była skromna, a sala konferencyjna wielka. Kruk nie protestował, podejrzewał, że o tę wielkość chodziło. Od pewnego czasu widział, że Bielińska unika małych pomieszczeń. Jej drastyczne przeżycia, kiedy to została na wiele dni zamknięta i znęcano się nad nią, zostawiły w niej wiele śladów.

– Masz już coś? – zapytał, gdy usiedli.

– Byłam w urzędzie skarbowym na Rzeźnickiej, spędziłam też trochę czasu w księgowości Trustu, gdzie Mulicki kazał objaśniać mi wszystkie dokumenty, o jakie poproszę, obeszałam całą firmę, także magazyny, gdzie dokonano kradzieży. Myślę, że mam całkiem niezły wgląd w Trust i jego sytuację finansową.

– I jaka jest ta sytuacja?

– Miałeś rację, Trust się wali, padają. Mulicki wcale tego nie ukrywa. Aha, dwie z trzech sekretarek, przed którymi dałeś występ, odeszły z pracy.

– Która została?

– Sekretarka Mulickiego, Klara Jakaśtam.

– Jedyna, która ma jeszcze szefa.

Bielińska sięgnęła do swoich papierów.

– Co do przyczyn pogorszenia sytuacji spółki też miałeś rację. Rynek się zmienia, oni nie nadążają. Konkurencja rośnie, kontrahenci odpływają. Trust próbował wejść w Internet, zainwestowano w platformę do handlu online, ale ten koszt się nie zwrócił, a na bieżącej sprzedaży przez Internet są straty.

– To smutne – ucieszył się Kruk.

– Teraz kradzieże.

Bielińska przerzuciła kilka kartek. Robiła to tak, jakby odfajkowała kolejne zadania, które nie obchodziły jej ani trochę.

– Znowu miałeś rację. Były włamania. Skradziono kartony z wiecznymi piórami, biżuterię z chirurgicznej stali, takie tam.

Naszych, gdy byli wzywani na miejsce, zastanawiało to, że złodzieje nie musieli się specjalnie starać. Bo albo akurat tego dnia nie było ochrony, bo cieć się pochorował, albo ktoś zapomniał włączyć alarm, w innym miejscu uszkodzony był monitoring. Rzeczywiście wyglądało, jakby za każdym razem złodzieje mieli pomocnika wewnątrz.

– Jacyś podejrzani?

– Żadnych. Wszystkie dochodzenia umorzono.

Bielińska wyrzuciła to wszystko z siebie na jednym wydechu. Teraz zaczerpnęła mocniej powietrza i spojrzała spokojnie na Kruka.

– Jest tylko jeden szczegół.

Zawiesiła głos. Jej wzrok... Kruk czuł, że to był wstęp do czegoś, co mu się nie spodoba.

– Trust to spółka o wielomilionowych obrotach – powiedziała. – Tych wszystkich kradzieży dokonano na przestrzeni dwóch ostatnich lat. A łączna wartość strat poniesionych we wszystkich włamaniach to dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych.

Kruk chrząknął.

– Sporo – rzekł niepewnie.

– Dla ciebie, dla mnie to sporo. Dla takiej firmy to zauważalna, lecz mało istotna kwota. Więcej wydano na niewydarzoną platformę sprzedaży online. Ktokolwiek dokonał tych włamań, czy były to niezwiązane przypadki, czy robił to jeden człowiek, nawet jeśli anonimowe donosy są prawdziwe i kradli wspólnicy, to – Bielińska zaczęła akcentować każde pojedyncze słowo – nie ma większego znaczenia.

Patrzyła na Kruka oskarżycielsko. Wzruszył ramionami.

– Mamy jeszcze tę transakcję z Grekami – dodała z westchnieniem. – I to rzeczywiście gwóźdź do trumny Trustu.

– Ciekawe – odparł Kruk. Nic go to nie obchodziło.

– Nawet mnie to zaciekało.

Powiedziała to innym tonem. Cały czas patrzyła na Kruka i nagle zdał sobie sprawę, że wszystko do tej pory stanowiło nieistotny wstęp. Bielińska naprawdę coś miała.

– Zakup konfekcji w Grecji miał sprawić, że ich platforma online ożyje. Świetny markowy towar, okazyjne ceny, natychmiastowa wysyłka. Gdy okazało się, że przyjechały podróbki, musieli wszystko zutylizować. Nie można było ograniczyć strat i tego sprzedać choćby poniżej kosztów zakupu, bo wprowadzenie podróbek do obrotu naruszałoby prawa właścicieli podrabianych marek. Sześć milionów złotych dosłownie spalono w piecu firmy utylizacyjnej z Zabrza. A były to pieniądze z kredytu obrotowego w Pomorskim Banku Rozwoju, zaciągniętego chwilę wcześniej.

– Bank udzielił takiego kredytu firmie z problemami?

– Musieli zastawić prywatne domy. Właśnie tu robi się ciekawie. Skorzystano z usług firmy doradczej, i to wynajęty doradca znalazł greckiego kontrahenta oraz zorganizował kredyt, pod który zastawiono cały majątek firmy. Doradca skasował z góry trzy procent wartości transakcji i trzy procent wartości kredytu tylko za to, że ostatecznie doprowadził firmę do ruiny.

– Co to za doradca?

– STR Council Waldemar Strych.

Bielińska wstała, jakby miała dosyć siedzenia, i przespacerowała się po pustej sali. Miała w oczach satysfakcję. Wróciła i zastygła na moment, podpierając się prawą ręką na biodrze. Usiadła znowu.

– Nie widzę powiązania z zabójstwem Woronowicza – powiedział Kruk.

Parsknęła.

– A kiedykolwiek miałeś nadzieję je znaleźć?

– Zainteresuj się bliżej tą firmą doradczą.

– Zrobiłam to.

Oczywiście, że tak. Dlaczego Kruk pomyślał, że na tym koniec? Była z siebie zbyt zadowolona, a na razie nie widział do tego specjalnych powodów.

– Mulicki powiedział mi, że Strycha polecił im Cendrowski. Pewnie dlatego przecenili jego fachowość.

To nie miało sensu. Cendrowski nie był głupcem. Po co zwracał uwagę Kruka na tę transakcję, której najwyraźniej sam był autorem? Kruk usiłował znaleźć jakieś wytłumaczenie.

– Ja myślę, że to nieprawda – powiedziała Bielińska.

– Co jest nieprawdą?

– Że Cendrowski polecił im Strycha. Popytałam Mulickiego i wyszło, że próbami nawiązania współpracy z Cendrowski Investments, firmą Cendrowskiego, zajmował się Krystian Brandt. Gdy to się nie powiodło, to on przyniósł Strycha w teczce i powiedział wspólnikom, że polecił go sam Cendrowski. Myślę, że kłamał.

– Czemu kłamał?

– Żeby uwiarygodnić Strycha. Strych pracował siedem lat w firmie konsultingowej Cendrowskiego w Gdańsku. Odpowiadał za kredytowanie transakcji zagranicznych. W pewnym momencie przesadził z ryzykiem i został zwolniony. To nie było miłe rozstanie. Strych założył własną firmę doradczą, z Cendrowskim nie utrzymuje kontaktów, za to utrzymuje je w tajemnicy z jednym z dyrektorów Cendrowski Investments, Erykiem Karłowiczem. Czy Eryk Karłowicz nie jest przypadkiem mężem Dominiki Woli-Karłowicz?

Kruk przyglądał się Bielińskiej uważnie, a ona ciągnęła:

– Mówiłeś, że Trust zwrócił się kiedyś do Cendrowskiego z propozycją współpracy. W Cendrowski Investments wygląda to tak, że wstępnej selekcji dokonuje dział, na którego czele stoi

Dominika Wola-Karłowicz. Gdy ona wyrazi zainteresowanie, potencjalnym klientem zajmuje się dział, gdzie szefem jest jej mąż i przeświecła taką firmę. Potem razem podejmują decyzję, czy przedstawić propozycję Cendrowskiemu. Trust został odrzucony, ale najwyraźniej polecono Brandtowi Strycha.

Kruk zastanowił się, ale nie nad zadanym przez Kryskę pytaniem.

– Jak dotarłaś to tylu informacji w tak niewiarygodnie krótkim czasie?

– Poprosiłam o pomoc Błęckiego z CBA.

Kruk przyjrzał się jej, bo miał nadzieję, że żartuje.

Nic w wyrazie jej twarzy na to nie wskazywało.

– Co zrobiłaś? – warknął.

– Błęcki, to znaczy Jacek, chętnie się zgodził. Chodząc za Cendrowskim, potknęli się też o tego Strycha.

Kruk odchylił się na krześle. Wyciągnął przed siebie nogi. Uśmiechnął się do Bielińskiej. To był wymuszony uśmiech.

– Zadowolona? – mruknął.

Bielińska od początku chciała drążyć w otoczeniu Dominiki Woli-Karłowicz. Kruk ją od tego odwiódł, a tymczasem zatoczyli krąg i trafili najbliżej, jak się da, czyli do męża Dominiki, a nawet do niej samej. Nic dziwnego, że była zadowolona.

Cendrowski, nadając tematy, by Kruk zajął się nimi na odczepnego, nie miał pełnego obrazu sytuacji.

– Chcę wezwać Karłowicza – powiedziała.

– Po co?

– Chcę go przesłuchać. Jeśli za upadkiem Trustu stoi Strych, chcę wiedzieć, czy była w tym premedytacja. A jeśli tak, czy inspiracją nie był Karłowicz.

Kruk przymknął oczy, czuł, że przegrywa.

– Dlaczego utylizację podróbek zlecono firmie z drugiego końca Polski?

Bielińska zajrzała do papierów.

– Zaproponowała najkorzystniejszą cenę. Opłacało się nawet po uwzględnieniu kosztów transportu do Zabrza.

– Zostaw w spokoju Karłowicza i sprawdź ten wątek. Jeśli trzeba, jedź do Zabrza i zrób rekonesans na miejscu.

– Jaja sobie robisz?

– Na czym polega utylizacja? To się pali? Miażdży? Tnie na kawałki?

– Nie słuchałeś mnie? Podróbki spalono. Widziałam protokoły zniszczenia.

– Tym bardziej dziwne, że trzeba było wieźć towar pół tysiąca kilometrów, żeby go tanio wrzucić do pieca.

– Nikt tego nie zakwestionował, nawet urząd skarbowy.

– Ja to kwestionuję.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale spojrzenie na twarz Kruka sprawiło, że pokręciła głową z niedowierzaniem i rzuciła:

– Kurwa.

Siedzieli w milczeniu. Jej wzrok oskarżał, ale Kruk to wytrzymał. Ciszę przerwała ona:

– Mogę chociaż przesłuchać Strycha? Już go wezwałam, zaraz przyjdzie na komendę.

Kruk spojrział na zegarek w komórce. Zdołała jeszcze ściągnąć faceta. Jej skuteczność niemal go onieśmielała.

– Przesłuchaj go sobie i zajmij się kwestią utylizacji.

– Pieprzę to. Jacek zaprosił mnie na nocne strzelanie.

Jej głos stał się prowokujący, ale w oczach pojawiło się coś innego. Kruk usiłował rozpoznać, co to takiego. Niepokój.

W najlepszym razie dezorientacja. Coś ją gnębiło. Może chodziło o sprawę, zachowanie Kruka, a może o Błęckiego.

Błęcki naturalnie wykorzystał okazję i wymusił na niej, żeby umówiła się z nim w zamian za informacje. Interesowny skurwieli.

Z jakiegoś powodu Krukowi nie było to obojętne. Miał nadzieję, że jak skończą strzelać, nie pójdą na kolację. A jeśli pójdą, że nie będzie im smakowała.

Bielińska zebrała papiery i wyszła, zostawiając Kruka bezmyślnie gapiącego się w ścianę.

Potem myśli go jednak dopadły. Nie były lekkie jak płatki kwiatów ani jak wirujące w powietrzu motylki. Były ciężkie, dołujące, niczym grudy ziemi opadające na twarz martwego.

Zastanawiał się, co właściwie robi. Czemu to robi.

Zmęczyło go to i przed oczami stanęła mu Kryśka patrząca na niego z wyrzutem, jakby wciąż była z nim w pokoju.

44

Krystyna Bielińska była zmęczona mężczyzną, który siedział naprzeciw niej przy stole. Waldemar Strych przywodził na myśl węża. Szczupły, o podłużnej czaszce, kołysał się, kiedy mówił. A mówił cicho, nieprzyjemnie, nie panując nad tikami w kącikach ust. I mówił tak, żeby powiedzieć jak najmniej.

– Nie zawsze wszystko układa się tak, jak sobie zaplanujemy. Pani się wszystko udaje?

Domagał się zrozumienia. Rozmawiali już godzinę, a facet kluczył i rozmowa kręciła się w kółko. Nie potwierdził, że współpracuje z Karłowiczem. Nie udzielił żadnej wartościowej informacji. Była z tego powodu zła. A także z powodu Kruka.

– Podsumujmy – powiedziała zniechęcona. – Zorganizował pan ludziom z Trustu finansowanie.

Wzruszył ramionami. Miał bardzo jasne włosy. No więc myślała o nim jak o wężu z blond włosami.

– Potem nadał im pan transakcję, w której stracili każdą pożyczoną złotówkę.

– Zaraz, zaraz. – Strych uniósł ręce i zachybotał tułowiem, jakby szukał na krześle równowagi, a może był to rodzaj złowieszczego tańca. – Błędy zdarzają się każdemu.

– Na czym polegały błędy?

Milczenie. Bielińska zaczynała mieć dość. Traciła tylko czas, a w perspektywie miała jeszcze spotkanie z Błęckim, przez co też czuła się podenerwowana.

– Jak zareagowali ludzie z Trustu?

Nie padła żadna odpowiedź i Bielińska westchnęła.

– Więc nie chce pan rozmawiać?

– Od początku pyta pani o rzeczy poufne.

– Jeden ze wspólników Trustu nie żyje. Drugi zaginął.

– Co to ma wspólnego ze mną?

– Nie wiem. A coś ma?

– Muszę dbać o reputację. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

– To pan jeszcze ma reputację? Po tym, jak doprowadził pan do ruiny klientów?

Zakołysał się i posłał jej roztargnione spojrzenie. Była w jego postawie jakaś tłumiona nerwowość.

– Ja tylko wynajduję okazje, kojarzę kontrahentów, przedstawiam opcje, ale decyzję podejmują klienci i oni przyjmują odpowiedzialność. Czasem załatwiam jeszcze finansowanie.

– I kasuje pan prowizję.

– Tak zarabiam na życie.

– Przypomina mi pan kogoś, kto zrobił zakupy w podejrzanym sklepie internetowym, otwiera paczkę, a w środku cegła. Tylko że wasza paczka była warta sześć milionów.

Strych znacząco spojrział na zegarek.

Bielińska zastanowiła się, co zrobiłby Kruk. W jaki sposób skłoniłby tego człowieka do współpracy.

– Nie denerwuje się pan? – spytała.

– Dlaczego miałbym?

– A bo ja wiem? Ludzie, których pan wystawił, znikają.

– Wystawił?

– Mogę to ująć inaczej. Popełnił pan kosztowny błąd. Choć nie bierze pan za niego odpowiedzialności, zdziwiłoby mnie, gdyby nikt nie miał o to do pana pretensji.

– Nie wiem, do czego pani zmierza.

– Na pana miejscu uważałabym, że mam wiele powodów do obaw. Jeśli pan nie wie, dlaczego znikają ludzie z Trustu, martwiłabym się, czy nie ma to jakiegoś związku ze mną, i czy ktoś do mnie prędzej czy później nie przyjdzie. Jeśli pan wie, martwiłoby mnie z kolei, że ktoś może podejrzewać, że wiem i co to może dla mnie oznaczać.

– Nedorzecznosc.

– Powinien pan współpracować, bo to leży w pańskim interesie.

– Czy pani myśli, że nie widzę, co pani robi? Snuje pani odklejone od rzeczywistości fantazje, żebym się przestraszył i zaczął mówić o transakcjach moich klientów.

– Przecież jestem miła. Zakładam, że może pan być nieświadomym ogniwem w łańcuchu, ale nie bezpośrednim sprawcą.

Bielińska położyła na stole swoją wizytówkę i przesunęła ją w jego stronę. Czekala, aż schowa ją do portfela.

– Niech pan na siebie uważa – powiedziała.

45

Maksymilian Nawajski stał w drzwiach swojego mieszkania z tłącym się papierosem między palcami. Nad papierosem unosił się dym, cały przedpokój za plecami faceta był zadymiony, a dalej pewnie nie było lepiej. Nawajski patrzył na Kruka, nic nie mówił, nie ruszał się, tylko czekał.

– Możemy porozmawiać? – Kruk pokazał policyjną odznakę, na wypadek, gdyby Nawajski miał pamięć wiewiórki i zdążył już komisarza zapomnieć.

Było późno, a Kruk nie mógł sobie znaleźć miejsca. Uznał, że odwiedzi tego człowieka, a on nie będzie miał nic przeciwko temu.

– O czym?

– Niech pan mnie wpuści, bo wywietrzy pan sobie mieszkanie.

Nawajski gestem zaprosił Kruka do środka.

Mieszkanie było kawalerką, małą nawet jak na niewygórowane standardy Kruka. Pokój z kuchnią plus łazienka, kilka starych mebli, kłęby papierosowego dymu i stosy niedopałków.

– Miło tu – pochwalił Kruk, krztusząc się. – Przytulnie.

Nawajski posłał mu nieprzyjazne spojrzenie i wskazał małą kanapę. Otworzył okno. Uprzejme z jego strony, niewykluczone, że facet był z gruntu gościnny. Zajął miejsce na krześle przy stole.

– Choć może mieć pan kiedyś problem, żeby sprzedać mieszkanie niepalącym – rzekł Kruk.

– Wynajmuję to.

Zaproponował marlboro, a Kruk odmówił.

– Niech pan mi opowie o nocy dziewiętnastego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

Rozpościerająca się za oknem noc wchłaniała papierosowy dym, oferując w zamian powietrze miasta. Ale gdy Nawajski zaciągnął się i wypuścił dym z płuc, znowu zrobiło się gęsto.

– To jakaś losowa data? A pan co tamtego dnia robił?

– Świetny dowcip, marnuje się pan.

Kruk skanował wzrokiem mieszkanie. Ramka ze zdjęciem Nawajskiego przy żółtym sportowym samochodzie, obok ramki wagon papierosów, talia kart, butelka po piwie. Kilka książek na podłodze. Jedna o prawdopodobieństwie.

Nawajski palił i patrzył w okno, nic nie robiąc sobie z pytania Kruka.

– Pomógł jej pan – powiedział Kruk. – Niech mi pan o tym opowie.

Kolejne obłoki dymu wypłynęły za okno. Kruk westchnął.

– Podobno pan świetnie zarabia. – Rozejrzał się krytycznie po pokoju, po tej małej zadymionej norze. – No i gdzie są te pieniądze?

Zgubił pan?

– Wkrótce kończę czterdzieści pięć lat – odezwał się niespodziewanie Nawajski. – Zamieniam na gotówkę wszystko, co posiadam. Wyniosę się w jakiś lepszy klimat.

– Zostawia pan pracę?

– Dwadzieścia lat. Chyba wystarczy?

Nawajski zgasił papierosa w popielniczce, która była już prawie pełna. Odpalił kolejnego.

– Dali panu robotę z wdzięczności?

– Ona chce, żebym był blisko. Żeby zawsze mogła po mnie zadzwonić.

– I może?

– Niech pan ją zostawi w spokoju.

– Dwadzieścia lat pracy jako kierowca, ochroniarz, przyjaciel. Czy jako kto właściwie?

– Piszę pan moją biografię?

– Lepiej. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa.

– Pan to sobie nazwie, jak chce. Jestem na jej zawołanie, bo pieniądze są duże, ale to przecież nie może trwać wiecznie. Dla mnie pora na zmiany.

Kruk ponownie popatrzył na zdjęcie Nawajskiego przy żółtym samochodzie. To było ferrari. Całkiem przyjemny samochód dla człowieka, który wegetuje w takiej dziupli.

– Dlaczego właśnie teraz?

– Oszczędźbym wcześniej, bo już było dobrze. Nie, żeby normalnie, ale myślałem, że da sobie radę beze mnie. Wtedy ich rozpoznała i wszystko zaczęło się na nowo. Nie mogłem jej ot tak, zostawić.

Kruk był pod wrażeniem sposobu, w jaki Nawajski myślał o Woli-Karłowicz.

– Co się zaczęło na nowo?

– Jej nocne wyjścia, koszmary. Niech pan nie udaje, przecież panu powiedziała.

– Zwierza się panu. Jest pan też jej powiernikiem.

– Przez dwadzieścia lat żyłem jej życiem, zanedbując własne. Nadszedł czas, żebym powalczył o swoje.

Kruk przyglądał się mu z powątpiewaniem. Facet spędził dwie dekady, żyjąc dla kogoś, myśląc, że pewnego dnia... Jeśli naprawdę zdecyduje się odejść, w wieku czterdziestu pięciu lat stanie naprzeciw nowego życia sam, powiedzmy nawet, że z pieniędzmi w kieszeni, choć akurat w to Kruk też zaczynał wątpić, i zacznie popełniać błędy, które powinien popełnić dawno temu.

Odkładał życie na później, a życie zwykło się mścić za taką zniewagę.

Kruk zastanawiał się, jak głęboko sięga ten układ i czy sypiali ze sobą. Gdy kobieta czyni z mężczyzny powiernika, prędzej czy później lądują w łóżku.

– Dominika i Eryk, jakie to małżeństwo?

– Mieszkają pod jednym dachem. On ma inne kobiety.

– A ona?

Nawajski zaciągnął się dymem głęboko, z zapamiętaniem.

– Ona nie ma innych kobiet – odparł na wdechu.

– Mężczyźni?

– Nie.

– Byli jacyś?

– Nie.

– W ogóle?

– W ogóle.

– A pan?

– Nie.

– Nigdy?

– Nigdy.

– Dlaczego?

Nawajski dopiero teraz wypuścił dym. Lekko przymknął oczy.

– Bo ona...

– Co ona?

– Bo nie. Mówię to panu, choć to nie pana sprawa.

Kruk pokiwał głową. Nie miał pojęcia, czy mu wierzyć i czy ma to jakiegokolwiek znaczenie. Nawajski przed dwudziestu laty spotkał skatowaną kobietę i od tamtej pory związała ich dziwna więź. Uzależnili się od siebie nawzajem, każde w inny sposób.

Facet nie chciał opowiadać o dziewięćdziesiątym dziewiątym roku, ale Kruk też nie czuł parcia, aby go naciskać.

– Jej oprawcy umierają – powiedział Kruk pozornie niedbale.

Obserwował Nawajskiego. Jego twarz nie zmieniła się ani odrobinę.

– Umierają? – zdziwił się kierowca, ochroniarz, opiekun i powiernik w jednym. – Każdy kiedyś umrze.

46

Było kilka minut po dwudziestej drugiej, a Eryk Karłowicz już od godziny tkwił w samochodzie na parkingu przed czteropiętrowym

blokiem na Jabłońskiego. W międzyczasie całkiem zapadł zmrok, trochę popadało, ludzie zaczęli wracać z pracy do domów.

Miał stąd dobry widok na altanę śmietnikową. Usiłował rozeznaczyć się, czy ktoś obserwuje to miejsce. Policja, na przykład. Wybór miejsca go niepokoił, podobnie jak myśl o policji. Po południu dzwoniła do niego jakaś policjantka i zgodził się przyjechać rano na komendę wojewódzką.

Przez moment miał poczucie nierzeczywistości. Co on tu robił ze sztuką biżuterii w kieszeni, która kiedyś miała znaczenie, ale teraz nie miała żadnego? Przeraził się, jednak trwało to tylko chwilę. Było w nim równie wiele oporu przed tym, co robił, jak chęci, wręcz ekscytacji, by tu być.

To przez zmęczenie, stwierdził. Nie myślę racjonalnie.

A może jednak to był strach. Eryk bał się tego, co się stało. Tego, do czego zdolny był tamten. Czy stąd to miejsce? Czy chciał go ukarać za bezczynność? Zmusić, aby Eryk poczuł smak ryzyka, które tamten podejmował?

Chciał pierścionek, niech go zabiera.

Myśli przychodziły i odchodziły, a Eryk siedział w samochodzie i czekał.

W oknach bloków zapalały się i gasły światła. Jego umysł błędził, cofał się do czasów, kiedy Dominika mieszkała na podobnym osiedlu niedaleko stąd, a on do niej przychodził. Czas, który szybko się skończył.

Dominika wyprowadziła się stąd, pobrali się, mijały lata spędzane razem, ale osobno, podczas których wspólne rozmowy zastąpiło mu czytanie jej pamiętnika.

W tej myślowej wędrówce i przeskakiwaniu między wydarzeniami z różnych okresów przeszłości przypominał mu się jeden z wpisów Dominiki sprzed kilku lat. Pełnia lata, słońce,

chmary turystów na Starym Mieście i na gdańskich plażach. Eryk i Dominika poszli opalać się nad morze. Pływali. Zjedli rybę w smażalni przy nadmorskim deptaku, a po zmroku siedzieli na piasku i pili piwo.

To był dla niego piękny dzień, a Dominika sprawiała wrażenie, że jest taki też dla niej. Dopiero później, z zarejestrowanych przez keyloggera wciśnień klawiszy, z bezładnej chmury myśli, jaką przeląła na klawiaturę, dowiedział się, że siedząc z nim wtedy na piasku, myślała o samobójstwie. Nie istniał specjalny powód, dla którego tak się wówczas czuła. Było to coś, na co nic nie mogła poradzić, ale ten słoneczny dzień był dla niej nie do zniesienia.

Wszystko to zostało usunięte z ostatecznej wersji wpisu. Notatka z tego dnia była krótka. Zapamiętał ją całą: „Poszliśmy z Erykiem na plażę na Stogi. Dzień był upalny, Eryk starał się mnie rozbawić. Woda była wyjątkowo przejrzysta”.

Taka była większość jej wpisów. Miał czasem wrażenie, że zabezpieczała się tymi neutralnymi wpisami na wypadek, gdyby jej pamiętnik wpadł w jego ręce i Eryk by go przeczytał. Prawdziwe emocje wyrażała w tym, co usuwała.

Czas leczy rany. Dlaczego nie wyleczył tej?

Było w tym coś niewyobrażalnie smutnego.

Eryk wyszedł z samochodu. W ręku trzymał papierową torbę z resztkami posiłku na wynos, kupionego rano w KFC. Nieśpiesznie podszedł do altany śmietnikowej. Miał kaptur, pod którym ukrywał twarz. W altanie ani w pobliżu nie dostrzegł kamer.

Wrzucił torbę z KFC do pierwszego pojemnika z brzegu.

W ścianie altany, po lewej stronie, między cegłami na wysokości jego kolan, miała być według otrzymanych instrukcji szczelina. Pochylił się, aby zawiązać but, i ją dostrzegł. W dłoni trzymał

niedużą kulkę brudnego papieru, którą wsunął do tej szczeliny. Zawiązał but, wyprostował się i wyszedł z altany.

Wrócił do samochodu.

Nikt mu nie przeszkodził. Nic się nie zdarzyło.

Siedział jeszcze kilka minut, obserwując ulicę. Deszcz znowu zaczął padać. Narastał, z każdą chwilą mocniejszy, strugi wody uderzały z hukiem w szyby samochodu.

Eryk Karłowicz uruchomił silnik i poczuł wielkie pragnienie, aby pojechać do Kasi. Spotkanie z nią przyniosłoby mu ulgę. Wiedział, że nie zdoła się powstrzymać i odwiedzi ją w najbliższych dniach.

Teraz jednak musiał jechać do Klary, która wpisała w notes pod dzisiejszą datą przepołowione serce.

47

Kruk położył się późno i zasnął tak głęboko, że gdy obudził go dzwonek do drzwi, w pierwszej chwili pomyślał, że przespał ranek i znowu spóźnił się na służbę. Usiadł na łóżku, za oknem wciąż było ciemno.

Wyszedł do przedpokoju. Spojrzał przez wizjer. Otworzył drzwi.

Na progu stała Bielińska.

Gestem zaprosił ją do środka. Usiadła w pokoju na kanapie. Miała na sobie czarną sukienkę, na którą zarzuciła czarną skórzaną

kurtkę. Na nogi wciągnęła czarne rajstopy i czarne buty za kostkę. Wyglądała czarno i sztywnie.

Na szyi zawiesiła krwiście czerwone korale. Jej mąż, Salomon Bieliński, kapitan na statkach handlowych, przywoził jej tego typu rzeczy z rejsów. Wtedy, gdy jeszcze byli razem. Miała w domu wiele ozdób kobiet z Afryki, Indii i Chin.

– Co jest? – spytał.

– Taka jest twoja gościnność? Zamiast: fajnie, że wpadłaś, cieszę się, że cię widzę, pytasz: co jest?

Spojrzał na zegarek. Druga pięć w nocy. Bielińska miała mieć dziś, zdaje się, randkę z Błęckim.

– Chcesz coś do picia?

– Wody.

Przyniósł butelkę mineralnej, rozlał do szklanek, podał jedną Krystynie. Wpatrywała się w nią, nagle zamysłona.

– Przyszłam bez powodu.

– W porządku.

– Jeździłam po mieście. Ulice są jaśniejsze niż mój dom, nawet gdy zapalę wszystkie światła.

Mieszkała sama w wielkim domu, który zostawił jej Salomon, gdy od niej odszedł. Był to piękny budynek otoczony ogrodem pośród innych pięknych budynków. Idealne miejsce dla dwojga spokojnych ludzi, którzy lubią delectować się chwilą. Tylko że ani Krystyna, ani Salomon nigdy nie byli spokojni.

– Jak to znosisz? – powiedziała cicho.

– Co?

Rozejrzała się po mieszkaniu. Przymknęła oczy i nasłuchiwała.

– Tę ciszę. Bezruch. Świadomość, że jak słyszysz kogoś chodzącego po twoim mieszkaniu, to jesteś nim ty. Gdy coś postawisz

na stole, będzie tam stało, aż tego nie przesuniesz. – Całkiem zamknęła oczy. – I to, że za oknem jest noc.

– Za parę godzin wstanie ranek – powiedział tępo.

Westchnęła, oparła się wygodniej i spojrzała na niego.

– Dla tych, którzy tego doczekają.

Dopiero do niego dotarło, że nie tylko korale miała czerwone. Usta także wymalowała krzyczącą czerwoną szminką.

– Nie mów tak. Wszystko się ułoży.

– Kiedy? – Gdy nie odpowiedział, zadała kolejne pytanie: – Tobie się ułożyło?

Jego sytuacja była odmienna. Kruk miewał koszmary, bo był świadkiem strasznych rzeczy, które przydarzały się innym ludziom. Natomiast Bielińska należała do tych innych.

– Nie pojechałam spotkać się Jackiem – powiedziała. – Wydzwaniał, ale nie odebrałam. Nie chodzi o niego, był miły, gdy mnie zapraszał. To ze mną jest coś totalnie nie tak. Wyszłam z domu, aby się z nim spotkać, ale to tyle. Błąkałam się tylko po mieście.

Kruk pokiwał głową. Wyglądało na to, że błąkała się kilka godzin.

– Pościelę ci w sypialni. Dam ci świeżą pościel.

Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

– Pościelisz mi w sypialni? Dasz mi świeżą pościel?

– No.

– A co z tobą? Gdzieś wychodzisz?

– Na kanapę.

– Czy my jesteśmy małżeństwem, wróciłeś z pracy pijany i ja odsyłam cię na kanapę?

Ostrożnie się jej przyglądał. Tym czerwonym ustom, dłoniom, które – co za bystrość z jego strony – miały czerwone paznokcie. Nie starczyło jej odwagi, by pojechać na randkę z Błęckim. Zamiast tego

przyszła tutaj i chciała go gdzieś poprowadzić. To przez tę noc. Niektóre noce są takie, że nie sposób ich przetrzymać.

– Czemu właściwie się do mnie nie przystawiasz? – odezwała się. Omal nie oblał się wodą.

– No co? Przecież nie jestem taka ostatnia.

– Jesteś żoną mojego najgorszego kumpla.

Wciąż nie mieli rozwodu, choć sprawa była w toku.

– Co z tego?

– Traktuję cię jak siostrę.

– Ty nie masz siostry, Kruk. Słyszałam, że masz brata. Co u niego?

– To i owo, ale nie mówmy o nim.

– Dobrze, mówmy wciąż o mnie. Czasem się na mnie gapisz, kiedy myślisz, że nie widzę. Nie traktujesz mnie jak siostry.

Sam nie wiedział, jak ją traktuje. To było trochę skomplikowane.

– Kobiety drażni, gdy facet tylko się gapi i nic nie robi.

– Nie będę się gapił. Zadowolona?

– Nie wiem, Kruk. Myślę, że zupełnie nie będę zadowolona.

Zapadła cisza, bo on nie wiedział, jak ma ubrać w słowa to, co czuł. W ogóle bał się ubierać tego w słowa.

– Wiem, co ci chodzi po głowie – powiedziała cicho. – Nie wiesz, jak postępować z kimś takim jak ja. Po tym, co przeszłam.

Chciał zaprzeczyć, ale nic nie powiedział. Krystyna westchnęła.

– Myślisz, że jestem jak szklanka i łatwo mnie stłuc. – Popatrzyła przez szkło na światło. Powoli wypila całą zawartość. – Może i dobrze myślisz.

Nie wyszła od razu, choć widział, że właśnie podjęła taką decyzję. Posiedzieli jeszcze chwilę. Wydawała się uspokojona. Niektórzy tak wyglądają na chwilę przed tym, gdy skoczą z dziesiątego piętra. Kruk coś o tym wiedział, jego falowiec kiedyś nazywano blokiem samobójców.

– Wracam do domu – powiedziała.

Przyglądał się jej ostrożnie.

– Idę spać. – Uśmiechnęła się. – Rano wstanę i przyjdę do pracy.

Nic mi nie będzie.

Nadal się jej przyglądał.

– Nic mi nie będzie, rozumiesz?

Skinął głową. Bielińska wstała i potrząsnęła włosami.

– No, może nie całkiem. Pewnie będę się zastanawiać, po co do ciebie przyszedłam. I co sobie myślałam, kiedy wybierałam kolor szminki, malowałam paznokcie, tak naprawdę już wtedy wiedząc, że nie spotkam się z Błęckim. I gdy wkładałam te koszmarne czerwone korale.

Parsknęła śmiechem. Kruk wstał i ją przytulił. Wytrzymała w jego uścisku całe dwie sekundy, po czym się wyswobodziła.

– Na razie – rzuciła i wyszła.

Kruk z wściekłością huknął otwartą ręką w ścianę. Pewne sprawy go przerastały.

– Dureń – powiedział na głos.

Nikogo przy nim nie było i nikt nie zaprotestował.

Kruk przyjechał na komendę i od razu poszukał Bielińskiej. Nie była ani w pokoju, ani w sali konferencyjnej. A gdy dowiedział się, że siedzi w pokoju przesłuchań, nabrał złych przeczuć.

Był to pokój, który sąsiadował z pomieszczeniem z lustrem weneckim, i tam udał się Kruk. Za lustrem siedziała Krystyna w towarzystwie dobrze ubranego mężczyzny. Miał mocno zmęczoną twarz i głęboko wbite w czaszkę oczy.

Kruk usiadł i założył nogi na siedzenie sąsiedniego krzesła. Wybrał numer Bielińskiej i telefon zadzwonił w jej kieszeni. Spojrzała, kto dzwoni, potem spojrzała w lustro, gdzie z pewnością zobaczyła jedynie swoje odbicie. Kruk rozłączył się, zanim zdążyła odebrać.

Jeszcze chwilę patrzyła w lustro, po czym położyła komórkę na stole i wróciła do rozmowy.

Atmosfera przesłuchania była senna. Bielińska zadawała pytania monotonnym głosem, jakby czytała je z kartki, choć żadnej kartki z pytaniami nie miała przed sobą. Mężczyzna odpowiadał uprzejmie, choć raczej niechętnie. Wykazywał nadwrażliwość na światło, mrużąc oczy okolone sinymi cieniami. Od czasu do czasu ożywiał się, podejmując wysiłek, jakby chciał zauroczyć Kriss, miał widać taki sposób postępowania z kobietami.

Ale Bielińska była równie zmęczona jak on. Zdawała się nie widzieć jego prób. Kruk dostrzegał też, że momentami podnosiła wzrok i omiatała nim pomieszczenie, biorąc głębokie oddechy. Wtedy na chwilę, dwie, zdawała się zapominać o rozmówcy. W oczach miała niepokój, wyraźnie niezwiązany z tym człowiekiem.

Zapytała go, dlaczego nie zdecydowali się na współpracę z Trustem.

– Żona spotkała się z Krystianem Brandtem na wstępnej rozmowie – odparł mężczyzna. Musiał być nim nie kto inny, jak Eryk

Karłowicz, którego przesłuchiwać zabronił jej Kruk. – Przekonał ją, żeby się nimi zainteresować. Pracownicy mojego departamentu weszli do Trustu i zrobili wstępny audyt. Mieliśmy do czynienia z hurtownią starego typu, bez specjalnych atutów, której rynek się z roku na rok kurczy. Próbowali reagować na to wejściem w Internet, ale robili to bez znajomości tematu. Ostatecznie nie przekonali nas do swojej wizji poprawy wydajności. Każdego roku zwraca się do nas kilkaset firm, wybieramy najwyżej kilka.

– Poleciał im pan kogoś?

– Poleciał to za dużo powiedziane. Zasugerowałem, kto mógłby być zainteresowany przedsiębiorstwem o ich profilu, ale to tyle.

– Kogo pan zasugerował?

– Waldka Strycha, naszego byłego pracownika.

– Prezes Mulicki twierdzi, że poleciał go im prezes Cendrowski.

– Z pewnością nie. Daniel w ogóle nie miał kontaktu z Trustem, ja zresztą też spotykałem się wyłącznie z panem Brandtem. Z panem Mulickim nie spotkałem się nigdy, rozmawialiśmy kilka razy telefonicznie, i to raczej niedawno.

– Kłamie?

– Nie wiem, dlaczego tak twierdzi.

– Pan wie, czym zakończyła się współpraca Trustu z Waldemarem Strychem?

Karłowicz skinął głową.

– Słyszałem. Możliwe, że to był błąd, że w ogóle o Waldku wspomniałem. Waldek podejmuje czasem zbyt duże ryzyko. Bywa, że to się opłaca, ale bywa też inaczej. Doskonale teraz rozumiem, dlaczego Daniel nigdy nikogo nie poleca.

Rozłożył ręce. Gdyby miał obok miskę z wodą, pewnie by je umył.

Karłowicz sprawiał wrażenie spokojnego człowieka. Ustabilizowanego, cywilizowanego, uprzejmego. I ledwo

trzymającego się na nogach, jakby nie spał od wieków.

Bielińska zapytała go o etykę biznesu Daniela Cendrowskiego. Dużo czytała o tym w prasie. Kruk uniósł brwi. Możliwe, że naprawdę czytała, po Kryśce mógł się tego spodziewać. Karłowicz odpowiedział spokojnie, wyjaśniał, jakich przedsiębiorców szukają i jakim chcą pomagać. Brzmiało to bardzo ładnie i idealistycznie, ale trzeba przyznać Karłowiczowi, że zdawał się naprawdę w to wierzyć.

– Wydawać by się mogło, że Trust spełnia idealnie wasz profil – powiedziała Bielińska. – Czytałam ich misję na stronie internetowej. Przyznaję też, że charytatywna działalność prezesa Mulickiego zrobiła na mnie wrażenie.

Kruk przyglądał się Karłowiczowi, usiłując przeniknąć przez maskę, jaką dla człowieka jest jego twarz. Był przystojny i wiedział o tym. Pomimo znużenia, oczy miał żywe i czujne, czasem zaciekawione, kiedy patrzył na Bielińską. Czy taki człowiek potrafi być bezwzględny?

Wszyscy potrafią, nawet jeśli o tym nie wiedzą, bo los był dla nich łaskawy.

– W ostatnich latach tak, nie można im niczego zarzucić. Ale nasz audyt obejmuje nie tylko bieżące księgi rachunkowe. Robimy dokładniejszy wywiad. Znamy ludzi, którzy siedzą na tym rynku od dziesiątków lat. Wiemy, jak Trust zaczynał.

– Jak?

– Handel kradzionym towarem, fantami z napadów, czasem bezpośrednio kradzieże. Ci goście nie mieli skrupułów, chcieli być bogaci i szli po trupach do celu. Na początku lat dwutysięcznych kilka razy otarli się o kryminał. Jeśli wszystko się rozmyło, to tylko dlatego, że byli absolutnie lojalni jeden wobec drugiego i nigdy nie udało się im nic udowodnić.

– Takich ludzi nie grzech puścić w trąbę.

Kruk był zły na Bielińską, ale nie mógł się powstrzymać, żeby się nie uśmiechnąć.

– Puścić w trąbę? – Karłowicz powtórzył jej słowa z takim wyrazem twarzy, jakby miały bardzo brzydki smak.

Bielińska nie odpowiadała, tylko patrzyła. Z irytacją uderzył ręką w stół. To nie był dobry pomysł, dłoń musiała go zabołec, bo pochwycił ją w drugą i roztarł. Ten gest... Kruk już go widział, wielokrotnie widział, nauczył się go na pamięć.

Komisarz odruchowo nachylił się, żeby lepiej patrzeć. Na jednej dłoni Karłowicz miał chyba bliznę.

Bielińska wyciągnęła coś z papierowej teczki i położyła na stole przed facetem.

– Poznaje pan?

Karłowicz popatrzył na leżącą tam fotografię. Z tego, co Kruk zdołał dostrzec, było to powiększenie kobiecej ręki. Rozpoznał tę rękę. Powiększenie wykonano ze zdjęcia, które Kruk dostał od Zuzanny Brandt. W centrum zdjęcia był pierścionek z sercem.

– Co to jest?

– Biżuteria.

– Jaka biżuteria?

– Pytałam, czy pan poznaje.

– Nie.

Facet wyglądał na całkowicie obojętnego, tylko wykonał znowu ten gest. Jedna ręka zbliżyła się do drugiej. Podrapał się po bliznie. Karłowicz chyba nawet nie zdawał sobie sprawy, że ten gest wykonał.

– Gdzie pan był wieczorem i nocą z dziewiętnastego na dwudziestego października tego roku? – Bielińska popatrzyła po ścianach i przełknęła ślinę.

Karłowicz zawahał się.

– Co to za data?

Wtedy prawdopodobnie wyrzucono zwłoki Woronowicza na śmietnik.

– Noc jak co dzień, dla niektórych – odparła Bielińska.

– Musiałbym sobie przypomnieć, co wtedy robiłem.

– Śmiało. – Bielińska oparła się na krzesło i uśmiechnęła z wysiłkiem, dając mu odczuć, że zaczeka. Kruk miał wrażenie, że Kryśka walczy ze sobą, by nie rzucić się do ucieczki. – Niech pan sobie przypomina.

Karłowicz otworzył kalendarz w komórce i coś tam przeglądał.

– Byłem z kobietą.

– Czy ta kobieta jest pańską żoną?

– Nie, do diabła, a czy tak to zabrzmiało?

– Kim jest ta kobieta?

– To moja sprawa.

– Teraz i moja. A co robił pan wieczorem szóstego października?

To była data zniknięcia Woronowicza. Karłowicz ponownie zajrzał w komórkę.

– Możliwe, że byłem z kobietą, choć nie jestem pewny – powiedział.

– Znowu?

– Siedzę tu od godziny i odpowiadam cierpliwie na pani pytania. Nie pytam, dlaczego tu jestem, bo domyślam się, że chodzi o śmierć jednego z dyrektorów Trustu...

– I zaginięcie drugiego – wcięła się Bielińska.

– Tak, widziałem apel policji w telewizji. Dlatego staram się pomóc. Nie wiem, czemu mnie pani wypytuje, czemu ma służyć to zdjęcie, ale jeśli pani mnie o coś oskarża, wezwę adwokata.

– Nie ujawni pan jej personaliów?

- W ostateczności i w porozumieniu z adwokatem.
- A jak spędził pan wtorkowy ranek i przedpołudnie?

Wtedy zniknął Brandt.

Karłowicz popatrzył na nią dziwnie.

- Wtorek rano? Byłem w pracy.
- A potem?
- Wróciłem do domu.
- Pańscy współpracownicy i żona to potwierdzą?
- Oczywiście.

Bielińska nie była zachwycona. Wstała, pozostawiła Karłowicza samego, na moment zniknęła Krukowi z oczu, po czym ukazała się w drzwiach jego pokoju za lustrem weneckim.

- No i co? – spytała, patrząc na niego z nadzieją.

Wzruszył ramionami.

Jej to nie wystarczyło.

– Nie natchnęło cię? Nie wkraczasz z jakimś genialnym pomysłem, żeby pognębić świadka?

- Uprzedzałem, że facet nic ciekawego nie powie.
- Kłamie.
- Myślisz, że we wtorek nie był w pracy?
- Kłamie w innych sprawach.

Kruk nic nie powiedział.

- Co dalej? – odezwała się.
 - Puść go do domu. Nie powinnaś była go w ogóle tu ściągać.
- Pokiwała głową. Z jej postawy wyzierało rozczarowanie Krukiem.
- Jasne.

Policjantka odprowadziła Eryka Karłowicza pod same drzwi komendy i wyszedł na zewnątrz. Na ulicy kończył się poranny szczyt, kolumny samochodów stawały na światłach i ruszały po ich zmianie. Ludzie na pasach przechodzili w pośpiechu. Mieli teczki, plecaki, torby na ramię. Eryk zaczerpnął głęboko powietrza, bo poczuł się tak, jakby wyszedł z ciemnicy na świat.

Ta policjantka łączyła go z kłopotami Trustu. Pokazała mu zdjęcie pierścionka, sprawdzała jego alibi. Chciał myśleć, że po prostu macała na ślepo, z nadzieją, że coś jej się przyklei do rąk, ale przecież tak nie było.

Zszedł schodami z portyku. Czuł obezwładniające zmęczenie.

– Panie Eryku...

Oparty o kamienny gzyms stał na chodniku wysoki facet w ciemnej kurtce z krótko obciętych włosami.

– Znamy się?

– Kruk.

Ten policjant, komisarz, z którym Dominika jadła kolację. A więc to jeszcze nie koniec. Eryk poczuł suchość w ustach.

– Martwię się o pana – powiedział komisarz.

– Dlaczego?

Ruchem głowy Kruk wskazał rękę Eryka. Tę, gdzie miał bliznę.

– Nie rozumiem – powiedział Karłowicz.

– Był pan z tym u lekarza?

– Niegroźne skaleczenie. Zagoiło się samo.

– Powinien pan. Ślina psa może zawierać patogeny, które dla zwierzęcia nie są niebezpieczne, ale dla człowieka mogą. Drobne ugryzienie może się długo babrać. Gdyby poszedł pan do lekarza, rana zagoiłaby się szybciej. I może blizna byłaby mniej swędząca.

Karłowicz odruchowo cofnął dłoń, ale zorientował się, że to robi, i wysunął ją do przodu, prawdopodobnie zbyt ostentacyjnie. Na ukrywanie blizny z pewnością było za późno.

– O czym pan mówi?

– O psie.

– O jakim psie?

– O małym psie pokojowym.

– Skaleczyłem się, kiedy coś sprawdzałem przy silniku w samochodzie. Zdaje się, że zahaczyłem o coś dłonią.

– Coś pan sprawdzał i zdaje się, że o coś zahaczył. O co konkretnie?

Eryk w głowie miał pustkę. Sposób, w jaki ten człowiek na niego parzył, a właściwie przeszywał wzrokiem, całkowicie go dekoncentrował.

– Czy pan do czegoś zmierza?

– Skądże.

– Jeśli chce mi pan coś powiedzieć, słucham.

– Niech pan sobie słucha – powiedział Kruk i ponownie wskazał bliznę ruchem głowy. – Nic mnie to nie obchodzi.

Eryk Karłowicz patrzył za policjantem, gdy tamten wchodził po schodach, aż zniknął za drzwiami komendy.

Krystyna Bielińska usiadła na próbę na krześle w swoim pokoju na komendzie. Było źle. Właściwie coraz gorzej. Ściany zdawały się napierać, z każdą chwilą pomieszczenie stawało się ciaśniejsze, było coraz goręcej.

W pokoju przesłuchań było jeszcze gorzej. Ledwo wytrzymała spotkanie z Karłowiczem.

Dlaczego to się z każdym tygodniem pogłębia, zamiast cofać?

Nie mogła cały czas przesiadywać w konferencyjnym, bo korzystali z niego także inni. Zastępca komendanta, wchodząc tam ostatnio i widząc ją po raz kolejny, uniósł z namysłem brwi. Następnym razem zapyta. Potem każe jej iść do lekarza, psychologa czy kogokolwiek, aby rozwiązała problem.

Na razie jednak nikt się nie domyślał. Jedynie Kruk wiedział. Kruka się nie bała. On nikomu nie powie. Poczwała, że ogarnia ją wstyd na myśl o ostatniej nocy.

Ktoś otworzył drzwi. Czyli przyciągnęła go myślami.

– Nie umiesz pukać? – spytała.

Był poważny i trochę zmieszany. Miała nadzieję, że nie nawiąże do jej wizyty.

– Musisz pojechać do Zabrze, Kriss.

– Żartujesz.

Nie żartował. Widziała to po nim wyraźnie.

– Samolot, pociąg, możesz pojechać samochodem, jeśli wolisz.
Załatwię ci zwrot kosztów dojazdu i noclegów.

– Noclegi? To ile ja mam tam być?

– Ile trzeba. Masz rozeznąć temat utylizacji.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej.

– Nie pojedę do Zabrza.

– A co masz przeciwko Zabrze?

– Jest daleko. Poprośmy o pomoc tamtejszą policję. Niech sprawdzą cokolwiek, o co ci chodzi, a ja zostaję.

– Myślisz, że będzie im się chciało robić dla nas? Mają dość swojej roboty.

– Załatwimy to na oficjalnej drodze.

– Wolę, żebyś ty pojechała. Rozejrzysz się na miejscu, ocenisz, co za ludzie prowadzą tę firmę utylizacyjną, dlaczego mają tak niskie ceny, jak to robią i co robią. To ma być dokładny wywiad.

– Zsyłasz mnie. Wkurzyłam cię, że ściągnęłam tu Karłowicza.

– Nic podobnego.

– Nie chcesz, żebym ci patrzyła na ręce.

– A patrzysz, Krysiu?

Nagle odchyliła głowę, jakby uderzyła ją gwałtowna myśl.

– Ale to nie przez to, że wczoraj...

– Nie – uciął Kruk. – Daj mi znać, kiedy i czym pojedziesz.

Klara Balewicz od rana nie miała chwili oddechu. Przez biuro prezesa Mulickiego przewinęła się kawalkada prawników, urzędników bankowych, wściekłych kontrahentów, a po wizycie każdego z nich Karol Mulicki robił się jakby niższy, coraz mniejszy i bardziej przygnębiony. Pomiędzy jedną nieprzyjemną wizytą a drugą podjadał nerwowo słone chipsy, popijał słodkim jogurtem – kombinacja, od której robiło jej się niedobrze – a potem siadał w holu, gdzie swoje biurko miała Klara i gdzie stały dwa puste biurka po innych sekretarkach. Siedział tak i uśmiechał się blado, jakby znajdując otuchę w jej towarzystwie.

– Dziękuję, pani Klaro – powiedział nagle.

– Za co, panie prezesie?

– Za to, że pani została. Wiem, że to nie jest dla pani łatwe.

Patrząc na tego lekko już siwego, dobrodusznego mężczyznę, Klara nie mogła go sobie wyobrazić w roli, w jakiej obsadził go ten policjant, który tu pewnego dnia przyszedł. Mimo wszystko starała się zachowywać dystans. Była z natury ostrożną kobietą.

Potem znów przychodzili interesanci, a także pojawiło się dwóch kurierów oraz listonosz, który zasypał jej biurko brzydkimi

kopertami, z których większość to ostateczne wezwania do zapłaty albo pierwsze wezwania sądowe.

Gdy u prezesa byli goście, Klara często podchodziła pod drzwi i nasłuchiwała. Drzwi dość mocno wygłuszały, ale potrafiła wyłapać strzępy dialogów, które nierzadko toczyły się podniesionymi głosami. Chciała wiedzieć, co się dzieje. Znać pikantne smaczki całej tej sytuacji, w jakiej znalazła się firma. Eryk lubił słuchać, gdy opowiadała, i nie mógł się nadziwić, że Klara wie wszystko o tym, co dzieje się w Truście. A ona lubiła mu imponować.

Okolo piętnastej do prezesa weszło dwóch mężczyzn reprezentujących firmę, od której Trust dzierżawił kilka magazynów. Pod drzwiami gabinetu Klara słyszała, co mówią. Wypowiadali umowę w trybie natychmiastowym. Skierowali już sprawę o zapłatę do sądu. Chcieli zatrzymać tę resztkę towaru, która była tam składowana, jako zabezpieczenie należności, a Mulicki upierał się, że nie mają prawa. Klara ledwo zdołała uskoczyć za swoje biurko, gdy drzwi się gwałtownie otworzyły. Mężczyźni wyszli, nie żegnając się, a Mulicki stanął w progu i oparł się o futrynę, patrząc za nimi.

Wrócił do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Usłyszała ciche mruczenie, co znaczyło, że z kimś rozmawiał. Podeszła do drzwi i znowu przytknęła ucho.

– Pan nie jest ze mną szczery, panie Eryku. Pomagaliście firmom w większych opałach.

Serce jej żywiej zabiło. Rozmawiał z jej Erykiem.

– Gdyby pan zechciał się spotkać, omówić to jeszcze raz...

Nie słyszała, co mówił Eryk, ale musiał mówić dużo, bo Mulicki długą chwilę milczał.

– Niech pan będzie spokojny, więcej nie poproszę. Po prostu miałem nadzieję – powiedział i usłyszała odgłos brzmiący jak

rzucenie telefonu na biurko, po którym dotarł do niej dźwięk odsuwanego krzesła.

Klara wróciła na swoje miejsce. Pośpiesznie postawiła na biurku szary prostokątny karton przyniesiony przez jednego z kurierów i starała się wyglądać na maksymalnie zajęta jego rozpakowywaniem. Sięgnęła do szuflady biurka po nożyk i rozcięła taśmy zabezpieczające.

Mulicki stanął w otwartych drzwiach i pokiwał głową.

– To koniec, pani Klaro – powiedział. – Nie podniesiemy się z tego.

Był w jego głosie ten swoisty pogodny ton zwiastujący pogodzenie się z losem.

– Trzeba do końca mieć nadzieję, panie prezesie – powiedziała.

W kartonie znajdował się żółty pojemnik, który wyglądał jak turystyczny pojemnik chłodzący, a na nim leżała nieopisana biała koperta.

Nie była zaklejona i Klara ją otworzyła. W środku znajdowała się fotografia wydrukowana na zwykłym papierze biurowym na czarno-białej drukarce laserowej.

W pierwszej chwili Klara nie rozpoznała, co przedstawia, a gdy to do niej dotarło, ostrożnie odłożyła fotografię na biurko i wytarła ręce o spódnicę. Nie krzyknęła, nie odezwała się słowem. Ona też starała się zachować pogodę ducha w obliczu kryzysu.

– Pani Klaro – odezwał się Mulicki, ale tym razem, gdy na nią patrzył, w jego głosie pojawił się niepokój.

Podszedł. Wziął wydruk do ręki i długo się wpatrywał w widoczne na nim nagie ciało mężczyzny pozbawione głowy. Ujęcie zostało tak wykonane, że na pierwszym planie były plecy mężczyzny. Ktoś wyrznął na nich litery układające się w napis.

Mulicki ostrożnie odłożył fotografię na biurko. Ręce mu lekko drżały. Jego wzrok przesunął się na plastikowy pojemnik. Odsunął

Klarę i wyciągnął pojemnik z kartonu.

– Niech pan nie otwiera – poprosiła Klara.

On jednak otworzył wieko plastikowego pojemnika, zajrzał do środka i od razu się cofnął.

Ale przysunął się znowu i włożył dłonie do środka.

– Nie dotykałabym tego – powiedziała rozsądnie Klara.

Mulicki wyjął z pojemnika odciętą głowę owiniętą kilkoma warstwami stretchu. Pewnie tę samą, której brakowało na zdjęciu. Trzymał ją przed sobą, a jego ręce drżały coraz mocniej.

Ostrożnie odłożył głowę z powrotem do pojemnika. Odwrócił się do Klary plecami, zakrywając otwartą dłonią usta. Nic to nie pomogło.

Mulicki zgiął się wpół i zwymiotował na podłogę.

52

Adres nadawcy na paczce wskazywał na Annę Kowalską, ul. Lipowa 3 m. 10, 87-100 TORUŃ, ale ze stempla pocztowego wynikało, że paczka została nadana w urzędzie pocztowym w Gdańsku.

Technik zajął się zabezpieczaniem dowodów. Był to ten sam technik, który zabezpieczał głowę Woronowicza w domu Brandtów.

– A nie mówiłem? – mruknął do niego Kruk.

Nie odpowiedział. Zabrał Krukowi fotografię. Komisarz zwrócił się do stojącego w progu swojego gabinetu Mulickiego:

– Nie powinien pan wyciągać głowy z pojemnika.

Mulicki patrzył bezmyślnie przed siebie. Wyglądał, jakby to, co się tu działo, do niego nie docierało. Jego asystentkę dwójka mundurowych wyprowadziła na zewnątrz. Wydawała się bardzo spokojna, i faktycznie bardzo spokojnie, bez ostentacji, zaczęła mdleć. Potrzebowała świeżego powietrza.

Marta Krynicka, która pojawiła się nie wiadomo po co, skończyła rozmawiać z Krystyną Bielińską i zwróciła się cicho do Kruka:

– Co to za makabreska? „Z tobą na zawsze”. Co to ma oznaczać?

Pytała o napis na skórze Brandta.

Napis na skórze Woronowicza był przesłaniem dla Brandta. To wyglądało na przesłanie dla Mulickiego. Kruk wiedział, co to znaczy, z rozmowy z Dominiką Wołą-Karłowicz. Ale przecież nie będzie mówił o tym każdemu, kto go zapyta.

– Panie Karolu – zwrócił się do Mulickiego po imieniu. – Pani prokurator pyta o napis z fotografii.

Mulicki wzdrygnął się i skulił, ale się nie odezwał. Kruk uważał, że facet pamięta, co to znaczy, i spodobało mu się, że to ukrywa.

– Zabójca jest chory – szepnęła Krynicka do Kruka.

– A niby jaką chorobę załapał?

– Jest chory psychicznie. Nikt normalny nie posunąłby się...

– Wystarczy odrobina nienawiści.

– Byłbyś zdolny do czegoś takiego? – Krynicka przycisnęła do boku torebkę, jakby zrobiło jej się zimno albo jakby uznała, że jeśli Kruk jest do tego zdolny, to równie dobrze może ją okraść.

– Dla kogoś, kto ma w sercu zemstę, odrąbać głowę nie musi być trudno. Dla ciebie to makabra, coś chorego. Dla niego coś, co należało zrobić.

Mulicki słuchał ich rozmowy. Jego wzrok stawał się coraz bardziej odległy.

– A dla ciebie, Sławek? – powiedziała Krynicka.

– Daj spokój.

– Nie wiem, co myśleć.

– Szkoda, bo jesteś prokuratorem.

Kruka zastanowiło, że to powiedział. Marta bywała denerwująca, ale dziś była po prostu przejęta, a on się na niej odgrywał. Za co? Nie za to, co robiła i mówiła. Odgrywał się na niej za swoje własne wątpliwości.

Ta głowa... Kruk czuł się trochę tak, jakby sam ją tu przysłał. Jakby był współsprawcą tego zabójstwa. Nie doprowadził do odnalezienia Brandta po tym, gdy ten zniknął. Samo to nie stanowiło jeszcze problemu, problemem było, że Kruk się wcale nie starał.

– Sławek? – Krynicka nachyliła się do jego ucha. Tym razem dbała, aby słyszał ją tylko Kruk.

– Tak?

– Odpieprz się.

Zdecydowanym krokiem opuściła biuro.

Kruk stanął nad plamą wymiocin. Ich kwaśny odór unosił się w powietrzu, anihilując inne zapachy. Zadziwiające, co ludzie mają w żołądkach.

– Głowy kolegi mógł pan nie wyciągać z pojemnika, za to te wymiociny nie są śladem do zabezpieczenia. Byłoby milej, gdyby coś z nimi zrobić.

– Słucham? – spytał Mulicki, bo Kruk wyrwał go z transu.

– Sam pan posprząta po sobie czy będzie musiała to zrobić pańska nieszczęsna asystentka?

– Jest pan najweselszą postacią w okolicy – powiedział Mulicki z nagłą goryczą.

– Nieprawda. Pański kolega w pudełku też się ładnie uśmiecha.

Mulicki odwrócił się na pięcie i odszedł do gabinetu. Kruk poszedł za nim. Mulicki usiadł za biurkiem i nieopisanie powolnym ruchem oparł głowę na dłoni. Przymknął oczy zmęczone tym, co zobaczyły.

– Tak bardzo starałem się naprawić tamto zło. Nie ze strachu. Nie sądziłem, że to kiedykolwiek wyjdzie na jaw. Ciężko mi to. – Nagle coś w nim pękło. – Całe moje życie jest próbą odkupienia! – wybuchnął.

Kruk zajął miejsce naprzeciw niego.

– Bez przesady. Pańskie rozrachunki ze światem to stosunkowo nowy wynalazek.

Weszła Bielińska i stanęła cicho przy ścianie. Następnego dnia był piątek Wszystkich Świętych i przekonała Kruka, że kupi bilet na pociąg do Zabrze wyjeżdżający w poniedziałek z samego rana. Do tego czasu musiał ją tolerować na miejscu.

– Nie widzi pan? – Mulicki gwałtownym ruchem wskazał ścianę, gdzie kurzyły się w ramach dyplomy, podziękowania, wyrazy wdzięczności. – Co jeszcze mógłbym zrobić, aby zasłużyć na wybaczenie?

– Nie działałam w branży wybaczenia – warknął Kruk. – Koloratka mi nie leży.

– Minęło tyle lat... Pomogłem tylu ludziom. Zasłużyłem, żeby mi wybaczyć.

Na biurku, na eleganckiej podkładce z dyskretnym grawerem: *Karolowi, w dniu urodzin, Krystian*, leżała łamigłówka, trójwymiarowa konstrukcja z drewnianych klocków. Był to rodzaj schowka. Przesuwając w odpowiedni sposób klocki składające się na konstrukcję, można było dostać się do środka.

– Ktoś chyba uważa inaczej – mruknął komisarz, biorąc do rąk lamigłówkę. Zastanowił się, jak ją ułożyć.

Mulicki podjął wysiłek, aby się uspokoić.

– A pan? Co pan uważa?

– Są rzeczy, które od biedy można wybaczyć. Na przykład kradzież portfela.

– Co mam zrobić? Nie potrafię cofnąć czasu.

– Kiedy przyszło opamiętanie?

Mulicki wstał od biurka i nerwowo przespacerował się po gabinecie. Bielińska przyglądała się mu spod współprzymkniętych powiek.

– Ma pan rację, nie od razu. Mijały lata i wszystko się układało. Firma rosła, mieliśmy pieniądze, prestiż. Dostałem to, czego chciałem. Jest chyba nawet taka klątwa: „Oby spełniły się twoje marzenia”. – Zatrzymał się przy ścianie z dyplomami i zagapił się na nie pustym wzrokiem. – Tylko że ja nie czułem radości. Jakbym zawarł pakt z diabłem, że wszystko będzie mi się udawać, ale nic nie będzie mnie cieszyć.

– Myślałem – powiedział Kruk – że zaczął pan wieszać obrazki, kiedy odeszła pańska żona.

Mulicki przygarbił się, zaraz jednak się wyprostował.

– Nie chodzi o obrazki i ich wieszanie. Chodzi o to, co za nimi. – Dotknął jednej z ramek. Była w niej biało-czarna fotografia niemowlaka z rurkami przy głowie. – To dziecko umierało. Rodzice zorganizowali zbiórkę na operację za granicą, ale jego stan się nagle pogorszył, a im wciąż brakowało dwustu tysięcy.

– Wyłożył pan te pieniądze?

– Niewielką część tego my wyłożyliśmy. Trust. Na pozostałą kwotę zorganizowaliśmy kolejną zbiórkę. Rzeczywiście, inicjatywa była moja.

– Jak zawsze.

Mulicki wskazał inną ramkę, gdzie też było zdjęcie, tym razem zabytkowego budynku wśród drzew.

– Włączyliśmy się w akcję renowacji i wyposażenia ośrodka dla dzieci z opóźnieniami w rozwoju.

– Chore dzieci pana nie uratują – przerwał mu Kruk.

– To wszystko nie ma znaczenia?

Kruk westchnął i przyjął wygodniejszą pozycję na krześle. Nie posunął się o krok w układaniu łamigłówek.

– Chesterton pisał, że każdy łajdak może być dobroczyńcą choćby z samej pogardy.

Chwilę trwało, zanim Mulicki przełknął tego „łajdaka”.

– Więc co?

– Takie gesty są ładne, ale to inna bajka. Prawdziwe odkupienie wymaga prawdziwej ofiary.

Mulicki wrócił na krzesło. Usiadł ciężko i tak siedział.

– Jak więc mógłbym wymazać to, co zrobiłem? Nie ma na to zadośćuczynienia? Nie powinienem próbować?

Kruk wzruszył ramionami.

– Prawnik powie, że nastąpiło przedawnienie. Tylko dlatego, że pański czyn miał miejsce dwadzieścia lat temu, w świetle prawa jest pan bardziej czysty niż jakiś dziadek, który wczoraj ukradł bułkę ze sklepu. Ksiądz uzna, że żałuje pan za grzechy i Bóg panu wybaczy, choć osobiście mam wobec Boga większe oczekiwania. Może nawet Temida, gdy położy pana uczynki na wadze, z uznaniem pokiwa głową. Temida, jak wiemy, jest ślepa, nie można więc wymagać od niej zbyt wiele.

Kruk urwał, a gdy odezwał się znowu, odniósł wrażenie, że jego głos stał się chropowaty.

– Ale gdzieś tam jest ktoś, komu otworzył pan bramy piekła. I ten ktoś wciąż tam żyje przez wszystkie te lata. W piekle. Wychodzi z niego i wraca. Próbował wydostać się wiele razy. Ma może nadzieję, że śmierć was wszystkich uspokoi demony.

– Panu by to się podobało, prawda? – Mulicki potrząsał głową, jakby chciał, aby słowa komisarza upadły gdzieś obok niego. – Nawet najgorsi zasługują na wybaczenie, jeśli żałują za grzechy.

– Uważa się pan za dobrego człowieka?

Mulicki milczał.

– Głowa do góry, dobry człowieku – powiedział łagodnie Kruk. – To pańska szansa na odkupienie. Bo obawiam się, że nawet jeśli na dokładkę zacznie pan wyprowadzać sąsiadce psa, to i tak nie załatwi sprawy.

– Ja wiem, co oznacza ten napis ze zdjęcia – powiedział nagle Mulicki, ale popatrzył przy tym na Bielińską.

Kruk się skrzywił. Nie zależało mu, aby facet spowiadał się w obecności Kryśki.

– Chyba coś takiego jej wtedy powiedziałem, tej kobiecie... Że to, co jej robimy, zostanie z nią na zawsze. Jakoś tak... Nie wiem. Powiedziałem coś takiego... Przepraszam.

– Pan jest bardzo wrażliwy – pochwalił go Kruk, tłumiąc wściekłość. – Opowiadał pan o tym komuś?

– Nigdy.

– A Brandt i Woronowicz?

– Jeśli usłyszeli... Nie wiem. Nie sędzę. Na pewno nie.

Zniecierpliwiony Kruk odrzucił na biurko łamigłówkę. Bielińska powinna była kupić bilet na wcześniejszy pociąg.

– Poddaje się pan? – spytał Mulicki, nagle skupiony na odrzuconej przez komisarza zabawce.

– Nie mam cierpliwości. Gdyby zależało mi, żeby się dostać do schowka, rozwalilibym całą konstrukcję.

– Schowek jest pusty. I dlatego, jeśli zniszczy pan konstrukcję, zostanie tylko stos połamanych klocków. Może ma pan rację, może ja też jestem pusty i nie ma we mnie nic, co warto ocalić.

– Może.

Bielińska zbliżyła się bezszelestnie i nachyliła Krukowi do ucha:

– Zostawmy go, bo już nie mogę cię, kurwa, słuchać.

53

W piątek Kruk nie poszedł na komendę. Był pierwszy listopada, dzień Wszystkich Świętych. Nowe zabójstwo zmieniało grafik, ale komisarz urządził to tak, aby podlegli mu ludzie nie musieli się pojawiać nie tylko w święto, ale i w sobotę. Chciał, żeby Kryśka mogła spokojnie przygotować się do wyjazdu, a Radek był w stanie wybrać się z rodziną na groby krewnych w okolice Poznania i zostać tam na weekend.

On sam spędził ten dzień w domu. Trochę czytał, trochę oglądał National Geographic. Dręczyła go pewna myśl, odsuwał ją, a ona nawracała, dopóki nie podjął decyzji, że zajmie się nią jutro.

Przed osiemnastą wyciągnął z szafki butelkę wódki. Nie zamierzał się upijać, a tylko wypić kieliszek.

Dokładnie w tym momencie ciche piknięcie poinformowało go o nadejściu SMS-a.

Już pan wrócił z cmentarza? Chce pan poznać gwiazdę telewizji? Ostatnia okazja – brzmiał tekst wiadomości.

Kruk nie był jeszcze na cmentarzu. Choć przecież nadawca wiadomości dostatecznie prześwietlił jego życie, aby wiedzieć, że pójdzie.

Czemu nie – odpisał Kruk.

My już wróciliśmy. Zapraszam.

Kruk wezwał taksówkę i pojechał do domu Daniela Cendrowskiego. Gruby, smutny i całkowicie pijany facet przywitał Kruka serdecznie i przedstawił go Edycie, kolejnej ze swoich byłych żon. Kobieta była ładna i miła również dla aktualnej kobiety Daniela. Traktowała ją trochę jak córkę.

Bo Kruk miał też okazję poznać Kasię Soronicką. Była na grobach dzień wcześniej, towarzyszyła matce, a teraz przyjechała do Gdańska, aby pobyć z Danielem. Dużo opowiadała o sobie, o swojej pracy w telewizji, a czyniła to z wdziękiem i było to tak ciekawe, że jej opowieść pochłonęła Kruka. Czasem milkła i patrzyła z troską na Daniela.

Spędził u nich cztery godziny, podczas których Cendrowski, co niewiarygodne, upił się jeszcze bardziej, a Kruk starał się nie zostawać w tyle. Kasia Soronicka nie piła, za to mówiła coraz więcej i coraz szybciej, ale oczy miała jakby nieobecne.

Ostatnia okazja, pomyślał Kruk. Więc o to chodziło. Trudno o mniej dobraną parę i żadne pieniądze tu nic nie pomogą. Ona go rzuci, a on o tym wie.

Gdy stamtąd wychodził, Kruk nie pamiętał, o czym konkretnie rozmawiali, ale mógłby przysiąc, że nikt nie wspomniał słowem

o zabójstwach, funduszach, traumach ani o niczym podobnym. Miał wrażenie, jakby wpadł z wizytą do dobrych znajomych.

Było po dwudziestej drugiej, gdy złapał taksówkę. Kazał zawieźć się na cmentarz. Siedział z czołem przyklejonym do szyby, podczas gdy taksówka sunęła mrocznymi ulicami Gdańska.

Radio było włączone, młoda krajowa piosenkarka pop opowiadała właśnie o nadchodzącym pobycie w Tajlandii. Zamierzała choć na dwa tygodnie uciec od jesiennego polskiego klimatu i żałowała, że przez sprawy zawodowe nie udało jej się wylecieć przed pierwszym listopada. Święto Zmarłych, jak to określiła, przygnębiało ją i nie rozumiała, dlaczego miałyby stać w tłumie i palić tandetne znicze...

Kruk zapytał taksówkarza, czy mógłby wyłączyć radio.

Przy cmentarzu wysiadł. Było wietrznie, mgliście, ale mu to nie przeszkadzało. On chciał tu być, w tej listopadowej mgle, w tym zimnym powietrzu. Uniósł twarz, na której natychmiast osiadły drobne jak pył krople deszczu.

Mimo późnej pory udało mu się jeszcze kupić znicz.

Za ogrodzeniem cmentarza tysiące świateł migotały w ciemności, chybotliwe płomienie zniczy toczyły nierówną walkę z potężniejącym wiatrem. Pośród tych świateł majaczyli ludzie, którzy nie mogli się rozstać z bliskimi.

Kruk zdawał sobie sprawę, że jest pijany. Wkładał wiele wysiłku, by trzymać się prosto, kiedy przekraczał bramę i wchodził między groby.

Całą sobotę Kruk leczył kaca, a i w niedzielę wstał późno. Pewnych rzeczy nie dało się dłużej odwlekać. Musiał się zmierzyć z decyzją, od której uciekał.

Mulicki był kolejnym celem.

Należało podjąć w związku z tym jakieś kroki.

Pojechał na komendę. Padało. Na biurku znalazł zadrukowaną do połowy kartkę z danymi osobowymi pewnej kobiety.

Kruk po rozmowie z nową żoną Mulickiego, Michaliną, zlecił odnalezienie numeru komórkowego poprzedniej pani Mulickiej, Doroty. I oto miał go przed sobą, wraz z informacją, że kobieta mieszka w Kaliszu i jest nauczycielką języka francuskiego.

Dorota Mulicka odeszła od męża, bo nie mogła się z pewnymi rzeczami pogodzić. Kruk wiele sobie obiecywał po rozmowie z nią. Na przykład to, że dzięki niej poczuje, że lepiej będzie jednak żadnych kroków w sprawie ochrony Mulickiego nie podejmować.

Siedząc samotnie w swoim pokoju, Kruk zrobił z numeru użytek. Zadzwoił z telefonu, który stał na biurku.

– Halo?

Miała ładny głos. Jasny i głęboki zarazem. Kruk zaczął ją sobie wyobrażać.

– Komisarz Sławomir Kruk z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku.

– O co chodzi?

– Mogę zająć pani chwilę?

– Skąd mam wiedzieć, że jest pan tym, za kogo się podaje?

Ładna i bystra, pomyślał. Choć może ładna nie była. Była. Mulicki nie związałyby się z brzydulą.

– Bo ładnie się przedstawiłem.

– Za chwilę się rozłączę.

– Wyświetlił się pani mój numer.

– Nic mi on nie mówi.

– Proszę znaleźć w Internecie numer telefonu Komendy Wojewódzkiej w Gdańsku. Proszę pod niego oddzwonić i niech panią połączą z komisarzem Krukiem z dochodzeniówki.

– Jest pan na komendzie w niedzielę?

– Tak.

– Dlaczego miałabym pana posłuchać?

– Chodzi o pani męża i jego wyczyny z dziewięćdziesiątego dziewiątego. Nie unikniemy tej rozmowy. Może być przez telefon, bo mam do pani tylko jedno pytanie. Ale możemy też wysłać wezwanie.

Rozłączyła się. Kruk był ciekawy, czy się odezwie.

Zabrało jej to dziesięć minut.

– A więc jest pan prawdziwy. Co to za pytanie?

– Dlaczego, gdy się pani o wszystkim dowiedziała, nie poszła pani na policję?

– Nie rozumiem.

– Powtórzyć?

Milczenie. Krople deszczu lekko opadały na szybę.

– Dlaczego? – naciskał Kruk.

– To mój mąż.

– Od dawna nie.

Znowu milczenie. Kruk popatrzył za okno, niektóre krople deszczu łączyły się, spływając pokrętnymi liniami.

– Minęło tyle czasu. A on może jest mimo wszystko coś wart.

Kruk nie poprzestał na jednym pytaniu, ale Dorota Mulicka informacje o wydarzeniach z roku dziewięćdziesiątego dziewiątego miała dosyć ogólne, a przynajmniej w ogólny sposób była w stanie rozmawiać o tym z policją przez telefon.

Rozmowa z nią dała Krukowi zupełnie nie to, czego oczekiwał.

Gdy skończyli, przez kolejne pół godziny przygotowywał papiery, które należało przesłać do Kalisza, aby tamtejsza policja zadała jej bardziej wnikliwe pytania.

Jeszcze niedawno Kruk, wiedziony ostatnim odruchem dobrego gliniarza, załatwił policyjną ochronę Brandtowi. Trzeba było od razu dać ochronę Mulickiemu, ale dobry gliniarz w Kruku już się wyczerpał i do tego nie doszło.

Dręczyło go poczucie, że wciąż ma ostatnią szansę, by to zrobić.

Włączył komputer i wpisał w Google'a „Karol Mulicki Gdańsk”. Wyszukiwarka zwróciła mnóstwo wyników, część z nich dotyczyła tego Mulickiego, a część Bogu ducha winnych innych Karolów Mulickich. Czytał artykuły i informacje o Mulickim na portalach informacyjnych i blogach. Trochę tego było. Pierwsze wzmianki o charytatywnej działalności sięgały sześciu lat wstecz. Potem Kruk sprecyzował pytanie: „Karol Mulicki Trust Gdańsk”, co zwróciło wiele nowych wyników. Kruk zmieniał i dopasowywał pytania. Zmarnował w ten sposób godzinę.

Musiał przyznać, że to, co znalazł, robiło wrażenie. Mulicki organizował zbiórki na ciężko chore dzieci oczekujące na operacje. Sam również w nich uczestniczył. Miał na koncie kampanie, dzięki którym hospicja i domy starców otrzymały wsparcie. Miał talent, potrafił natchnąć do działania wielu ludzi, przez co kwoty, które udawało się zebrać, robiły wrażenie.

Co zadziwiające, Mulicki nie organizował tych zbiórek w ramach własnych fundacji. W żadnej ze wspieranych inicjatyw nie pełnił innej roli niż wolontariusz. Skupiał się wyłącznie na wspieraniu przedsięwzięć innych ludzi. Kruk z żalem stwierdził, że nie wyglądało, jakby chciał coś z tych pieniędzy przytulić dla siebie.

Nie można było nie poczuć do faceta szacunku, a nawet sympatii.

Daj mu policyjną ochronę, mówił do siebie w myślach. Nawet była żona zaczęła szanować go za upór, z jakim próbował odkupić winy.

Zamiast tego wyłączył komputer i gapił się w ciemny monitor. Przymknął oczy. W umyśle wciąż widział te informacje, więc wyobraził sobie, że zamalowuje je czarną farbą. Świadczenia dobrej woli i szlachetnych uczynków Mulickiego nie były mu do niczego potrzebne, dlatego musiał wykonać żmudną mentalną pracę, aby jak najskuteczniej usunąć je ze swojego umysłu.

Gdy wstawał od biurka, myślał znów o Mulickim tak, jak potrzebował myśleć: jak o bezkarnej kanalii, która czeka na sprawiedliwość.

55

Sierżant Krystyna Bielińska pakowała walizkę. Pogodziła się już z koniecznością wyjazdu i usiłowała znaleźć w tym dobre strony. Zmieni otoczenie, spotka nowych ludzi, może spożytkować czas w pociągu, aby poczytać albo zyskać nową perspektywę na życie. W Zabrze skorzysta z okazji, żeby zobaczyć Sztolnię Królową Luizę, a także kościół św. Józefa, o którym kiedyś trochę czytała. Miała ochotę przejść się po ogrodzie botanicznym, choć nie była pewna, czy jest otwarty o tej porze roku.

Westchnęła. Kogo oszukiwała? Powinna była zostać w Gdańsku, zamiast jeździć z jednego końca kraju na drugi. Ta wycieczka była zbędna i Kruk świetnie o tym wiedział.

Z rozmyślań wyrwał ją dzwonek do drzwi.

Wpuściła naczelnika Marcina Zycha. Przeprosił, że nachodzi ją o tak późnej porze, na co wzruszyła ramionami. Szef nigdy wcześniej u niej nie był. Uniósł brwi na widok otwartej walizki.

– Kruk wysyła mnie do Zabrze – wyjaśniła. – Rano mam pociąg. Powiedział, że sam z tobą wszystko załatwi.

Skinął głową na znak, że rozumie. zaproponowała herbatę, drinka, kawę, a nawet grzane wino, ale odmówił.

– Cieszę się, że pracujesz ze Sławkiem przy sprawie.

– Należę do grupy zadaniowej, bo ty mnie tam przydzieliłeś.

– Naprawdę? – Zych wydawał się zaskoczony, jakby w ogóle nie skupiał się na tym, co właśnie mówił, tylko wybiegał już myślą gdzieś dalej. – No to cieszę się, że to zrobiłem.

– O co chodzi, Marcin?

Zych zwlekał. Bielińska podejrzewała, że nie chodzi o to, co chce powiedzieć, bo to raczej wiedział, skoro przyszedł. Zych zastanawiał się nad tym, jakie wybrać słowa.

– Brandt się znalazł – powiedział. – Jego fragment.

– Tak. Uczestniczyłam w czynnościach.

– Kruk przez ostatnie dni nic nie robi przy sprawie.

Wbrew sobie poczuła się w obowiązku bronić Sławka.

– Było święto, weekend, wszyscy porozjeżdżani, trudno było cokolwiek...

– Myślę o tym, z czym wtedy do mnie przyszedł. Miałaś rację. W śledztwie pojawił się wątek... – Urwał, bo jednak nie znalazł właściwych słów. – Chodzi o inną sprawę sprzed lat, trochę starszą. – Znowu urwał, a gdy zaczął mówić dalej, głos mu się zmienił. – Znamy

się ze Sławkiem od dziecka. Gdy byliśmy prawie dorośli, zaginęła moja siostra. Jej zwłoki znaleziono dwa dni później. Policja nigdy nie odkryła motywów zabójstwa ani nie zatrzymała zabójcy.

Bielińska milczała. Zych zdawał się mówić bez emocji, niedbale, ale widziała, ile go to kosztowało.

– Sławek ją kochał.

– Rozumiem.

– Tak – westchnął z ulgą. – Miałem nadzieję, że zrozumiesz. Chodzi o to, że sprawa jest sprzed lat, ale czas nie ma znaczenia. Nie dla niego. Sławek wstąpił do policji, żeby odnaleźć sprawcę. Moja motywacja była zresztą identyczna. Jednak pełne akta dano nam do rąk dopiero wiele lat później. Dostaliśmy je tylko po to, żebyśmy mogli się przekonać, jak wiele błędów popełniono. Niewiele dało się z tym zrobić, a Sławek do dzisiaj nie może się z tym pogodzić i dla niego ta sprawa cały czas pozostaje otwarta.

Bielińska pokiwała głową. Nie wiedziała, co powinna powiedzieć i czy w ogóle ma się odzywać.

– Czasem zdarza się, że gdy trafiamy na ofiarę przemocy, jakąś kobietę, której współczuje, Sławek jakby ją utożsamia z Emilią. Staje się wtedy... nieobliczalny. Przepraszam.

– Też mam oczy i dobrze mu życzę, nie przepraszaj.

– Miałaś rację co do Dominiki Woli-Karłowicz. Ona jest kobietą, którą zgwałcono w dziewięćdziesiątym dziewiątym.

– Skąd wiesz?

– Od Sławka. Wyciągnął to z niej, ale ci ludzie go podeszli, Wola-Karłowicz i jej brat. Dotarły do mnie informacje, że ludzie Cendrowskiego wypytywali o Sławka na komendzie. Cendrowski i jego siostra obudzili w nim to coś, co cały czas w nim siedzi. A Kruk, gdy to coś w jego głowie otwiera oczy...

Zych chrząknął, rozłożył ręce.

– Widziałam – odparła. – Odbija mu.

Zych zmarszczył brwi, jakby to, co Bielińska powiedziała, wcale mu się nie podobało. Po chwili jednak czoło mu się wygładziło i powiedział:

– Tak, tak.

Mówił o Sławku, nic nie wspomniał o swoich odczuciach, a przecież to była jego siostra.

– On wie, że nim manipulują, ale mu to nie przeszkadza.

– Jeszcze zanim wypłynął ten wątek, pogrywał z ludźmi ostro.

– Po co jedziesz do Zabrza?

– Kruk każe mi sprawdzić wątek w sprawie.

– Mam do ciebie prośbę.

– Jaką, panie naczelniku?

Odezwała się tak do niego specjalnie. Kilka miesięcy temu przeszli na „ty”. Nie był z tych, którzy dla pozyskania autorytetu potrzebowali dodatkowych barier. Był spokojny, plotkował, głądził o żonie, i Zycha po prostu się słuchało. Czuła, że gdyby się go nie słuchało, przestałby być spokojny, plotkować, głądzić. Nie miała jeszcze okazji sprawdzić swoich podejrzeń, ale to się poznawało po drobnych gestach, nieznaczących spojrzeniach, odcieniach głosu. Bielińska lubiła tego faceta, podał jej pomocną dłoń w tym momencie życia, gdy tonęła.

Zwracając się teraz do niego oficjalnie, trochę poważnie, trochę żartem, chciała mu pomóc. Sprawa była dla niego osobista, a on starał się, żeby nie była.

Może mu pomogła, może nie. Naczelnik Zych zapatrzył się w dal i wypowiedział prośbę na głos. Kompletnie ją zaskoczył. Zgodziła się i jeszcze w tej samej chwili pomyślała, że robi błąd.

Odprawa zaczęła się po siódmej. Zych się spóźnił, wszedł do konferencyjnego, wymieniając ostatnie uwagi z Krystyną Bielińską. Kryśka spojrzała na Kruka, jakby nic się nie stało, i usiadła obok Marcina. A przecież stało się coś niepokojącego: przegapiła pociąg do Zabrza.

– Kolejny człowiek nie żyje – zaczął Zych. – Znowu dekapitacja, tortury, napis na zwłokach, powiązanie z poprzednią ofiarą. Oczywiście sprawa trafia do nas.

Kruk uniósł wzrok. O tym wszystkim wiedział każdy z obecnych. A było ich więcej niż zazwyczaj. Oprócz Radka Maszyńskiego w pokoju zasiadło pięciu innych funkcjonariuszy, którzy do tej pory nie uczestniczyli w sprawie. Marcin mówił rzeczy oczywiste. A na rzeczy oczywiste nie traci się czasu bez powodu.

Dodatkowi ludzie oraz tajemnicza obecność Kryśki, której nie powinno tu być, jej podkrążone oczy, jakby całą noc nie spała, to wszystko jakoś się Krukowi nie spodobało.

– Być może byliśmy w stanie zapobiec tej drugiej śmierci. Coś taki zmarszczony, Sławek? Coś cię trapi?

– Nie.

– Zbyt kurczowo uczepiliśmy się wątku finansowego. Nie mówię, że to nieistotny wątek, ale mając wiedzę, jaką mieliśmy w momencie zniknięcia Krystiana Brandta, powinniśmy byli rzucić całe siły na

jego odnalezienie. Nie wiem, czy potrafilibyśmy go ocalić, ale wiem, że priorytety zostały niewłaściwie ustawione.

Radek gapił się w podłogę, Bielińską zainteresowały nagle jej paznokcie. Znów miała je pomalowane przezroczystym lakierem, Kruk uważał, że lepszy był ten nocny odcień czerwieni.

– W sprawie wypłynęły pewne wątki. – Zych urwał, popatrzył na wszystkich, na Kruka. – Może powinniśmy w ogóle przekazać to śledztwo, ale tego nie zrobimy.

– Słusznie – zgodził się Kruk.

– Pewne zmiany są jednak konieczne.

– Dokonajmy ich i wracajmy do pracy.

Patrzyli sobie w oczy.

– Zmieniamy prowadzącego śledztwo. Od tej chwili jest nim sierżant Krystyna Bielińska.

Do tej pory wzrok wszystkich skierowany był na Zycha, a tylko on patrzył na Kruka. Teraz już wszyscy patrzyli na Kruka.

– Potrzebujemy świeżej perspektywy – dodał Zych.

– Zaskakująca decyzja – powiedział Kruk.

– Słuszna.

– Kriss jest najniższa stopniem – odezwał się Maszyński.

Miał rację. Bielińska była niższa stopniem nie tylko od Kruka, ale i od Radka.

– Jak trzeba, to Krysię awansujemy – rzekł Marcin.

– To trochę potrwa – wyszczerzył zęby Radek.

– Masz z tym problem?

– Żadnego.

– Co ze mną? – spytał Kruk.

– Możesz być częścią grupy śledczej, jeśli Krystyna cię weźmie. Albo zajmij się czymś innym.

– Weźmiesz mnie? – spytał Kruk.

– Nie. – Jej głos zdradzał zakłopotanie. – Dobra, żartowałam.

– No to załatwione – powiedział Kruk i uśmiechnął się do Marcina.

– Tak po prostu?

– Po prostu.

– Świetnie. – Marcin chwilę milczał, patrzył w stół, uderzał lekko o blat piórem, które wyjął z kieszeni marynarki. – Sierżant Bielińska, proszę wyznaczyć dalszy kierunek śledztwa.

– Głowę, którą przesłano do biura Mulickiego, mamy zidentyfikowaną ponad wszelką wątpliwość jako głowę Krystiana Brandta. Technicy zabezpieczyli folię, którą była owinięta, plastikowy pojemnik oraz karton, jak również nadesłane w tej samej przesyłce zdjęcie. Zaleciłam priorytet, prowadzone już są analizy laboratoryjne. Przyjrzymy się zwłokom, napisowi, może też zarejestrowane na fotografii wewnątrz da nam jakąś wskazówkę co do swojej lokalizacji. – Bielińska wypowiedziała to na jednym wydechu. – Adres nadawcy przesyłki jest fikcyjny. Został zgapiony z poradnika poprawnego adresowania przesyłek listowych Poczty Polskiej. Radek, ustalisz z naczelnikiem Zychem, ilu ludzi potrzebujesz, i zajmiesz się dwiema rzeczami. Mamy wyraźny stempel urzędu pocztowego, gdzie nadano przesyłkę. Pojedziesz i sprawdzisz, czy jest tam lub w pobliżu jakiś monitoring. Porozmawiasz z urzędnikami, może pamiętają nadawcę. Chcemy zapisy z monitoringu i jego rysopis.

Nie spała, pomyślał Kruk. Całą noc obmyślała plan działania.

– A druga rzecz? – spytał Radek.

– Pocztówka, którą dostał Woronowicz. Wracamy do przerwanych poszukiwań. Wiem, że szanse odkrycia, gdzie została kupiona i kto ją kupił, są małe, ale przyszło mi do głowy, że krótko przed tym, gdy ją wysłano, był Jarmark Dominikański, tam czasem

można dostać różne starocie, pośród nich winylowe płyty, plakaty archiwalnych filmów, pewnie zdarzają się też stare pocztówki.

Kruk odruchowo skinął głową. Bielińska dostrzegła ten gest i przyjęła go z wdzięcznością.

– Napis na skórze: „Z TOBĄ NA ZAWSZE” – mówiła dalej. – Karol Mulicki przyznał się, że powiedział takie lub podobne słowa do kobiety, na którą napadli na śmietniku na Jabłońskiego. Sens był taki, że to, co jej zrobią, zostanie z nią na zawsze. Przesyłkę, którą Mulicki otrzymał, musimy traktować jako groźbę. Dzwoniłam dziś do niego, aby wystąpił o policyjną ochronę. Ustaliłam z naczelnikiem, że gdy to zrobi, taką ochronę dostanie.

– Na jak długo? – spytał niewinnie Kruk.

– Aż znajdziemy sprawcę zabójstw.

Bielińska sięgnęła do teczki i puściła w obieg niewielki dokument.

– Jest kilka kluczowych dat i godzin. Są to daty zniknięcia Woronowicza i Brandta, przypuszczalna data wywiezienia zwłok Woronowicza na śmietnik na Jabłońskiego oraz nadania ostatniej przesyłki. Rozmawiając z ludźmi powiązаныmi ze sprawą, powinniśmy zwrócić uwagę na te daty. Gdzie w tym czasie byli i co robili.

– Ja jestem powiązany ze sprawą i nie mam chyba alibi na żadną z tych dat – mruknął Kruk.

– Ty jesteś podejrzany od samego początku – odparowała Bielińska. – Twoje dotychczasowe posunięcia są co najmniej dziwne.

Zadzwoiła komórka Zycha. Odebrał, a Bielińska czekała, aż skończy. Zych nachylił się i szepnął jej coś do ucha.

– Kazałam sprawdzić śmietnik na Jabłońskiego – powiedziała Bielińska. – Na wypadek, gdyby sprawca podrzucił tam zwłoki Brandta.

– I co? – spytał Kruk.

Pokręciła głową. Nic nie znalazła.

– Kilka dni temu namawiałaś mnie, żeby wziąć ten śmietnik pod obserwację – rzekł. – Już wtedy uważałem, że śmietnik spełnił swoją rolę. Skierował uwagę wszystkich na wydarzenie, które miało tam miejsce przed laty. Dziś mamy potwierdzenie: sprawca jest ostrożny, dalej z nami rozmawia, ale nie podejmuje niepotrzebnego ryzyka. Drugie zabójstwo i nie dostajemy już zwłok, jedynie ich zdjęcie. Potrzebujemy wyników sekcji głowy...

– Będą najpóźniej dziś wieczorem – weszła mu w słowo.

Kiedy i jak to załatwiła? – przemknęło Krukowi przez głowę. Zaczynał mieć dla niej coraz większe uznanie.

– Może uda się medykowi potwierdzić, że głowa Brandta była przechowywana w lodówce lub w zamrażalce – rzekł Kruk. – Pojemnik też był termiczny, jestem pewny, że nie chodziło jedynie o ukrycie smrodu rozkładu. Sprawca trzymał głowę w chłodniczych warunkach, bo czekał na właściwy moment, kiedy ją wyśle. To wskazuje na namysł i ostrożność. Pytanie, na co czekał.

– Czego jeszcze jesteś pewny, Sławek? – spytała zimno.

– Jestem pewny – powiedział Kruk – że urząd pocztowy, gdzie nadano przesyłkę, nie ma monitoringu. Ciekawy jestem, jaki rysopis nadawcy dostaniemy, ale jestem też pewny, że nic nam nie da.

Bielińska uśmiechnęła się do niego dla odmiany z nieoczekiwaną czułością i ciepłem.

– To wnioski, które wysnułeś teraz, po znalezieniu głowy Woronowicza i informacji, że na śmietniku nic nie ma. Pięknie obudowałeś wcześniejszą odmowę wnioskami, których wtedy wyciągnąć nie mogłeś, bo to wnioski na podstawie nowych faktów.

Kruk wytrzymał jej spojrzenie, a ona dodała:

– Decyzja o podjęciu obserwacji śmietnika na Jabłońskiego była właściwa. Odrzuciłeś ją z innych powodów. Teraz, ale dopiero teraz gotowa jestem zgodzić się z tobą, że ta obserwacja przestała mieć sens.

Przez chwilę było w sali cicho. Z ulicy dobiegł głos klaksonu, który obudził Bielińską.

– Obawiam się – rzekła – że lodówka czy zamrażarka pozbawia nas szansy na oszacowanie czasu zgonu, o ile w ogóle była taka szansa. No dobrze, motyw finansowy, którym zajmowaliśmy się do tej pory, odkładamy na półkę, wracamy do motywu zemsty. Mieliśmy w pewnej chwili obiecujący trop w postaci kobiety, którą Sławek zidentyfikował na pogrzebie. Jeździliśmy nawet za nią po nocach, pamiętasz, Sławek? Przypomnij nam, proszę, na podstawie jakich przesłanek najpierw podejrzewaliśmy, że to ona jest ofiarą sprzed lat, a potem to wykluczaliśmy.

– Jej obecność na pogrzebie miała charakter biznesowy: chodziło o wywiad gospodarczy. A że w szpiegowaniu jest kiepska, zwróciła moją uwagę. Sprawdziłem. Wyjaśniłem. Ślepy trop.

Marcin Zych gapił się na Kruka, który udał, że tego nie widzi. Marcin zasłaniał się Bielińską, a więc pewnie już jej powiedział.

– Teraz ja spotkam się z tą kobietą – powiedziała Bielińska.

– Pojadę z tobą – rzekł Kruk.

– Po co? Już z nią rozmawiałeś. Ty pojedziesz do Zabrze.

Kruk pokiwał głową, po czym uniósł brwi.

– Jednak sprawdzamy wątek finansowy?

– Ty sprawdzasz. Wiem, że to dla ciebie ważne, a w Zabrzu jest pałaca potrzeba osobistego sprawdzania różnych faktów.

Niby zostawiła mnie w śledztwie, ale mnie odsuwa, pomyślał Kruk. Nie mógł się powstrzymać i wyszczerzył do niej zęby.

- Może jednak nie trzeba jechać tam osobiście. Może wystarczy poprosić o pomoc tamtejszą policję.
- Myślisz, że będzie się im chciało robić dla nas? – spytała.
- Myślę, że tak.
- Fascynujące.
- To prawda, fascynujące.
- Że nie upieram się i nie każę ci jechać przez całą Polskę?
- Fascynujące jest to... – Kruk przeniósł wzrok na Marcina, choć wciąż mówił do niej – ...jak świetnie idzie ci dowodzenie.

57

- Dlaczego nie przyszedł komisarz Kruk?

Dominika Wola-Karłowicz przyglądała się Bielińskiej z uwagą, składając dłonie na kolanach. Siedzieli w jej domu, Bielińska nie chciała ciągnąć jej na komendę. Było to jedyne, co mogła dla niej zrobić. Miała do niej trzy pytania, każde było wariantem tego samego i dla Woli-Karłowicz nie będzie to łatwe.

- Nie mógł przyjechać, ja go zastąpię.
- O czym będziemy rozmawiać?

Bielińska wyjęła dyktafon, włączyła i postawiła na stole. Podała do urzędnika miejsce i godzinę spotkania oraz biorące w nim udział osoby.

– Proszę opowiedzieć dokładny przebieg wydarzeń z nocy z dziewiętnastego na dwudziestego października tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

– Co to za data?

Siedziała nieruchoma, była bardzo spokojna. Bielińska zawahała się, po czym zatrzymała dyktafon i usunęła nagranie.

– Wtedy, przed laty, nie poszła pani na policję. Dokonano dwóch zabójstw, które są powiązane z tamtymi wydarzeniami. Moim celem jest zapobiec trzeciemu.

Wola-Karłowicz posłała jej chłodny uśmiech.

– Domyślam się, że mówi pani o zabójstwach wspólników firmy Trust. Policja nie daje mi spokoju, bo swego czasu prowadziliśmy z nimi rozmowy. Jakże właściwie wydarzenia sprzed lat ma pani na myśli?

– Udawanie nic nie da.

– Dlatego nic nie udaję.

– Sprawa jest poważna. Możemy się nawzajem szarpać, ja użyję środków będących w mojej dyspozycji, pani obstawi się prawnikami. Ale, niestety, nie będę mogła odpuścić. Proszę docenić, że staram się uczynić tę rozmowę jak najmniej bolesną dla pani.

– Rozmowa nie może być dla mnie bolesna, bo nie wiem, o co pani chodzi. Rozmawiał ze mną komisarz Sławomir Kruk, czy to on powiedział pani o jakichś wydarzeniach sprzed lat?

– Komisarzem Krukiem powoduje źle pojęte współczucie. Kiedy on współczuje, po chodnikach turlają się głowy.

– Pani nie ma uczuć? Jest pani służbistką?

– Pani go zmanipulowała. Bywa, że Kruk głupieje, gdy ma przed sobą atrakcyjną kobietę.

Uśmiech Woli-Karłowicz stracił swój chłód.

– Nieprawda. – Przez chwilę nad czymś myślała. – Komisarz miał wobec mnie pewne podejrzenia, ale stwierdził, że się pomylił.

– Z pewnością się pomylił. Był moim przełożonym, a przez tę pomyłkę stał się moim podwładnym. Zaniedbał kilka rzeczy. Na przykład nie potwierdził swojej pomyłki u człowieka, który mógłby ją potwierdzić. Mówię o jedynym pozostałym przy życiu wspólniku Trustu.

Wola-Karłowicz uniosła głowę, jej rysy się wyostrzyły, wysunęła dumnie brodę.

– Śledzę media – powiedziała. – Pani sądzi, że jestem tą anonimową kobietą z Jabłońskiego, o której tyle się mówi i pisze.

– Mnie, niestety, nie wolno tego zaniedbać, tym bardziej że pani odmawia współpracy.

– A gdybym nie odmawiała?

Bielińska nabrała w płuca powietrza.

– Obawiam się, że musiałabym to zrobić i tak, jeśli w ten sposób ocalę człowiekowi życie.

Na twarzy Dominiki odmalowało się zdumienie, ale ostatecznie zapanowała nad nim.

– O tak, życie ludzkie jest najważniejsze – powiedziała cicho.

Bielińska wyjęła z koperty plik fotografii i pchnęła je przez stół. Fotografie rozsypały się po gładkiej powierzchni między eleganckimi serwetkami, jedna przesunęła się pod wazon, w którym nie było kwiatów. Przedstawiały poćwiartowane zwłoki, odcięte głowy, śmietnik na Jabłońskiego.

Dłonie Woli-Karłowicz automatycznie przesunęły się po stole. Dominika wzięła pierwszą fotografię, przyjrzała się jej, odłożyła i popatrzyła na drugą, którą również odłożyła. Bielińska jej nie przeszkadzała. Wola-Karłowicz powoli i starannie obejrzała każde zdjęcie z osobna.

– Wystarczy? – Uniosła wzrok, oczy miała puste. – Czy mam obejrzeć je jeszcze raz?

– Nie robi to na pani wrażenia?

– Szkoda, że nie zrobiono innych zdjęć.

– Jakich?

– Takich, na których widać, jak wyglądała kobieta z gazet tamtej nocy, kiedy z nią skończyli. Szkoda, na pewno by się pani podobały. Mogłaby je pani nosić w torebce i pokazywać różnym ludziom, grać na ich uczuciach i skłaniać do postępowania w sposób, jaki pani sobie wymyśliła.

Bielińska nerwowo poprawiła pozycję na krześle.

– Pani nie dostrzega, jakie to wszystko chore?

– Makabryczne, to prawda, ale dla mnie to tylko obrazki. Jednego z tych ludzi w ogóle nie znałam, drugiego spotkałam raz w życiu. Krystian Brandt zwrócił się do nas z propozycją współpracy, ale ostatecznie nie byłam zainteresowana.

– Waldemar Strych – powiedziała spokojnie Bielińska, kiedy Dominika Wola-Karłowicz umilkła.

– Słucham?

– Obsługę Trustu przejął współpracujący z wami doradca, który doprowadził spółkę do ruiny.

– Waldek ich przejął? Utalentowany fachowiec, ale ma przerost ego, dlatego Daniel pozbył się go z firmy. Od lat działa na własną rękę.

Bielińska złożyła fotografie z powrotem do szarej koperty. Wola-Karłowicz miała odpowiedź na każdą jej wątpliwość.

– Przyszłam tu, aby zadać trzy pytania – powiedziała. – Kto wiedział o zgwałceniu? Kto wiedział, że pani ich rozpoznała? Kto wiedział, że Zuzanna Brandt nosiła pani pierścionek?

– Kobieta z gazet – wyszeptała Wola-Karłowicz. – Niech pani ją odnajdzie i zapyta, proszę przestać mnie dręczyć.

– Może pani udawać, ale pani wie, że ja wiem. Może się pani w końcu z tego otrząśnie. Jak pani widzi, zakładam, że nie ma pani z tym wszystkim nic wspólnego.

– Kobieta z gazet – powtórzyła Wola-Karłowicz. – Chodzi pani o to, żeby człowiek, który jej to zrobił, mógł odetchnąć z ulgą i znowu żyć pełnią życia?

Bielińska schowała dyktafon. Nie przyda się jej podczas tej rozmowy.

– Kobieta z gazet – podjęła grę. – Jak pani myśli, czego może chcieć?

Wola-Karłowicz wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może... sprawiedliwości?

– Nigdy nie dała sprawiedliwości szansy. Nie poszła na policję.

– Teraz może by poszła, bo istnieje szansa, że trafiłaby na policjanta takiego jak komisarz Kruk albo pani... Wtedy... to były inne czasy.

Bielińską zadziwiło, że została zestawiona z Krukiem. Myślała, że w oczach Woli-Karłowicz ona i Sławek stoją po przeciwległych stronach. Musiała zachować ostrożność, Marcin uważał, że ta kobieta umiała manipulować.

– Te zabójstwa – powiedziała – to nie sprawiedliwość. To zemsta.

– Oczywiście. – Wola-Karłowicz wypowiedziała to bez cienia wahania. W jej oczach pojawiło się coś na kształt żalu, z pewnością udręczenia. – Na sprawiedliwość za późno.

– Ktoś, kto wiele wie o tym, co panią spotkało, zabija. Albo pani wie, kto to jest, albo pani nie wie. Może się pani tylko domyśla, a może nie domyśla się pani wcale, w co nie wierzę. Jest także coś, w co zupełnie nie chcę wierzyć: że jest pani w zмовie ze sprawcą.

– Niech pani się nie ogranicza. Może sama nim jestem.

Bielińska pokręciła głową ze znużeniem.

– Nie wierzę także, że czerpie pani satysfakcję z tego, co się dzieje. Przyglądałam się pani w nocnym lokalu, może też pani wie, a może nie, że byłam tam wtedy ze Sławkiem.

– Z komisarzem Krukiem?

– Przyjmuje pani różne pozy, ale jest pani bezradna i zagubiona. Jest pani przerażona, ale rozpaczliwie próbuje pani to ukryć. I nie jest pani okrutna. Ma pani sumienie.

– Och, więc jest i sumienie. Czekałam niecierpliwie, kiedy się pojawi. Rozmawia pani ze mną od serca, jak kobieta z kobietą?

– Rozmawiam jak kobieta, która dzieli z panią podobne doświadczenia. Niech pani poprosi brata, żeby zebrał wywiad także na mój temat.

Zapadła cisza. Wola-Karłowicz pokręciła tylko głową, co mogło znaczyć cokolwiek, ale milczała.

– Dwóch ludzi nie żyje – powiedziała Bielińska. – Muszę okazać Karolowi Mulickiemu pani zdjęcie.

– Po co?

– Jeśli panią rozpozna, mam nadzieję, że wreszcie rzuci to na sprawę właściwe światło. Chciałabym, żeby mi pani dała swoje zdjęcie z czasów, kiedy miała pani dziewiętnaście, dwadzieścia lat.

– Nie mam takiego.

Bielińska położyła na stole nakaz przeszukania domu podpisany przez prokurator Martę Krynicką.

– Proszę je dla mnie znaleźć. W innym wypadku wejdą tu umundurowani funkcjonariusze i sami będziemy szukać.

Dominika Wola-Karłowicz jakby się skurczyła. Patrzyła na prokuratorski dokument i pokręciła głową.

– Jeszcze niedawno bardzo się tego bałam.

To było jak przyznanie się. Bielińska pożałowała, że wyłączyła dyktafon.

– Czego?

– Dwóch ludzi nie żyje, a trzeci... Mam nadzieję, że się boi. Że nie może nocami spać, wraca myślami do tamtej październikowej nocy, stoi przy oknie, patrzy w ciemność i żałuje, tak bardzo żałuje, że nie można cofnąć czasu. I tak stoimy sobie nocami przy różnych oknach, on i ja, i żałujemy tego samego.

Dominika Wola-Karłowicz posłała Bielińskiej łagodne spojrzenie i powiedziała:

– Jak pani chce, niech mu pani wytapetuje moimi zdjęciami ścianę.

58

Kruk wyczekał, aż Bielińska wróci, a potem dał jej trochę czasu na zebranie myśli. Gdy wszedł do jej pokoju, zastał ją zgarbioną przed komputerem. Uniosła głowę, zobaczyła go i bez słowa wróciła do tego, co robiła.

Kruk stanął za jej plecami. Na monitorze odtwarzany był film z monitoringu przy Lewiatanie na Barniewickiej. Mężczyzna, który prawdopodobnie zrabował Zuzannie Brandt pierścioneł, właśnie wychodził z zasięgu kamery.

I potem pojawił się znowu. Bielińska oglądała film na zapętleniu.

Przy laptopie leżała notatka sporządzona przez Kruka z rozmowy z Zuzanną Brandt na temat rabunku. Cholernie dobra, szczegółowa notatka.

Do diabła, podążała tym samym tropem, zbyt wiele mieli ze sobą wspólnego.

– Zauważyłeś? – spytała.

– Co?

– Znam cię, zauważyłeś. – Wciąż wpatrywała się w monitor. Ten sam film odtwarzał się raz po raz. W końcu spytała: – Czego dokonałeś w sprawie Zabrza?

– Zadzwoń, rzuciłem temat, ktoś z gospodarczego ma do mnie oddzwonić.

Zatrzymała odtwarzanie. Przyszedł, bo go o to poprosiła. Swoje szefowanie traktowała zupełnie serio.

– Przed chwilą dzwonił Mulicki – mruknęła.

– Czego chciał?

– Trafiło go, jest przerażony. Dopytywał o ciebie, podobno go przestrzegalesz, żeby na siebie uważał.

Kruk skrzywił się.

– No i co?

– Przestrzegalesz go?

– Powiedziałem mu coś, co z pewnością sam wiedział. Pomyślałem, że to może zbudować zaufanie. Mówił coś ciekawego?

– Boi się wychodzić z domu, z twojego powodu.

– Niepotrzebnie, ja mu łba nie urwę.

– Jadę do niego, pomyślałam, że może pojedziesz ze mną.

– Co do niego masz?

– Chcę mu okazać zdjęcie Dominiki Woli-Karłowicz.

Zapadła cisza.

- Dlaczego?
- Potwierdzimy, że to na pewno nie ona.
- Dlaczego ja mam przy tym być?
- Bo ty się upierasz, że to nie ona.

Spojrzała na niego, miała wzrok jak ze stali. Wytrzymał spojrzenie.

– Sprawcy widzieli ofiarę raz, w nocy, przez krótki czas – powiedział. – Okoliczności były dramatyczne. Od tamtej nocy minęło dwadzieścia lat, ofiara wygląda inaczej. Uważasz, że to ona, ale Brandt jej nie rozpoznał.

- Tym bardziej będziemy zaskoczeni, jeśli Mulicki ją wskaże.

Kruk przysunął sobie puste krzesło i rozwalił się na nim.

- Czemu to robisz? – warknął.

– Czemu wykonuję swoją pracę?

- I to właśnie ty, osoba, która mogłaby to i owo zrozumieć.

– Rozumiem to i owo, Kruk. Dlatego sama zmuszona jestem dokopywać się do informacji, które się przede mną ukrywa. Skoro jesteś tak pewien, że to nie ona, jakie to ma znaczenie, że pokażemy Mulickiemu zdjęcie kobiety, której nigdy nie spotkał?

– Ofiara nigdy nie zgłosiła się na policję. Nie chciała, by ją napiętnowano. Uszanuj to.

- Piętno nie powstaje przez wizytę na komisariacie, Kruk.

– Co sprawia, że tobie, właśnie tobie zależy, by chronić takiego gnoja?

– Dość – powiedziała Bielińska. Oczy miała przymglone. – Naszym obowiązkiem jest chronić ludzi i będziemy to robić. Jeśli trzeba, to z narażeniem życia i z bronią w ręku.

Wyłączyła komputer. Otworzyła pancerną szafę i wyjęła pistolet w kaburze na szelkach. Położyła go na biurku, zdjęła marynarkę. Pod spodem nosiła obcisłą bluzkę z dekoltem.

– Po co właściwie Marcin cię wziął do wydziału? – spytał Kruk.

– Nie wiesz? Czuł taką potrzebę. – Bielińska sięgnęła po kaburę i zaczęła luzować szelki, aby je dopasować. Tak jak i Kruk nie nosiła broni przy pasku. Z tym że Kruk nadal w ogóle jej nie nosił. – Istnieje również możliwość, że ty go poprosiłeś.

– Bzdury.

– Też w to nie wierzę. Więc jednak chodzi o tę potrzebę.

Założyła kaburę, sprawdziła zaczep. Założyła marynarkę i zapięła na górny guzik. Przez długą chwilę przyglądała się sobie w ustawionym na stole małym przenośnym lusterku, w którym musiała się oglądać po kawałku, potem odwróciła się do Kruka i uśmiechnęła z pewnym wysiłkiem. Broń nie odznaczała się ani trochę.

– Ładnie leży – pochwalił.

Bielińska zatrzepotała rzęsami, ale zaraz skromnie spuściła wzrok. Jej prawa dłoń łagodnie się uniosła, palec wskazujący musnął odsłonięte miejsce między obojczykami, szarpnął srebrny łańcuszek, zahaczył o guzik marynarki, rozpinając ją. Rzęsy znów zafalowały zalotnie. Było to przyjemne przedstawienie i zgrabnie wykonane.

A potem jej dłoń ledwie drgnęła i Kruk widział lufę glocka wycelowaną gdzieś tam w bok od jego głowy. Z pewnością Kriss musiała sięgnąć pod marynarkę, wyciągnąć pistolet, unieść go i wymierzyć, ale Kruk mógłby zeznać pod przysięgą, że nic z tego nie zauważył.

Ależ była szybka.

Była także dostatecznie rozsądna, by nie kierować lufy w głowę kolegi, choć może miała taką ochotę.

– Wracając do tej potrzeby – podjęła, chowając broń i zapinając marynarkę. – Marcin potrzebował zatrudnić niańkę, bo miał dość zajmowania się tobą. Padło na mnie.

Kruk był pod wrażeniem. Niania jak się patrzy.

Obciągnęła marynarkę, opadła na krzesło.

– Zagubiłeś się, Sławek – powiedziała.

Nie odpowiedział.

– Zabiłam człowieka. Wciąż mam przed oczami, jak go dźgam raz za razem, i wciąż usiłuję przekonać siebie, że zrobiłam to w obronie własnej. Taka jest moja przeszłość, którą z całych sił, bardzo, ale to bardzo chcę zostawić za sobą.

– W porządku.

– Chciałabym, żeby było w porządku. Nie jestem katem ani sędzią, nie jestem prokuratorem. Jestem policjantką. Stoję na straży porządku. Chcę chronić ludzkie życie, nie wydaję wyroków. Nie pozwolę, by przez moje zaniechanie zginął człowiek tylko dlatego, że nim gardzę.

Była śmiertelnie poważna. Gruntownie przemyślała te sprawy. Miała za sobą zbyt wiele samotnych nieprzespanych nocy, podczas których nie robi się nic innego, tylko myśli, a myśli są wtedy ciężkie jak kamienie.

– Błąkam się w ciemnościach. Chcę wyjść na światło, Kruk.

W jej oczach pojawiły się łzy. Nigdy wcześniej nie widział, by płakała, nie wiedział nawet, że umie.

– Jestem zmęczona. Chcę zostawić przeszłość i zacząć żyć. Rozumiesz? Potrafisz to w ogóle zrozumieć?

– Staram się, Krysiu.

– Nie chcę brnąć głębiej w mrok. Nie chcę, nawet jeśli odnajdę tam ciebie.

Odwróciła się plecami. Chciał wstać i jej dotknąć, ale nie zdążył, bo znowu na niego spojrzała. Chwila słabości minęła. Była opanowana.

– Jedziemy do Mulckiego, Kruk. Pokażemy mu zdjęcie. Może rzuci to nowe światło na sprawę. Może uratujemy czyjeś życie. Ty i ja, razem. Masz szansę się naprostować, dlatego chcę, żebyś ze mną pojechał.

Powoli skinął głową. Podnieśli się oboje. W tym momencie rozległo się krótkie pukanie do drzwi, które otworzyły się, zanim Bielińska zdążyła coś powiedzieć.

W progu stanął Radek Maszyński.

– Wiemy, o której nadano przesyłkę – powiedział.

59

Cofnęli się od drzwi.

– Daj, co masz, Radek – powiedziała Bielińska. – Szybko, bo wychodzimy ze Sławkiem.

Usiadła i położyła jedną nogę na biurku. Była bezwstydnie nieskrępowana nieoczekiwaną zmianą ról. Zdawać by się mogło, że dowodziła od zawsze.

Kruk też usiadł, dla Radka zabrakło krzesła. Rozejrzał się smętnie, westchnął i zaczął mówić:

– Przesyłkę nadano w środę trzydziestego października w małym urzędzie pocztowym FUP Gdańsk 44 na Piekarniczej. Nie mają tam monitoringu.

Bielińska spojrzała na Kruka.

– Oczywiście – powiedziała.

– Urzędniczka na poczcie świetnie kojarzy klienta. Przyszedł tuż przed zamknięciem, kilka minut przed dziewiętnastą, poczta była pusta, na dworze okropnie padało. Klient był przemoczony, zostawił paczkę, kartkę z adresami wydrukowaną z komputera i pieniądze. Bardzo się śpieszył, poprosił o ekspres i by wypisała list nadawczy za niego, zostawił sto złotych, miała zatrzymać resztę.

– Zgodziła się? – Kruk uniósł brwi.

– Protestowała, ale nie czekał i wyszedł. Nawet chciała za nim wybiec, ale on szedł szybko w dół Piekarniczej. Zapadł zmrok, a ulewa była taka, że momentalnie by przemokła. Ostatecznie wysłała tę paczkę, a resztę ze stułotowego banknotu przekazała następnego dnia kierownicze placówki.

– No proszę.

– Zaniepokoił ją ten człowiek.

– Mamy rysopis?

– Można tak to nazwać – odparł Radek. – Był w ciemnej kurtce z postawionym kołnierzem, pod którą nosił bluzę z kapturem. Ten kaptur kleił mu się do głowy przez deszcz, nachodził na oczy, a twarz miał owiniętą cienkim czarnym szalikiem lub chustą, też jakby dla ochrony przed deszczem. Urzędniczka najlepiej zapamiętała bijące w oczy czerwone skórzane rękawiczki na jego dłoniach, z których kapła woda.

– Jakby sam się prosił, żeby go nie zapomniała – wtrąciła Bielińska.

Kruk wziął od Radka notatkę i ją przeczytał.

– Liczył się z tym, że zostanie zapamiętany. – Oddał Radkowi papiery. – Nie próbował się przed tym uchronić. Skupił się na tym, by nie zostać rozpoznany. Kolor rękawiczek, krwista czerwień,

obstawiam, że został celowo wybrany. To element przykuwający uwagę, odciągający od innych rzeczy.

– Na przykład twarzy? – spytał Radek.

– Facet jest przyzwoitym psychologiem.

– Nie mamy rysopisu – powiedziała Bielińska – ale mamy godzinę i miejsce pobytu sprawcy. Możemy zweryfikować, gdzie byli wtedy różni ludzie.

Kruk ostrzegawczo cmoknął.

– Mamy czas i miejsce pobytu człowieka, który nadał przesyłkę. Tylko tyle. I nie wiemy nawet, jak ten człowiek wygląda.

– Wiemy, że był wysoki. – Radek zajrzał do swoich notatek. – Albo średniego wzrostu, urzędniczka nie jest pewna.

– To już coś. – Kruk uśmiechnął się do Bielińskiej. – Wiemy, że człowiek, który nadał przesyłkę, nie był mały.

Radek zamknął teczkę z dokumentami.

– Szukamy jakiegoś monitoringu, który mógł uchwycić faceta, ale nie wiązałbym z tym wielkich nadziei.

60

Karol Mulicki wpatrywał się w rozłożone na stole stare fotografie. Było ich sześć, przedstawiały twarze mniej więcej dwudziestoletnich kobiet, a fotografie też były sprzed dwudziestu lat. Bielińska się

postarała. Mulicki wpatrywał się w nie już od dłuższego czasu, Kruk zdążył wymienić z Kryską kilka wymownych spojrzeń, znudzić się czekaniem, przespacerować po jego biurze, pooglądać wiszące tam dyplomy i bijące w oczy wyrazy wdzięczności.

Trochę się tu zmieniło, odkąd Kruk był tu ostatnim razem. Przede wszystkim przed budynkiem dojrzeli mocno zbudowanego mężczyznę w garniturze, ze słuchawką w uchu i mikrofonem pod brodą.

Mężczyzna nie zatrzymał ich, ale odnotował ich obecność. W pokoju sekretarek znowu zastali tylko Klarę przy biurku. Było tam bardzo cicho. Podobnie jak w biurze Mulickiego.

Mulicki oderwał wzrok od fotografii.

– Nie rozpoznaję żadnej z tych kobiet.

Bielińska zebrała zdjęcia. Włożyła je z powrotem do teczki.

– Firma ochroniarska? – mruknął Kruk.

– Byli wojskowi – wyjaśnił Mulicki.

Nie wystąpił o ochronę policji. Wziął sprawy we własne ręce.

– Czyli zaczął pan dbać o bezpieczeństwo. Koniec gadki o odkupieniu, karze za grzechy i takich tam?

Na biurku Mulickiego pojawił się nowy monitor, którego wcześniej nie było. Ustawiony był tak, że Kruk nie widział, co przedstawia, i trochę tego żałował, bo Mulicki co chwilę w niego zaglądał. Teraz też najpierw gapił się tam dłuższą chwilę, potem dopiero spojrzął na Kruka.

– Pana zdaniem powinienem dać się zabić?

– Co pan tam ogląda, jakiś serial? – warknął Kruk.

Mulicki nie odpowiedział, zamiast tego podniósł słuchawkę stojącego na biurku telefonu.

– Napiją się państwo czegoś? – Zwrócił się do policjantów. – Kawy, wody, soku?

Oboje pokręcili głowami.

– Poproszę jedną kawę dla mnie, pani Klaro.

Wystarczyła krótka chwila i zza drzwi gabinetu doszedł ich przytłumiony chrobot mielonej kawy. Wszystko musiało być przygotowane, tylko czekało na sygnał.

– Te zdjęcia, które kazaliście mi oglądać – rzekł Mulicki. – Czy to znaczy, że trafiliście na ślad tamtej kobiety?

– Sprawdzamy różne wątki – odburknęła Bielińska na odczepnego.

Rozległo się ciche pukanie. Weszła Klara Balewicz i postawiła przed Mulickim filiżankę z kawą.

– Co pani teraz robi? – spytał.

– Kończę przygotowywać te dokumenty dla prawników, o które pan prosił.

– Dziękuję, pani Klaro.

– Dlaczego została? – spytał Kruk, gdy wyszła. – Jej koleżanki dawno się pozwalniały, a jej nawet nie wystraszyła głowa w pudełku?

– Nie robiłem trudności tym, którzy chcieli się zwolnić.

– Nie o to pytam.

Mulicki po raz kolejny spojrział w monitor. Kruka zaczęło to drażnić.

– Nie wiem – powiedział Mulicki, po czym nachylił się nad stołem i dodał ściszym głosem: – Klara Kłamczucha na pewno podała mi dobry powód.

Kruk uniósł się i odwrócił monitor do siebie. Na ekranie zobaczył pokój sekretarek i Klarę Balewicz. Nie zajmowała się dokumentami. Stała nachylona z uchem przy drzwiach gabinetu Mulickiego.

Kruk wstał, bezszelestnie podszedł do drzwi i pociągnął do siebie, otwierając je na całą szerokość. Nachylona po drugiej stronie młoda

kobieta odskoczyła z piskiem.

– Ja... – zaczęła – chciałam...

Nic dalej nie nastąpiło.

– Chciała mi pani przynieść szklanę wody – rzekł Kruk. – W gabinecie dostrzegła pani, że jestem spragniony.

– Tak! – krzyknęła, chwytając się tego kłamstwa, i dopiero po chwili dotarło do niej, jak absurdalne to było.

– Bardzo pani dziękuję.

Podbiegła do stolika w rogu, gdzie stały butelki i szklanki. Podała mu szklanę z wodą na tacy.

Kruk wziął szklanę, zostawiając jej tacę, i jeszcze raz podziękował. Zamknął za sobą drzwi i usiadł.

– Kamera? – spytała Bielińska.

– Założyła ją wczoraj w nocy firma ochroniarska – rzekł Mulicki. – Klara jeszcze o niej nie wie. – Spojrzał na panią sierżant. – Co teraz?

Bielińska bez słowa rozłożyła na stole kolejny komplet zdjęć.

Mulicki pobieżnie przeskanował je wzrokiem, po czym oglądał je jedno po drugim. Kruk wiedział, że tym razem w komplecie jest zdjęcie młodej Dominiki Woli-Karłowicz.

To właśnie na jej zdjęciu zawiesił wzrok Mulicki, patrzył długą chwilę, ponownie obejrzał inne zdjęcia, odłożył je, wrócił do tamtego. Po dłuższej chwili wahania to także odłożył. Wreszcie uniósł wzrok i spojrzał na Bielińską.

– Niestety, nie rozpoznaję nikogo.

Bielińska spojrzała na Kruka i policjanci podnieśli się z miejsc. Kruk odstawił nietkniętą wodę. Mulicki odprowadził ich do drzwi gabinetu.

Klara Balewicz siedziała przy biurku, drżącymi rękami przekładając stertę papierów. Nie spojrzała na nikogo z nich.

61

Wsiedli do nieoznakowanego radiowozu, który Bielińska dostała na potrzeby śledztwa. Uparła się, żeby prowadzić, ale nie ruszała z miejsca.

– Jej zdjęcie oglądał najdłużej – powiedziała.

– Nie rozpoznał jej.

– Może masz rację, czas upłynął, a oni widzieli ją tylko przez krótką chwilę. Ale jej mąż napadł na Zuzannę Brandt i zabrał jej pierścionek.

Kruk musiał szybko ocenić, jak daleko może się posunąć w kwestionowaniu faktów.

– Potrafisz mu coś udowodnić?

– Przynajmniej nie zaprzeczasz.

Bielińska uruchomiła samochód. Zapatrzyła się przez przednią szybę i nie odjeżdżała.

– Nie na wiele mi się przydałeś u Mulickiego.

– Obserwuję, zapamiętuję, myślę.

– Pieprzysz, Kruk. Jest jeden zero.

Spojrzał na nią pytająco, ale ona nie spojrzała na niego.

– Jeden zero dla kogo?

– To taka gra, gdzie wszyscy przegrywają – odparła cicho. – Zniosę jeszcze dwa zero. Przy trzy zero odsunę cię od mojego śledztwa.

– Twojego?

– Tak, to teraz moje śledztwo. Pytałam prokurator Krynicką, czy muszę cię znosić. Kazała mi kierować się dobrem śledztwa. Bo to też jej śledztwo. Przede wszystkim jej.

Ruszyła z piskiem opon i wgniotło ich w fotele. Z tyłu ktoś na nich zatrąbił. Wkrótce Bielińska przyhamowała, bo jadący przed nią bus skręcał, i zrobiła to tak gwałtownie, że dla odmiany rzuciło ich oboje do przodu.

Żadne z nich się nie odezwało.

Potem jechała już spokojniej. Kruk przyglądał się jej dyskretnie. Delikatny profil twarzy, delikatna kobieta, która przyjmowała barwy ochronne, udając twardą. Atmosfera zrobiła się ciężka i gdy zadzwoniła komórka, Kruk z ulgą sięgnął po telefon.

Dzwonił komisarz Jan Czarlik z Wydziału Gospodarczego Komendy Miejskiej Policji w Zabrze. Kruk słuchał, co Czarlik miał mu do powiedzenia. Komisarz okazał się bardzo otwarty, wystarczyło mu nie przerywać. Rozmowa przedłużyła się na całą drogę na komendę.

Gdy Kruk zakończył połączenie, siedział w milczeniu.

– Co jest? – zapytała.

– Dzwonili z Zabrze.

– Zorientowałam się. Czego chcieli?

– Prowadzą działania operacyjne wobec tej firmy utylizacyjnej, która miała rzekomo zniszczyć podróbki na zlecenie Trustu.

– Rzekomo?

– Firma bierze kasę za utylizację, ale podejrzewają, że zamiast do pieca trefnym przedmiotom zdarza się trafić na internetowe aukcje,

na bazy, a czasami nawet do sklepów. Na razie nie potrafią tego udowodnić i liczą na naszą pomoc. Są ciekawi, czemu się nimi interesujemy.

Bielińska zaparkowała przed komendą. Wyłączyła silnik. Westchnęła i spojrzała na Kruka.

– Jak to się ma do naszej sprawy?

– Jakoś tam się ma – odparł Kruk.

Bielińska westchnęła.

– Myślisz, że jestem idiotką, Kruk?

– Tego akurat nie myślę.

Dla odmiany zadzwonił jej telefon.

– Wykrakała pani, ktoś obserwuje mój dom. – Bielińska miała głośno nastawiony aparat i Kruk usłyszał nieznany mu męski głos.

– Jak wygląda?

– Wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna. Ma na sobie czarną kurtkę, a pod nią bluzę z kapturem. Przez ten kaptur i przez odległość nie widzę jego twarzy.

– Gdzie stoi?

– Na chodniku, po drugiej stronie ulicy.

– Może to przypadkowy człowiek? Dlaczego pan sądzi, że pana obserwuje?

– Tak to wygląda. Chyba widziałem go już dziś wcześniej. Jechał za mną czarnym passatem.

– Skąd pan wie, skoro nie widział pan jego twarzy?

– Kilka razy widziałem za sobą tego samego passata, a jego kierowca nosił kaptur w samochodzie.

– Zanotował pan numery tablic?

– Gdy o tym wreszcie pomyślałem, passat zniknął.

Bielińska patrzyła przed siebie wzrokiem bez wyrazu.

– Jest tam pani?

- Niech pan mnie informuje.
- Zrobicie coś?
- Co?
- Przyślecie patrol? Sprawdzicie tego człowieka?
- Zorientuję się, czy mamy radiowóz w pobliżu. W wolnej chwili przejadą pańską ulicą.
- W wolnej chwili? Sama mnie pani ostrzegła.
- Jakiś człowiek stoi na ulicy w pobliżu pańskiego domu. – W głosie Bielińskiej pojawiła się irytacja. – To legalne, panie Waldemarze.
- Niepokoję się.
- Przepraszam, muszę kończyć. Proszę mnie informować, gdyby coś się działo.
- Ale właśnie się dzieje!
- Bielińska odłożyła aparat.
- Kto to był? – spytał Kruk.
- Strych.
- Wysyłasz tam patrol?
- Jej oczy były puste.
- Tak – odparła, ale nie zrobiła nic.

Bielińska dowodziła z rozmachem i z taką łatwością, jakby została do tego stworzona. Dostała dodatkowych ludzi i ich nie oszczędzała.

I miała efekty. Funkcjonariusze pod wodzą Radka Maszyńskiego ustalili pochodzenie pocztówki z groźbą, którą wysłano do Woronowicza.

Cały zamysł wymagał mrówczej pracy i był skazany na niepowodzenie, a jednak przyniósł rezultat. Funkcjonariusze odwiedzali kolekcjonerów staroci, pokazując im zdjęcie awersu/rewersu pocztówki, którą przesłano Woronowiczowi. Przełom przyszedł, gdy Radek skorzystał z pomysłu Kryśki, by dotrzeć do sprzedawców z tegorocznego Jarmarku Dominikańskiego.

Jeden z kupców oferował tam stare płyty, plakaty, pocztówki i podobny towar, i z tego powodu znał Woronowicza, który każdego roku odwiedzał jego stoisko.

W tym roku sprzedawca specjalnie dla niego zdobył pocztówkę, co prawda przedstawiającą nie Gdańsk, który go głównie interesował, ale zamek Książ w Wałbrzychu. Woronowicz czasem kupował także pocztówki z innymi polskimi miastami, jeśli z jakiegoś powodu były wyjątkowe. Ta była. Przedstawiała Herkulesa trzymającego głowę Kakusa. Albo Perseusza, który dzierżył głowę Meduzy. Badacze spierali się co do tej kwestii.

Niezwykłość pocztówki tkwiła w tym, że rzeźba była ukryta pod bluszczem i odsłonięto ją dopiero w dwa tysiące siedemnastym roku podczas prac konserwatorskich. Tymczasem pocztówka pochodziła z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego, co dowodziło, że musiano ją odkryć już wcześniej.

Takie ciekawostki zawsze interesowały Woronowicza. Krótco przed Jarmarkiem sprzedawca dzwonił nawet do niego, bo przez lata zdążyli wymienić się numerami, pytając, czy będzie

zainteresowany, i Woronowicz potwierdził. Gdy jednak spotkali się na Jarmarku i Woronowicz usłyszał cenę, zareagował agresywnie. Doszło do awantury, co było niespotykane, bo nigdy wcześniej cena nie była dla niego problemem, nawet jeśli istotnie była wysoka. Kupiec tłumaczył Radkowi, że jeśli nie będzie zarabiał, nie będzie miał motywacji, aby wyszukiwać tego typu unikaty.

Woronowicz odszedł od stoiska bez dokonania transakcji. Sprzedawca nie zdążył się jeszcze uspokoić, gdy inny klient wyraził zainteresowanie pocztówką. Był to człowiek około czterdziestki, świetnie ubrany, który kupił pocztówkę od ręki za żądaną cenę.

To jednak nie koniec historii. Kilka dni później Woronowicz wrócił. Namyślił się, chciał kupić pocztówkę. Sprawiał wrażenie bardziej podenerwowanego niż ostatnio. Gdy się dowiedział, że została sprzedana, dopytywał komu, i koniecznie chciał go zidentyfikować. Sprzedawca miał satysfakcję, ale nie znał tamtego człowieka i nie mógł pomóc.

Woronowicz niemal zmusił go, żeby opisał, jak tamten wyglądał. Był całkowicie wytrącony z równowagi.

Sprzedawca słyszał, co się stało z Woronowiczem. Usiłował się czegoś więcej od policjantów dowiedzieć.

Radek umówił się z nim na spotkanie na komendzie ze specjalistą od portretów pamięciowych.

– Jak skończycie z portretem, okażesz mu kilka zdjęć – powiedziała Bielińska. – Umieścisz pośród nich zdjęcie Eryka Karłowicza.

Siedziała wyprostowana za biurkiem w swoim pokoju na komendzie. Kruk westchnął na krześle dla interesantów, a dla Radka znowu nie wystarczyło krzesła. Poza tym był za wielki na ten pokój.

– Tak jest – powiedział Maszyński.

– Facet ot tak, kupuje na Jarmarku pocztówkę, gdzie każdy go widzi i może zapamiętać, a potem wysyła na niej groźbę pozbawienia życia – mruknął Kruk.

Bielińska wzruszyła ramionami.

– No i co?

– To nie będzie Karłowicz.

– Wyjaśnijmy sobie coś. Czy chodzi ci o to, żeby nie okazywać człowiekowi, którego znalazł Radek, zdjęcia Karłowicza?

Teraz to Kruk wzruszył ramionami.

– Za Zabrze masz drugie zero – powiedziała.

– Dlaczego?

– Bo nie wykazałeś związku uzyskanych informacji ze śledztwem.

Kruk oscylował między rozbawieniem a irytacją. Trochę za bardzo przejęła się rolą.

– Ale nie dam ci trzeciego zera za próbę powstrzymania mnie przed okazaniem zdjęć Karłowicza. Jestem wyrozumiała.

Radek odwrócił głowę, aby nie było widać, że się śmieje.

– Co ci tak wesoło? – warknęła Bielińska. – Klara Balewicz, asystentka Mulickiego w Truście. Dowiedz się o niej wszystkiego.

Radek uniósł ręce w geście poddania.

– Co tylko każesz.

– Pani. Co tylko każesz, pani – mruknął Kruk.

Gdy Radek wyszedł, Kruk się odezwał:

– Woronowicz dostał pocztówkę z groźbą i nic dziwnego, że się przestraszył. Nie tylko ten, kto mu ją wysłał, znał jego tajemnicę, ale w dodatku Woronowicz musiał czuć oddech tego kogoś na plecach. – Kruk zastanowił się: – Co by było, gdyby nie skonfliktował się ze sprzedawcą na Jarmarku i po prostu kupił tę nieszczęsną pocztówkę?

– A co by było?

– Wtedy nie mógłby jej kupić sprawca. Nie wysłałby groźby, a przynajmniej nie wysłałby jej na tej pocztówce.

– I?

– Rodzi się pytanie, czy Woronowicz straciłby wtedy głowę.

Bielińska popatrzyła na niego uważnie.

– Mów dalej.

– Powiedzmy, że sprawca chodzi za Woronowiczem, śledzi go, poznaje jego zwyczaje. Chce go ukatrupić, obciąć mu głowę... łeb, bo już odczłowiecza ofiarę. I nagle – co za zrządzenie losu – jest świadkiem kłótni na Jarmarku, której przedmiotem jest pocztówka przedstawiająca człowieka bez głowy. Kupuje więc tę pocztówkę i wysyła przyszłej ofierze.

– To byłby wyjątkowy zbieg okoliczności.

– Chyba że to nie był zbieg okoliczności.

Bielińska zamyśliła się.

– Chodzi o to, że sprawca kupił pocztówkę i dopiero wtedy wpadł na pomysł...

– Zakup był impulsywny. Sprawca nie mógł przewidzieć, jakiej sceny będzie świadkiem.

– A gdy już ją kupił... – Bielińska zawiesiła głos.

– Trudno uwierzyć, że inspiracją dekapitacji była pocztówka, ale albo tak właśnie było, albo zostaje zbieg okoliczności.

– Zbiegi okoliczności się zdarzają.

– Masz rację. Jest większe prawdopodobieństwo, że zginiesz w wypadku, niż wygrasz w totka, a przecież niektórzy wygrywają.

– Kiedyś trafiłam czwórkę.

Kruk westchnął.

– Sama widzisz.

Eryk Karłowicz stał przy oknie w sypialni żony i patrzył, jak mercedes prowadzony przez Nawajskiego wyjeżdża z podjazdu. Całą noc nie spał, i sądząc po odgłosach cichych kroków, które go dobiegały, ona również nie spała. Spacerowała po sypialni, przestawała, potem znowu spacerowała.

Może powinien był do niej zajrzeć, ale się na to nie zdobył.

Okolo czwartej nad ranem było w domu tak cicho, że wydawało mu się, że słyszy odgłosy uderzania w klawisze, co musiało być złudzeniem, bo klawiatura laptopa to nie maszyna do pisania.

Przy śniadaniu dostrzegł cienie pod oczami żony, których nie zdołała zamaskować makijażem. Miał wrażenie, że przyglądała mu się uważniej niż zwykle, ale nawet jeśli tak było, to jej się nie dziwił. Jego organizm, dręczony bezsennością, ciągnął ostatkiem sił. Eryk poruszał się wolno, z wysiłkiem, a gdy zapytała go o jakąś błahostkę, z trudem zdołał skupić myśli, by z sensem odpowiedzieć.

Złapał się na tym, że gdy wyciągnął rękę do koszyka z chlebem, ten ruch wydał mu się podróżą. Widział swoją dłoń, jak w potwornie wolnym tempie sunie przez powietrze, zastyga nad koszykiem, z trudem się opuszcza, podnosi kromkę i wykonuje całą tę niewiarygodnie nużącą drogę z powrotem.

Nic dziwnego, że mu się przyglądała.

Ale nie zapytała o nic.

Eryk Karłowicz załadował do swojego laptopa tekst zgrany z komputera żony. Usiadł przy biurku i zaczął czytać jej wpis z poprzedniego wieczora:

Dzisiejszej nocy nie zasnę. Rano miałam wizytę policji. Tym razem przysłali do mnie policjantkę. Próbowwała mnie skłonić do współpracy. Mówiła, że powinnam jej pomóc ratować ludzkie życie. Chciała mi coś opowiedzieć o sobie, ale nie zamierzałam jej słuchać.

Bo chyba chciała mi przekazać, że przeżyła coś takiego jak ja.

Ratować ludzkie życie...

Wciąż brzmią mi w głowie jej słowa.

Wokół mnie umierają ludzie, a ja jak reaguję? Staram się o tym nie myśleć, choć i tak myślę cały czas. Tych zabójstw przecież ktoś dokonuje.

Dlaczego tak bardzo staram się nad tym nie zastanawiać i nie dopuścić do siebie tej prawdy?

Może czekam, aż zginie ostatni z nich i już niczemu nie będzie można zapobiec?

Powiedz mi, Eryku, czy można jeszcze czemuś zapobiec?

Karłowicz wyprostował się, jakby ktoś przeczytał to pytanie na głos. Nigdy wcześniej w swoich wpisach nie używała takiej formy, jakby z nim rozmawiała.

Budzimy się osobno, jemy śniadanie, rozmawiając o niczym i będąc bardziej sobie obcy niż nocą w osobnych sypialniach. Ja wyjeżdżam do biura, Ty zostajesz w domu pod pozorem jeszcze jednej kawy. Wchodzisz do mojej sypialni, zgrywasz słowa, które zapisuję dla Ciebie wieczorem. Wiesz, że rano w samochodzie nigdy nie pozwalam Maksowi włączać radia? Myślę wtedy o Tobie. I kiedy czytasz słowa, które kieruję do Ciebie, mam wrażenie, że przez ten krótki czas stajemy się sobie bliscy. To jedyne, co mamy: te chwile, kiedy się odsłaniam, kiedy przekazuję Ci rzeczy, których nie miałabym odwagi

wypowiedzieć na głos, a nawet gdy je napiszę, w pośpiechu kasuję. Ale wiem, że Ty i tak je przeczytasz.

Na moment przymknął oczy. Potem je otworzył i wrócił do tekstu:

Takie jest nasze życie. Gdy się pobieraliśmy, miałeś nadzieję, że będzie inne, że koszmary zblakną, zżółkną, a czas nas zbliży. Tak się nie stało, z mojej winy. Jest we mnie wielka pustka, której nie sposób wypełnić. Moją winą jest to, że nigdy nie próbowałam.

W Twoim życiu są inne, w moim nie ma nikogo. Tylko raz miałam pragnienie, aby oddać się innemu mężczyźnie. To było tak niespodziewane, tak dziwne i zdarzyło się niedawno, kiedy przyszedłam do domu z tym policjantem, który prowadzi śledztwo. To był impuls i trwał zaledwie chwilę. On ma w sobie wściekłość, którą tłumi. To dziwne, bo boję się takich ludzi, uciekam od nich, ale to, co mnie odstręcza od innych, do niego mnie przyciągnęło. Ma w sobie morze wściekłości, a ja całą sobą czuję, że ani kropla tego nie jest wymierzona we mnie.

Wybacz, że o tym piszę. Wytrzymałeś wiele. Mam nadzieję, że wytrzymasz także i to.

Eryk Karłowicz odwrócił wzrok od monitora. Pozwolił, by oczy odpoczęły. Uświadomił sobie, jak szybko i płytko oddycha, i zczekał, aż oddech się uspokoi.

Boję się, Eryku. Myślę o tych wszystkich latach, kiedy dręczyłam Cię swym pamiętnikiem. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego ze mną jesteś, ale właśnie za to, że jesteś, skazałam Cię na uczestnictwo w moim bólu. Myślę o ostatnich miesiącach. Przyglądałam Ci się, jak reagujesz, gdy się dowiedziałeś, że ich rozpoznałam. Obserwowałam, jak próbujesz doprowadzić ich do bankructwa. Czułam gorycz i żal, widząc Twoją bezradność, gdy potrafili wygrać pieniądze dla siebie nawet przy okazji tego, w co ich wciągnąłeś i co miało ich pogrążyć.

Miałam świadomość, że tacy ludzie jak oni zawsze nas pokonają. W starciu z nimi tacy jak my zawsze będą przegrani.

Dziś boję się pomyśleć o tym, co czułeś, gdy to czytałeś. Jaki to miało na Ciebie wpływ?

Wizyta policjantki wstrząsnęła mną. Te zdjęcia, które mi pokazała... Nie chcę już nic. Nie chcę zemsty. Nie chcę wiedzieć, co stanie się z ostatnim z nich. Nie chcę, by stało się cokolwiek. Niech żyje, próbując zrównoważyć zło, które wyrządził, i niech to dzieje się z dala od nas. Niech to nas nie dotyczy.

Nie wsiadłam dziś do samochodu, Maks wyjechał z domu sam. Kiedy to czytasz, jestem w salonie i czekam na Ciebie. Nie wiem, na co liczę. Może na to, że zejdziesz, zaczniemy rozmawiać i wszystko się nagle ułoży? Jeśli masz dla nas taką nadzieję, przyjdź. Jeśli nie, nie obwiniaj się, a ja sobie pójdę. I gdy wrócimy wieczorem, wszystko pozostanie takie jak zawsze. Ty przyjdiesz, pachnąc perfumami innych kobiet. Zamienimy kilka słów, które nie będą miały znaczenia, i pójdziemy do swoich sypialni. Może napiszę dla Ciebie kilka zdań w pamiętniku. Upłynie kolejny dzień. Kolejny dzień bez znaczenia.

Patrzył w ekran, aż słowa zaczęły mu się rozmywać. Siedział i tylko patrzył. Zamknął pokrywę laptopa, przymknął oczy.

Siedział długo. Zegar w przedpokoju wybił pełną godzinę. Eryk się nie ruszył. Był jak zdrętwiały, chciał wstać i wyjść z pokoju, pójść do salonu. Chciał zobaczyć, czy ona naprawdę tam jest.

Zegar wybił następną godzinę. Miał wrażenie, że wybicie kolejnych godzin dzieliła zaledwie chwila.

Potem usłyszał szcęk zamykanych drzwi wejściowych. Ciche kroki zaszumiały pod oknem, skrzypnęła furтка.

Jakaś jego część chciała za nią biec, ale inna nakazywała mu nie ruszać się z miejsca. Uruchomił Proton Maila. Skrzynka odbiorcza była pusta. Pusty był folder wiadomości wysłanych i kosz. Przez

chwilę miał wrażenie, że wszystkie wiadomości, które tu odczytywał i wysyłał, tak naprawdę były tylko w jego głowie.

Zagapił się w pustą stronę aplikacji, ale nic się nie stało. Położył dłonie na klawiaturze. Siedział tak, zastanawiając się, co chciał napisać, układając całe zdania w głowie. Ostatecznie nic nie napisał. Wylogował się z poczty.

Zapragnął sprawdzić, co stało się z pierścionkiem, który zostawił na śmietniku.

To było nierozważne. Nie powinien tam nigdy więcej jeździć.

Czuł się zmęczony, skrajnie znużony. Nie było czego sprawdzać, pierścionka z pewnością dawno tam nie było. Został zabrany. Pamiętał wiadomość, która pojawiła się w folderze „Odebrane”: DAJ MI PIERŚCIONEK. Tak było napisane.

Mimo wszystko wyszedł z domu i pojechał na Jabłońskiego. Znowu siedział w samochodzie, obserwując otoczenie. Nic się nie działo. Nikt nie obserwował jego ani altany. Od czasu do czasu pojawiał się któryś z mieszkańców pobliskiego bloku z workiem śmieci do wyrzucenia.

Na tylnym siedzeniu leżała pusta reklamówka z Lidla. Pozbierał do niej niepotrzebne rzeczy, jakie miał w samochodzie: opakowanie po żarówce samochodowej, którą niedawno wymieniał, jakiś paragon, dwie ulotki. Zmiał to wszystko w rękach.

Eryk wyczekał chwilę, gdy nikogo w pobliżu nie było. Wszedł z samochodu, podrzucił zmiętą kulę śmieci, jakby to była piłka, wszedł do altany i wrzucił ją do najbliższego pojemnika. Szybko przykucnął, sięgnął w miejsce, gdzie w zeszłym tygodniu pozostawił pierścionek owinięty kulką papieru. Papier wciąż się tam znajdował. Rozwinął go. Pierścionek był w środku.

Nie rozumiał. Dlaczego nikt po to nie przyszedł, to pytanie huczało mu pod czaszką.

Dlaczego?

Dlaczego...

Zmęczenie go obezwładniało.

Wrócił do samochodu. W drodze do biura był tak rozkojarzony, że uświadomił sobie, że nie pamięta, co zrobił z pierścionkiem. Odłożył go do szpary czy zabrał ze sobą.

Mógł przeszukać kieszenie, ale tego nie zrobił. To kosztowało zbyt wiele wysiłku. Zrobi to potem.

Nie miał po co jechać do pracy w tym stanie. Zawrócił do domu. Musiał spróbować choć trochę się przespać. Zanim rzucił się na łóżko, postanowił jeszcze raz sprawdzić pocztę. Zalogował się. Chciał napisać wiadomość, ale nowa wiadomość już na niego czekała.

Nie miała tematu.

Kliknął.

MA OCHRONĘ. MUSISZ GO DO MNIE ZWABIĆ – przeczytał.

Karłowicz natychmiast odpisał:

JAK?

64

W pokoju Marcina Zycha na komendzie oprócz naczelnika byli jeszcze Bielińska, Maszyński i Kruk. Komisarz przyglądał się całej trójce. Bielińska usta miała zacięte, w oczach blask.

Sekcja głowy Brandta przyniosła podobne wyniki jak w przypadku Woronowicza. Brandta także dwukrotnie uderzono, jedno z uderzeń niemal na pewno było śmiertelne. Głowę następnie odrąbano.

Jednak nie rozmawiali o sekcji.

– Handlarz starociami rozpoznał Karłowicza – powiedział Maszyński. – Nie miał żadnych wątpliwości, że to Karłowicz kupił tę pocztówkę.

– A więc nie miałeś racji – powiedziała do Kruka Bielińska.

Wzruszył ramionami i odparł:

– Widział go raz, przez chwilę, ładny kawałek czasu temu, i jest pewien?

– Wskazał go spośród całego albumu fotografii, jaki mu okazaliśmy – rzekł Radek.

– Mamy go – odezwała się Bielińska, wciąż patrząc twardo na Kruka.

Inni też spojrzeli na niego, choć żaden z nich nie miał tak twardego spojrzenia.

– Nie podniecajcie się tak. – Kruk znów wzruszył ramionami. – Póki co, mamy same poszlaki.

– Karłowicz wiedział, że Dominika ich rozpoznała – rzekła Bielińska. – Kłamała.

– Jeśli nawet, co to zmienia?

– Wysłał pocztówkę z groźbą.

– To tylko pocztówka i kilka słów na odwrocie.

– Napadł na Zuzannę Brandt i zabrał jej pierścionek.

– Nie możemy mieć żadnej pewności. A jeśli nawet, to także tylko pierścionek. Nie zrobił Zuzannie Brandt żadnej krzywdy. Wygląda na to, że chciał nawet pogłaskać psa, który w nagrodę go ugryzł.

– Jestem też przekonana, że to on stoi za fatalną transakcją z Grecją.

– To przeprowadził niejaki Strych.

– Na jego zlecenie.

– Strych się do tego przyznał?

Bielińska znowu zacisnęła zęby.

– Jesteś niesamowity. Dlaczego to robisz?

– Niby co?

– Dlaczego za wszelką cenę starasz się, żebyśmy go nie podejrzewali?

– Podejrzewajmy go, czemu nie. Ja tylko mówię, co na niego mamy.

– Mamy coś jeszcze.

– Tak?

– Klara Balewicz, pamiętasz, ta sekretarka Mulickiego, która podsłuchuje swojego szefa, jest jego kochanką – powiedziała Bielińska.

– Skąd to wiecie?

– Radek spojrzał tam, gdzie ty nie chciałeś.

Maszyński minę miał nietęgą. Wyraźnie mu nie pasowało, że Bielińska ustawiała go w opozycji do Kruka.

– Balewicz spotkała się po pracy z koleżanką w kawiarni – wyjaśnił Radek. – Porozmawiałem potem z tą koleżanką. Balewicz snuje wielkie plany na przyszłość. Karłowicz jest częścią tych planów.

– Gratuluję.

Po twarzy Bielińskiej widać było, że intensywnie myśli.

– Idę o zakład, że to ona jest tajemniczą kobietą zapewniającą mu alibi na tych kilka dat, które budzą nasze zainteresowanie.

Sprawdzimy na przykład, czy ma alibi na czas, kiedy wysłano paczkę z głową.

– A ty masz?

Bielińska westchnęła ze znużeniem.

– Ty to zrobisz, Kruk.

– Co takiego?

– Przesłuchasz Klarę Balewicz. Mam nadzieję, że się spiszesz, albo będzie trzy zero.

Marcin Zych, który do tej pory nie odezwał się słowem, westchnął cicho. Nie odezwał się i tym razem, tylko uniósł brwi.

65

Karol Mulicki stanął na progu sypialni. Była w nieładzie, drzwi do garderoby zostały otwarte, wszędzie leżały kobiece ubrania, głównie drogie sukienki, które kupił Michalinie w ostatnich miesiącach. Spakowała jedynie najpotrzebniejsze rzeczy.

Zadziwiająco, jak długo nie wiedziała o tym, o czym wiedzieli wszyscy, zwłaszcza od momentu wizyty komisarza Kruka w biurze zarządu Trustu. Ale gdy się już dowiedziała, o nic go nie zapytała, jakby cały ten przeżyty razem czas nic dla niej nie znaczył. Wieczorem poprzedniego dnia wyprowadziła się, gdy był w biurze.

Zadzwoniła raz, obwieszczając, że tymczasowo zamieszka w hotelu. Z ich małżeństwem koniec. Zabroniła mu dzwonić i jej szukać.

Mimo wszystko zadzwonił. Zagroziła, że jeśli spróbuje ją nachodzić, oskarży go o nękanie. Zadzwonił ponownie, ale już nie odebrała. Nie odebrała żadnego z jego kilku kolejnych telefonów.

Mulicki przeszedł do gabinetu, gdzie stał otwarty laptop. Policja wezwała Klarę na rano do złożenia jakichś zeznań i nie można się było spodziewać jej przed południem. Mulicki też nie pojechał do biura, wierzyciele mogli pocałować klamkę jego gabinetu, nie obchodziło go to.

Zadzwonił telefon. To nie była Michalina. Odebrał.

– Zastanawiałem się nad naszą ostatnią rozmową – usłyszał w aparacie głos Eryka Karłowicza.

– Zmienił pan zdanie?

– Nie, ale może pomogę w inny sposób. Macie nieruchomość pod Przejazdowem. Zastanawiam się, czy nie pociągnąć jednego z waszych pomysłów, którego już nie pociągniecie. Może bym odkupił od pana tę nieruchomość.

– Wszystko, co mamy, obciążone jest hipoteką, łącznie z naszymi domami.

– Uwzględnimy wartość hipoteki w kwocie sprzedaży.

– Pod Przejazdowem nie mamy żadnej nieruchomości.

– Mówię o tym żółtym koszmaru obok krajowej siódemki, przy Jesionowej.

– O czym?

Chwila ciszy.

– Byłem tam z Krystianem Brandtem. Nieruchomość jest w ruinie, ale może pomysł na nią nie jest najgorszy.

– Kiedy pan tam był?

– Wtedy, gdy pański wspólnik usiłował przekonać nas do współpracy. Jego wizja zrobiła na mnie pewne wrażenie.

– Jaka wizja?

W głosie Karłowicza pojawił się namysł:

– Pan nie wie, o jakiej nieruchomości mowa? Nieruchomość nie należy do Trustu?

– Co Krystian panu proponował?

– Czy mam rozumieć, że robił to bez porozumienia z panem, na własną rękę?

Mulicki milczał.

– Przykro mi – powiedział Karłowicz. – Wie pan, byliśmy skłonni wam pomóc, bo pewne aspekty waszej działalności zrobiły na nas wrażenie, na przykład pańska filantropia. Nie zrobiliśmy tego ze względu na Brandta. Kradzieże, pożar magazynu, przypadki, kiedy część towaru ulegała zniszczeniu w transporcie – to wszystko wydawało się mieć wspólny mianownik. Sądzymy, że pan Brandt okradał firmę. Odnowił stare kontakty: złodziei, paserów, tych wszystkich ludzi, od których tak bardzo chciał się pan na zawsze odciąć.

– Pan kłamie. Krystian nie żyje, nie może się bronić.

– Prześwietliliśmy was dokładnie, co do winy Brandta nie ma wątpliwości. A zamiast dzwonić do pana, powinienem był zajrzeć w dokumentację Trustu, jaką pracownicy zgromadziliśmy, sam bym się wtedy zorientował, że nieruchomość nie należy do firmy. Rozumiem, że w sprawie zakupu trzeba rozmawiać z panią Brandt?

– Proszę dać mi czas, sprawdzę to.

– Teraz sam to sprawdzę.

– Co Krystian chciał zrobić z tą nieruchomością, jakie miał plany?

– Jak nadmieniałem, był wizjonerem, może większym, niż pan był kiedykolwiek. Mówił, że zawsze lubił łamigłówki, ale od pewnego

czasu zaczął też widzieć w nich dobry interes. Miał pomysł na krajową sieć escape roomów, a tamten budynek miał być tego początkiem.

Eryk się rozłączył.

Karol Mulicki wpatrywał się w aparat. Uniósł butelkę z mineralną, ale po namyśle ją odstawił.

Wyłączył komórkę i wrzucił ją do szuflady biurka. Wyrzął przez okno. Przed domem parkował samochód ochroniarzy, których wynajął. Nie mogli mu towarzyszyć do Przejazdowa.

Musiał ich najpierw zwolnić.

66

Klara Balewicz denerwowała się, czekając w pokoju przesłuchań. Kruk i Bielińska przyglądali się jej zza weneckiego lustra.

Ściągnięcie Balewicz na komendę to była już bułka z masłem. Nie stawiała oporu.

– Będę cię obserwować, Sławek – powiedziała Bielińska. – Bądź grzeczny, ale skuteczny. Przydadz się na coś w tym śledztwie.

Kruk wszedł do pokoju, przywitał się i usiadł przy stole naprzeciw młodej kobiety. Ręce miała rozdygotane, ugniatała nimi torebkę. Starła się uśmiechnąć, ale jej twarz odmawiała współpracy.

Ponieważ Kruk nie zaczynał przesłuchania, ona je zaczęła:

– Dlaczego tu jestem? Z powodu tej przesyłki? Wszystko powiedziałam wam wtedy.

Kruk zastanawiał się, jak zacząć, i uznał, że zacznie od końca.

– Jaka relacja łączy panią z Erykiem Karłowiczem?

W pierwszym odruchu paniki uciekła wzrokiem. Nie należało pozwolić, by uciekła zbyt daleko.

– Wiemy, że się spotykacie.

– Osobista.

– Mogłaby pani rozwinąć?

– To moje prywatne sprawy.

– Niech pani sobie wyobrazi, że to wiem. – Kruk był cierpliwy, spokojny, gotowy wyjaśniać wszystko jak dziecku. – I właśnie pytam o pani prywatne sprawy.

– Dlaczego?

– Bo takie dostałem polecenie służbowe. Proszę się nie niepokoić, wszystko, co pani tu powie, zostanie tylko do wiadomości policji.

Wiedział, że mu uwierzy tylko wtedy, jeśli już zapomniała jego pierwszą wizytę w Truście. A sądził, że nie zapomniała.

Nie była pewna, czy ma obowiązek mówić o wszystkim, o co Kruk tylko zapyta, wyłącznie dlatego, że był policjantem i siedzieli w pokoju przesłuchań na komendzie, a on miał przed sobą formularz protokołu.

– Nie będę kłamać – powiedziała, unosząc minimalnie podbródek. To był tłumiony gest dumy. – Spotykamy się od wielu miesięcy. Eryk bardzo mnie kocha.

Ton jej głosu powiedział mu wszystko. Będzie o tym mówić, bo chce o tym mówić. Tłumione szczęście aż ją rozsadzało, a ewidentnie nie miała zbyt wielu okazji, by dzielić się nim ze światem. Karłowicz musiał nalegać na dyskrecję, ale tutaj, na

komendzie, w tym nieprzyjaznym pokoju, Klara Balewicz nie miała przecież wyboru.

– Proszę dać jakiś przykład tej miłości.

Pochyliła głowę, po czym cicho powiedziała:

– Myślmy o tym, by się pobrać.

Była jakaś czarodziejska melodia w tym krótkim stwierdzeniu. Kruk uznał, że skoro już tu razem siedzą, wykona heroiczny i z góry skazany na niepowodzenie manewr ściągnięcia dziewczyny na ziemię.

– Eryk Karłowicz ma żonę.

– Nie sypiają ze sobą.

– Być może, ale zanim Eryk ożeni się z panią, musi się najpierw z nią rozwieść.

– Wiem o tym. – W jej głosie pojawiła się kategoryczna nuta.

– Zrobił coś w tym kierunku?

– W jakim?

– Żeby się rozwieść.

– To nie jest proste. Formalności trwają i są nieprzyjemne.

– On tak mówi?

– A czy pan sądzi, że rozwód to prosta rzecz?

– Dla zakochanych wszystko jest proste.

Milczała jakiś czas.

– Jesteśmy realistami.

– Kto jest większym realistą, pani czy on?

– Myślę, że oboje trzeźwo patrzymy na życie.

– A więc oboje wiecie, że nic z tego nie będzie.

Gwałtownie uniosła wzrok.

– Tak pan sądzi?

– Realizm i trzeźwe myślenie to raczej schyłkowa faza tego rodzaju relacji.

– Jakiego rodzaju relacji?

– Takiego, gdy ustawiony finansowo żonaty mężczyzna spotyka się z dużo młodszą kobietą. Zwykle w takich związkach obecny jest element kalkulacji, przynajmniej u jednej ze stron.

– Pan mnie obraża! Uważa pan, że coś sobie wykalkulowałam, bo Eryk ma pieniądze?

Kruk patrzył na jej ściągnięte gumką w koński ogon blond włosy, tak wypłowiałe, że przypominały żdźbła słomy. Zajrzał w jej oczy, małe nawet za powiększającymi je okularami. Na krótko zawiesił wzrok na wąskich ustach, obwiedzionych nadmiarowo szminką, ale wciąż nieprzywodzących myśli o całowaniu.

Bluzka, którą miała na sobie, koloru brudnej żółci, wydawała się zbyt obszerna, albo to ona była zbyt chuda. Kołnierzyk lekko zagięty, ale nie w ten rozkoszny sposób, aby zapragnąć go poprawić, dotykając przy tym skóry jej szyi. Wyglądało to raczej niechlujnie. Siny lakier na dwóch paznokciach obłupał się. Paznokieć lewego kciuka obgryzła.

Nie, Myszko, pomyślał. Nie uważam tak.

– Jak się poznaliście?

– Byłam z koleżanką w kawiarni, a on podszedł, żeby mi powiedzieć, że jest mną oczarowany.

Kruk pokiwał głową.

– Co było dalej?

– Zawstydził się swojej śmiałości i od razu wyszedł.

– I więcej się nie spotkaliście?

Posłała mu złe spojrzenie.

– Tydzień później w tej samej kawiarni. Znowu przyszedłam z tą koleżanką, ale gdy zobaczyła, że on siedzi sam nad wypitą kawą, szybko się pożegnała. Eryka to ośmieliło, zaczęliśmy rozmawiać i wszystko samo się potoczyło.

– Historia jak z filmu.

Klasy B, dodał Kruk w myślach.

– Tak, jak z romantycznego filmu.

– Rozmawiacie czasem o pracy?

– Eryk nie lubi o tym opowiadać, mówi, że jego praca jest nudna.

– O pani pracy.

Rzuciła mu zaniepokojone spojrzenie. Myśli odbijały się na jej twarzy tak wyraźnie, że właściwie nie potrzeba było słów. Wystarczyło zadawać pytania, ignorować odpowiedzi i tylko po kolei zaczytywać te myśli z twarzy jak z telepromptera.

– Nie.

– Wypytuje panią?

– Powiedziałam, że nie rozmawiamy o pracy.

– A ja pani nie uwierzyłem. To nic złego dzielić się z ukochanym swoim dniem. A przecież dni spędza pani w pracy.

Zacisnęła pięści.

– Pan mówi to wszystko, żeby mnie źle wobec niego nastawić.

– Skądże.

– Nie chcę dalej o tym rozmawiać. Nie godzę się na to.

– Rozumiem. Porozmawiajmy o czymś innym. Czemu pani została w Truście? Pani koleżanki zwolniły się z pracy.

– Gdzie miałabym pójść?

Kruk zrobił nieokreślony gest i czekał na odpowiedź.

– Może też odejdę – powiedziała w końcu. – Nie wiem, jestem zagubiona.

– Jaki jest pani stosunek do szefa?

– Do prezesa Mulickiego?

– Tak.

– Staram się dobrze wykonywać swoje obowiązki. Po tym wszystkim, co się stało, nie wiem, co myśleć.

– Z pewnością pani coś myśli. Proszę, niech będzie pani ze mną szczerą.

– Uważałam go za dobrego człowieka, ale on nie może być dobry, jeśli zrobił tamte rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Te, o których pan mówił, gdy przyszedł pan do nas.

– Eryk Karłowicz pytał panią, o czym mówiłem?

Zatrzęsła się z oburzenia.

– Pan wraca do tego samego. Robi pan ze mnie idiotkę.

– Proszę się na mnie nie gniewać. Nie mam takiego zamiaru. Po prostu tak się złożyło, że podsłuchiwała nas pani, gdy przyszliśmy do pani szefa. Często pani to robi?

– To był pierwszy raz.

– Widziałem, że ma pani notesik. Bardzo ładny i nazywał się chyba: *Mój Mały Osobisty Dzienniczek*. Czy to tam zapisuje pani sobie to, czego się pani dowie?

– Nie!

– A więc nie chce być pani ze mną szczerą. – Głos Kruka celowo ochłódł. – Niedobrze.

Chwilę ze sobą walczyła, po czym sięgnęła do torebki. Podała mu notes. Wyraz twarzy miała taki, jakby zamierzała się rozpłakać.

Kruk otworzył notes bez wahania. Klara zapisywała w nim tylko jedno: daty spotkań z Karłowiczem. Były przy tym serduszka, całe, pęknięte, uśmiechy, gdy spotkanie doszło do skutku, i smutne buźki, gdy z jakichś względów nie doszło. Było aktem heroizmu z jej strony, że mu to pokazała. Na podstawie tych zapisków można było z wymaganą dokładnością określić daty ich spotkań. Co więcej, przerzuciwszy kilka kartek w przód, Kruk zorientował się, w jakich najbliższych dniach mieli się spotkać znowu. Prawdziwa skarbnica wiedzy do porównania z datami, które wyszczególniła Bielińska.

– Widzi pan? Niczego poufnego nie zapisuję.

Kruk nie odpowiedział. Zajęty był wynotowywaniem dat do protokołu.

Nie spodobało jej się to i wyciągnęła rękę, aby oddać jej dzienniczek, ale zrobił to, dopiero gdy spisał wszystkie.

Schowała dzienniczek do torebki i miała na twarzy wyraz takiego zdegustowania, jakby Kruk zajrzał jej pod spódnicę. Gorzej. Wyglądała, jakby zajrzał i nie zachwycił się tym, co widzi.

– Niech mi pani opowie o ostatnim spotkaniu z Erykiem Karłowiczem w środę trzydziestego października. – Kruk wybrał datę, kiedy nadawca przesyłki pojawił się na poczcie.

Przy kilku datach widniały smutne buźki, kiedy Karłowicz odwołał spotkanie, ale żadna z tych dat nie zdawała się być istotna dla śledztwa.

Milczała.

– Pani Klaro...

– Co pan chce wiedzieć? O co pan właściwie pyta? Eryk przyszedł i był ze mną. Oczekuje pan pikantnych szczegółów?

– Nie oczekuję, ale jeśli mi pani je poda, zanotuję je w protokole przesłuchania. O której przyszedł?

– O siedemnastej czterdzieści pięć.

– Do której był z panią?

– Do dwudziestej szesnaście.

– Doskonale to pani pamięta.

– Mam zegar w korytarzu.

Jej logika była imponująca.

– Nigdzie nie wychodził w międzyczasie?

– Nie.

– Nawet na chwilę?

– Przecież powiedziałam, że nie.

- Czy Eryk Karłowicz jest człowiekiem roztrzepanym?
 - Słucham?
 - Czy zdarza mu się wyjść i zapomnieć czegoś, a potem po to wracać?
 - Na przykład czego?
 - Nie wiem. Marynarki, portfela, teczki?
 - Nie przypominam sobie takiej sytuacji.
 - Komórki...
 - Nie.
 - No to czym zajmowaliście się w środę od siedemnastej czterdzieści pięć?
- Milczała. Spojrzała mu w twarz z całą mocą.
- To nasze prywatne sprawy.
- Kruk skinął głową, że wszystko jasne.
- Rozumiem i dziękuję pani. Proszę przeczytać protokół i podpisać tu, na dole po prawej stronie.
- Klara Balewicz przymknęła oczy z wyrazem ogromnej ulgi na twarzy.

67

- Otworzyły się drzwi i do pokoju zajrzała Bielińska.
- Sławek, weź protokół i pozwól na moment.

Wyszedł zadowolony z siebie. Oczekiwał pochwał. Ale korytarz był pusty, a Bielińska zła.

– Świetnie – powiedziała, przeglądając papiery. – Zmusiłeś ją, by się przyznała, że ma z Karłowiczem romans. I niemal potwierdziła, że szpieguje dla niego. Niemal.

– Tak – odparł Kruk z dumą. – Jestem niezły.

– Wyciągnąłeś z niej wszystko, co już wiedzieliśmy. Co więcej, właśnie dlatego ją tu ściągnęliśmy, że to wiedzieliśmy.

– Podejrzewaliśmy. Teraz to wiemy na pewno.

– Chcemy wiedzieć więcej – rzekła Bielińska rozmyślnie spokojnie i cicho, choć jej głos aż wibrował od tłumionej furii.

– To tylko zakochana myszka w objęciach księcia. Planuje kupno firanek do zamku ze snów, w którym nigdy nie zamieszkają razem.

– Daje Karłowiczowi alibi na wszystkie terminy, które nas obchodzą.

– Tak, to dość niefortunne.

– A ty nie byłeś uprzejmy skupić się na tym, żeby je obalić.

– Wtedy musiałbym się stać nieuprzejmy.

Bielińska nie wytrzymała. Chwyliła go za klapy marynarki, gniotąc papiery, które trzymała w ręku, i pchnęła na ścianę. Pozwolił jej na to, bo wiedział, że ten, kto sprawuje władzę, musi być czasem brutalny.

– Potrafisz być bardzo delikatny, Kruk – szepnęła, patrząc mu w oczy – kiedy nie chcesz, by świadek mówił, zwłaszcza prawdę.

– Opanuj się, Kriss.

– Brandta dręczyłeś trzynaście godzin. A tu po prostu tak, odpuszczasz?

– Dziewczyna powiedziała, co wie.

– Dziewczyna kłamie, żeby chronić Karłowicza. A ty to z radością kupujesz.

– Myślisz, że taka Myszka kryłaby krwawego zabójcę?

– O, więc została Myszka? Tak o niej myślisz? Wzbudza twoją sympatię, roztkliwia cię, starasz się ją zrozumieć? A może są rzeczy, których Myszka nie chce dopuścić do świadomości?

Otworzyły się drzwi pokoju przy schodach i zastępca komendanta wyszedł na korytarz. Kruk ostrożnie zebrał z siebie dłonie Bielińskiej i pomógł im opaść do boków. Przygarbiła się, i z tymi opuszczonymi rękami, i pogniecionym protokołem w jednej z nich, wyglądała raczej bezradnie.

– Wziąłem na papier zeznanie świadka – powiedział łagodnie. – Co jeszcze chcesz, żebym zrobił?

– Wystarczy, Kruk. Zrób sobie przerwę. Idź do domu, do kina, napij się wódki z Cendrowskim. Ja będę z nią dalej rozmawiać.

– Tylko się z nią pożegnaj.

Chwyciła go za ramię.

– Zostaw, ja ją pożegnaj od ciebie. – Zacisnęła dłoń na jego ramieniu najsilniej, jak mogła, ale niedostatecznie silnie. – Zrozumie.

68

Pokój za lustrem weneckim pachniał jeszcze perfumami Bielińskiej. Kruk nie usiadł. Zaplótł ręce na piersi i obserwował sytuację za szklaną taflą.

Kriss wygładziła kartki protokołu na stole i powiedziała z westchnieniem:

– Za składanie fałszywych zeznań grozi odpowiedzialność karna. Powiedzmy, że tego protokołu nie ma. Powiedzmy, że go podarłyśmy i zaczęłyśmy od nowa.

Spojrzenie Balewicz mówiło, że nic z tego nie rozumie, ale i tak ją to niepokoi.

– Abym mogła wyświadczyć pani tę przysługę, muszę dostać coś w zamian.

– Co? – spytała cicho Balewicz.

– Prawdę.

– Powiedziałam prawdę.

Bielińska z westchnieniem podniosła protokół i znalazła szukany fragment.

– Siedemnasta czterdzieści pięć i dwudziesta szesnaście – powiedziała. – Cały czas był z panią, tak? Ja wiem, że to się nie zgadza. Pani kłamie.

– Mówię prawdę.

– Mam zeznanie świadka, który widział Eryka Karłowicza tego dnia przed dziewiętnastą w innej lokalizacji.

To nie była prawda. Miała jedynie podejrzenia. Kruk zaczął rozważać, czy to, co robi Bielińska, jest legalne.

– To tamten świadek kłamie! Eryk był ze mną.

Bielińska z westchnieniem pokręciła głową.

Blefowała. I robiła to tak przekonująco, że Kruk sam jej niemal uwierzył.

– W takim razie proszę opowiedzieć mi minuta po minucie, co robiliście tamtego wieczora.

– Czekałam na niego, miałam przygotowane krewetki. Eryk lubi krewetki. Usiedliśmy do stołu. Jedliśmy. Rozmawialiśmy. Potem

poszliśmy do sypialni.

- Która to była godzina?
- Osiemnasta dwadzieścia siedem.

Znowu ten zegar na korytarzu.

- Co było dalej?
- Słucham?
- Proszę opowiedzieć dalszy przebieg wieczoru.
- Mam pani opowiedzieć, co robiliśmy w sypialni?
- Wystarczy, jeśli mi pani powie, o której ją opuściliście.
- O dwudziestej jedenaście.

Świetna pamięć, a zegar w przedpokoju bezbłędny.

- Czy przez ten czas Eryk Karłowicz wychodził z sypialni?

– Nie.

– A więc utrzymuje pani, że w okolicach godziny dziewiętnastej był z panią?

Gniew zamigotał w oczach Klary Balewicz.

- Utrzymuję, że wtedy był we mnie! – wybuchła.
- Proszę zachować spokój. Muszę zadawać takie pytania.

Balewicz nie wyglądała na uspokojoną.

– Ale jest coś – powiedziała z furją. – Coś, o czym jeszcze nie powiedziałam.

Bielińska skinęła głową. Wykonała dłonią zachęcający gest.

– Nie zapytała pani o to, domyślam się, że przez delikatność. Nie chciałabym jednak, aby pozostało to w sferze domysłów. Nie zamierzałam o tym mówić, ale zmieniłam zdanie.

– Słucham.

– Szacuję, bo w sypialni nie mam zegara, że to stało się w okolicach dziewiętnastej piętnaście.

– Tak?

– Może dziewiętnasta dwadzieścia... chciałabym być precyzyjna.

– Co się wtedy stało?
– Mam nadzieję, że pani doceni moją szczerość.
– Docenię, jeśli pani w końcu powie, o co chodzi. Co się wtedy stało?

– Miałam orgazm.

Bielińska odchyliła się na krześle.

– Akurat to mnie nie interesuje.

– Nie wiem, co panią interesuje. Chcę pani powiedzieć, co wiem, zasłużyć na pani pochwałę. To był orgazm pochwowy. Niech to pani sobie zapisze. Pochwowy, nie łechtaczkowy. Jeśli będę musiała zeznawać przed sądem, będę przy tym obstawać. Orgazm był pochwowy, jestem tego pewna, i nawet jeśli przedstawi pani świadka, który zaprzeczy, nie dam się przekonać. Pochwowy, kategorycznie utrzymuję, że pochwowy, i co mi pani robi?

Kruk parsknął. Nie spodziewał się, że Klara, romantyczna Myszka, jest zdolna do kontrataku. Podsunął sobie krzesło, usiadł i założył wygodnie nogę na nogę. Był ciekaw reakcji Bielińskiej.

Bielińska milczała. Gdy milczenie się utrzymywało, zrozumiał, że za wcześnie byłoby kupować colę i popcorn. Balewicz się uspokoiła.

– Wróćmy do części wieczoru po pani orgazmie pochwowym. Były jeszcze potem jakieś orgazmy?

– Nie.

– Co więc robiliście?

– Chwilę rozmawialiśmy. Najpierw jeszcze w sypialni, potem w pokoju gościnnym. O dwudziestej szesnaście za Erykiem zamknęły się drzwi.

– Gdzie poszedł?

– Do żony.

– Czy zdarza mu się wyjść, a potem wrócić pod wpływem impulsu, bo już się za panią stęsknił?

Klara Balewicz milczała. Gdy się odezwała, był w jej głosie smutek.

– Niestety nie. – Uniosła głowę.

– A może zdarza mu się zapomnieć telefonu komórkowego?

Jeśli Bielińska zaraz po objęciu dowodzenia wystąpiła o wykaz logowań komórki Karłowicza i już je dostała, to pytanie oznaczało, że w interesujących policję datach i godzinach telefon musiał logować się w mieszkaniu Balewicz. Bielińska, zdaje się, usiłowała obalić ten fakt.

Krukowi nie podobało się, że nie wie o wszystkim, co robi Kryśka, a ona nie uważa za stosowne go informować.

– Powtarzam, że nie. Komisarz Kruk też mnie o to pytał.

– Czy pani nie widzi, że jest wykorzystywana?

– Ja też mam przyjemność z seksu.

– Nie przeszkadza pani, że oprócz pani Eryk spotyka się z inną kobietą?

Balewicz miała taką minę, jak nauczycielka po raz dziesiąty tłumacząca tępemu uczniowi to samo zagadnienie.

– Od początku wiedziałam, że ma żonę.

– Nie mówię o żonie.

To było jak chłaśnięcie w twarz. Ale Bielińska dopiero się rozkręcała. Położyła na stole zdjęcie. Był na nim mężczyzna z kobietą przy wejściu do jakiegoś bloku. Kobieta całowała mężczyznę w policzek. Kruk z oddalenia nie widział dobrze, ale stało się dla niego jasne, że Bielińska zleciła obserwację Karłowicza. I o tym też go nie uprzedziła.

Grymas niewyobrażalnego bólu i rozczarowania wykrzywił nieładną twarz Klary Balewicz. Opuszką palca dotknęła daty w rogu zdjęcia.

– To z wczoraj – szepnęła. – Jest śliczna. Kim ona jest?

– Udało się nam dowiedzieć, że to kobieta, z którą spotykał się przed poznaniem pani. Najwyraźniej to się wciąż nie skończyło.

Zapadła cisza. Klara Balewicz przygarbiła się, wpatrywała się w zdjęcie i tylko bezgłośnie poruszała ustami. Kruk usiłował przeczytać coś z ruchu jej warg. Bez powodzenia.

– O której godzinie świadek widział Eryka tego dnia, który panią interesuje? – spytała Klara. Usta miała zbielełe i zacięte.

– Krótko przed dziewiętnastą.

– W środę nie doszło między nami do zbliżenia. Eryk przyszedł, zjadł krewetki, powiedział, że nie jest w nastroju i wyszedł. Był zmęczony, ostatnio cały czas jest zmęczony. Spędził u mnie niewiele więcej niż pół godziny. Jakbym prowadziła stołówkę.

– Wcześniej mówiła pani...

– Wiem, co mówiłam. Chciałam być lojalna i go chronić, ale teraz uważam, że nie muszę.

– Przed czym chronić?

– Nie wiem, czego od niego chcecie, ale przecież wiem, że to nic dobrego. Nasze spotkania nie są udane. Przecież widzę, że jest ze mną na siłę. Miewam fantazje, jak chciałabym, żeby układało się między nami, i jedną z takich fantazji opowiedziałam przed chwilą pani.

Bielińska spojrzała w lustro weneckie. Kruk ostrzegawczo pokręcił głową. Nie idź tą drogą, powiedział cicho.

Kryśka go nie słyszała i nie widziała.

Odwróciła wzrok i zadała Klarze pytanie o inną datę ze swojej listy.

Klara Balewicz pozwoliła o sobie zapomnieć jedynie przez cztery godziny. Bielińska odebrała od niej telefon i chwilę rozmawiały.

– Jej szef nie pojawił się dziś w pracy – powiedziała w przestrzeń.

Byli w trójkę w konferencyjnym. Bielińska, Zych i Kruk. Ona rozłożyła na stole jakieś śmieci i reklamówkę z Lidla. Przeglądała to, referując, czego się dowiedzieli, i usiłowała przekonać ich do swoich racji.

– Mulicki nie odbiera telefonów i nie oddzwania, zostawiając ją samą na pastwę wierzycieli firmy. Balewicz się niepokoi. Skontaktowała się z firmą ochroniarską, którą wynajął. Powiedzieli, że dziś o dziewiątej trzydzieści podziękował im za współpracę.

– Mamy kolejne zaginięcie? – spytał Marcin i spojrzał na Kruka.

– Powinniśmy byli dać mu jednak ochronę – powiedziała Bielińska. – Zrezygnowaliśmy, bo sam się tym zajął, i to był błąd.

– Oni wszyscy jechali gdzieś z własnej woli – powiedział Kruk. – Z tego powodu każda próba ich ochrony skazana była na niepowodzenie.

– To, co robisz, to nieudolna próba usprawiedliwienia się – powiedziała ostro Bielińska. – I niepodejmowania działań.

– A co mogliśmy zrobić? Twój pomysł z obserwacją śmietnika na Jabłońskiego nie był najgorszy, ale nic by nam nie dał. Bo sprawca robi teatr, ale jest ostrożny. Za pierwszym razem dostaliśmy całe przedstawienie, bo miał warunki, aby je spokojnie ustawić. Za

drugim razem ograniczył się do małej przesyłki i zdjęcia. Wielkie przedstawienie nie było mu już do niczego potrzebne. Tym razem możemy nawet nie odnaleźć ciała.

– Kurwa mać – warknęła Bielińska. Była zła, zdaje się, że na siebie.

Podniosła i upuściła na stół kartonowe opakowanie po jakiejś żarówce. Wzięła do ręki pogniecioną ulotkę restauracji z dostawą na wynos.

– Tym razem? – spytał Marcin.

– Spekulacje. – Bielińska pokręciła głową. – Sławek spekuluje.

– Oczywiście, że spekulacje – zgodził się Kruk. – A niby co my cały czas tu robimy?

– Nie popełnimy błędu jak z Brandtem. Póki ja prowadzę śledztwo – spojrzała na Marcina – wszystkie siły rzucam na próbę odnalezienia Mulickiego.

– Może facet gdzieś się zaszył i chce, żeby dać mu spokój – zasugerował Kruk.

– Może. – Głos Bielińskiej był ostry. – A my mu nie damy spokoju.

– Co sądzisz? – Kruk zwrócił się do Marcina.

– Do roboty – warknął Zych i wyszedł.

Bielińska z westchnieniem włożyła śmieci do reklamówki.

– Co to jest? – spytał Kruk.

– Karłowicz pojechał dziś rano na Jabłońskiego. Poszedł do tej altany śmietnikowej, gdzie znaleźliśmy Woronowicza, aby wrzucić to do pojemnika na odpady. Nasz człowiek wypatrzył, co niesie w rękach, i to wygrzebał, gdy Karłowicz odjechał.

Kruk zastanowił się, po co Karłowicz miałby to robić.

Po Bielińskiej widział, że też nie wiedziała.

To musiał być pozór. Może powinni byli przetrząsnąć wszystkie pojemniki. Szukając, w morzu odpadków... czego?

Może powinni byli mieć jednak śmietnik pod stałą obserwacją, tak jak od początku chciała Krystyna.

A on, wtedy jeszcze przy władzy, się sprzeciwił.

70

Dom Mulickiego był zamknięty na głucho, ani on, ani jego żona nie odbierali telefonów. Ona w końcu oddzwoniła. Od dwóch dni mieszkała w hotelu Hanza nad Motławą. Informację tę przekazano telefonicznie Bielińskiej, która właśnie dokonywała przeszukania w biurach Trustu.

Bielińska miała ze sobą trzech mundurowych oraz technika, Maszyńskiego i Kruka, ale sama aktywnie uczestniczyła w czynnościach. Zdaje się, że najbardziej ufała sobie.

– Kruk – powiedziała, chowając telefon. – Jedź do Hanzy, zabierzesz stamtąd Michalinę Mulicką i podrzucisz do domu. Poczekacie tam, rozejrzysz się. Jak tu skończymy, dołączymy do was.

Komisarz podniósł się z klęczek, bo właśnie sprawdzał najniższą półkę regału z aktami. Szukali tego, co zawsze w takich sytuacjach. Czegoś, co mogłoby dać im wskazówkę co do miejsca pobytu zaginionej osoby.

– Mam robić za szofera?

– Prosiła, żebyś ty po nią przyjechał. – Bielińska twarz miała nieprzeniknioną. – Zostawiła mężowi swój samochód. Zdaje się, że zostawiła mu wszystko, co od niego dostała. Przynajmniej zostały jej klucze do domu.

– W mieście zabrakło taksówek?

Bielińska podeszła do niego i długą, bardzo długą, zdecydowanie zbyt długą chwilę wpatrywała się w jego oczy. Gdzieś w głębi jej oczu wychwytał coś jakby smutek.

– Po co ten cyrk? Aż się palisz, by po nią jechać.

Ściągnął lateksowe rękawiczki. Wzruszył ramionami.

– No to jadę – mruknął.

Michalina Mulicka czekała na niego przed hotelem. Miała na sobie lekki jasny płaszcz, a pod nim jeszcze lżejszą bluzkę. Wiatr znad rzeki szarpał rozpuszczonymi włosami, a jej było wszystko jedno i trzymała ręce w kieszeniach. Wymienili zdawkowe uprzejmości, przeszli do samochodu.

– Dopiero gdy zatrudnił ochroniarzy, dowiedziałam się wszystkiego – odezwała się, gdy ruszyli.

– Lepiej późno niż później – odparł Kruk.

– Rzuciłam w niego obrączką. Wyrzuciłam do kosza na śmieci całą biżuterię, jaką od niego dostałam. – Spojrzała szybko na Kruka, po czym odwróciła wzrok. – Przeprowadziłam się do hotelu, żeby sobie wszystko przemyśleć.

Kruk się nie odezwał i ona też już nie. Gdy po półgodzinie jazdy podjechali pod dom, Bielińskiej i ekipy jeszcze nie było. Mulicka otworzyła drzwi i weszła pierwsza. W holu zdjęła płaszcz i wskazała Krukowi wejście do salonu. Sama ruszyła do kuchni, żeby zaparzyć kawę, a może żeby wyjąć pierścionki ze śmietnika, jeśli jeszcze tam tkwiły. Krukowi było wszystko jedno, co zamierzała zrobić. Nie zatrzymywał jej.

Wszedł do salonu pogrążonego w ciszy. Przez ogromne, sięgające podłogi okna popołudniowe słońce wlewało się do wnętrza, kładło jasnymi smugami na ścianach, parkietach, meblach. Kruk podszedł do drzwi balkonowych i wyjrzał na ogród. Wyglądał ładnie. Przespacerował się po pokoju. Zajrzał do kilku szuflad, natrafił na samsunga w skórzanym etui.

Dokładnie takiego, jakiego używał Mulicki.

Odłączona bateria leżała obok telefonu.

Bielińska już przed godziną zdobyła billingi i ostatnie lokalizacje telefonu Mulickiego. Jego aparat umilkł właśnie w domu, kilka minut po trwającej trzy minuty pięćdziesiąt sekund rozmowie telefonicznej z numerem, który zidentyfikowano jako numer Eryka Karłowicza.

A leżał sobie spokojnie tutaj. Mulicki, w odróżnieniu od współników, nie tylko wyłączył telefon, ale go nie zabrał ze sobą.

Kruk założył lateksowe rękawiczki. Z kuchni doszedł go dźwięk uruchamianego ekspresu. Z kieszeni kurtki wyjął plastikową torebkę na dowody, wsunął do niej samsunga i baterię, po czym włożył torebkę do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Usiadł na kanapie i czekał na Mulicką. Przyszła z kawą na srebrnej tacy i na widok rozpartego wygodnie Kruka zatrzepotała rzęsami, aby pokryć zdziwienie. Może sądziła, że będzie ze szkłem powiększającym w ręce węszyć i szukać śladów.

– Nie wiem, co zrobić – powiedziała, podając mu filiżankę. – Nie mogę z nim zostać, ale to jedyne, co wiem. Niczego więcej nie jestem pewna.

– Istnieje możliwość, że problem rozwiąże się sam.

Nie zrozumiała, a przynajmniej nie zrozumiała od razu. Gdy sens słów Kruka do niej dotarł, wzdrygnęła się. Drżącą ręką uniosła filiżankę do ust.

– Podejrzewacie, co mogło się z nim stać? – spytała.

– Robimy, co w ludzkiej mocy, by go odnaleźć. – Kruk przeciągnął się leniwie, upił kawy, odstawił filiżankę na spodeczek. Było mu przyjemnie. Z żalem pomyślał o chwili, kiedy nadjedzie Bielińska z ekipą i zburzą mu nastrój beztroski.

– Właśnie widzę.

– Nic pani nie widzi. Jest pani kobietą, która wyszła za mąż za Karola Mulickiego.

Uniosła wzrok.

– On pana nie obchodzi, prawda? Jest panu wszystko jedno, co się z nim stanie.

– A panią obchodzi? Jest pani także kobietą, która od niego odeszła.

– Wyprowadziłam się do hotelu, lecz wciąż nie wiem, co dalej. Nie mogłam się tak pomylić w ocenie człowieka. Karol, którego poznałam, to inny człowiek niż ten, który zrobił tę straszną rzecz.

– Jaką rzecz? – spytał Kruk od niechcena.

– Jego pierwsza żona też się musiała dowiedzieć, dlatego odeszła. A on tak bardzo starał się jej udowodnić, że się zmienił. Było mi go żal, że został tak przez nią potraktowany, a teraz sama zachowuję się identycznie.

– Byłbym rozczarowany, gdyby zachowała się pani inaczej.

– Nie mogłabym żyć, gdyby się pan mną rozczarował.

– Nie chodzi o mnie, tylko o panią.

– Pan nie rozumie, ile on zrobił dla ludzi. Widziałam rozświetlone twarze rodziców, którzy otrzymywali od niego w prezencie nadzieję. Wie pan, czym jest nadzieja dla kogoś, komu umiera na rękach dziecko? Nie można udawać, że tego nie było.

– Może ma pani rację i pani mąż to święty.

Jej oczy zalśniły. Zobaczył w nich niechęć, niewykluczone, że nienawiść. Kruk nie brał tego do siebie. Jej świat się zawalił, ale nie sądził, że pozostanie pogrzebana pod jego gruzami. Była na to zbyt pełna życia. Wyprowadziła się od Mulickiego, gdy tylko się dowiedziała. Zachowała się jak ktoś, kto dotknął rozpalonego piekarnika i natychmiast cofnął rękę. A więc głęboko w sobie miała odruch moralny, który mówił o niej więcej, niż chciałaby przyznać.

Usłyszeli nadjeżdżające samochody. Zadzwiezczał dzwonek domofonu i Mulicka poszła otworzyć. Wróciła z Bielińską, za którą podążała reszta ekipy oględzinowej. Bielińska spojrzała na stół, na filiżanki i kawę.

– Przeprowadziłeś jakieś czynności? – spytała Kruka.

– Piliśmy kawę.

– Dopij ją, proszę, tylko bez pośpiechu, żebyś nie poparzył sobie ust. A potem pomóż nam z łaski swojej. Zaczynamy.

Trzy i pół godziny później ekipa opuszczała dom Mulickich z poczuciem porażki. Tak w biurze, jak i w domu nie znaleźli nic, co by im pomogło. Mulicka poprosiła Kruka, by odwiózł ją do hotelu. Nie chciała zostawać w domu sama.

W drodze milczała.

Gdy dotarli na miejsce, poczuł pewność, że ona zaprosi go do hotelowego pokoju. Nie zrobiła tego. Patrzył za nią, jak idzie chodnikiem, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

Kruk powoli wjechał swoją toyotą na podziemny parking pod Galerią Przymorze. Minęła dwudziesta pierwsza, ludzi i samochodów pozostawało wciąż sporo, ale to miejsce parkingowe, które Kruka interesowało, było dla osób robiących zakupy mało atrakcyjne, więc o tej porze, poza godzinami szczytu, stało wolne.

Parking miał kilka zalet. Po pierwsze, był ogólnodostępny, blisko mieszkania Kruka, i komisarz mógł wjeżdżać tu i wyjeżdżać, kiedy chciał. Po drugie, do miejsca, w którym Kruk zaparkował, nie docierał sygnał telefonii komórkowej żadnego z operatorów. Ta przestrzeń była pod tym względem bardziej martwa niż czarna dziura. Po trzecie, Kruk korzystał już z tego miejsca kilka razy. Miał je sprawdzone.

Ostrożności nigdy za wiele.

Założył lateksowe rękawiczki i wyciągnął z kieszeni plastikową torebkę z komórką Mulickiego. Ostrożnie wyjął kartę SIM z urządzenia. Podłączył baterię i uruchomił telefon. Wbił PIN.

Przez następną godzinę Kruk studiował zawartość telefonu. Z kim i kiedy Mulicki rozmawiał. Jakie notatki robił, co zapisywał w kalendarzu. Jakie strony internetowe przeglądał. Wszystko to

niewiele mu dało. Kruk zniechęcił się i niemal przegapił prawdziwą bombę.

To połączenie z Karłowiczem, na moment przed wyłączeniem telefonu i zniknięciem Mulickiego. Była przy nim mała ikonka. Kruk kliknął w nią i został przeniesiony do folderu z plikiem dźwiękowym opatrzonym datą i godziną utworzenia.

Mulicki nagrał swoją ostatnią rozmowę.

Kruk uruchomił odtwarzanie.

72

Gdy następnego ranka Mulicki wciąż pozostawał zaginiony, zaczęło to wyglądać poważnie.

Bielińska postawiła na nogi policję z połowy miasta, a może nawet całą. Przeglądano zapisy miejskiego monitoringu, usiłując wyznaczyć przypuszczalną trasę, jaką pokonał Mulicki, gdy opuścił dom, albo przynajmniej wskazać kierunek. Analizowano wyciągi i logowania jego komórki z ostatnich dni, starając się znaleźć w nich jakiś wzór, który naprowadziłby policję na ślad. Dano ogłoszenia do mediów. Rozmawiano z ludźmi, którzy go znali. Nie odstępowano na krok Eryka Karłowicza.

Kruk dowiedział się, że Bielińska starała się o podsłuch na telefonie Karłowicza, ale wciąż nie dostała zgody.

Karłowicz miał alibi na czas, w którym zniknął Mulicki. Po telefonie do Mulickiego pojechał do pracy, gdzie widziała go cała masa ludzi. Pośród nich prowadzący obserwację policjanci.

Wykonywano robotę, jakiej nie robiło się, gdy zaginął niejeden dobry człowiek. Kruk nie uważał, że to sprawiedliwe.

Bielińska goniła wszystkich, których mogła, ale Kruka ruszała delikatnie. Było trzy zero, a ona nie podejmowała wobec niego gwałtownych kroków.

Komisarz był ciekaw, czemu to zawdzięczał.

Gdy w końcu zamknęła się w swoim pokoju na komendzie, cichutko zapukał, a gdy nie otrzymał zaproszenia, sam się zaprosił. Jeszcze ciszej wszedł i usiadł naprzeciwko Krystyny. Siedziała, opierając głowę na rękach. Była blada i wyczerpana.

– Czemu tak się przejmujesz? – spytał.

– Czemu ty nie?

Miała zachrypnięty głos.

– Daj spokój, Krysiu.

– Nie, nie dam spokoju. Chcę go znaleźć. Żywego. – Nabrała powietrza w płuca, ale nagle straciła całą energię i wyszeptała: – Rozumiesz?

Kruk wzruszył ramionami. Telefon Mulickiego w wewnętrznej kieszeni marynarki zrobił się bardzo ciężki.

– Marne szanse.

– Co robię źle? Co ty byś zrobił, gdybyś chciał go znaleźć?

– Nie obwiniaj się, to nie był twój pomysł, żeby zrezygnował z ochrony. *Volenti non fit iniuria.*

– Nie pasuje – powiedziała.

– Co?

– Cytat. Ten cytat tu nie pasuje.

Zaciskała pięści. Czerwone paznokcie były przeszłością. Próba powrotu do życia, która skończyła się szybciej niż tamta noc, kiedy do niego przyszła.

Kruk poczuł się winny.

– Wygląda na to – powiedział – że przed zniknięciem każdy z nich gdzieś pojechał. Sam, wyłączając komórkę.

Uniosła twarz, wpatrując się w niego z nadzieją. Zrobiło mu się jej żal. Przerabiali to już po zniknięciu Brandta.

– Woronowicz – powiedział Kruk – miał prawo dać się zaskoczyć. Brandt powinien być bardziej ostrożny, a najwyraźniej nie był. Mulicki... Załóżmy, że podzieli los pozostałych. On powinien być wyczulony na zagrożenie. Sam go uprzedzałem. Czemu nie był?

– Gdybym dostała podsłuch od razu, gdy o niego wystąpiłam... Czemu to wszystko tak długo trwa? Tak bardzo bym chciała słyszeć, o czym Mulicki rozmawiał z Karłowiczem, ta rozmowa mogła być kluczowa.

– Przesłuchasz Karłowicza?

– Jeśli nie będę miała innego wyjścia. Na razie nie chcę, żeby wiedział, jak bardzo się nim interesujemy.

– Myślisz, że ma coś wspólnego z tym zniknięciem?

– Ty masz wątpliwości?

– Ma alibi.

– Tym razem.

– Na pozostałe interesujące nas daty też ma alibi.

Spokojnie pokręciła głową.

– Klara Balewicz zaprzecza.

– Kłamie. To ten typ świadka, który – gdy się go mocniej przyciśnie – nie doprowadzi cię do prawdy, ale tam, gdzie chcesz.

– Próbujesz mnie przekonać, że dlatego nie naciskałeś?

– Świetnie wiesz, że ona kłamie. Nie jesteś głupia.

– Niczego nie wiem świetnie, tak jak i ty nie wiesz. Żadne z nas nie potrafi czytać w myślach innych ludzi. Wolno nam mieć podejrzenia i sprawdzać to, nawet jeśli nie podoba nam się sposób, w jaki to robimy. Bo wiesz, co jest stawką? – Nie odpowiedział, więc sama sobie odpowiedziała: – Życie człowieka.

– Troszczysz się o Mulickiego, bardzo ładnie.

– Tu nie chodzi o troskę, Sławek. Tu chodzi o nas. O ciebie i mnie. O to, kim jesteśmy.

– No to kim jesteśmy?

– Policjantami. Ludźmi, którzy służą innym. Nie oceniają, nie wydają wyroków, tylko służą. Chronią. Każdego, czy na to zasługuje, czy nie. Każdego, Sławek.

Kruk puścił to mimo uszu.

– Troszczysz się o niego bardziej, niż zrobił to on sam. Zastanów się, gdzie i dlaczego polazł? Jak złapać starego, doświadczonego, okrutnego szczura w pułapkę, której musiał się przecież spodziewać?

– To człowiek.

Kruk machnął ręką. Bielińska na twarzy miała udrękę.

– Mulicki może już nie żyć – powiedziała cicho. – Ale jeśli żyje, Karłowicz może nas do niego doprowadzić. Chyba że...

– Co, Krysiu?

– Chyba że jest ktoś jeszcze. W takim przypadku zeznania Klary Balewicz mogą okazać się bardzo pomocne.

Kruk wreszcie zrozumiał, o co jej chodziło. Kiedy zacznie przyciskać Karłowicza, uzmysłowi mu, że nie ma alibi. Chyba szukała czegoś, czym mogłaby go zmusić do współpracy.

– A więc nie powiesz mi, co ty byś zrobił?

– Pewnie coś, co by się nie spodobało nikomu, kto chce mieć czyste ręce.

Skinęła głową, jakby to jej wystarczyło. Kruka zaniepokoiło to skinięcie. W oczach miała postanowienie.

A więc wiedziała, co ma zrobić, może już to robiła. Szukała jedynie rozgrzeszenia.

73

Karol Mulicki uniósł głowę w ciemności i oblizał spierzchnięte usta.

Ile czasu minęło?

Miał świadomość, że w pewnym momencie zasnął, ale nie potrafił oszacować, na jak długo. Czy minęła już noc? A może wciąż jeszcze trwała. Pomieszczenie nie miało okien, a spod grubych, stalowych wzmocnianych drzwi nie dochodziło najśłabsze światło. Za nimi był krótki korytarz i drugie drzwi. Dopiero dalej były schody, wewnątrz z oknami, a za nimi świat, który milczał. Mijały godziny, a nikt tu nie przyszedł. Dlaczego nikt go nie szukał, nie przyszedł i wciąż nie przychodził?

Zadygotał z zimna. Wciągnął powietrze, wdychając zapach pleśni, krwi i ekskrementów, także jego własnych. Zwłoki Krystiana leżały pod ścianą posypane wapnem i niedokładnie zamknięte w foliowym worku, a zapach przenikał przez nieszczelności, przez worek, rozlewał się wokół, wsiąkał w ściany, w skórę Mulickiego, który czuł

obrzydzenie, jakby fizycznie dotykał zmarłego. Powietrze było wilgotne i ostre, niemal bolesne dla płuc.

Ten smród był najgorszy, nie mógł go znieść. Z całych sił, kilkakrotnie uderzył pięściami w drzwi. Miał już od tego pokrwawione ręce. Dwukrotnie kopnął stalowe skrzydło, jakby to mogło cokolwiek zmienić, ale zaczynał tracić siły. Przykucnął i wymacał na posadzce ten stalowy wkrętak, którym od wielu godzin usiłował odgiąć blachę przy głównym zamku. Wkrętak zostawiał rysy, które Mulicki czuł pod palcami, ale nie mógł uczynić większej szkody drzwiom. Należało wręcz uważać, żeby go nie złamać.

Wycieńczony usiadł na zimnej posadzce i oparł się o drzwi plecami. W oczach miał rozbłyski od wysiłku i od sposobu, w którym jego mózg radził sobie z kompletną ciemnością.

Smród. Wciąż ten smród. Gęsty, niemal namacalny.

Karol Mulicki chciał stąd wyjść, wydostać się na światło, pragnął, żeby to się skończyło.

Z całej siły uderzył tyłem głowy o stalową blachę drzwi.

Nikt go nie szukał i odpowiedzią był głuchy pogłos.

74

Kruk nieśpiesznie prowadził samochód krajową siódemką w kierunku Warszawy. Ruch był spory, ale większość aut zjeżdżała

do portu, gdy więc minął węzeł Gdańsk Port, znacznie się rozluźniło. Przejechał obok tablicy „Gdańsk Wschód 2000 m” i jeszcze zwolnił, przez co od razu wyprzedziło go kilka samochodów.

Wkrótce po lewej stronie drogi, w niedużej od niej odległości, dostrzegł biegnącą równolegle wąską starą drogę, a przy niej dwa brzydkie budynki. Jeden z nich był żółty. O tym miejscu rozmawiali przez telefon Karłowicz z Mulickim.

Przejechał pod wiaduktem, którym, jak wskazywały Mapy Google'a, przechodziła ponad siódmką ulica Jesionowa. Potem był dużo większy, nowocześniejszy wiadukt i węzeł Gdańsk Wschód, na którym Kruk zawrócił.

Jadąc S7 z powrotem w kierunku Gdańska, bliżej przyjrzał się budynkom. Posesja wyglądała na zapuszczoną. Budynki były ogrodzone, a plac wokół nich utwardzony betonowymi płytami. Krukowi udało się dostrzec tabliczkę firmy ochroniarskiej Lima.

Minął budynki i przyśpieszył. Chciał po prostu zobaczyć to miejsce i je zobaczyć.

Stojąc w korku przy zjeździe na obwodnicę Trójmiasta, wpisał w Google'a „lima ochrona gdansk”. Przeskrolował wyniki. Taka firma nie istniała, tabliczka miała odstraszać, ale posesja nie była chroniona.

Może nie jest za późno, pomyślał. Może da się jeszcze coś zrobić.

Ale nie zawrócił. Musiał spotkać się z Karłowiczem. Spojrzeć mu w oczy. Upewnić siebie samego, że postępuje właściwie.

Zamyślony podjechał pod siedzibę Cendrowski Investments SA, gdzie pracował Karłowicz. Na parkingu rozejrzał się, czy gdzieś nie zauważy samochodu z policyjnymi tajniakami, którzy obserwowali Karłowicza. Dostrzegł czarne audi A6, a w nim dwóch facetów z cholernie smutnymi minami.

W pierwszym momencie Kruk pomyślał, że te miny stąd, że Karłowicz się urwał, w drugim komisarz już wiedział, że w samochodzie nie siedzą policjanci. Wyciągnął legitymację z odznaką i zapukał w okno audi.

Szyba grzecznie zjechała w dół. Czarnowłosa, silnie zbudowany i chorobliwie blady mężczyzna siedzący za kierownicą spojrzał na Kruka wzrokiem bez wyrazu.

– Poproszę o prawo jazdy i dowód rejestracyjny pojazdu.

Kierowca bez słowa podał Krukowi papiery. Nazywał się Leszek Kordel, ale samochód nie należał do niego.

– Co panowie tu robią?

– Właśnie mieliśmy odjechać.

– Ale wróćcie?

Kordel wzruszył ramionami. Kruk nachylił się, żeby lepiej widzieć drugiego. Wielki spaślak, równie blady jak kolega. Mocno się pocił.

– Jak by tu pilnie pogadać z Brychanem – w zadumie rzucił Kruk.

– Nie znam – odezwał się spaślak. Miał piskliwy głos.

– To błąd. Brychana warto znać. Zwłaszcza gdy siedzi się w jego wozie.

– Pana Brychana – odezwał się spaślak.

Kruk podał Kordelowi swoją wizytówkę.

– Do widzenia.

Audi odjechało. Kruk wrócił do swojej toyoty. Zastanawiał się, czy ktoś zadzwoni.

Zadzwonił. Nieznany numer.

– Nazywam się Brychan.

– Możemy się spotkać?

– Za dwadzieścia minut będę w Metropolii w kawiarni przy wejściu.

Uprzejmy facet. Kruk pojawił się pierwszy, zajął miejsce przy oknie, skąd miał dobry widok na ulicę. Brychan przyjechał punktualnie wielkim eleganckim granatowym peugeotem, Kruk widział go, jak wjeżdża na parking. Wszedł do lokalu, przywitał się z Krukiem i nie zamówił niczego.

– O czym będziemy rozmawiać?

– O kim. Maksymilian Nawajski.

– Kto to?

– Niedawno w pewnym lokalu przysiadł się pan do jego szefowej. Akurat tam byłem i myślałem, że chce ją pan wyrwać, ale po wizycie u Nawajskiego w mieszkaniu już tak nie myślę.

– Wspominał o mnie? – Brychan uprzejmie się zdziwił.

– Ani słowem. Ale to człowiek pozbawiony kontroli nad sobą, który wyprzedał wszystko, co posiadał. Spotykałem już takich.

– Do jakich wniosków pan doszedł?

– Obecność pana w jego życiu każe mi podejrzewać, że to nałogowy hazardzista.

– Interesujący wniosek.

– Pomyślałem, że pańskie spotkanie z jego szefową może nie było przypadkowe. Za dużo przegrał u pana i wchodzi mu pan na pobory?

Brychan się zamyślił.

– Faktycznie, jest winien mi pewną kwotę.

– Ile?

– Chce pan mnie spłacić? Ilekolwiek to jest, to kwota i tak niewielka wobec jego rozdętych aspiracji. Pan Nawajski jest marzycielem: jeden szczęśliwy dzień i całkiem się odbije, spłaci długi i jeszcze zostanie mu mała fortuna. A wtedy ciepłe kraje, kobiety w sukienkach z liści i drinki z palemką. Tylko jeden

szczęśliwy dzień. Każdego z nich dzieli od pełni szczęścia tylko ten jeden dzień.

Kruk pozwolił mu się wygadać i ponowił pytanie:

– Ile?

– Dwieście dwadzieścia tysięcy.

– Pozwolił mu pan się na tyle zadłużyć?

– Pan Nawajski świetnie zarabia.

– Dlaczego pan się odsłania, panie Brychan?

– Panie komisarzu – uśmiechnął się starszy mężczyzna. – Lubię wiedzieć, co się wokół mnie dzieje. Choćby po to, żeby kiedy będę musiał rozmawiać z oficerem policji, który prowadzi sprawę dwóch morderstw, nie być małostkowym i nie utrudniać, udając, że zajmuję się hodowlą chomików.

– Dziękuję.

– Od morderstw wolę być trzymany z daleka. Woronowicz i Brandt, kto ich tak urządził?

– Znał ich pan?

– Czasem mam wrażenie, że znam każdego człowieka w mieście.

Lata temu nasze drogi się przecięły.

– Robił pan z nimi interesy?

– Nie moja bajka.

– Dlaczego?

– Balansowali na granicy prawa, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

Kruk rozumiał. To było ładne określenie na bardzo nielegalną działalność.

– Ale to nie dlatego ich pan nie lubił?

– Byli jak sekta. Ufali wyłącznie sobie, skupieni całkowicie na interesach. Tych dwóch nie znałem osobiście, spotkałem się kilka razy z Mulickim, pohandlowaliśmy tym i owym, ale to tyle.

A wracając do pana Nawajskiego, mogę umorzyć mu dług, to niewielka kwota. Chętnie wyświadczę panu przysługę.

Brychan miał grzeczny wyraz twarzy. Ostatnią rzeczą, jaką Kruk chciał, to być winnym przysługę temu człowiekowi.

– Długi należy spłacać – powiedział.

Brychan zaplótł przed sobą palce. Jasnobłękitne mankiety ze złotymi spinkami wystawały spod granatowej marynarki. Bransoleta ogromnego zegarka, niczym tłusty złoty robal, opasywała lewy nadgarstek.

– Słusznie.

– A jeśli pan Nawajski nie będzie płacił, może pan wykonać jakieś kroki prawne.

– Bez wątpienia wykonam jakieś kroki.

– Polubiłem faceta, poczęstował mnie papierosem. Wpadnę do niego czasem zapytać o zdrowie.

Ani jeden miękuł nie drgnął na twarzy Brychana.

– Będę dbał o zdrowie Maksa jak o własne.

– Proszę także nie niepokoić pani Dominiki Woli-Karłowicz.

– Też dała panu fajkę?

Kruk uśmiechnął się do niego świetliście.

Lubił, jak tacy uładzeni cwaniacy tracili sztuczną pozę i zaczynały wypęłzać na powierzchnię zakłęte w nich buce.

– Maks Nawajski ma za sobą życzliwych ludzi i mógł być zasobnym człowiekiem – powiedział Brychan, znowu nienagannie uprzejmy. – Tylko że jest w nim coś, co go zżera od środka, co prowadzi do uzależnienia. Przegrał wszystko, co posiadał, zresztą nie pierwszy raz. Wtedy, gdy pan nas widział w lokalu, Dominika obiecała, że spłaci jego długi pod jednym warunkiem.

– Tak?

– Jeśli nie pozwolę Maksowi więcej u siebie grać.

- Zgodził się pan?
- Jego pragnienie gry jest żywe. Nie pójdzie do mnie, pójdzie gdzieś indziej. Trudny wybór.
- Pańscy ludzie na parkingu pod firmą czekali na nią?
- Na niego – odparł Brychan nieskrępowany tym, że rozmawia z policjantem.
- Od niej wara – rzekł Kruk.
- Brychan podniósł się i spojrzał na Kruka chłodno.
- Wara od niej, wara od niego, a długi się same nie spłacą. Niech pan tak lekko nie szasta moimi pieniędzmi, komisarzu.

75

Kruk wrócił na komendę i chciał się widzieć z Bielińską. Nie odbierała telefonu, ale Zych mu powiedział, że przyjmuje zeznania świadka w pokoju przesłuchań. Kruk poszedł za lustro weneckie. Bielińska siedziała naprzeciw mężczyzny lat około trzydziestu pięciu, z blond włosami, które wyglądały jak tlenione. Blondyn bardzo się denerwował.

- W czerwcu tego roku Eryk przyszedł do mnie z propozycją.
- Eryk Karłowicz?
- Tak. Zamierzał podesłać mi klientów. Mieli poważne problemy, trzeba było zorganizować im finansowanie, znaleźć okazijną

transakcję i namówić, żeby w to weszli. – Mężczyzna rozcapierzał palce obu rąk i pocierał nerwowo dłońmi. – Miałem to wszystko zrobić, a potem zadbać, żeby stracili wszystko.

To musiał być Waldemar Strych. Kruk był pod wrażeniem jego wylewności. Usiadł i słuchał.

– Dlaczego tego chciał? – spytała Bielińska.

– Żebyśmy mogli zarobić.

– Udało się?

– Tak.

– Ile zarobiliście?

– Transakcja opiewała na sześć milionów. Grecy ponosili koszty, więc wzięli czwórkę. Nam zostało po milionie.

– Nie za mało?

– Też tak pomyślałem, ale Eryk nalegał. Mówił, że to łatwy pieniądz, a faceci są zdesperowani i będą mi ufać, bo myślą, że mam błogosławieństwo Daniela Cendrowskiego.

– Karłowicz robił już coś takiego?

– Namawiałem go na różne rzeczy od lat, ale on nigdy nie chciał się zgodzić. Gdy sam do mnie się zwrócił i w dodatku nalegał, pomyślałem, że musi wiedzieć, co robi. Ten facet z Trustu, z którym załatwiałem sprawy, Brandt, nie podobał mi się, ale Eryk zaręczył, że nie będzie problemów.

– Nie było?

Strych oczy miał rozbiegane. Zacisnął zęby.

– Gdy transakcja nie wypaliła, Brandt zaczął mi grozić. Nachodził mnie, opowiadając, jak on i jego kumple zaczynali. Opowiedział mi o napadach na TIR-y, przejmowaniu firm, podpaleniach konkurencji. Chwalił się, że kogoś zabili. Zagroził, że wrócą do dawnych praktyk i zajmą się mną, jeśli nie odzyskają pieniędzy.

– Jak pan zareagował?

– Zaniepokoiłem się. – Pokręcił głową, jakby zniechęcony tym, co powiedział. – Byłem przerażony.

– Co dalej?

– Próbowałem mu tłumaczyć, że wszyscy daliśmy się oszukać i zwrócę im swoją prowizję.

– Powiedział mu pan o Karłowiczu?

– Nie. Pojechałem do Trustu porozmawiać z wszystkimi trzema. Brandt był nieprzejednany, Woronowicz milczał, a Mulicki usiłował znaleźć pokojowe rozwiązanie. Wie pani, gdy ustawialiśmy tę transakcję z Grekami, Mulicki był przeciw, ale go przegłosowali. I teraz też był przeciw temu, co zaproponowałem.

– A co to było?

– Mieli w magazynach cały transport podrabianego śmiecia, zaproponowałem sprzedaż tego wszystkiego za trzydzieści procent firmie utylizacyjnej, która zamiast je zniszczyć, upłynni na rynku. Miałem już wstępne ustalenia ze znajomą firmą z Zabrze. Do podziału były dwa miliony pod stołem. Brandt upierał się, że to za mało, a Mulicki nie chciał w tym uczestniczyć. Stało na tym, że Mulicki zrzekł się swojego udziału, jeśli wezmą pieniądze za podróbki i dadzą mi spokój.

– Dali?

– Brandt pojawił się u mnie pod koniec września. Powiedział, że jestem im winny jeszcze cztery miliony i miałem się śpieszyć, bo naliczy odsetki. Poszedłem z problemem do Eryka, zażądałem pomocy. Eryk nie chciał mnie słuchać, ale zagroziłem, że powiem Brandtowi, że działałem na jego zlecenie. Poprosił mnie wtedy, żebym grał na czas. Kilka dni później zniknął Woronowicz, a potem znaleziono jego zwłoki.

– Co pan pomyślał?

– Że cokolwiek zrobi Brandt, nie pisnę słowa o Eryku. Że będę nadal grał na czas, oddam Brandtowi swoją prowizję w gotówce.

– Miał pan nadzieję, że on też zniknie.

– Nieważne, o co się modliłem, bo modlitwy nie spełniają życzeń.

– Do kogo modlą się oszuści?

Kruk przyglądał się twarzy Bielińskiej. Była blada, zrezygnowana, choć właśnie dostawała cenne informacje na tacy. Ale może chodziło o to, że za łatwo?

– W zeszłym tygodniu, we wtorek, spotkałem się z Brandtem przy obwodnicy. Dałem mu paczkę z pieniędzmi. Tego dnia zniknął.

Facet poprosił o kawę. Bielińska zostawiła go i wyszła z pokoju.

Na korytarzu oddzwoniła do Kruka. Powiedział jej, gdzie jest.

76

Dominika wyjechała do firmy dwie godziny temu, a Eryk wciąż nie wychodził z domu. Sprawdził jej pamiętnik, ale nie było żadnego wpisu. Może już nigdy nie będzie.

Poprzedniego dnia po pracy oboje zachowywali się tak jak zwykle. Dominika przygotowała kolację, on jej pomógł. Wymienili kilka nic nieznaczących słów. Obejrzelili film w telewizji, Eryk nie pamiętał już jaki.

Było tak, jak zapowiadała. Eryk zadzwonił w międzyczasie do Klary, ale nie odebrała. Nie przejął się tym, Klara przestawała mu być potrzebna.

Na ulicy, pod drzewem, parkował czarny opel. Policja w cywilu obserwowała ich dom. Był pewien, że to policja. Podejrzewali go. Wiedzieli, że zrabował Zuzannie Brandt pierścionelek.

Odszedł od okna i usiadł przed laptopem. Zalogował się do Proton Maila. Czekala tam na niego nowa wiadomość, a ikonka spinacza informowała, że posiada załącznik.

Zdjęcie, pomyślał. Mulicki nie żyje. Skończyło się.

Otworzył wiadomość.

Wszedł w pułapkę i miota się tam jak szczur w klatce. Ostatni. Prowodyr.

Dzięki tobie czeka na sprawiedliwość. Czekanie jest dobre dla nas, przerażające dla niego. Na rachunek sumienia każdy musi mieć czas.

Eryk przerwał czytanie. Mulicki żył. Ogarnęła go rozpacz, bo tak jak i Dominika bardzo chciał, żeby wszystko już było skończone i niczego nie dało się cofnąć.

Czas stania z boku się skończył, Eryku. Tym razem ty decydujesz. Znasz adres. Siekierę zostawiłem we wnęce w piwnicznym korytarzu. Użyj jej, jeśli uznajesz go winnym, albo uwolnij go, jeśli dajesz mu prawo żyć.

Ja odchodzę. To ostatnia wiadomość.

Karłowicz przeczytał maila kilkakrotnie, aby odwlec moment otwarcia załącznika. Poczuł pokusę, żeby tego nigdy nie zrobić. Wystarczyło usunąć wiadomość, zapomnieć. Ostatni z nich niech zgnije tam, gdzie jest, a on będzie stał z boku do końca.

Burza przetoczy się jeszcze raz, a on jej nawet nie usłyszy i wszystko na zawsze ucichnie.

Kliknął w załącznik. Oczekiwał zdjęcia i je dostał. Niewyraźne, kiepskiej jakości, wykonane w świetle jarzeniówek.

Ale na zdjęciu nie było tego, czego się spodziewał. Nie było Mulickiego przytroczonego do krzesła i ze śladami tortur na ciele. I to było to samo pomieszczenie, co na poprzednich fotografiach, to samo krzesło, ale puste.

A potem przyjrzał się bliżej i krew uderzyła mu do głowy.

Wstał i podszedł do okna, aby je otworzyć. Potrzebował powietrza. Policyjny samochód na ulicy wciąż stał. Eryk ostatecznie nie otworzył okna, bo poczuł się podwójnie osaczony.

Wrócił do laptopa i ponownie spojrzął na zdjęcie. Na oparciu pustego stalowego krzesła wisiał pierścionek na cienkim sznurku. Eryk nie miał wątpliwości.

To był ten pierścionek.

77

Bielińska stanęła w drzwiach pomieszczenia, gdzie siedział Kruk.

– Feralną transakcję zorganizował Karłowicz – powiedziała. – Mamy pewność.

Usiadła obok i ciężko odetchnęła. Kruk gestem wskazał Strycha, który za lustrem garbił się na krześle.

– Co mu się stało, że składa zeznania?

Bielińska wzruszyła ramionami.

– Poszedł po rozum do głowy.

– Mówiłaś, że nie było w nim woli współpracy.

– Teraz jest.

– Czemu gada? – powtórzył Kruk w zamyśleniu.

– Boi się. Wydaje mu się, że ktoś go obserwuje. W nocy usiłowano przewiercić mu zamek w drzwiach domu. Chce, żeby policja się tym zajęła.

– I policja się zajmie? – Kruk uniósł brwi.

– Pomogę mu.

– Ale dopiero jak wszystkiego się dowiesz?

Bielińska przeniosła na niego zmęczony wzrok.

– Mam zaginionego człowieka, który może stracić życie. Muszę go odnaleźć.

Kruk pokiwał głową. Wyciągnął komórkę.

– Jesteś wykończona. Zadzwońię po Radka, żeby cię zmienił i kontynuował przesłuchanie.

– Zostaw.

– Radek jest niezły, wyciągnie z niego wszystko, co wie.

– Powiedziałam: zostaw – podniosła głos.

Kruk na nią nie patrzył. Był zły.

– Gdzie w ogóle jest Radek?

– W terenie.

– To znaczy?

– Wykonuje czynności. Coś się uparł? Po co ci on?

– Po nic. Po pierwsze, żeby Strych, wychodząc do domu, przypadkiem nie natknął się na niego. Po drugie, bo chcę z nim pogadać.

Bielińska zacisnęła zęby.

– Pogadaj ze mną.

– Koniecznie. Potężnie zbudowany mężczyzna, który stał pod domem Strycha, a wcześniej za nim jeździł... Wysłałaś Radka, by nastraszył Strycha?

Kriss nie poświęciła mu spojrzenia. Nie musiała.

– A niektórzy mówią, że to ja mam główniane metody.

Wreszcie na niego spojrzała. W jej oczach wyczytał smutek, zmęczenie i gniew.

– Żadnej przemocy, Kruk. Powtarzam, że zaginął kolejny człowiek. Chcę odnaleźć go żywego, nie w kawałkach.

Kruk pokręcił głową. Była taka sama jak on, i to go rozdrażniło. Jakby przejrzał się w niej i nie spodobało mu się to, co zobaczył, a przecież Bielińska w porównaniu z nim i tak była subtelna jak dobra wróżka.

– Są zasady, procedury, regulaminy...

– Ty mówisz o regulaminach?

– ...i rzeczy, których pod żadnym pozorem robić nie można.

– Dość.

Kruk nachylił się i chwycił ją za nadgarstek.

– Takich rzeczy nie zleca się podwładnym – warknął. – Podwładnych się nie naraża. Takie rzeczy, jeśli są konieczne, robi się samemu.

– Chcesz, żebym ja... – zaczęła powoli, unosząc wzrok.

– Nie chcę. Wiesz, jak wiele mogło pójść źle? Facet mógł dostać zawału, albo gorzej, mógł mieć w domu broń, wpaść w panikę i Radek miałby przesrane...

– Sprawdziłam, nie ma pozwolenia.

– Bo to mogła być skitrana broń, to też sprawdziłaś? Mógł wmieszać się ktoś przypadkowy, facet mógł zadzwonić po przyjaciół, którzy się nie patyczkują, jakiś policyjny patrol mógł go wypatrzeć...

– Odwal się, Kruk.

– Kurwa, potrzebuję Radka. Chcę zapytać krety, dlaczego się zgodził.

Mierzyli się wzrokiem. Bielińska nachyliła się do Kruka i spojrzała mu prosto w oczy.

– Wiesz, co zamiast tego zrobisz, Kruk?

– Powiedz mi.

– Zacznieś myśleć, jak wykorzystać informacje, do których dotarłam.

– Proszę bardzo, wiemy, dlaczego Brandt opóźnił powiadomienie policji, czemu wymyślił historię o romansie Woronowicza. Nie pasowało mu, by policja węszyła, kiedy w tle unosił się zapach trefnej gotówki. Usiłował to ze wszystkich sił powstrzymać. Zadowolona?

Bielińska skinęła głową.

– Dalej – ponagliła. – Myśl dalej i więcej, Sławek.

78

Wieczór był ponury.

Kruk zapalił wszystkie światła w mieszkaniu i usiadł w kuchni, popijając ze szklanki kranówkę. Potrzebował tych światel, by rozświetlić ogarniający go mrok.

Ludzie wokół niego zabijali innych, odrąbywali im głowy i wysyłali w paczkach. Kruk miał wrażenie, że stoi na zewnątrz i to wszystko go nie dotyczy. Ale to tylko złudzenie. Tak naprawdę stał w samym środku po kostki we krwi. Brodził w niej.

Nie mógł się opędzić od natrętnych obrazów, które wyświetlały mu się w głowie. Zasłużyli, pomyślał. Skończyli tak, jak powinni.

Nie przekonał samego siebie. Zabójca torturował, ćwiartował ciało, podrzucał trupie głowy jak piłki. To było coś wynaturzonego. Kryśka miała rację: zabójcę należało powstrzymać, zdjąć go z ulicy.

On sam zachowywał się tak, jakby wynaturzenia zabójcy nie widział. Bo i nie widział. Nie chciał widzieć.

To jest chore, huczało mu w głowie. Jeśli przymykasz na to oczy, jesteś równie chory, jak ten, kto to robi. To, co się dzieje, to teatr, groteska. Przecież pod skórą czujesz, że prawdziwym motywem nie jest to, co zrobiono przed laty Dominice Woli-Karłowicz. Gra toczy się o pieniądze.

Ale co z tego, że chodzi o pieniądze? Liczy się to, że winni zostaną ukarani.

Głos huczał, nawracał, przekonywał, a Kruk się nie ruszał.

W końcu miał dość. Zjechał windą na dół, wsiadł w samochód i wyjechał spod parkingu pod domem. Minęła dwudziesta druga, ale miasto żyło, zwłaszcza na głównych ulicach. Kruk włączył się do ruchu, aby poczuć się jego częścią. Blask latarni rozpraszał mrok, witryny sklepów zapraszały do wizyty następnego dnia, a więc można było mieć nadzieję, że następny dzień wstanie, jeśli tylko Kruk okaże się dostatecznie twardy, aby tego doczekać.

Zatrzymał samochód na czerwonym świetle. Potężne oliwskie biurowce połyskiwały szklanymi ścianami. Spojrzał w górę, na roziskrzone światła klubu fitness. Tam, za szybami, zmęczeni bywalcy biegli donikąd na nowoczesnych bieżniach.

Światła się zmieniły i samochód ruszył. Kruk włączył radio i przeskakiwał między stacjami. Wybór padł na Program Drugi Polskiego Radia, bo grali tam jazz.

Kruk nie miał celu, nie wiedział, gdzie jedzie, po prostu chciał sunąć przed siebie. W Gdańsku Głównym skręcił na Armii Krajowej i bezmyślnie pociągnął nią aż do obwodnicy. Nie skręcił na Warszawę, pojechał w odwrotnym kierunku, na Gdynię, zjechał w Chwaszczyńską i Wielkopolską, zatoczył w ten sposób łuk i przez Sopot wracał do Gdańska. Może i nie miał celu, ale podejrzewał, gdzie ostatecznie doprowadzi go droga. Znowu na obwodnicę, tym razem w kierunku Warszawy. Znał adres, jako jedyny poznał ten cholerny adres i jego obowiązkiem było to sprawdzić.

Ale jeszcze nie teraz.

Nocna jazda go uspokajała. Miał poczucie, że przed czymś uciekał i doskonale mu się to udawało. Jadąc dostatecznie szybko, można uciec nawet przed sumieniem. Pogłodził radio, aby zagłuszyć myśli. To też był dobry sposób. Na wysokości sopockiego deptaka biło się dwóch ludzi. Kruk zwolnił, ale się nie zatrzymał. Niech się biją, niech się pozabijają, nic go to nie obchodziło.

Opamiętanie przyszło, gdy mijał AWF. Był policjantem, powinien był interweniować. Z wściekłością kilkakrotnie uderzył otwartą dłoń w kierownicę. Nie chciało mu się zawracać.

Podjął decyzję. Pojedzie do Przejazdowa. Miał do wyboru drogę przez miasto albo obwodnicę. Wybrał obwodnicę, zjazd przez Spacerową.

Zadzwoił jego telefon.

– Przepraszam, obudziłam pana?

– Nie.

– Wymeldowałam się z hotelu i wróciłam do domu.

Po głosie poznał, że Michalina Mulicka była trochę pijana. Z jakiegoś powodu Kruk zaciekał się, w którym znajduje się pokoju, co ma na sobie i co pije.

– Proszę się odezwać, jeśli mąż wróci.

– Tak, odezwę się. Na pewno.

Zapadło milczenie. Kruk czekał, aż powie mu, czemu dzwoni.

– Pani Michalino? – Sprawdził, czy ona jeszcze tam jest.

– Tak?

– Wszystko w porządku?

– Nie, nic nie jest w porządku.

Znowu milczenie, ale tym razem wyraźnie słyszał jej oddech. Kruk dojechał do skrzyżowania z ulicą Opata Jacka Rybińskiego i zatrzymał się na czerwonym świetle. Dał kierunkowskaz w prawo.

– Chce pani, żebym przyjechał?

– Dlaczego miałabym chcieć?

No właśnie, dlaczego? Czerwone światło dla jego pasa wciąż się paliło, a kiedy zmieni się na zielone, Kruk pojedzie w kierunku obwodnicy. Obwodnicą mógł równie łatwo dojechać do Przejazdowa, jak i na Osową.

– Niech pan przyjedzie – powiedziała i się rozłączyła.

Światło się zmieniło. Kruk ruszył.

Mógł jechać tam, gdzie – jak sądził – pojechał Mulicki, ale wolał tam, gdzie była jego żona.

W radio puszczała *Crazy Girl* Krzysztofa Komedy.

To był ten wyjątkowy czas przełomu tuż przez północą. Kruk wyglądał na ogród, stojąc w salonie domu Mulickich, podczas gdy gospodyni poszła do kuchni.

Z radia dochodziła przytłumiona muzyka pop. Kruk zmienił stację. W jednej rozpoczynał się właśnie jazzowy kawałek *Wind* Keitha Jarretta. Utwór zaczynał się jak tysiące innych, bezbarwnym, lekko wesołkowanym zestawem dźwięków. Ten wstęp był pułapką dla niewtajemniczonych, zaproszeniem do dalszego przełączania między stacjami, ale Kruk wiedział lepiej. Bo wstęp szybko się kończył, gasnąc w ciszy, a potem zaczynała się Muzyka przez wielkie „M”. Kruk zapomniał, gdzie jest, zapomniał o Michalinie Mulickiej, i się zasłuchał.

Gdy wróciła, niosła dwie wysokie szklanki bez uchwytów do połowy wypełnione pokruszonym lodem. Podeszła do barku i zrobiła jakieś mieszańce. Lała dużo wódki, zwłaszcza do jednej szklanki. Kruk myślał, że on dostanie tę szklankę, ale nic z tego, wzięła ją sobie.

– Zobaczmy, co z tego wyszło – powiedziała, od razu wlewając w siebie duży łyk. Skrzywiła się. – Robię fatalne drinki.

Kruk podziękował, udał, że też sporo upija, ale łyknął niewiele.

– Oszukujesz – powiedziała Mulicka.

W ten oto gładki sposób przeszli na ty. Kruk odsunął się od radia i usiadł. *Wind* Jarretta się kończył.

– To jakiś egzamin?

– Pijemy.

– Ty możesz pić. Ja przyjechałem samochodem.

Wydęła usta.

– Nigdzie dziś nie pojedziesz.

Zabrzmiało to interesująco.

– Czyżby?

– Nudziarz. Po co cię zaprosiłam?

– To ja się wprosiłem.

– Gówno prawda.

W ustach innej kobiety zabrzmiałoby to wulgarnie, ale nie w ustach tej. Napiła się znowu, wysączając spomiędzy lodowego gruzu cały alkohol. Wróciła do barku, namieszała dla siebie kolejną porcję, znowu pociągnęła łyk i z westchnieniem ulgi opadła na kanapę.

– Nienawidzę drinków – powiedziała, grzechocząc kostkami w szklance. – W ogóle nie przepadam za alkoholem.

– Alkohol szkodzi – odparł Kruk, któremu było wszystko jedno, co w tej chwili mówi, byle nie mówić z sensem.

– One wiedziały – odezwała się.

Spojrzał na nią, ale nie powiedział nic.

– Żyły z nimi, współżyły z nimi, czekały, gdy wracali z pracy zmęczeni po ciężkim dniu, rodziły im dzieci, prowadziły je do szkoły, kościoła, robiły rodzinne obiadki... – Kolejne pociągnięcie drinka i głos, który zaczynał ociekać pogardą. – I wiedziały. Mieści ci się to w głowie?

Jej najwyraźniej się nie mieściło, bo zeskoczyła z kanapy i znowu była przy barku.

– Skąd wiesz, że wiedziały?

– Wydusiłam to z Zuzy. To dlatego pierwsza żona odeszła od Karola. Ona jedna nie mogła tego znieść, ale też nic nie zrobiła. Nie poszła na policję, nie powiedziała nikomu. Uciekła.

Kruk leniwie wodził wzrokiem po salonie, czekając na przyjemniejsze tematy. Po przeszukaniu, w którym uczestniczył, nieźle znał ten dom. Czuł się tu jak u siebie.

– Mieści ci się to w głowie? – powtórzyła pytanie i Kruk zdał sobie sprawę, że alkohol już na nią podziałał.

Krukowi mieściło się w głowie wiele rzeczy, ale on pracował w policji.

– Byłam wstrząśnięta, gdy mi powiedziała. A potem powiedziała mi coś jeszcze. I wtedy miałam ochotę się rozplakać, rzucić się na nią... – Urwała, potrząsnęła głową. – Nie wiem, na co miałam ochotę.

Odczekał, żeby doszła do siebie.

– Co jeszcze ci powiedziała?

– Opowiedziała mi o pierścionku. Przecież ja pamiętam ten jej pierścionek.

Michalina odstawiła szklankę i bez słowa wyjaśnienia wyszła z pokoju. Kruk słyszał, jak zamyka za sobą drzwi łazienki. Stojący w rogu zegar wybił północ i zrobiło się cicho. W tej ciszy Kruk słyszał, jak Mulicka w toalecie wymiotuje.

Może zbyt szybko piła.

Gdy wróciła, była trochę blada i od razu sięgnęła po swojego drinka.

– Myślałam, że wyszłam za wspaniałego człowieka, a wyszłam za niewyobrażalnego łajdaka – powiedziała.

– Skąd mogłaś wiedzieć?

– Wierzysz w miłość?

– Miłość wymyślił Don Draper, żeby sprzedawać rajstopy.

Uśmiechnęła się.

– Nie mogłam wiedzieć, a jednak nie poprawia mi to humoru. Wiem, że to nie ma sensu, ale cały czas huczy mi w głowie, że powinnam.

– Każdy ma w sobie Golluma, który mówi mu: jesteś taki i taki, a człowiek wtedy płacze jak dziecko – odparł Kruk.

– Miał w sobie coś, z czym nie mógł dojść do ładu. Dręczył się tym i ja to widziałam, ale zadowalałam się kłamstwami. Też nie jestem bez winy.

Powiedziała to spokojnie, z rezygnacją.

– Podjęłam nieodwołalną decyzję. Odchodzę od niego.

– Nie śpiesz się. Może ktoś odrąbie mu łeb i oszczędzisz sobie zachodu.

Uniosła twarz, była bardzo poważna, a potem się roześmiała. Patrzyła na niego oczami, które lśniły. Oblizła usta i przygryzła dolną wargę, sprawdzając, czy ma w niej czucie, bo chyba jej trochę od picia zeszywniała.

Wzdrygnęła się.

Rozchyliła te wargi i tak je pozostawiła, gdy zapytała:

– Chcesz mnie rznąć?

Nawet go to nie zaskoczyło, było jasne, że cała ta heca z alkoholem pitym na siłę, pewne słowa i gesty, zmierzają właśnie do tego.

Przymknął oczy. Do diabła, to już trzecia w ostatnich dniach. Każda tego chce i każda z niewłaściwych powodów.

Ogarnął go gniew. Podszedł do niej, przyciągnął do siebie, mocno pocałował. Spodziewał się, że będzie smakować wymiocinami, ale smakowała alkoholem. Włożył jej ręce pod sukienkę. Oczekiwał na opór, spodziewał się, że Michalina zreflektuje się i opamięta, ale ona nie chciała się opamiętać. Wspaniale pachniała, miała przyjemną w dotyku skórę na plecach i gładki tyłek, zdecydowanie zbyt wielki, aby mógł zamknąć go w dłoniach nawet tak sporych jak jego.

Była dla niego łatwa. Chciała taka być, żeby zakończyć swoje małżeństwo, a on nie miał dziś gdzie uciekać.

Mógł być świętym, ale nie trzy razy z rzędu.

Ostatecznie wylądowali w sypialni, ale potem nie mogli zasnąć. Nie rozmawiali, bo nie mieli o czym. Kruk chciał wyjść, ale go objęła, położyła na nim nogę, głowę przycisnęła do jego piersi i poprosiła, żeby został. Leżeli więc dalej, w końcu ona sięgnęła do szuflady, w której miała tabletki nasenne.

– Po alkoholu? – mruknął Kruk.

– Spokojnie. Mam to przetestowane.

Coś łyknęła, a jemu było to obojętne. Nie był jej ojcem. Nie był nawet jej mężem. Chwilę później już spała. On nie spał.

Leżał z nią do piątej rano. Wtedy ostrożnie zsunął się z łóżka i zaczął ubierać. Michalina wciąż spała chemicznym snem spowodowanym przez tabletki. Patrzył na nią, gdy zapinał koszulę. Na jej twarz o delikatnych rysach, na lekko rozchylone usta, na pierś wystającą spod kołdry, tak kształną, że Kruk musiał jej znowu dotknąć, na dłoń na prześcieradle, jakby szukającą kogoś w ciemnościach, choć nikogo obok niej już nie było... To wszystko budziło w nim różne uczucia.

Pochylił się i pocałował ją w usta. Chwilę nasłuchiwał jej cichego oddechu. Delikatnie potrząsnął za ramię. To było głupie, ale chciał jej powiedzieć, że wychodzi. Nawet nie drgnęła. Potrząsnął nią mocniej, wzięła tylko głębszy oddech i dalej spała.

Kruk zapalił światła, zdjął z krzesła marynarkę, otworzył okno i pozwolił, by zimne powietrze dostało się do pokoju. Popatrzył na

ogród i ulicę. Zamknął okno dość głośno. Uniósł szklaną butelkę z wodą i napił się, a gdy ją odstawiał, grube dno z brzękiem uderzyło o stalową tacę.

– Wychodzę – powiedział, nie tłumiąc głosu.

Michalina spała.

– Było miło. Naprawdę miło.

Michalina wciąż spała, a on nie mógł się zmusić, aby wyjść.

– Myślę, że będę tęsknił. Zacznę w chwili, gdy wyjdę z tego pokoju, ale ty się o tym nigdy nie dowiesz.

Zgasił światło. Zostawił ją śpiącą w ciemności, zachłanną na ten sen, jeszcze nieświadomą, że nieuchronnie zbliża się kolejny dzień i w końcu trzeba się będzie obudzić.

Eryk Karłowicz i tej nocy nie mógł spać.

Przed szóstą rano zwał się z łóżka, otworzył laptopa i próbował się zalogować do Proton Maila. Login i hasła nie działały. Coś się skończyło. Człowiek po drugiej stronie skrzynki mailowej zostawił Eryka i zniknął, jakby go nigdy nie było.

A może naprawdę go nigdy nie było?

Nie, był, przecież zostawił go ze świadomością, że tam, pod adresem, który Eryk znał, jest uwięziony człowiek, który umrze powolną śmiercią, jeśli on nic nie zrobi.

Dlaczego miałyby coś zrobić? Gdy dostał pierwsze zdjęcia, te z egzekucji Woronowicza, nic nie zrobił. Gdy przyszły zdjęcia Brandta, także nic.

Wszystko przez to, że jego własne działania nie przyniosły skutku. Doprowadził do bankructwa Trust, firmę, którą założyli tego dnia, kiedy skrzywdzili Dominikę. Wspólnicy mieli stracić nie tylko przedsiębiorstwo, lecz także domy, które zastawili pod kredyt. Ale Brandt zaczął grozić Strychowi, a on się złamał. Dzięki pozornej utylizacji dostali znaczne kwoty nieopodatkowanej gotówki. Ich firma upadała, ale oni byli jako tako zabezpieczeni, a Brandt domagał się więcej. Eryk nie tego dla nich chciał.

Czując gorycz porażki w sprawie, w której nie mógł sobie pozwolić na poniesienie porażki, spędzał czas, obserwując współników. Zdarzało mu się chodzić za jednym lub drugim. Na Jarmarku Dominikańskim był świadkiem kłótni Woronowicza ze sprzedawcą. Pod wpływem impulsu kupił tamtą pocztówkę i zrobił coś tak dziecinnego, jak wysłanie pogróżek.

Woronowicz był najłatwiejszym celem z nich trzech: miał w sobie najwięcej z człowieka. Eryk nawet z dystansu widział, jakie zmiany zaszły w zachowaniu faceta. Chodził za nim do kościoła, raz usiadł za nim w ławce, tak blisko, że mógł go dotknąć i słyszał, jak facet mruczy modlitwy. Erykowi się to spodobało i chciał więcej.

Napadł na Zuzannę Brandt i zabrał jej pierścioneł, który oni zabrali Dominice. Nie mógł znieść, że go nosiła.

Ale miesiąc później znaleziono zwłoki Woronowicza. Eryk przeraził się, bo to wyglądało jak spełnienie jego groźby. Wtedy on też dostał pocztówkę. Maks jak zwykle położył na stole pocztę, a pośród rachunków i ulotek reklamowych białą kopertę bez znaczka i stempla pocztowego, ale zaadresowaną do Eryka. Ktoś podszedł pod furtkę przy płocie i wrzucił ją do skrzynki na listy. Tak Eryk pomyślał na początku.

W kopercie była pocztówka, na niej dane logowania do prywatnej elektronicznej skrzynki pocztowej. Pocztówka była na tyle podobna do pocztówki, jaką wysłał Woronowiczowi, że nie mógł jej zignorować. Zalogował się, znalazł tam kilka zdjęć z egzekucji Woronowicza. Oprócz zdjęć wiadomość zawierała tylko jedno słowo:

ZASŁUŻYŁ.

Eryk nie zawiadomił policji. Wykasował wiadomość i zdjęcia. To był ten moment, kiedy wybrał stronę. Potem wszystko potoczyło się samo. Eryk miał świadomość, że ogarnął go amok. Podobało mu się, że wszystko załatwia się samo.

Wyłączył laptopa. Podszedł do okna. Na zewnątrz wciąż królowała ciemność. W tej ciemności kryli się policyjni tajniacy.

Ale nic nigdy przecież nie załatwia się samo.

Policja go podejrzewała, wiedzieli, że to on zabrał pierścionek. Sprzedawca na Jarmarku widział jego twarz, jeśli policja zdoła do niego dotrzeć... Kto wie, co jeszcze na niego mieli. Na pewno już wiedzą, że rozmawiał przez telefon z Mulickim tuż przed jego zniknięciem. Zeznania Strycha i Klary mogą tylko Eryka pognać...

Policjanci nie są głupcami, połączą kropki.

A kropką nad „i” będzie odnalezienie zwłok Mulickiego, a z nimi pierścionka, który zabrał Eryk.

Roześmiał się na głos i przestraszył własnego głosu. Czy to wystarczy, żeby go oskarżyć?

Nie obchodził go Mulicki.

Pragnął, żeby ten człowiek umarł, tak jak pozostali dwaj.

Nie chciał jedynie ponosić odpowiedzialności za tę śmierć.

Ten, kto krył się po drugiej stronie skrzynki mailowej, nie pozwalał mu dłużej na luksus bezczynności. Cokolwiek zrobi, nawet jeśli nie zrobi nic, będzie miało konsekwencje tak dla Mulickiego, jak i dla niego.

Uczyni Eryka odpowiedzialnym.

Czuł się tak bardzo otępiały. Co to znaczy, że Mulicki wpadł w pułapkę? Na czym polegała? Za dużo tych zagadek.

Powinien skonfrontować się twarzą w twarz z nadawcą wiadomości. Ale co mu powie? O co zapyta? Tamten zapali kolejnego papierosa, spojrzy z niemym wyrzutem, że wszystko zawsze musiał załatwiać za niego. Że to on trwał przy niej naprawdę, w dzień i w nocy, przez te wszystkie lata, podczas gdy Eryk trwał przy niej tylko pozornie.

A teraz też Erykowi pasowało, że wyrównuje się rachunki za niego.

I on tego spojrzenia nie zniesie.

82

Gdy Kruk pojawił się rano na komendzie, zastał Bielińską podekscytowaną. Pomimo czasu, jaki upłynął od incydentu pod Lewiatanem, udało się dotrzeć do nowego zapisu z prywatnego monitoringu, na którym był człowiek w białym kapturze.

Kryśka znalazła go, nakazując funkcjonariuszom sprawdzanie prywatnych kamer umiejscowionych w dalszej odległości od Lewiatana. Wykonano ogrom pracy, ale były efekty. Jeden rzut oka na nowe nagranie wystarczył Krukowi, aby rozpoznać Karłowicza.

Przez następne godziny Bielińska krążyła między prokuraturą a komendą, nadzorowała rozmowy z ludźmi, którzy odpowiedzieli na apel policji w mediach o informacje dotyczące Karola Mulickiego i jego samochodu. Gonila do pracy Kruka, który przyjmował to ze stoickim spokojem.

– Zatrzymujemy go na razie na czterdzieści osiem – powiedziała, kiedy krótki późnojesienny dzień miał się ku końcowi.

– Jaka przyczyna?

– Ustaliłam z Krynicką, że proponujemy mu złagodzenie kary, jeśli wskaże miejsce pobytu Mulickiego i znajdziemy go żywego.

– Kary za co? Na razie możecie jedynie przedstawić mu zarzuty, że szedł ulicą mniej więcej w tym samym czasie, gdy ktoś napadł na Brandtową i zabrał jej pierścionek. Ona zdaje się nie zgłosiła nawet oficjalnie rabunku?

Bielińska popatrzyła na niego zimno.

– Podejrzewamy, że groził Woronowiczowi i działał na szkodę Trustu, mamy zeznania Klary Balewicz, przez którą szpiegował Trust...

– Daj spokój. Plotła byle co i jak ochłonie, wycofa się z tego.

– Być może. Tym bardziej muszę zdjąć Karłowicza i z nim porozmawiać. Dalsze czekanie nic nie da. Muszę liczyć na to, że skłonię go do ujawnienia miejsca, gdzie jest przetrzymywany Mulicki. Modlę się, żeby nie było za późno.

– Pomódl się za kogoś, kto jest tego wart – mruknął Kruk.

Bielińska chciała zatrzymać Karłowicza sama, ale Kruk zaoferował się, że pojedzie z nią. Nie była zachwycona, ale się zgodziła. Pojechali we dwójkę nieoznakowanym radiowozem, Bielińska prowadziła. Karłowicz był pod obserwacją, mieli funkcjonariuszy pod jego domem i nie spodziewali się kłopotów.

Gdy dojechali na miejsce, Bielińska przyjęła raport od obserwatorów: obiekt przez cały dzień nie wychodził z domu. Widzieli go kilkakrotnie w oknach, nieprzerwanie odbierali też sygnał jego komórki, posługując się nowoczesnym urządzeniem, o którym Kruk do tej pory nie wiedział, że takie cudo istnieje. Żona Karłowicza rano wyjechała, a po szesnastej wróciła z pracy. Potem jeszcze jej kierowca zawiózł ją na zakupy, wniósł siatki i odjechał. Od czterdziestu minut nikt nie wchodził ani nie wychodził z domu.

Mieli na to potwierdzenie od drugiej ekipy, która obserwowała tylne wyjście.

Bielińska i Kruk podeszli pod drzwi. Otworzyła je Dominika Wola-Karłowicz. Miała na sobie wygodny domowy dres, a w ręku książkę.

– Wreszcie państwo razem – powiedziała. – Czy powinnam się bać?

– Proszę zawołać męża – rzekła Bielińska.

– Nie ma go.

W jej głosie, napięciu twarzy Kruk przeczytał wyzwanie. Bielińska była nieodmiennie spokojna:

– Wiemy, że jest. Proszę nam nie utrudniać.

– Skoro wiecie lepiej – Wola-Karłowicz przesunęła się, żeby ich wpuścić – to go poszukajcie.

Weszli do środka. W gabinecie znaleźli jego komórkę, ale samego Karłowicza nigdzie nie było.

– Gdzie mąż wyszedł i kiedy? – spytała Bielińska.

– Nie wiem – odparła Wola-Karłowicz. – Gdy wróciłam z pracy, dom był pusty.

– Był w firmie?

– Nie widziałam go.

– Nie zaniepokoiło to pani?

– Nie.

– Dzwoniła pani dzisiaj do niego?

– Nie.

Bielińska odwróciła się do Kruka:

– Co myślisz?

– Wywiozła go w bagażniku, jadąc na zakupy. – Kruk wzruszył ramionami. – Numer stary jak świat, a my się wciąż na niego nabieramy.

Bielińska wyszła na dwór zadzwonić.

– Kawy? – spytała Dominika, jak gdyby Kruk wpadł z towarzyską wizytą.

– Poproszę.

Gdy Bielińska wróciła w towarzystwie czterech funkcjonariuszy, Kruk i Dominika pili kawę w salonie. Przez cały ten czas milczeli. Bielińska nie była już taka spokojna.

– Mam nakaz przeszukania domu – powiedziała, pokazując zdjęcie w komórce. – Oryginał jest w drodze, dostanie go pani, zanim skończymy.

– Pani też napije się kawy? – spytała Dominika, jakby jej nie słyszała. – A panowie?

Nikt jej nie odpowiedział. Funkcjonariusze rozeszli się po domu, a Bielińska z nimi.

– Jestem zmęczona – powiedziała Dominika Wola-Karłowicz. – Chciałabym się położyć.

Okno balkonowe było uchylone. Lekki wiatr poruszał firanką, która wydymała się, jakby przechodziły przez nią duchy.

– Przeszukanie trochę im zajmie. – Kruk znów wzruszył ramionami. – Najpierw upewnią się, że pani mąż nie ukrywa się pod dywanem, potem zaczną przetrząsać jego rzeczy. I pani rzeczy.

– Pana koleżanka jest zawzięta.

– Robi, co do niej należy.

– A pan?

– Czemu go pani wywiozła?

– Jestem zmęczona – powtórzyła, przymykając oczy i biorąc ciężki oddech. – Chciałabym zasnąć.

Wiatr szarpał firanką, duchy wpływały i wypływały. Wróciła Bielińska. Przez kolejne piętnaście minut usiłowała wydusić jakieś informacje z Dominiki.

– Nasi ludzie tu zostaną i będą kontynuować czynności – powiedziała zrezygnowana. W dłoni trzymała już kluczyki do samochodu. – Kruk, ty i ja jedziemy.

Nie zapytał, gdzie jadą.

Było to oczywiste.

83

Kruk uniósł głowę i spojrzał na fasadę wysokiego bloku. Wszystkie okna wyglądały podobnie, a w oknie mieszkania Nawajskiego świeciło się światło.

Bielińska zadzwoniła domofonem pod losowy numer, przedstawiła się i zażądała, by jej otworzyć. Rozległ się brzęczyk, słowo: „policja” miało moc otwierania zamkniętych drzwi. Wiedzieli o tym także przestępcy, którzy również znali to słowo.

Kruk i Bielińska wjechali windą na szóste piętro i podeszli pod drzwi mieszkania Maksymiliana Nawajskiego. Ze środka dochodziły przytłumione głosy, Nawajski podejmował gości. Słów nie dało się zrozumieć, ale najbardziej wybijający się głos Kruk rozpoznał. Jego ton sugerował, że wizyta nie przebiegała pokojowo.

Bielińska zastukała do drzwi. Głosy ucichły. Bielińska zastukała ponownie, mocniej, bardziej nagłaco. Nic się nie stało.

– Policja, proszę otworzyć. Panie Nawajski, wiemy, że pan tam jest.

Nadal nic się nie stało.

– Nie odejdziemy, dopóki pan nie otworzy.

Cisza.

– Bądź dżentelmenem, Kruk – mruknęła Bielińska. – Przekonaj go albo rozwal te drzwi.

– Panie Brychan... – Kruk nie podniósł głosu. – To niegrzecznie trzymać kobietę na wycieraczce.

Szczęknęły zamki. Drzwi otworzyły się, rzucając na klatkę smugę światła, a w nozdrza uderzył zapach tytoniowego dymu. Oczom policjantów ukazała się postać Maksymiliana Nawajskiego. Z jego twarzą było coś nie w porządku.

Bielińska pchnęła go dłonią uzbrojoną w odznakę i policjanci weszli do mieszkania jak do siebie.

Jan Brychan i ten kierowca, Kordel, siedzieli na kanapie i grzecznie wstali, aby powitać wchodzących. Kruk bliżej przyjrzał się twarzy Nawajskiego. Była napuchnięta z lewej strony.

– A tak ładnie prosiłem – powiedział z żalem do Brychana.

– Miło się rozmawia, ale na nas czas – mruknął starszy mężczyzna, skinął głową Bielińskiej i obaj z Kordelem skierowali się do wyjścia.

– Nie tak szybko – warknął komisarz.

Bielińska machnęła ręką.

– Zostaw, Kruk, nie mamy czasu.

Ale on i tak poszedł za nimi.

– Dominika Wola-Karłowicz zmieniła zdanie? Nie będzie spłacać długów Nawajskiego?

Brychan zignorował go i wyszedł z mieszkania. Kruk musiał za nim dreptać i przemawiać do jego pleców.

– Niech pan zaczeka.

Gdy stanęli przy windzie, Kruk szarpnął Brychana za ramię.

– Nie odwracaj się do mnie plecami, Brychan.

Facet nieśpiesznie się odwrócił, końcami palców strzepnął nieistniejący pył z miejsca, gdzie Kruk go dotknął, krzywiąc przy tym twarz, jakby się brzydził. Uniósł wzrok i była w tym groźba.

– Staralem się być dla pana miły, komisarzu Kruk.

– I wszystko na nic, panie Brychan, bo zatrzymuję pana do wyjaśnienia. Pojedzie pan ze mną na komendę. I pan też, panie Kordel, zatrzymuję was obu.

– Co pan chce wyjaśniać?

– Ował twarzy Maksa Nawajskiego.

– Maks się nie poskarży.

– To się okaże. Będziemy wszystko wyjaśniać tak długo, jak będzie trzeba, choćby i czterdzieści osiem godzin. A jak dalej będę wkurwiony, poproszę prokuratora, żeby wystąpił z wnioskiem do sądu o byle co, i posiedzi pan kolejne dwadzieścia cztery.

Brychan podjął wysiłek i na jego twarz wypłynął uprzejmy uśmiech. Człowiek tego rodzaju bywa zapracowany, a kiedy nie pracuje, lubi się bawić. Pomysł Kruka zburzyłyby mu grafik i najwidoczniej uznał, że rozsądniej będzie poświęcić komisarzowi chwilę, zamiast się z nim przepychać.

Winda zajechała, otworzyła się, po czym zamknęła z powrotem.

– Maks zabronił jej spłacać swoje długi. Charakterny chłop, uważa, że sam zdobędzie pieniądze. Szanuję odpowiedzialną postawę, ale w to nie wierzę.

– No i co?

– Próbowaliśmy go przekonać, by skorzystał z jej wspaniałomyślności, kiedy przyszłście.

– W jaki sposób?

– Tłumaczyliśmy mu, że dzisiaj są takie czasy, że to księżniczki ratują rycerzy, choć on od dawna o tym wie. Pytał mnie pan, dlaczego się przed panem odsłaniam. Maksa i Dominikę znam od lat, nie potrzebujemy, by pan się wtrącał. Wchodzi pan między dobrych znajomych, którzy zawsze się dogadają.

– Serio?

– Znamy się jeszcze z czasów, kiedy myślałem, że ona jest ździłą szukającą okazji.

– Ale nie jest?

– Nie jest. Choć była kiedyś jak ćma barowa, wpadaliśmy na siebie w restauracjach, dyskotekach, nocnych lokalach. Z Makssem znamy się tak samo długo, przerabialiśmy kilka razy jego wzloty i powroty do uzależnienia. Skończy się tak, jak zawsze, komisarzy. Maks pięknie, pozwoli jej wszystko spłacić, wróci na odwyk i będzie dalej pracował dla niej jak pies, żeby zwrócić dług. Jak mówiłem, w gruncie rzeczy jest charakterny. – Brychan spojrział zimno na Kruka. – Nikt tu pana nie potrzebuje.

– Ćma barowa? – Kruk uniósł brwi.

– Właśnie.

– Tak pan o niej mówi?

– Kiedyś tak z nią było.

Kruk spuścił wzrok. Wiedział o tym, Dominika opowiadała mu o tamtym etapie swego życia. Przypomniwał sobie noc w lokalu, kiedy chodził za nią z Bielińską. Z Brychanem było podobnie, wieczorów nie spędzał przed telewizorem. W nocy się bawił, uganiał za kobietami, załatwiał interesy. Kruk przez chwilę przyglądał się jego butom. Były brązowe, delikatne i lśniły jak psu jaja.

– A co o niej mówił pański kumpel Mulicki? – rzucił Kruk niedbale.

– Wyjaśniałem już panu, że to żaden mój kumpel.

Kruk do końca nie rozumiał, czemu zadał takie pytanie. To przyszło nagle, przebiło się z podświadomości na powierzchnię i zostało. Wydarzenia ułożyły się w łańcuch przyczyn i skutków tak nieodparty, że w jakiś odrażający sposób pięknych. Odwrócił lekko głowę, żeby Brychan nie dostrzegł, co się z nim działo.

Ale aby to wszystko miało sens, potrzebował pozytywnej odpowiedzi Brychana na pewne pytanie.

– Znał ją? – rzucił niedbale.

– Nie wiem, do diabła. Jak też już panu mówiłem, z Mulickim zrobiłem kilka małych deali i tyle. Wie pan, dlaczego tylko kilka? Facet uwielbia mieć kontrolę, dlatego nie pija alkoholu. A jeśli już z kimś pije, to tylko po to, by go ciągnąć za język. Nie ufam nieszczerym sukinsynom. Wolę trzymać takich na dystans.

– Pił z panem w knajpach, do których przychodziła Wola-Karłowicz?

Kruk gotów był zmusić Brychana, aby potwierdził. Musiał mieć to potwierdzenie. Czuł napięcie w całym ciele. Wbijał wzrok w jego buty, żeby nie pokazać, jak bardzo mu zależy.

– Nie pamiętam. Może. To chyba on zwrócił mi uwagę, że zakładała perukę. Coś nie tak z moimi butami? Chce pan adres sklepu, gdzie je kupiłem?

Kruk stracił zainteresowanie Brychanem. Odwrócił się i pozostawił obu facetów samotnych na klatce schodowej.

Wiedział, że to docenią i nie poczują się urażeni.

Dominika Wola-Karłowicz miała rację, gdy przeczuwała, że w tłumie bezimiennych ludzi kryją się jej oprawcy. Jeden z nich ją rozpoznał i zachował to odkrycie dla siebie.

Korzystniej było dla niego, żeby pozostali myśleli, że ją zabili.

Kruk wrócił do pokoju, usiadł na kanapie, pochylił się, opierając łokcie na kolanach, i zwiesił głowę. Bielińska usiłowała przekonać Nawajskiego, by wskazał miejsce, gdzie on i Dominika Wola-Karłowicz wywieźli Eryka Karłowicza. Kruk zbierał myśli, nie wiedział, co robić.

Do tej pory sądził, że Karłowicz zwabił Mulickiego do tego budynku pod Przejazdowem i Mulicki rozplynął się we mgle. Kruka nic to nie obchodziło. Teraz ta wersja wydarzeń przestawała mieć sens.

W świetle tego, czego się Kruk dowiedział, wszystko inne sensu nabierało, tylko to jedno wydawało się absurdalne.

Sens by miało, gdyby Mulicki zwabił Karłowicza, tymczasem to Eryk zadzwonił. Kruk poukładał wydarzenia jak puzzle, ale ten jeden uparcie nie pasował.

W każdym razie Kruk nie miał już żadnego powodu, aby dalej nie robić tego, co dobry śledczy powinien zrobić dwa dni wcześniej. W dodatku teraz i Karłowicz zniknął, a choć stało się to zupełnie niedawno, tym bardziej sprawiało, że Krukowi zaczynało się śpieszyć.

– Panie Nawajski, chodzi o ludzkie życie – kontynuowała Bielińska. – Ma pan szansę uratować człowieka albo będzie pan współwinnym zabójstwa, świadomie lub nie.

Z jakiegoś powodu słowa Bielińskiej przeraziły Kruka.

– Muszę coś załatwić – mruknął.

Wyszedł z mieszkania. Bielińska wybiegła za nim. Winda, wyjście z budynku... O nic nie pytała, dopóki nie podeszli do samochodu.

– Co robisz? – rzekł.

– Jadę z tobą.

Zastanowił się, jak sprawić, żeby dała mu spokój, ale bez trudu w nim to przeczytała:

– Nawet nie próbuj mnie zbywać, Kruk.

Nie potrzebował świadka. Wiedział coś, czego nie powinien był wiedzieć. Musiał pojechać sam.

Gonitwa myśli w jego głowie była tak dezorientująca, że dopiero w tym momencie uświadomił sobie, że to ona miała samochód, a zanim on zorganizuje swój, straci czas.

Po prostu wyciągnął rękę po kluczyki, jakby mu się należały, ale pokręciła głową i usiadła za kierownicą.

– Wracamy do Woli-Karłowicz? – spytała.

Do diabła.

Kruk musiał zdecydować. Jeśli ją ze sobą zabierze, wyjdzie na jaw, że ukrył dowody. Nie wiedział też, co zastanie tam, gdzie się wybierał.

Musiał zdecydować i zdecydował.

Usiadł w fotelu pasażera. Bielińska miała nie tylko samochód, ale także broń. Broń Kruka leżała w pancерnej szafie na komendzie. Potrzebował Kryśki.

Nie, potrzebował jej samochodu i jej broni. Kryśki postara się pozbyć przy pierwszej okazji.

– Jedziemy na obwodnicę, a stamtąd na siódemkę i węzeł Gdańsk Wschód. Pod Przejazdowem jest taki żółty budynek, widać go z drogi. Obejrzymy go sobie z bliska.

Napięcie, które poczuł podczas rozmowy z Brychanem, nie opuszczało Kruka. Nie wiedział, z czego wynika, albo nie chciał wiedzieć, lecz jego ciało wiedziało. Musisz ufać sobie i swoim reakcjom, pomyślał.

Na ulicach wciąż było sporo samochodów. Kryśka wpasowała się w rytm ulicznego ruchu, ale ten rytm nie pasował Krukowi. Jego serce biło szybciej.

– Włącz dyskotekę – rzekł.

Uniosła brwi zadziwiona, ale zapłonęło niebieskie światło błyskowe i rozległ się sygnał dźwiękowy. Samochody zaczęły rozstępować się przed nimi, mogli jechać szybciej. Bielińska odezwała się, dopiero gdy wyjechali na obwodnicę i wyłączyła sygnalizację.

– Co to za budynek, do którego jedziemy?

– Nieruchomość Brandta.

– Skąd o niej wiesz?

Kruk nie odpowiedział, więc Bielińska zadała kolejne pytanie:

– Karłowicz tam pojechał czy to nie ma związku?

Kruk i na to pytanie nie odpowiedział. Nawet jej nie słuchał i sam zaczął mówić to, co chciał, trochę do niej, trochę do siebie, aby uporządkować myśli:

– Eryk Karłowicz znał miejsce zgwałcenia, słowa, które wtedy padły, bo ofiara została jego żoną i miała dwadzieścia lat, by mu

o wszystkim opowiedzieć. Gdy rozpoznała Brandta, on związał się z Klarą Balewicz, aby mu donosiła, co dzieje się w Truście. Wykazałaś, że to on stał za Strychem i finansową pułapką, w jaką wciągnięto Trust. Karłowicz wiedział o pocztówce, bo sam ją wysłał. O pierścionku, bo go zrabował.

Bielińska posłała mu szybkie spojrzenie, ale nie zapytała już o nic. Myśli Kruka pobiegły w innym kierunku.

– Gdy Brandt zwrócił się do Cendrowski Investments, Mulicki doskonale wiedział, czym Cendrowski jest bratem. On jedyny był świadom, kim jest ich ofiara sprzed lat.

Kolejne spojrzenie Bielińskiej. Powinna była patrzeć na drogę, nie na niego.

– Właśnie dowiedziałem się od Brychana, że zwrócił kiedyś na nią uwagę w nocnym lokalu – wyjaśnił Kruk. – Myślisz, że gdy zobaczył, że przeżyła, tak to po prostu zostawił? Nie próbował ustalić, kim jest i czy stanowi zagrożenie? Założę się o każde pieniądze, że nie powiedział o tym wspólnikom.

– Skąd wiesz, że nie powiedział?

– Pracowałem nad Brandtem przez trzynaście godzin. On nie miał pojęcia, kim jest Dominika. Natomiast o Mulickim wiemy tyle, ile chciał nam powiedzieć. Kłamał w żywe oczy.

Kruk zamyślił się.

– Dlaczego po latach Trust zwrócił się więc do Cendrowskiego o pomoc? – spytała Bielińska. Nie ponawiała już pytań, na które Kruk nie odpowiadał, ale wiedział, że o nich nie zapomniła.

– Myślę, że to samodzielna inicjatywa Brandta. Na tym etapie Brandt od dawna się z Mulickim nie liczył. Okradał firmę, myślał o niezależnym biznesie, Trust był już dla niego trupem, na którym zerował. Mulicki mógł nawet na początku nie wiedzieć, do kogo

zwraca się Brandt, a jeśli wiedział, nie potrafił do tego Brandta zniechęcić. Mógł też liczyć na to, że ona ich nie rozpozna.

– Nawet wtedy nic nie powiedział?

– Nie powiedział.

– Dlaczego?

Kruk wzruszył ramionami.

– Wiem tylko, że on od początku wiedział, a oni do końca nie. To tyle, jeśli chodzi o ich wzajemne zaufanie, o którym padło tak wiele ładnych słów. Gdy transakcja z Grecją, której Mulicki był przeciwny, doprowadziła do ostatecznego upadku Trustu, musiał już zrozumieć, że ich rozpoznała. Jeśli miał jeszcze wątpliwości, rozwiąła je pocztówka, którą otrzymał Woronowicz.

Kruk przytknął oczy. To, że prowadziła Bielińska, dawało mu możliwość całkowitego skupienia, wejścia w skórę uczestników wydarzeń i podjęcia próby odtworzenia ich motywacji.

– Cendrowski i Karłowicz byli bogaci. Wczuj się w sytuację Mulickiego: na początku nie mógł wiedzieć, czego ma się spodziewać, do czego zdolni są ludzie, którzy naprzeciw niego stają. Cekał i był czujny. Grał swoją rolę bandyty nawróconego, w którą wszedł dużo wcześniej, ale z podobnych powodów. Dystansował się od kręctw Brandta. Dobrotliwie łagodził konflikty. Dobry, cierpiący pan Mulicki, można się było nabrać. Ale pocztówka z groźbą musiała go uspokoić, a gdy napadnięto na Zuzannę Brandt, Mulicki mógł całkiem się zrelaksować.

– Dlaczego?

– Bo Mulicki to kanalia i bandzior, człowiek bezwzględny. Ktoś taki musiał rozpoznać, czym oba te czyny były naprawdę.

Spojrzała na niego zdziwiona.

– A czym były?

– Demonstracją bezradności.

– Do czego ty zmierzasz, Kruk?

Zignorował i to jej pytanie. Jego myśli pobiegły już dalej.

– Woronowiczowi grożono. Mulicki musiał od początku wiedzieć, że autorem groźby był ktoś z otoczenia Woli-Karłowicz, ale milczał. Woronowicz zniknął, Mulicki milczał dalej. Milczał, gdy znaleziono zwłoki Woronowicza. I gdy zniknął Brandt. I gdy przyszła przesyłka z kawałkiem Brandta i groźba wymierzona bezpośrednio w niego. Za to sprawca porwań i zabójstw krzyczał na całe gardło, jakie są jego motywacje. W pewnym momencie przeraziło to Brandta, zmusiło do szukania pomocy, wyznania win. Tym razem jednak Brandt poszedł po zgodę do Mulickiego. Oczywiście ją dostał.

– Mów dalej.

– Sprawca krzyczał o tym, za kogo się mści. Mulicki utrzymywał, że nie wie, kim jest ich ofiara sprzed lat. To ważne, bo ci, którzy tego nie wiedzieli, automatycznie stawiali się poza podejrzeniem.

Bielińska pędziła lewym pasem. Mijała inne samochody jeden po drugim.

– Mulicki wykorzystał okazję, która mu się nadarzyła – rzekł Kruk. – Gdyby Karłowicz nie podrzucił mu inspiracji dla całego tego teatru, może zwyczajnie zakopałby kumpli w lesie.

– Masz jakikolwiek dowód na poparcie swoich wywodów czy znowu chcesz odwrócić uwagę od Karłowicza?

– A ty masz coś na Karłowicza oprócz poszlak?

Kruk sięgnął po telefon. Wybrał numer i ustawił aparat w tryb głośnomówiący.

– Słucham? – odezwała się Klara Balewicz.

– Kruk z policji.

– Nie chcę więcej rozmawiać z policją. – Jej głos z miejsca stał się płaczliwy.

– Czy tego dnia, gdy nadeszła paczka z głową Krystiana Brandta, widziała pani, jak prezes Mulicki wymiotuje?

– Tak.

– Chlusnął pani rzygami w twarz?

Bielińska cicho zaklęła i wywróciła oczami.

– Odwrócił się, żeby do tego nie doszło. – Głos Balewicz nie był już płaczliwy, tylko urażony.

– Uniósł ręce do twarzy?

– Tak, usiłował zakryć dłonią usta.

Kruk uśmiechnął się do Bielińskiej.

– Dziękuję pani.

Zakończył połączenie.

– Wydaje ci się, że coś udowodniłeś? – mruknęła Bielińska.

– Do diabła, jeżeli nie.

– Mnie nie przekonałeś.

– Łajdak nic nie czuje – powiedział Kruk. – Zaplanował sobie, że na widok głowy przyjaciela wsadzi sobie palce do gardła.

– To by sugerowało, że wiedział, że paczka przyjdzie. Albo że sam ją wysłał.

– Nie kazał sprzątnąć wymiocin, cały czas mi to chodziło po głowie. Chciał, żebyśmy je zobaczyli, a one cholernie cuchnęły. Pewnie najadł się jakiegoś świństwa, żeby łatwiej zwymiotować. Psychopaci to genialni kłamcy, ale pewne uczucia mogą tylko udawać.

– Mulicki nie jest psychopatą – warknęła Bielińska. – Ale możliwe, że Brandt nim był.

– Nie obchodzi mnie Brandt, już nie żyje. To Mulicki był inicjatorem zgwałcenia. A po co to zrobił? Żeby zawrzeć z kumplami pakt.

Bielińska zacisnęła zęby. Kruk jeszcze nie skończył:

– Szepnął kobiecie, którą sprawili, że to z nią zostanie na zawsze. Czyste okrucieństwo, które sprawia mu radość jeszcze po latach i może się tym bezkarnie chwalić.

– Przestań, Kruk. – Chwilę się nad czymś zastanawiała, a potem rzuciła niedbale: – To już inny człowiek.

Spojrzał na nią z ciekawością. Nie była głupia. Popełniała głupie błędy, jak każdy, ale niewielu znał ludzi tak inteligentnych jak Kryśka.

– Prowokujesz mnie?

– Mulicki od lat stara się odkupić winy.

– Odkąd opuściła go żona. Jego pieprzona dobroczynność miała ją przekonać, że żałuje. Powstrzymał ją, żeby nie poszła na policję. Wątpliwe, aby można było mu coś udowodnić, ale jego pozycja biznesowa, towarzyska, to wszystko poszłoby w diabły. Ludzie nie lubią gwałcicieli.

– A potem urządził krwawy teatr, aby jednak opowiedzieć o tym, co zrobił?

– Wtedy już wiele się zmieniło. Sprawa się przedawniła, a jego świat, który całe życie budował, właśnie się walił. Firma upadała, kumpel go okradał. Przegrywał grę, w którą grał całe życie. Wola-Karłowicz rozpoznała Brandta, sprawa i tak się wydała. Brandt i Woronowicz zlekceważyli jego sprzeciw i weszli w transakcję, która stała się ostateczną katastrofą. W jego oczach musieli być wrogami. Najgorszymi, bo go zdradzili.

– Po co miałyby ich zabijać?

– Dla pieniędzy z fałszywej utylizacji i dla tych, które nakradł z firmy Brandt. Mulicki nie zamierza iść na zasilek. Torturował kumpli, aby wyjawili, gdzie ukryli pieniądze. Nie hamował się, bo chciał ich ukarać.

– Karol Mulicki ma mocne alibi.

– Nie ma żadnego alibi. Noce są jego. Żona łyka tabletki nasenne i miesza je z alkoholem. Jak już namiesza, nie sposób jej obudzić.

– Skąd wiesz?

Kruk pokręcił głową.

– Mulicki to aktor, pozbawiony empatii i poczucia wstydu psychopata. Dla niego to wszystko jest grą, a nam wyznaczył role głupców.

– Odpłynąłeś, Kruk. Nie pierwszy raz przy tej sprawie.

Roześmiał się.

– Wczuwam się w rolę psychologa. Ty, Krysiu, możesz mieć z tym problem, ale mnie przychodzi to łatwo.

Spojrzała na niego wzrokiem, w którym coś się zapaliło.

– Nie jesteś psycholem, Kruk.

Przestał się śmiać. Dojeżdżali do węzła Gdańsk Wschód. Kruk widział po lewej stronie drogi ledwo majaczące w ciemnościach budynki. Musieli jeszcze zjechać z ekspresówki i zatoczyć łuk mniejszymi drogami, aby tam dotrzeć.

– Nie pasuje mi tylko ta rozmowa przez telefon z Karłowiczem.

Spojrzała na niego pytająco i odwrócił wzrok. Przecież ona nie słyszała tej rozmowy. Nie wiedziała o komórce. I nagle, tak po prostu, pojawiła się myśl. Przecież powinna była słyszeć. Kruk słyszał tę rozmowę na własne uszy. Skąd miała wiedzieć, że Kruk ukrył dowód w sprawie? Komu w ogóle mogłoby wpaść do głowy, że coś takiego może się zdarzyć?

– Kurwa, jestem idiotą...

Bielińska sięgnęła po policyjne radio.

– Co robisz? – spytał.

– Mam do ciebie wiele pytań, Kruk, ale nie mam czasu ich zadać.

Wzywam wsparcie.

– Skup się na jeździe. Dzwonię do Marcina.

Bielińska cofnęła rękę. Kruk wziął swoją komórkę i przewinął pozycje na liście kontaktów pod literę „Z” jak „Zych”.

– Marcin? Jesteśmy z Krysią pod Przejazdowem, węzeł Gdańsk Wschód, żółty budynek przy krajowej siódemce, dojazd ulicą Jesionową. Istnieje szansa, że zastaniemy tam zabójcę wspólników Trustu, potrzebujemy wsparcia.

Chwilę tłumaczył do aparatu, co i jak. Pustym wzrokiem wpatrywał się w przednią szybę, podczas gdy Bielińska już zjeżdżała z drogi szybkiego ruchu.

Bielińska nie zauważyła, że Kruk nie wybrał numeru Marcina i mówił w pustkę.

86

Eryk Karłowicz kazał się wysadzić Dominice i Maksowi na Starym Mieście. Dominika nie pytała o nic, gdy poprosił, by pomogła mu zgubić policję i w tajemnicy wydostać się z domu. Po prostu zrobiła to, zaparkowali w zaułku, gdzie mogli wypuścić Eryka z bagażnika, nie budząc sensacji.

Eryk uchwycił wyraz twarzy Maksa, gdy pomagał mu wydostać się z samochodu. Sam nie rozumiał, co go w niej uderzyło. Zobaczył tam coś jakby niepokój i ani cienia cichego porozumienia.

Czy to możliwe, że się co do Maksa pomylił? Po raz kolejny wróciło poczucie nierzeczywistości, jakby ta cała upiorna korespondencja mailowa była jedynie złym snem.

Dominika i Maks odjechali. Karłowicz poszedł piechotą przez całą Długą i Stągiewną, kolejnym mostem wszedł na Długie Ogrody i ruszył wzdłuż Elbląskiej, która zdawała się nie mieć końca. Wreszcie ulicą Główną dotarł do Przejazdowa i szedł dalej, aż stanął przy nieruchomości, o której mówiły maile. Dochodziła dwudziesta dziesięć, wieczór był ciemny, a budynki na terenie tonęły w mroku.

Z całą siłą owładnęło nim poczucie, że nie powinien był tu przychodzić, a skoro przyszedł, trzeba stąd iść jak najszybciej. Mimo to nie ruszał się z miejsca. Jeśli nie Maks, to kto go tu ściągnął? Komu jeszcze mogło tak bardzo zależeć na Dominice, aby posunąć się do tych wszystkich rzeczy?

Zrobił kolejny krok w stronę zabudowań. Bronił się przed tym, przekonywał sam siebie, że robi kolosalny błąd, ale to nie pomagało. Gdy wejdzie do budynku, wszystko może tylko pójść źle. Nie ruszało go to, pewnie przez te problemy ze snem. Podobno ludzie, którzy cierpią na poważną bezsenność, mają zaburzoną percepcję długofalowych konsekwencji swoich działań.

Przeszedł przez furtkę, bo nie była zamknięta na klucz. Przy większym budynku stał samochód Mulickiego. Nie mógł mieć już nawet nadziei, że to złe trafienie i budynek będzie pusty.

W głowie mu pulsowało. Po co tu był? Co zrobi, gdy zobaczy tego człowieka? Gdzieś tam miała leżeć siekiera. Będzie tam? A jeśli będzie, to co?

Wciąż możesz zawrócić, pomyślał, ale przed oczami pojawił mu się tamten pierścionek zawieszony na oparciu stalowego krzesła. Ten obraz budził w nim na przemian strach i złość.

Karłowicz szybko pokonał tonącą w mroku przestrzeń, która dzieliła go od mniejszego budynku z żółtą elewacją, i pchnął łokciem drzwi. Ustąpiły, jakby budynek na niego czekał. Wyciągnął z kieszeni parę gumowych rękawiczek, których Dominika używała w kuchni, gdy nie chciała zniszczyć sobie paznokci. Pośpiesznie je założył. Kilkakrotnie zacisnął i rozcapierzył palce, pozwalając, aby guma ułożyła się na jego dłoniach.

Znieruchomiał. Co to mówiło o jego rzeczywistych zamiarach, których może nie potrafił dopuścić do świadomości?

Inna część jego umysłu usiłowała przebić się z ostrzeżeniem, jak żalosna jest to próba niepozostawienia po sobie śladów i że trzeba stąd uciekać.

Wszedł do środka.

W budynku było ciemno i cicho. Poczł zniechęcenie: zabrał rękawiczki, ale nie wziął latarki. Oczy powoli przyzwyczajały się do mroku, ciemne plamy nabierały nieostrych konturów, stawały się przedmiotami, pozostałościami mebli. Stojąc tak, Karłowicz się zawahał. Po raz kolejny pojawiło się pytanie, co tu robi, po co właściwie przyszedł. Trwało to chwilę i minęło.

Ruszył przed siebie. Było tu zaledwie kilka pomieszczeń i szybko zwiedził cały budynek, ale niczego nie znalazł. Musiał jeszcze tylko sprawdzić drzwi do piwnicy: brzydkie, obdarte z farby, skrzypiące. Zostawił je otwarte. Włącznik światła nie działał. Zszedł schodami, licząc stopnie i starając się jak najciszej stawiać kroki. Na dole znajdowały się kolejne drzwi. Stalowe, mocne. Stał przy nich i nasłuchiwał chwilę. Nie wydały żadnego dźwięku, gdy je otwierał. Je także zostawił otwarte i poszedł dalej.

Dziesięć kroków, drugie stalowe drzwi. Po co tu tyle drzwi? Nasłuchiwał, co jest za nimi. Cisza. Z tyłu dobiegł go delikatny

dźwięk, rodzaj kliknięcia, po którym nastąpił szelest. Zamarł. To chyba zamknęły się te drzwi za nim. Ktoś tam był i je zamknął?

Zwalczył pragnienie ucieczki. Dalej nasłuchiwał. Cisza. W piwnicznym korytarzu nikogo z nim nie było, jeśli ktoś rzeczywiście zamknął drzwi, pozostał na zewnątrz. Karłowicz ostrożnie cofnął się i nacisnął klamkę. Ustąpiła lekko, zbyt lekko. Klamka od strony piwnicznego korytarza nie działała, jakby jej trzpień nie był połączony z zamkiem.

Eryk Karłowicz poczuł skurcz żołądka. Czy na tym polegała pułapka?

Pozostał mu kierunek przed siebie. Wrócił do drugich drzwi. Stał przy nich w ciszy i kompletnej ciemności, delikatnie badając je dotykiem. Cofnął się trzy kroki do tyłu i badał dotykiem ścianę.

Tam była wnęka. Przykucnął i wymacał coś w środku. Przez lateks nie czuł struktury przedmiotu. Podłużny, tępo zakończony. Nie było wątpliwości, co to jest, jeszcze zanim palce dotknęły ostrza.

Gwałtownie cofnął dłonie i chwilę kucnął w bezruchu. Potem jego ręce ponownie wymacały rękojeść. Chwycił siekierę i wstał.

Przy drzwiach jego palce odnalazły kolejny włącznik światła. Nacisnął go. Znowu nic się nie stało.

Wciągnął głęboko powietrze, ostrożnie nacisnął klamkę i pociągnął. Drzwi poddały się lekko, a do korytarza wpadła plama migającego światła. Jarzeniówki w pomieszczeniu za drzwiami jeszcze trochę migwały, nagrzewając się. Ten włącznik zapalał światło nie w korytarzu, ale właśnie tam.

Karłowicz pociągnął mocniej za klamkę i stanął na progu. Mrużył oczy. Nieduże piwniczne pomieszczenie. Kiedyś białe ściany, z których gdzieśgdy odpadł tynk, zachlapanie czymś ciemnym. Brudna, również zachlapaną posadzka. Krzesło na środku podłogi przykręcone do betonu. Przy krześle kilka długich wąskich pasków

plastiku. Pod ścianą coś podłużnego przykrytego folią. To zwłoki. Eryk poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Pod inną ścianą kulący się człowiek ze zwieszoną głową.

Mulicki.

Brudny, rozdarta marynarka, spodnie ubabrane w cementowym pyłe. Pokrwawione dłonie.

Mulicki też mrużył oczy, gdy usiłował patrzeć na Karłowicza. W tych oczach miał coś jakby obłęd.

Uruchomiła się zamrażarka w kącie, rozległo się ciche mruczenie.

Na posadzce walał się gruz. Karłowicz zablokował kawałkiem cegły drzwi. Może te drzwi były takie same jak tamte wcześniejsze, nie otwierały się z jednej strony. Pewnie tak, dlatego Mulicki wciąż tu był.

Tak, to na tym polegała pułapka.

Kulący się mężczyzna drgnął, gdy dojrzał gumowe rękawiczki na dłoniach Karłowicza i siekiere w tych dłoniach. Otworzył usta, ale przez długi czas nie mógł wypowiedzieć słowa. W końcu mu się udało:

– Nie wiedziałem, że tam jest wyłącznik światła. – Powiedział to ze zdumieniem i w taki sposób, jakby była to teraz dla niego najważniejsza sprawa na świecie. Zaraz jednak przyszło otrzeźwienie. – Zapłacę ci.

Karłowicz tylko patrzył.

Pieniądze były akurat jedną z tych rzeczy, których mu w życiu nie brakowało.

Wykonał kilka sztywnych kroków i wszedł do środka.

Kruk polecił Bielińskiej zaparkować przy zjeździe z Jesionowej w ślepią ulicę biegnącą wzdłuż ekspresówki. Zabrał ze schowka radiowozu latarkę. Do samej nieruchomości dotarli piechotą. Siódmką sunęły samochody, ich reflektory zapalały się i gasły. Budynek tonął w mroku, a furтка była uchylona.

Podeszli pod większy budynek, będący rodzajem hali. Stało tam bmw Mulickiego. Przez małe okienko komisarz zajrzał do środka hali, skierował tam snop światła z latarki. Dostrzegł dwa mercedesy stojące jeden za drugim. Samochody Woronowicza i Brandta. Towarzystwo w komplecie.

Kruk ruszył pod żółty budynek, znacznie mniejszy, wyglądający na administracyjny.

– Czekamy na wsparcie? – mruknęła Bielińska, gdy stanęli pod drzwiami.

Budynek był mały, ciemny. Kryśka oddychała szybko, nierówno. Wyraźnie miała opory, żeby wejść do środka. Na to liczył. Wolał iść sam.

– Nie ma czasu. Daj klamkę.

Wyjęła glocka z kabury, ale mu nie oddała.

– Czego spodziewać się wewnątrz? – spytała.

– Posłuchaj, Krysiu. Zostaniesz tutaj i poczekasz na wsparcie. Wskażesz im, gdzie mają iść.

– Nie masz broni.

– Wezmę twoją.

– Mam tu kwitnąć bezbronna?

Nie bał się o to. Wyglądało na to, że jedyny człowiek, który mógł jej zagrozić, był w środku, a nim zajmie się Kruk.

– Zaufaj mi.

– Nic z tego. Mulicki tu jest, a ty uważasz, że może tu przyjechać Karłowicz.

Jej głos mówił jedno, a oczy drugie. Budynek ją przerażał. Nie chciała tam wchodzić.

Może gdyby dłużej postali, przekonałby ją do czegoś. Ale nie mieli czasu.

Nacisnął klamkę, która ustąpiła. Lekko pchnął drzwi, a one otworzyły się z cichym skrzypieniem. Kruk spojrzał na Bielińską. Złożył ręce jak do modlitwy i uniósł je do twarzy. Zgiął wszystkie palce dłoni oprócz wskazujących, a one pozostały niczym lufa pistoletu. Złączone kciuki odciągnął, jakby to był kurek.

– Kruk, kretynie, to nie jest zabawa...

Wziął głęboki oddech.

– Mówią, że praca powinna być zabawą.

Czekał, aż Bielińska się złamie i odda mu swoją broń. Nie zrobiła tego. Wyciągnęła komórkę, aby zadzwonić.

Nie mógł czekać. Wyciągnął przed siebie ręce i z palcami ułożonymi na podobieństwo pistoletu pierwszy wpadł do budynku. Słyszał, że Bielińska zaklęła. Kątem oka widział, że nie zdążyła wybrać numeru i ruszyła, żeby go osłaniać.

Powitały ich mrok i cisza.

Zaczęli przeszukiwanie pomieszczeń.

Siekiera była zaskakująco ciężka. W świetle jarzeniówek mógł dobrze ją sobie obejrzeć. Na stylisku liczne ślady krwawych palców. Czy to tym zarabano dwóch ludzi? I znowu pojawiła się myśl: co ja tu robię?

– Przyszedłeś, Eryku – odezwał się żaloszny człowiek pod ścianą.

Karłowicz drgnął. Tamten wiedział, kim jest. Skąd go znał? Ze zdjęć na stronie internetowej funduszu? Eryk swego czasu go obserwował, ale oficjalnie nigdy się nie widzieli, rozmawiali ze sobą jedynie telefonicznie.

– Mało ci śmierci? Próbowałem odkupić winy.

Smród pomieszczenia był mdlący. Karłowicz spojrział na leżące pod ścianą zwłoki w czarnym foliowym worku i przez chwilę nie potrafił oderwać wzroku.

– Wspierałem fundacje, organizacje charytatywne... Gdybym wiedział, kim ona jest, gdybym znał jej tożsamość, starałbym się jej wszystko wynagrodzić. Błagałbym ją o wybaczenie.

Karłowicz zacisnął dłoń na stylisku. Ten człowiek mówił o Dominice. Opuścił rękę z siekierą wzdłuż tułowia i stał tak, zbierając siły.

– Gadasz byle co.

Oddech Mulickiego stawał się coraz szybszy. Patrzył to na Eryka, to na otwarte przejście na korytarz.

– Nikomu nie powiem. Wyjadę, jeśli chcesz. Nigdy więcej mnie nie zobaczycie. Wypuść mnie, nie musisz mnie zabijać.

Karłowicz czuł ciężar siekiery, jednak dotarło do niego, że jeszcze nic nie jest przesądzone. Mógł wypuścić stąd Mulickiego, niech wyniesie się na koniec świata.

Ale o czym on mówił? Czego nie powie?

Uświadomił sobie, że go nie wypuści. To pomieszczenie było pułapką i wpadli w nią obaj. Pułapka miała podwójne zabezpieczenie: pierwsze i drugie drzwi.

– Zabijesz mnie jak tamtych? Zrobisz to? – odezwał się Mulicki dziwnie cichym głosem.

Karłowicz chciał krzyczeć, że nikogo nie zabił. Oglądał zdjęcia. Milczał o nich. To wszystko. Czuł się coraz bardziej wyczerpany.

– Gdzie uderzysz? W głowę? A może najpierw odrąbiesz mi nogę i będziesz słuchał, jak wyję, patrzył, jak się wykrwawiam? Jesteś w stanie słuchać tego, jak będę krzyczał... błagał o litość?

Karłowicz poczuł ciekawość, jak to będzie. I absolutną pewność, że nie jest zdolny nawet unieść siekiery.

– Jeśli uderzysz w głowę, mój mózg i krew cię opryskają. Jak zmyjesz to z siebie, jak pozbędziesz się śladów z ubrania? Pomyśl o tym, zanim zrobisz coś nieodwracalnego. Jeśli ktoś cię zobaczy, jeśli pozostawisz gdzieś swoje DNA, policja cię złapie. Ten komisarz, Kruk...

Głos Mulickiego osaczał Karłowicza. Eryk nie chciał go słuchać. Chciał, żeby tamten się zamknął. Miał teraz absolutną pewność, że jeśli Mulicki się nie uciszy, odrąbie mu łeb tą siekierą.

Zdumiało go, jak łatwo przechodzi z jednego stanu w drugi. Z jednej pewności w inną.

Mulicki jakby to wyczuł. Nastąpiło milczenie, całkowite i bolesne.

– Ona tego chce? – wyszeptał Mulicki po długiej chwili. – Myślisz, że dzięki temu poczuje się lepiej?

Na krześle wisiał pierścionek na rzemieniu, dokładnie tak, jak na zdjęciu. Eryk patrzył na niego. Mulicki za to wpatrywał się w wejście. Jego wzrok przesunął się na dłonie Eryka, w tych głupich, groteskowych kuchennych rękawiczkach.

– Czujesz, że powinieneś to zrobić, ale to oznacza wysiłek – rzekł Mulicki. – I poświęcenie. Dzisiaj ludzie nie mają zasad, są słabi jak woskowe figury, racjonalizują słabość, nie umieją się poświęcać. – Jego twarz stała się zadziwiająco spokojna i obojętna, gdy mówił dalej: – Zabić człowieka nie jest łatwo.

– Stul pysk – powiedział Karłowicz.

– Jesteś tu sam, prawda?

Mulicki patrzył na dłonie Eryka, na siekiere w tych dłoniach, na rękawiczki.

Wstał. Powoli, krok za krokiem, ruszył do drzwi. Karłowicz patrzył na to bezwolnie, nie starając się mu przeszkodzić. Mulicki nie ucieknie, nie otworzy tamtych pierwszych drzwi.

Nie zamierzał.

Mulicki podniósł kawałek gruzu, który blokował drzwi do pomieszczenia, i odrzucił.

Drzwi się zamknęły.

– Stąd się nie wychodzi – powiedział cicho Mulicki. – Mój wspólnik, Krystian, trzymał tu gotówkę. Zaprojektował pomieszczenie tak, że ktokolwiek by tu wszedł, by mu ją ukraść, nie mógłby wyjść. – Tym razem to on popatrzył na leżące pod ścianą zwłoki. – W końcu sam tu został. – Ponownie utkwiał wzrok w dłoniach Eryka w rękawiczkach trzymających siekiere. – Oddaj to, Eryku – powiedział. – Nikogo dziś nie zabijesz.

Miał rację. Eryk znowu czuł całym sobą, że nie był do tego zdolny.

– Założyłeś gumowe rękawiczki. Przyszedłeś posprzątać? Co ci się wydawało, gdy robiłeś coś tak żalosnego?

Zobaczył, że Mulicki się uśmiecha.

– Pewnie sam nie wiesz, po co to zrobiłeś. Jesteś człowiekiem bezwolnym. Robisz, co ci się każe. – Mulicki podszedł i dotknął pierścionka na rzemieniu. – Tak naprawdę nie obchodzi mnie, co sobie wyobrażałeś, gdy je zakładałeś. Ale te rękawiczki oznaczają, że nie chciałeś zostawiać za sobą śladów, czyli jednak jesteś tu sam.

Przerażenie, które Karłowicz początkowo widział na twarzy Mulickiego, wyparowało bez śladu. Może go nigdy nie było.

Mocniej ścisnął siekierę w dłoni. Czuł się odrętwiały. Coś w nim zasypiało, a coś się budziło. To było dziwne uczucie.

Okazał się głupcem, znowu... Jak mógł aż tak się pomylić?

– Masz siekierę, ale brak ci woli, by jej użyć – powiedział Mulicki i zrobił krok w jego stronę. – A wola jest wszystkim. Moja wola. Dlatego ty jesteś całkiem bezbronny, Eryku. Nie jesteś mordercą. Nie jesteś... Nie ty, Eryku...

Eryk zwrócił uwagę na jego prawą dłoń. Całkiem ginęła w opadającym rękawie rozdartej marynarki. Nie widział jej, ale w sposobie, w jaki tamten ją trzymał, było coś, co go zaniepokoiło.

– Całkiem bezbronny – powtórzył Mulicki.

Zatrzymali się przed drewnianymi drzwiami do piwnicy. Nawet w blasku latarki Kruk dostrzegwał, jak blada jest Bielińska i z jakim przestraszonym w oczach wpatruje się w wiodące w dół schody.

– Zostajesz tu – powiedział.

Nie odezwała się. Dotknął jej ramienia i potrząsnął.

– Daj mi broń.

Bez słowa wyminęła go i pierwsza wstąpiła na schody. Schodziła i poszedł za nią. Schody skończyły się i stanęli przed stalowymi drzwiami. Bielińska otworzyła je bez zastanowienia, bo może, gdyby dała sobie czas, straciłaby wolę. Przed nimi był wąski korytarz. Kruk poświecił latarką i kilka kroków dalej zobaczyli kolejne drzwi.

Bielińska przezornie zablokowała skrzydło tym, co miała pod ręką: wyciągniętym z kieszeni pękiem kluczy do domu. Bała się stracić z pola widzenia wyjście, nawet jeśli tonęło w ciemności.

Każdy krok stanowił dla niej wyzwanie, ale była konsekwentna jak automat. Podchodząc pod drugie stalowe drzwi, zaczęli słyszeć dochodzące zza nich podniesione głosy.

Kruk ocenił sytuację. Nie wezwał wsparcia, nie miał broni, Bielińska szła z nim krok w krok. Ochłonął. Beznadziejnie to wszystko rozegrał. Wyciągnął komórkę, żeby tym razem zadzwonić naprawdę. Nie było zasięgu. Powinien był wyjść z piwnicy i z poziomu parteru wykonać połączenie.

Głosy za drzwiami uniosły się, dobiegł ich jakiś ruch, krzyk.

– Daj broń – warknął Kruk, ale oddech Bielińskiej stał się tylko płytszy i bardziej nierówny.

– Puść mnie pierwszą – szepnęła, usiłując nadać swojemu głosowi normalne brzmienie.

Nie ufała mu. Bała się tego, co zrobi, gdy dostanie pistolet.

Ani Woronowicz, ani prawdopodobnie Brandt nie zginęli od broni palnej. Kruk musiał trzymać się tej myśli. Nie było już czasu

na telefony. Zawiesił na szyi policyjną odznakę i ostrożnie nacisnął klamkę, ciągnąc do siebie skrzydło.

Bezszelestnie ustępowało, wpuszczając na korytarz smugę mętnego światła i coraz wyraźniejsze głosy.

Kruk z całej siły pociągnął drzwi i pierwszy wpadł do pomieszczenia za nimi.

Dwóch ludzi o kilka kroków od niego. Jeden z siekierą trzymaną oburącz. Ręce w żółtych gumowych rękawiczkach. Pochylony. Drugi jakoś nieskładnie ubrany. Puste ręce.

– Policja, na ziemię, odłożyć broń, ręce szeroko! – krzyknął Kruk.

Bielińska stanęła obok niego w pozycji strzeleckiej.

– Policja! Gleba! – krzyknęła. Głos jej zadrżał. Niedobrze. Kruk wiedział, że przecież nie ze strachu przed tamtymi.

Ten z pustymi rękami to był Mulicki. Uniósł te ręce i odwrócił twarz w kierunku policjantów. Cofnął się dwa kroki.

– Chciał mnie zabić – wybełkotał. – Ściągnął mnie tu...

Ten drugi, Karłowicz, wciąż ścisnął siekierę. Kryśka ruszyła do niego, mierząc w jego klatkę piersiową i wydając polecenia.

Coś było w tej scenie nie tak. Głos Kryski wciąż drżał, ale nie o to chodziło. Karłowicz był uzbrojony, ale wydał się Krukowi przyparty do ściany. Posłusznie odłożył siekierę na podłogę.

– Drzwi – szepnął, rzucając krótkie spojrzenie na wejście.

– Gleba, kurwa! – krzyknęła Bielińska, co dla Kruka zabrzmiało jak wołanie o pomoc, a gdy jej głos przebrzmiał, rozległo się ciche kliknięcie od strony wejścia i króciutki szum zapadającego, dobrze naoliwionego stalowego mechanizmu. Karłowicz położył się na ziemi i szeroko rozłożył ręce, Bielińska uklękła mu na plecach, wciskając kolano w kręgosłup, wsunęła broń do kabury i sięgnęła po kajdanki.

– Tego zostaw – krzyknął do niej Kruk, nie tracąc z pola widzenia Mulickiego. – Jest niegroźny.

W oczach Mulickiego błysnęło. To był błysk zrozumienia, wściekłości, paniki. Nagle jakby się przebudził:

– To szalenie... mówił, że obetnie mi łeb... myślałem, że jest po mnie... dziękuję...

Ręce trzymał wysoko, miał brudne, pokrwawione dłonie, ciemne smugi na twarzy jak ktoś, kto wycierał sobie z niej tymi brudnymi rękami pot. Mulicki kołysał się, z trudem utrzymując równowagę.

– Na ziemię, kurwo! – warknął Kruk, ale mógł tylko pogrozić mu palcem.

Mulicki sprawiał wrażenie, że go nie słyszy. Zrobił krok w kierunku Kruka.

Te jego uniesione ręce. Koszula pod marynarką była szeroka, rozdarta marynarka marszczyła się pod dziwnymi kątami, a rękaw lewej ręki opadł do łokcia, uwidaczniając umięśnione przedramię. Rękaw prawej ręki trzymał się przy nadgarstku. Kruk dostrzegł, że Mulicki przytrzymuje go koniuszkami palców.

– On by mnie zabił – powtórzył płaczliwie Mulicki.

– Gleba, kurwa!

Prawa ręka Mulickiego budziła jego niepokój. Facet sprawiał wrażenie, że jest w szoku, ale Kruk mu nie wierzył. Liczyło się to, że nie słuchał poleceń.

– Prawa ręka, kurwo. Pokaż, co masz w ręce!

Karłowicz leżał już grzecznie skuty, a Bielińska podniosła się znad niego. Mulicki wzrok miał rozbiegany. Gdy uchwycił postać Bielińskiej, zatrzymał się na niej.

– Panie Mulicki... – Z tonu jej głosu Kruk uchwycił, że nie jest z nią dobrze. Nie dawała rady w tym małym zamkniętym pomieszczeniu, i zaniepokoił się, że może mieć nietrafny ogląd

sytuacji. – Proszę się uspokoić. Zajmiemy się panem, a teraz proszę się położyć na ziemi i szeroko rozłożyć ręce.

Stała między Krukiem a Mulickim, częściowo odwrócona bokiem. Rękojeść broni w rozpiętej kaburze uwidaczniała się pod odchyloną marynarką. Bielińska twarz miała bladą, odrealnioną. Tylko jakaś część Kryski była z nimi tutaj.

Karłowicz ostrzegawczo krzyknął.

Jego głos zabrzmiał jednocześnie z ruchem Mulickiego w kierunku Bielińskiej, Kruk rzucił się na niego, ale nie zdążył. Lewa ręka Mulickiego wyciągnięta po broń, jego postać nad Kryską, jęk, walące się na ziemię z potężną siłą ciała.

Jęknął Mulicki, padając na posadzkę. Bielińska wykonała rzut przez plecy i cofnęła się, już celując do Mulickiego z glocka. Coś zadźwięczało na betonie. Kruk nie zdążył spojrzeć, bo doskoczył i pięścią strzelił Mulickiego prosto w twarz, gdy już usiłował się podnieść, żywotny jak karaluch. Przetoczył faceta na plecy i zaczął skuwać. Poszło mu łatwo, Bielińska wykonała całą robotę.

– Nic ci nie jest? – mruknął, zamykając kajdanki na przegubach Mulickiego. Ale nie mówił do niego.

– Przepraszam, bałem się, to ze strachu... – powtarzał Mulicki. – Przepraszam... Ja nie chciałem.

Bielińska nie odpowiedziała, za to powoli podeszła do drzwi. Nacisnęła klamkę. Klamka ustąpiła, ale drzwi ani drgnęły. Usiłowała je pchnąć, ale bez rezultatu.

Te jej powolne ruchy. Prawą dłoń przyciskała do lewego boku. Kruk poczuł ścisk w gardle.

– Krysiu...

Powiódł wzrokiem po posadzce. Leżał na niej wkrętak z płaskim końcem. Rękojeść wkrętaka była stara, brudna, pomazana farbą. Płaski koniec był umazany czymś ciemnym.

Bielińska odwróciła się do Kruka. Jej bladość się pogłębiła. Między palcami, które przyciskała do boku, sączyła się krew.

– To nic – powiedziała. – Trochę krwawi. Opatrzę mnie, jak przybędzie wsparcie.

Ścisk w gardle Kruka tylko się wzmógł. Sięgnął po komórkę. Dalej nie było zasięgu. Zabiłem ją, pomyślał.

– Co z drzwiami?

– Zamknięte.

Pomógł Bielińskiej usiąść pod ścianą. Krwi było coraz więcej. Delikatnie odciągnął jej palce i unióś bluzkę. Rana była nieduża, ale krwawiła jak diabli, może była głęboka, choć miał nadzieję, że nie. Rozejrzał się, szukając wzrokiem czegoś, z czego mógłby zrobić jej opatrunek. Na posadzce leżały jakieś fragmenty ubrań, możliwe, że niektóre należały jeszcze do Woronowicza, inne do Brandta. Niektóre poplamione zakrzepłą krwią i brudne.

Kruk nie chciał opatrywać jej czymś takim. Ściągnął kurtkę, a potem koszulę, którą zwinął i przewiązał nią Bielińską w pasie z nadzieją, że to spowolni krwawienie. Gówniany gest, który nic nie znaczył.

– Spokojnie – powiedział.

Przyjęła to obojętnie. Przymykała oczy.

Podszedł do drzwi. Próbował je otworzyć.

Kruk przyjrzał się klamce. Była na długim szyldzie, z zabezpieczeniem wkładki patentowej. Kilkakrotnie uderzył dłonią w stalowe poszycie. Blacha była gruba. Ten szum, który słyszał, gdy drzwi się zamknęły, to było zapadanie blokad. Przypomniał sobie dziwny, miękki opór, jaki pojawił się, gdy naciskał klamkę z drugiej strony.

– On mówi – rzekł Karłowicz z podłogi – że Brandt zaprojektował to tak, żeby można było wejść, ale nie wyjść. Trzymał tu gotówkę.

Może tak było. Drzwi najwyraźniej zostały tak skonstruowane, że można je było otworzyć tylko z jednej strony, z drugiej to nie działało. A każdorazowe zamknięcie musiało powodować wysunięcie rygli blokujących. Stąd szum mechanizmu przy zetknięciu skrzydła z ościeżnicą.

Przykucnął i obejrzał wkładkę patentową za zabezpieczeniem.
Byli, kurwa, uwięzieni.

90

Kruk odwrócił się od drzwi. Przeszedł między dwoma skutymi na podłodze mężczyznami pod ścianę, gdzie coś leżało przysypane wapnem i pod foliowym workiem. Smród, który tu się unosił, tam miał źródło.

Uniósł lekko folię i cofnął się przed mocniejszą falą smrodu. Mężczyzna bez głowy. Brandt.

Kruk stanął nad Mulickim.

– Klucz – powiedział.

Bielińska siedziała nieruchomo, przyciskając opatrunek z jego koszuli do boku. Częściowo nakrywała powiekami oczy, ale Kruk i tak widział, co w tych oczach jest, i zapierało mu dech.

Nie tylko traciła krew. Zamknięta przestrzeń pozbawiała ją sił równie skutecznie.

– Klucz – powtórzył cicho.

– Jaki klucz?

– Daj mi klucz.

– Nie mam żadnego klucza. On mnie tu zwabił. – Ruchem brody wskazał skutego Karłowicza. – Nie powinienem tu wchodzić, gdy zobaczyłem samochody w hali. Nie powinienem zaglądać do piwnicy... Wiem, powinienem wezwać policję. Ale wszedłem tu i nie mogłem wyjść...

Kruk zakończył tę gadaninę kopnięciem w splot słoneczny. Mulicki zaczął się dusić.

– Klucz – powtórzył Kruk, dziwiąc się, jak bardzo spokojny ma głos.

– Przestań! – odezwała się Bielińska nadspodziewanie przytomnym głosem. – Przestań.

– Musi dać nam klucz.

– Spójrz na niego. Pomyliłeś się, Sławek. Myślisz, że sam się tu zamknął?

Bielińska wciąż siedziała, ale była już wyprostowana i ostro patrzyła na niego. Ta jedna niewielka zmiana jej pozycji spowodowała, że plama krwi na przepasującej brzuch koszuli Kruka zaczęła gwałtownie rosnać.

Komisarz podniósł jeden z wielu wąskich plastikowych pasków leżących przy przykręconym do posadzki krześle. Obejrzał go sobie. Trytytki, którymi skuto Woronowicza i Brandta.

Potem przykucnął i uważnie obejrzał stalowe, przerdzewiałe krzesło.

Powiódł wzrokiem po pozostałych paskach. W tej chwili to nie miało znaczenia.

Kruk obejrzał wkrętak, nie dotykając go. Nie tylko grot, ale i rękojeść była stalowa i podrdzewiała. Narzędzie wyglądało na

ciężkie, nieporęczne. Takie, które mogło leżeć w tej piwnicy od lat.

Podszedł do drzwi i je także obejrzał dokładnie. Setki drobnych rys na blasze przy zamku. Smugi krwi i brudu.

– Wszedł tu i nie mógł wyjść – powiedział. – Bił w drzwi, wołając pomocy. Przypadkiem znalazł ten wkrętak. Usiłował sforsować nim zamek. Nie mógł wyjść z piwnicy, więc siedział w ciemności i czekał na ratunek. Liczył na niego, bo w salonie swojego domu zostawił komórkę z nagraniem, które naprowadzi policję na miejsce, gdzie jest. – Kruk popatrzył na Bielińską, która zdawała się niewiele rozumieć, i przeniósł wzrok na Mulickiego, który rozumiał wszystko. – Ale nie pojawiła się policja, tylko Karłowicz. Też dobrze. Facet, który go tu zwabił, zamknął i zamierzał zabić, tak jak jego współników. Karłowicz miał siekiere, wywiązała się walka i Mulicki zabił Karłowicza w obronie własnej. Przeszukał jego zwłoki i odnalazł klucz. Wszedł na zewnątrz, aby wezwać tę nieudolną policję, która nie potrafiła sama do niego trafić. – Kruk westchnął. – Tak to miało wyglądać.

– Nie mam żadnego klucza – powiedział Karłowicz.

– Nie zna się pan na żartach – odparł Kruk.

– Ktoś tu jeszcze jest oprócz nas. Zamknął za mną drzwi na korytarzu, gdy wchodziłem.

– Nie sądzę. Pan Mulicki nikomu już nie zaufa, ale nieodmiennie ufa sobie. Skoro sam się tu zamknął, to musiał zapewnić sobie możliwość wyjścia. – Napłynęła fala wściekłości i Kruk ledwo się powstrzymał, żeby nie kopnąć Mulickiego w twarz. – Klucz, kurwo!

Bielińska widziała, co się z nim dzieje, bo podjęła wysiłek, by podnieść się z miejsca.

– Nie pozwolę ci – rzekła. Plama krwi powiększała się w oczach. – Nie pozwolę.

– Dobrze. – Kruk przyklęknął przy niej. – Zostań tu. Nie wstawaj. Nie tknę go.

– Nie wolno ci.

– Nie wstawaj.

Przestała próbować. Patrząc na to, jak Bielińska wygląda, Kruk poczuł, że ogarnia go rozpacz.

– Gdzie wsparcie? – powiedziała cicho Kryśka, a głowa jej opadła. Usiłowała ją unieść, ale jej mała głowa była ciężka, zdecydowanie za ciężka na taką akrobację.

Kruk bezradnie rozejrzał się po pomieszczeniu. Mulicki musiał gdzieś ukryć ten klucz.

– Mów – zwrócił się do Karłowicza.

– Co mam mówić?

– Opowiedz wszystko, chcę do końca zrozumieć. – Znowu popatrzył na Bielińską. – Ona musi zrozumieć, że tego człowieka nie warto chronić. On musi nam powiedzieć, jak szybko stąd wyjść, albo go zabiję.

Kruk zostawił Bielińską i po raz kolejny oglądał drzwi, centymetr po centymetrze. Musiał istnieć sposób, aby je otworzyć.

Mulicki twarz miał zakrwawioną, ale już się zebrał i usiadł ze skutymi z tyłu dłońmi. Kruk nie spuszczał go z oczu, gdy zabrał się za przeszukiwanie pomieszczenia. Bezgłowe zwłoki Brandta obejrzał pobieżnie. Zwłoki trafią na sekcję, z tego powodu Kruk nie sądził, by klucz mógł być w nich ukryty.

Karłowiczowi też udało się usiąść. Monotonnym głosem opowiadał, jak doprowadził Trust do upadku. Bielińska zakołysała się i cicho westchnęła. Nie słuchała. Kruk przetrząsał walające się wszędzie ubrania, zaglądał w każdy kąt.

Gdy Karłowicz dotarł do pieniędzy z rzekomej utylizacji, Mulicki odezwał się cicho:

– Ja niczego nie wziąłem. Ani złotówki.

– Wziął pan wszystko – powiedział Kruk. Oglądał teraz zamrażarkę, centymetr po centymetrze, szukając miejsca, gdzie mógł być przymocowany klucz.

Karłowicz nie ukrywał, że wysłał pocztówkę. Sprawiał wrażenie zdruzgotanego. Kruk wyjrzał zza zamrażarki i spojrzał na Mulickiego. Na faceta, do którego Woronowicz z pewnością

przyszedł z tą pocztówką. Mulicki podważył w oczach policji uczciwość i prawdomówność Klary. Musiał wiedzieć, że go szpieguje i czyją jest kochanką. Jeśli przeglądał dzienniczek Klary, znał daty jej spotkań z Erykiem i dopasowywał swoje działania do tych dat. Sposób działania pułapki dawał mu swobodę wyboru czasu. Pomocna okazała się zamrażarka i możliwość mrożenia zwłok.

Karłowicz opowiedział o mailach, które zaczął odbierać.

– Gratuluję pomysłowości, panie Mulicki – mruknął Kruk. – Dobrze czułem, że kto jak kto, ale pan nie będzie się trzymał z tyłu.

Wstał, oględziny zamrażarki nic nie dały. Oczywiście, że nic nie dały. Klucz musiał być tak ukryty, że nawet gdy policja przeszuka gruntownie pomieszczenie, nic nie znajdzie. Kruk z poczuciem narastającej paniki zaczął spacerować wzdłuż ścian i opukiwać je.

– Pan naprawdę sądzi, że to ja? – odezwał się Mulicki.

– Po co oglądasz ściany, Sławek? – odezwała się Bielińska. Słabość jej głosu przeraziła go.

– Wiesz, co miało tu być? – odparł Kruk. – Escape room. Brandt szykował się do otwarcia nowego biznesu, niezależnego od Trustu. Escape roomy. To przyczynek do jego śmierci, pan Mulicki takie rzeczy uważa za zdradę. Brandt okradał kolegów, chciał się uniezależnić, wtopił w transakcji, którą odradzał pan Mulicki. W oczach pana Mulickiego po prostu prosił się o karę. Tam, gdzie są escape roomy, mogą pojawić się drzwi, które są pułapką. I schowki, gdzie można ukryć klucze do tych drzwi.

Spojrzenie Bielińskiej było puste.

– Brakuje nam tylko instrukcji – powiedział Kruk. – Na szczęście mamy pana Mulickiego, który tę instrukcję zna.

– Nie waż się go dotknąć – powiedziała Bielińska.

– Jasne, niech pan mówi dalej, Eryku.

Karłowicz opowiedział, jak zawiózł pierścionek na Jabłońskiego.

– Dlaczego? – Kruk odwrócił się do niego, po raz pierwszy poczuł się zdziwiony. – Dlaczego pan to zrobił?

– Nie wiem. Coś sobie myślałem. Pomyliłem się.

– Pomylił się pan?

– Powinienem coś zrobić, gdy dostałem zdjęcia Woronowicza, nie zrobiłem nic i czułem się współwinni.

– Bzdura. Czemu naprawdę nie poszedł pan na policję?

Karłowicz nie odpowiedział.

– Panie Eryku?

– Czasem mam wrażenie, że są we mnie dwie osoby – odparł. – Jedna przerażona tym, co się działo, i druga, która uważała, że działa się sprawiedliwość.

– Tylko dwie? – zainteresował się Kruk.

– Moje znużenie narastało. Zdarzało mi się wątpić, czy człowiek, z którym wymieniam maile, istnieje. Wiadomości przychodziły na skrzynkę z tego samego adresu mailowego, co znaczyło, że tamten człowiek logował się do tej samej skrzynki co ja. Może to byłem ja. Poszedłem na Jabłońskiego, żeby sprawdzić, czy ktoś zabrał pierścionek. Nie zabrał, on wciąż tam był. Zastanawiałem się potem nawet, czy odłożyłem pierścionek z powrotem, nie pamiętałem. – Popatrzył na krzesło i wiszący tam przedmiot. – Tak, odłożyłem go.

– Ten człowiek jest chory – odezwał się Mulicki, ale nie mówił do Kruka, tylko do Bielińskiej. – Czy pani mu wierzy?

– Nie jestem niewinny – powiedział Karłowicz. – Gdy dostałem maila, żeby go zwabić tutaj, zrobiłem to. Dostałem szczegółowe instrukcje, co mam powiedzieć, żeby posłuchał.

Kruk patrzył na niego. Karłowicz był jak zając ścigany przez psy. Chował się coraz głębiej w norę bez wyjścia, byle tylko odwlec moment, kiedy go dopadną: o tydzień, dzień, godzinę.

Każda decyzja wplątywała go coraz głębiej w sytuację bez wyjścia, ale w zamian dostawał obietnicę: to jeszcze nie teraz.

– Wczoraj dostałem kolejny mail – powiedział Karłowicz. – I informację, że on tu jest. Dostałem zdjęcie pierścionka. Przyszedłem tu, żeby... – zawahał się i umilkł.

Akurat to, po co Eryk tu przyszedł, Kruka mało obchodziło.

– Mulicki przejął pułapkę Brandta. – Kruk przyklęknął przy Bielińskiej i mówił cicho, prosto do jej ucha. – Zwabił tu Woronowicza, zczekał, aż wpadnie w nią Brandt.

Odchyliła głowę, żeby uciec od jego głosu, ale on przybliżył się bardziej i mówił jeszcze ciszej:

– W mailu kazał Karłowiczowi zadzwonić do siebie. Kazał podać w trakcie tej rozmowy adres. Przekazał instrukcje, jak Karłowicz miał przekonać rozmówcę, a gdy Eryk zadzwonił, dał się przekonać. Mulicki przyjechał tu od razu potem, zostawiając w salonie domu komórkę, na którą nagrał rozmowę z Erykiem. Sądził, że policja ją znajdzie, żona poda PIN, i natychmiast odsłuchamy nagranie.

Bielińska przymknęła oczy, i nie był to wyraz fizycznego bólu. Gdy otworzyła je z powrotem, był w jej spojrzeniu wyrzut.

– Kruk, my nie znaleźliśmy...

– Czekał tu na nas. Chciał, żebyśmy go zastali zamkniętego w tym pomieszczeniu, które jest pułapką bez wyjścia, przerażonego, czekającego na śmierć, która spotkała jego współników. Kto by uwierzył, że sam się tak urządził?

Kruk wziął Bielińską za rękę. Nie miała sił, by oponować.

– Policja nie przyjeżdżała i Mulicki wpadł w panikę. Zwabił Karłowicza.

Kruk patrzył na obu mężczyzn. Mulicki i Karłowicz to były dwa różne światy. Karłowicz próbował być wilkiem, a stał się łowną zwierzyną. Mulicki stopniowo wciągał go w swój świat, wysyłając

zdjęcia, a potem poddał testowi, domagając się pierścionka. Został wybrany na kozła ofiarnego, którego w taki albo inny sposób chciał złożyć policji w ofierze, aby dostała sprawcę.

Bielińska tylko potrząsała głową, ale coraz słabiej.

– Brandt zabezpieczył to miejsce, chował tu pieniądze. Gdzie je chował? Schowek musi tu być – nie ustępował Kruk. – Pieniędzy już pewnie nie ma, ale klucz będzie na pewno. Mulicki musiał stąd wyjść, aby wysłać maila i zdjęcie pierścionka, tutaj nie ma zasięgu. W schowku może więc też być jakaś komórka.

Bielińska uniosła dłoń. Była blada, coraz bledsza.

– Zostawmy to, Sławek. Kiedy nadejdzie wsparcie?

– Nie będzie wsparcia.

Opuściła dłoń.

– Nie rozmawiałeś z Marcinem. – To nie było pytanie ani stwierdzenie, ale coś pomiędzy.

– Nie.

Zamknęła oczy, a Kruk powiedział łagodnie:

– Muszę wydobyć z Mulickiego informację, gdzie ukrył klucz.

– Nie.

– Potrzebujesz lekarza.

– Nawet nie próbuj, powstrzymam cię za wszelką cenę.

– Nie możesz poświęcać się dla niego. To zabójca.

– Nie wiemy tego. Masz hipotezę... To zaledwie hipoteza. Bardzo mało wiarygodna.

– Uwierzysz, kiedy on wskaże schowek i znajdę w nim ten pieprzony klucz.

Pokręciła głową.

– Jesteś policjantem. Nie wolno ci zrobić nic niezgodnego z prawem.

Podniósł się i stanął nad Mulickim.

– Może ukryłeś klucz w dupie – warknął z wściekłością, którą przykrywał bezradność.

– Kruk – usłyszał za sobą jej głos i przestraszył się, że znowu spróbuje się podnieść, przyspieszając tym krwawienie.

– Nic nie robię, Krysiu.

Wykrwawiaj się powoli, pomyślał. To legalne. Ja poczekam.

92

Mulicki usiłował ramieniem otrzeć krew z twarzy. Gdy ich spojrzenia się spotkały, znieruchomiał.

Kruk wskazał mu Bielińską w kącie.

– Niech pan powie, gdzie jest klucz. Wiele mówił pan o odkupieniu, niech pan nie bierze jej na swoje sumienie. Prokurator weźmie pod uwagę pana postawę.

Mulicki patrzył obojętnie. Nie odpowiedział.

– Ona o pana walczyła, jest jej pan coś winien.

– O nic jej nie prosiłem.

– A jednak to zrobiła. To dobry człowiek.

– To inaczej niż pan?

W głosie Mulickiego pojawiła się kpina. Do Kruka dotarło, że facet wie, jak mu zależy, i nie pomoże Kryśce także dlatego, że wie.

Wyprostował się. Czuł, jak zalewa go gniew.

– Kruk... – wymamrotała Bielińska.

Opanował się. Mulicki uśmiechnął się pod nosem.

Jednak był głupcem, tak jak wielu okrutnych ludzi. Nie powinien był tak się uśmiechać.

Kruk usiadł pod ścianą blisko Karłowicza. Kriss coś do siebie szepnęła i jęknęła.

– Jak długo ona może wytrzymać? – spytał Karłowicz.

– Jest twarda. Ale została już kiedyś zamknięta przez takie szczyry jak ten. Od tego czasu źle znosi podobne miejscówki.

Nikt już nic nie mówił. Kruk przymknął oczy, ale tylko trochę. Nie chciał stracić z pola widzenia nikogo z obecnych tu ludzi. Mijały chwile, które lepiły się w minuty i płynęły nieznośnie wolno jak cicha, gęsta rzeka.

– Eryku – odezwał się Kruk, a Karłowicz uniósł głowę. – Mogę tak do pana mówić? Eryku...

Karłowicz wzruszył ramionami.

– Kiedy nas znajdą? – spytał.

– Nieprędko. Ja i Kriss nie mamy nikogo, kto zwróci uwagę, że nie wróciliśmy na noc. Nasz szef zaniepokoi się pierwszy, ale on jest przyzwyczajony, że działam po swojemu. Inni będą jutro myśleć, że skoro nas nie ma, to pracujemy w terenie. Jak dobrze pójdzie, może ktoś zacznie zadawać pytania po południu, może zaczną nas szukać wieczorem albo dopiero kolejnego dnia lub później, bo zacznie się weekend. Zanim zlokalizują radiowóz albo ostatecznie logowania naszych komórek, zanim trafią do tego miejsca...

Kruk spojrzał na Bielińską. Objęła rękami kolana, blada, trzęsąca się. Chyba nawet nie słyszała tego, co mówią.

– Do tego czasu ona się wykrwawi albo odgryzie sobie język.

– Przykro mi.

– Niepotrzebnie. Zaradzimy temu. Ty i ja, Eryku. Rozkuję cię, co ty na to?

– Dlaczego?

– Żebyś mi pomógł, Eryku. Potrzebuję pomocy. Pomożesz?

– Będzie pan bez końca powtarzać moje imię?

– Usiłuję się zaprzyjaźnić, Eryku. Przyjaźń to piękna rzecz, ale wymaga czasu. Ty i ja czasu nie mamy. Jestem Sławek, tak do mnie mów. – Kruk wygłaszał to wszystko powoli, cicho, ale teraz jego głos stał się twardszy. – Powiedz do mnie: Sławek.

Karłowicz z wysiłkiem przełknął ślinę.

– Sławek...

– Świetnie. – Kruk znów był łagodny. – Myślisz, że staliśmy się przyjaciółmi i mogę już cię rozkuć?

W oczach Karłowicza widać było wahanie. Pewnie dlatego, że zajrzał w oczy Kruka.

– Dobrze się czujesz, Sławek?

– Tak sobie. Ale miło, że pytasz.

– Bo nie wyglądasz dobrze.

– Nie przejmuj się tym. – Kruk sięgnął po kluczyki. Nachylił się do Karłowicza. – Dawaj łapy.

Karłowicz odwrócił się do niego plecami, a Kruk otworzył kajdanki. Zważył je w dłoni, Karłowicz roztarł nadgarstki, spoglądając na policjanta z obawą.

– I po zabiegu – rzekł Kruk i zwrócił wzrok na Mulickiego, który obserwował wszystko czujnie i w milczeniu.

– W czym mam ci pomóc? – spytał Karłowicz.

– Spójrz na niego, jaki biedny. A zezna, że jest biedny przez ciebie. To znaczy tak by zeznał, gdyby wszystko poszło po jego myśli. Teraz, kto wie, może dorzuci brutalność policji.

Mulicki nie mówił nic, oczy miał płaskie i zimne.

Kriss zatrzęsa się. Kruk miał coraz większe wątpliwości, czy Bielińska jeszcze rozumie, co się wokół niej dzieje. Usiłowała się uśmiechnąć, ale to był zbyt duży wysiłek. Kilkakrotnie wciągnęła gwałtownie powietrze. W oczach miała rozpacz.

– Z tym ostatnim będzie miał rację. Bo wkrótce wyleziemy z tej nory. Pod warunkiem, że dobrze się spiszesz, Eryku.

– Co miałbym zrobić?

– To, co ci każe.

– Co chcesz zrobić?

Kruk spojrział na leżącą pod ścianą siekierę, a potem wrócił wzrokiem do Mulickiego.

– Tylko to, co będę musiał.

– Jak się z tego wytłumaczysz?

– Nie wiem. Pomyślę o tym potem. W tej chwili nie wolno mi o tym myśleć.

Ale nie zrobił nic. Wciąż czekał. Kriss się skuliła. Głowę miała zwieszoną, oczy zamknięte, ciężko oddychała. Nagle osunęła się na bok i tak została częściowo oparta o ścianę.

Straciła przytomność.

– Eryku, czy ty i ja dobrze się rozumiemy? – spytał Kruk.

Kruk i Karłowicz wstali jednocześnie. Kruk podniósł siekiere i chwilę stał, ważąc ją w dłoniach. Odłożył siekiere, pięścią strzelił Mulickiego w twarz, aby go ogłuszyć, chwycił za ramiona i rozciągnął na ziemi. A potem znów podniósł siekiere.

– Zaczniemy od palców lewej dłoni – odezwał się cicho. – Będę odrąbywał je po kolei. Zaczniemy od najmniejszego, na próbę.

– Powtarzam, że tu nie ma żadnego klucza. – Mulicki, dochodząc do siebie po uderzeniu, wciąż był pewny siebie, ale Kruk wiedział, że to minie po pierwszym uderzeniu siekiery.

– Postaraj się – poprosił Kruk Eryka. – Bo jak się nie postarasz, będę musiał od razu odrąbać mu całą rękę. To będzie dla mnie okoliczność obciążająca.

Karłowicz wyglądał na przerażonego. Wciąż jeszcze niezdecydowany stanął nad facetem.

– Rusz się, kurwa, Eryku. Będę ci mówił, co robić.

Karłowicz zabrał się do roboty niepewnie, ale gdy już zaczął, jakoś poszło. Kolanem przydusił plecy Mulickiego. Kruk rzucił mu klucz do kajdanek. Karłowicz uwolnił lewą rękę faceta, prawą przykuwając do nogi stalowego krzesła. Nie zwalniając nacisku kolana na kręgosłup, wykręcił lewą rękę, której dłoń zwinęła się ochronnie w pięść, i otworzył ją, wyginając mały palec.

Przycisnął mu dłoń do posadzki, ale Mulicki natychmiast schował palec.

– Musisz najpierw wyłamać mu palec – rzekł Kruk.

Karłowicz się zawahał. Kruk opuścił siekiere i łagodnie spytał:

– Sam mam to zrobić?

Eryk Karłowicz wziął głęboki wdech. Mocniej wykręcił lewą rękę Mulickiego i usiłował rozewrzeć mu pięść, ale tym razem facet walczył zaciekłej, dlatego miał z tym problemy.

– Nie robi pan tego. – Mulicki wykręcił szyję, aby spojrzeć na Kruka. – Jest pan policjantem.

– Robiłem gorsze rzeczy.

Kruk rzucił ostatnie spojrzenie na Kryśkę.

– Ona jest dla mnie coś warta – powiedział cicho. – Pan nie jest dla mnie warty nic.

Mulicki zawył, gdy Karłowicz szarpnął mały palec i wybił go ze stawu. Pięść dalej miał zwiniętą, Karłowicz przyciskał ją z całych sił do posadzki, ale ten palec ładnie odstawał pod dziwnym kątem.

Kruk wziął siekiere w dwie ręce. Karłowicz odwrócił wzrok.

– Patrz na to – warknął Kruk. – Pamiętaj, co zrobili twojej żonie.

Karłowicz posłusznie wrócił spojrzeniem. Kruk uderzył, a palec Mulickiego odskoczył. Było to na swój sposób ładne.

Mulicki krzyczał, ale Karłowicz, nagle bezwzględny, wciąż unieruchamiał go kolaniem. Krew z okaleczonej dłoni wypływała na posadzkę, ale to nie miało znaczenia, bo w tej piwnicy krew była tania.

Ręce Karłowicza się trzęsły.

– Łamać drugi?

Kruk przytaknął. Karłowicz już się nie wahał, pociągnął mocniej wykręconą rękę, wpił swoje palce pod palec serdeczny tej ręki i szarpnął. Wycie Mulickiego się wzmogło. Drugi palec odstawał od pięści, już niekompletnej. Karłowicz też miał dłonie we krwi.

– Ściana po lewej od wejścia – wycharczał Mulicki. – Siódma i ósma cegła po lewej na wysokości kolana. Trzeba wcisnąć je razem i przesunąć w prawo najbliższą cegłę po lewej...

Lewa ręka Mulickiego drgała. Kruk odstawił siekiere. Zbliżył się do wskazanej ściany. Zrobił kilka prób z różnymi ceglami, ale bez rezultatu.

– Jeszcze raz, które to cegły?

Mulicki mruknął coś chrapliwie, czego Kruk nie zrozumiał. Próbował kolejnych cegieł. Naciskał po dwie naraz. Mocno, bardzo mocno, ale kiedy trafił na właściwe, ustąpiły lekko. Po lewej były dwie cegły, wyższa nie drgnęła, gdy usiłował ją poruszyć. Niższa ustąpiła równie lekko jak dwie pierwsze. Kruk przesunął ją, odsłaniając mały schowek, a w nim komórkę, dwie butelki wody, z których jedna była pusta...

I klucz.

Pasował do pierwszych drzwi. Kruk otworzył je, zablokował siekierą przed ponownym zamknięciem. Sprawdził drugie drzwi. Były otwarte i wciąż zablokowane pękiem kluczy, tak jak je zostawili. To nie miało znaczenia, był pewien, że do tych drzwi klucz też by pasował.

Wrócił do Bielińskiej. Gdy podnosił ją z podłogi, otworzyła oczy, chciała go objąć za szyję, ale nie miała siły.

– Co się dzieje? – Jej głos był raczej tchnieniem niż szeptem.

– Udało nam się otworzyć drzwi. Zabieramy cię stąd.

– Jak?

– Mulicki się nad tobą zlitował i dał nam klucz.

– A widzisz? – Uśmiechnęła się i ponownie straciła przytomność.

Kruk przeniósł ją przez pierwsze drzwi. Karłowicz poszedł za nimi. Podczas gdy oni mijali drugie drzwi, on zamknął pierwsze, wykopując siekierę na korytarz i zostawiając Mulickiego na posadzce samego.

Zanim wyszedł, spojrział jeszcze na pierścionek, który wciąż wisiał na oparciu krzesła, i zgasił światło.

Kruk wyszedł z kancelarii adwokackiej na ulicy Szerokiej na Starym Mieście i głęboko odetchnął. Wiał lekki wiatr, chmurzyło się, ale Kruk i tak starał się dostrzec na niebie przebłyśki słońca.

Jego sprawą zajmował się najlepszy prawnik na Pomorzu i to było dobre. Dobre było jeszcze to, że adwokata tej klasy zapewnił Krukowi pewien biznesmen, któremu Kruk kiedyś pomógł w kłopotach rodzinnych. Było coś pokrzepiającego w tym, że są ludzie, którzy nie zapominają takich rzeczy.

Ale już to, co powiedział Krukowi prawnik, nie było dobre:

– Skupiamy się na tym, panie komisarzu, aby uchronić pana przed pobytem w zakładzie karnym. Jako oficer policji odrąbał pan podejrzanemu palec. Będę wskazywał na szczególne okoliczności, ale nie gwarantuję niczego, bo sam pan do tych okoliczności doprowadził.

– Rozumiem.

– Natomiast o dalszej służbie w policji może pan zapomnieć. Tu sprawa jest przesądzona.

– Wyleją mnie?

– Natychmiast. Na zawsze. Mam panu tłumaczyć, dlaczego?

– Nie trzeba.

W głosie adwokata było współczucie, gdy powiedział:

– Już nigdy nie będzie pan policjantem.

Kim więc będę? – pomyślał od dwóch tygodni zawieszony Kruk. Zawieszali go już wcześniej, jednak tym razem nie odwieszają. Dostanie dyscyplinarkę.

Musiał przekazać sprawę. W celu zapewnienia maksymalnego obiektywizmu postępowania przejmowała ją prokuratura z Wrocławia. Kruk został przesłuchany. Wyjaśnił, że jego zdaniem cała ta historia była rozgrywką Mulickiego ze współnikami.

– A Karłowicz? – zapytał wysoki, szczupły prokurator z Wrocławia, który przyglądał się Krukowi zza grubych okularów. Był bardzo akuratywny i z pewnością robił sobie manicure.

– Gdyby Karłowicz nie oddał mu pierścionka i nie zgodził się zwabić go do escape roomu, Mulicki nadal siedziałby w domu otoczony ochroną i udawał, że się boi o życie. Ale Karłowicz, dwadzieścia lat w poczuciu winy za to, co stało się Dominice, i za to, co nie stało się jej oprawcom, zrobił to. Mulicki nie mógł się oprzeć pokusie, żeby Karłowicza ostatecznie nie zrobić.

– Może tak, może nie – powiedział prokurator. Kruk czuł dystans, jaki tamten trzymał wobec niego.

– Słusznie. To było ryzyko. Może chodziło o coś innego. Mulicki wiedział, że w trakcie postępowania spadkowego po Brandcie wypłynie sprawa jego nieruchomości pod Przejazdowem. Ktoś tam pojedzie i odkryje piwnicę. Mógł się obawiać, że na miejscu zabójstw pozostawił ślady biologiczne, policja je odkryje i Mulicki nie wytłumaczy się z tego, skąd tam się wzięły. Z chwilą, gdy trafił tam jako kolejna ofiara Karłowicza, takie wytłumaczenie dostawał.

– Próbowaliśmy logować się na tę skrzynkę pocztową, o której mówił Karłowicz – rzekł prokurator. – Dane logowania, które nam podał, nie wchodzi.

Kruk uważał, że Mulicki miał czas, by zdążyć przed przyjazdem Karłowicza zmienić te dane, ale sprawa była niejasna. Nie miał na to

gotowego wyjaśnienia.

Prokurator podczas ich długiej rozmowy często potrząsał głową, unosząc brwi.

Nic dziwnego, w sprawie pojawiały się inne niejasności. Pułapka była Brandta, i to on w nią wpadł. Oznaczało to, że Mulicki przejął budynek, miał klucz, którego nie miał Brandt. Takie były fakty.

Niejasne było, jak te fakty zaistniały.

Zdaniem Kruka sekret krył się we wspólnych libacjach alkoholowych Mulickiego i Brandta, które tak nie podobały się Michalinie Mulickiej. Jak on już z kimś pije, powiedział o Mulickim Brychan, to tylko po to, aby go ciągnąć za język. Co jak co, ale Brychan znał się na ludziach.

Kruk uważał, że Mulicki musiał po swojemu rozpracować Brandta, wejść w posiadanie kluczy do budynku w Przejazdowie, prawdopodobnie dorobił własne, a kiedy mu to pasowało, wymienił wkładki patentowe w stalowych drzwiach do piwnicy, i w ten sposób przejął pułapkę. Potem pod jakimś pozorem zwabił tam Woronowicza. Oni wszyscy mieli stary nawyk wyłączania komórek w różnych sytuacjach, więc Kruk był ciekawy, co takiego Mulicki naopowiadał Woronowiczowi, że ten, jadąc do Przejazdowa, wyłączył swoją.

Brandt wpadł w pułapkę, kiedy pojechał złożyć do skrytki pieniądze. Musiał być nieźle zdziwiony, gdy odkrył, że jego klucze nie działają.

– Gdzie są teraz te pieniądze? – spytał łagodnie prokurator.

Kruk nie wiedział. To było pytanie do Mulickiego. Skoro odsunęli Kruka od śledztwa, niech go sami pytają.

– Pan przyuważy, skąd weźmie na prawników.

Gdy kumple znikali, Mulicki przyjeżdżał do Przejazdowa sprawdzić swoją pułapkę. Ufali mu. Gdy tam wchodził, zapewne

witali go jak wybawcę. Po stronie Mulickiego było zaskoczenie. Uderzał każdego w głowę tępym przedmiotem, a kiedy tracili przytomność, sadzał ich na krzesła i unieruchamiał.

Kruk chciałby słyszeć ich rozmowę, gdy wracali do przytomności.

Strzępki włosów, skóry, drobinki krwi i mózgu, jakie zabezpieczono na tępej stronie siekiery, wskazywały, że to tym narzędziem zadano każdemu z mężczyzn śmiertelny cios. Ogłuszano ich być może tępą częścią wkrętaka, tego samego, którym Mulicki zaatakował Bielińską. Narzędzie było małe i ciężkie, mógł je łatwo ukryć, zanim uderzył.

Pobrano DNA z każdego z narzędzi, ale nie było jeszcze wyników.

– Zostawia nas pan z niezłym bałaganem – powiedział prokurator na odchodnym.

– Co z nim będzie, panie prokuratorze?

Prokurator oglądał w zamyśleniu swoje wypielęgnowane paznokcie. Gdy skończył, uniósł wzrok. W oczach miał lód.

– Zaatakował niebezpiecznym narzędziem i ciężko ranił funkcjonariuszkę policji na służbie. Tak czy inaczej, pójdzie siedzieć.

Kruk uśmiechnął się do swoich myśli. Pozostawił te myśli i kancelarię za sobą, zmierzając w stronę Mostu Chlebowego, który zwany był Mostem Miłości.

Kute barierki Mostu Miłości obwieszane były mnóstwem kłódek, które zapinali tam zakochani, aby ich miłość trwała wiecznie.

Nic nie trwa wiecznie. Może to i dobrze, pomyślał Kruk.

Na moście nie czekała na Kruka ukochana, tylko Marcin Zych, facet z pretensjami. To, że był zły, biło z jego twarzy.

– Mulicki zaczął gadać – powiedział.

To było coś nowego. Mulicki, odkąd przyjechali mundurowi i został przewieziony do szpitala, milczał.

– I co gada?

– Nie przyznaje się do winy.

– Wskazał schowek.

– Twierdzi, że schowek wskazał Karłowicz. Jest jego słowo przeciw twojemu, który go okaleczyłeś, i słowu Karłowicza, który ci pomagał i którego on oskarża.

O Bielińskiej nie wspomniał. Kryśka wtedy nie kontaktowała.

– Co ty na to?

Kruk wzruszył ramionami. Po rozmowie z prokuratorem z Wrocławia był spokojny o przyszłość Mulickiego.

– Prokuratura może próbować przyklepać Karłowiczowi kilka paragrafów – rzekł Marcin – w tym współudział w usiłowaniu zabójstwa, bo zwabił potencjalną ofiarę w miejsce, gdzie miała zostać zabita, ale sam nie wiem, bo potencjalna ofiara okazała się sprawcą.

Kruk chciał się uśmiechnąć, ale jakoś mu nie było do śmiechu. Miał nadzieję, że Cendrowski obstawi szwagra prawnikami. Zadba o niego.

Jakiś dzieciak stojący opodal wrzucił do wody mały kamień. Obaj patrzyli, jak tonie.

– Stoimy tu i plotkujemy jak przekupy – powiedział Kruk. – Przecież nie ściągnąłeś mnie tu, żeby gadać o Mulickim i Karłowiczu.

Wykrztuś, po co chciałeś się spotkać.

Marcin włożył ręce w kieszenie płaszcza. Odwrócił wzrok.

– Dlaczego nalegałeś, żeby spotkać się tutaj, na moście? – spytał Kruk.

– Jedna z tych kłódek jest moja i Matyldy. Pomyślałem, że wykorzystam okazję, by sprawdzić, czy jeszcze tu jest.

– I jest?

– Nie pamiętam, jak wyglądała.

– Przyszliśmy tu z powodu jakiejś kłódki albo dlatego, że nie chciałeś mnie zaprosić do siebie.

– Tak?

– Do mnie też nie chciałeś przychodzić. Co więc chciałeś? Co chciałeś mi powiedzieć?

Marcin patrzył na rzekę w dole.

– Na co liczyłeś, nie wzywając wsparcia?

A więc o to chodziło.

– Gdybyś wezwał wsparcie, nie musiałbyś robić tego wszystkiego, co zrobiłeś.

Kruk nie odpowiedział.

– Chyba że na coś takiego właśnie liczyłeś. Że dostaniesz okazję, by coś takiego zrobić.

– Wymyślasz.

– Doprawdy? Czy może tylko wydawało ci się, że uda ci się jakoś ukryć fakt, że zataiłeś dowody?

Bielińska chciała Kruka chronić, kłamać, by go ratować. Zadzwoiła do niego ze szpitala, żeby przyszedł, by mogli ustalić wspólną wersję. Odwiedził ją w szpitalu, ale zabronił jej tego robić.

Kazał jej mówić prawdę.

Próbowała ułożyć na nowo życie, a składanie fałszywych zeznań to nie była właściwa droga. Kruk w trakcie tego śledztwa i jego

finału robił, co robił, a to ona ostatecznie za to zapłaciła.

Marcin Zych odezwał się cicho:

– To była karykatura policyjnej realizacji, Kruk. Naraziłeś siebie, naraziłeś Krysię. Zresztą mniejsza o ciebie.

Kruk zastanowił się, czy przez te wszystkie lata służby Marcin choć raz zwrócił się do niego po nazwisku. Inni tak często mówili, Marcin chyba nigdy. To, że odezwał się tak teraz, z jakiegoś powodu Kruka zabolalo.

– Tym razem jestem za krótki, aby cię wyciągnąć.

– Wiem.

– Ale nie to chciałem ci powiedzieć.

Marcin dotknął jednej z wielu kłódek na moście. Może to była ich kłódka, a może nie.

– Dobrze się dzieje, że cię usuwają ze służby. To chciałem ci powiedzieć.

Głębiej wsunął ręce w kieszenie płaszcza i odszedł.

Minął następny tydzień i Bielińską zwolniono ze szpitala. Kruk odczekał dwa kolejne dni, zanim odwiedził ją w domu. Przyniósł róże i usiedli w pokoju na parterze przy kawie i uchylonym oknie. Było późne popołudnie, koniec listopada, na dworze panował chłód

i zbierało się na wielką jesienną burzę, choć w radio mówili, że burza ominie Gdańsk bokiem.

Kryśka wyglądała ładnie. Opatrunków, które na pewno jeszcze miała, nie było widać pod bluzką.

– Jak się czujesz?

– Wspaniale, bo wreszcie mnie wypuścili.

– To dobrze.

– Powiedziano mi, że pogotowie przyjechało niemal w ostatniej chwili. Gdyby zajęto się mną godzinę później, mogłoby być ze mną różnie. Dzwonił do mnie twój adwokat.

– Pogoń go. Niech nie zawraca ci głowy.

– I tak będę musiała zeznawać.

Wiedział o tym.

– Rozmawiałam już z wewnętrznymi. Dopadli mnie, ledwo lekarze pozwolili na chwilę rozmowy.

– Taką mają robotę.

– Ty uratowałeś mi życie, Sławek, a ja cię wsypałam, że ukrywałeś dowody. Kiedyś, gdy byłam na dnie, poprosiłeś Marcina, żeby mnie zabrał do wydziału, a teraz przeze mnie cię wylali.

– Ironia losu, ale nie przejmuj się tym nadmiernie.

– Nie zamierzam. – Pokręciła głową i zaraz wybuchła: – Mówię tak, jakbym sama była święta.

– Podobają ci się róże?

Wazon z kwiatami stał między nimi na stole. Kryśka dotknęła płatków. Przez chwilę czas się zatrzymał.

– Są śliczne.

– Myśl o kwiatkach, nie o innych rzeczach. O tamtym nie mówmy. Kuruj się, a gdy wydobrzejesz, bądź dobrą śledczą. Lepszą ode mnie.

– Nie da się. Gdyby nie ty, Mulicki chodziłby wolny, a Karłowicz...

– Gdybyś nie pociągnęła śledztwa...

Potrząsnęła włosami.

– Masz rację, nie mówmy o tamtym. O czym porozmawiamy?

– O nocy, kiedy do mnie przyszłaś. Czasem o tym myślę.

Z oddali dobiegło ich dalekie uderzenie pioruna. Wstała, żeby zamknąć okno, a on poszedł za nią.

– No to już nie myśl.

– To chyba nie jest tak, że dostaje się tylko jedną szansę.

– Nie brnij. Nawet jeśli kiedyś była jakaś chwila, minęła.

Stanowczo za długo zamykała to okno. Nagle spojrzała na niego i ścisnęła jego ramię serdecznie, po przyjacielsku.

– Nie w głowie mi te rzeczy, Kruk.

Stali obok siebie, słuchając narastającego szumu deszczu.

– Pada – powiedziała Bielińska, opierając dłonie o szybę.

Po drugiej stronie deszcz spłukiwał z ulic całe zło świata.

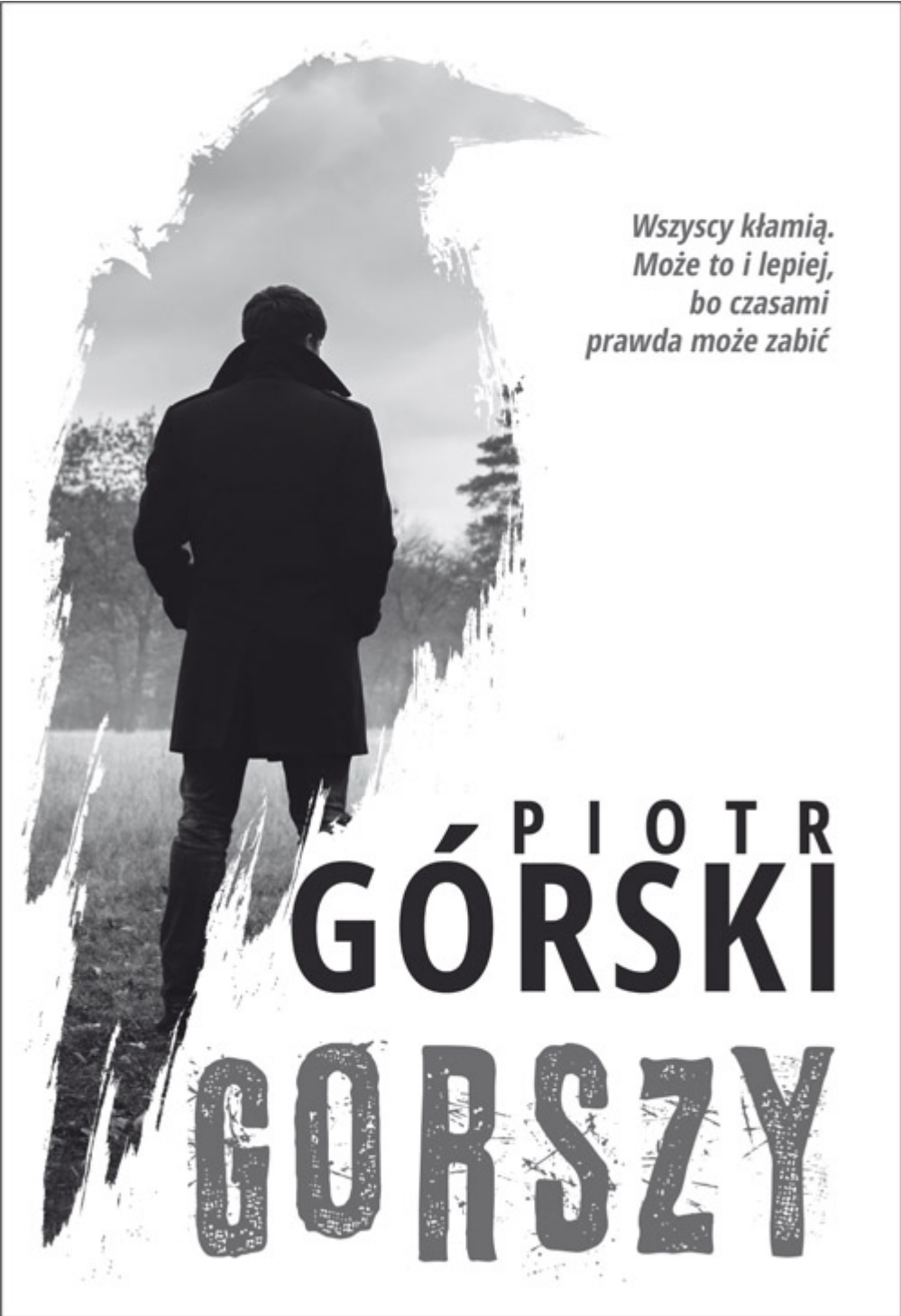


PIOTR GÓRSKI urodził się w 1971 r. w Morągu, od lat jest związany z Trójmiastem. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim oraz podyplomowo bankowość i finanse w Ecole Supérieure de Commerce de Rouen. Publikował opowiadania w „Nowej Fantastyce” i „Feniksie” (m.in. *Horda*, *Melomani*, *Niepomszczeni*), niektóre z nich znalazły się potem w antologiach. W 2017 roku powstała pierwsza powieść kryminalna Piotra Górskiego zatytułowana *Kruk*, która rozpoczęła serię o komisarzu Kruku. *Pułapka na szczury* stanowi – po *Gorszym*, *Krewnych*, *Królowej lalek*, *Bliskiej znajomej* i *Ćmie* – siódmą część tego cyklu.

ŻYCIEM CZŁOWIEKA KIERUJĄ IMPULSY
NIEKTÓRE PROWADZĄ DO ZBRODNI

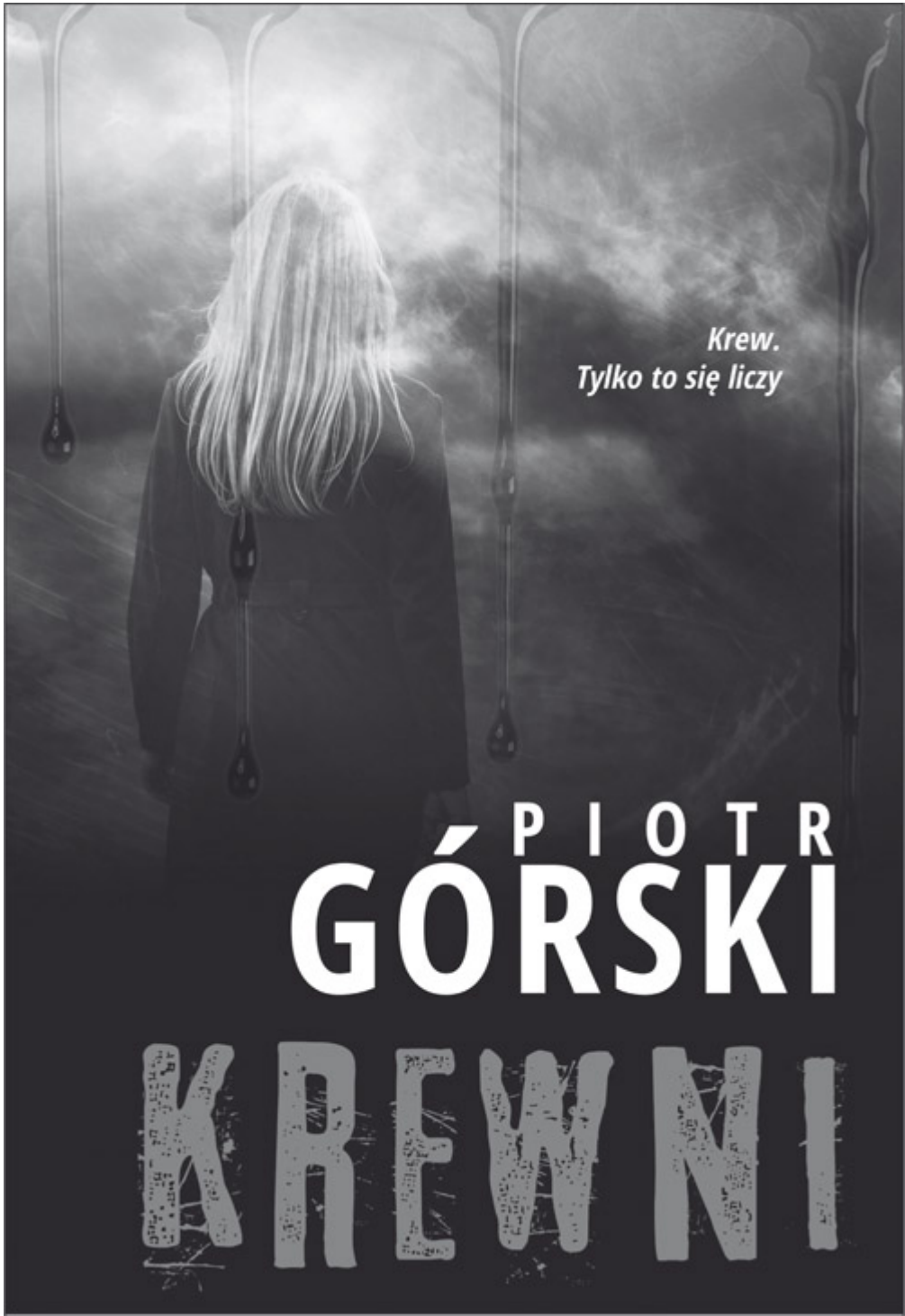
PIOTR
GÓRSKI

KRUK



*Wszyscy kłamią.
Może to i lepiej,
bo czasami
prawda może zabić*

PIOTR
GÓRSKI
GORSZY



*Krew.
Tylko to się liczy*

PIOTR
GÓRSKI

KREWNI

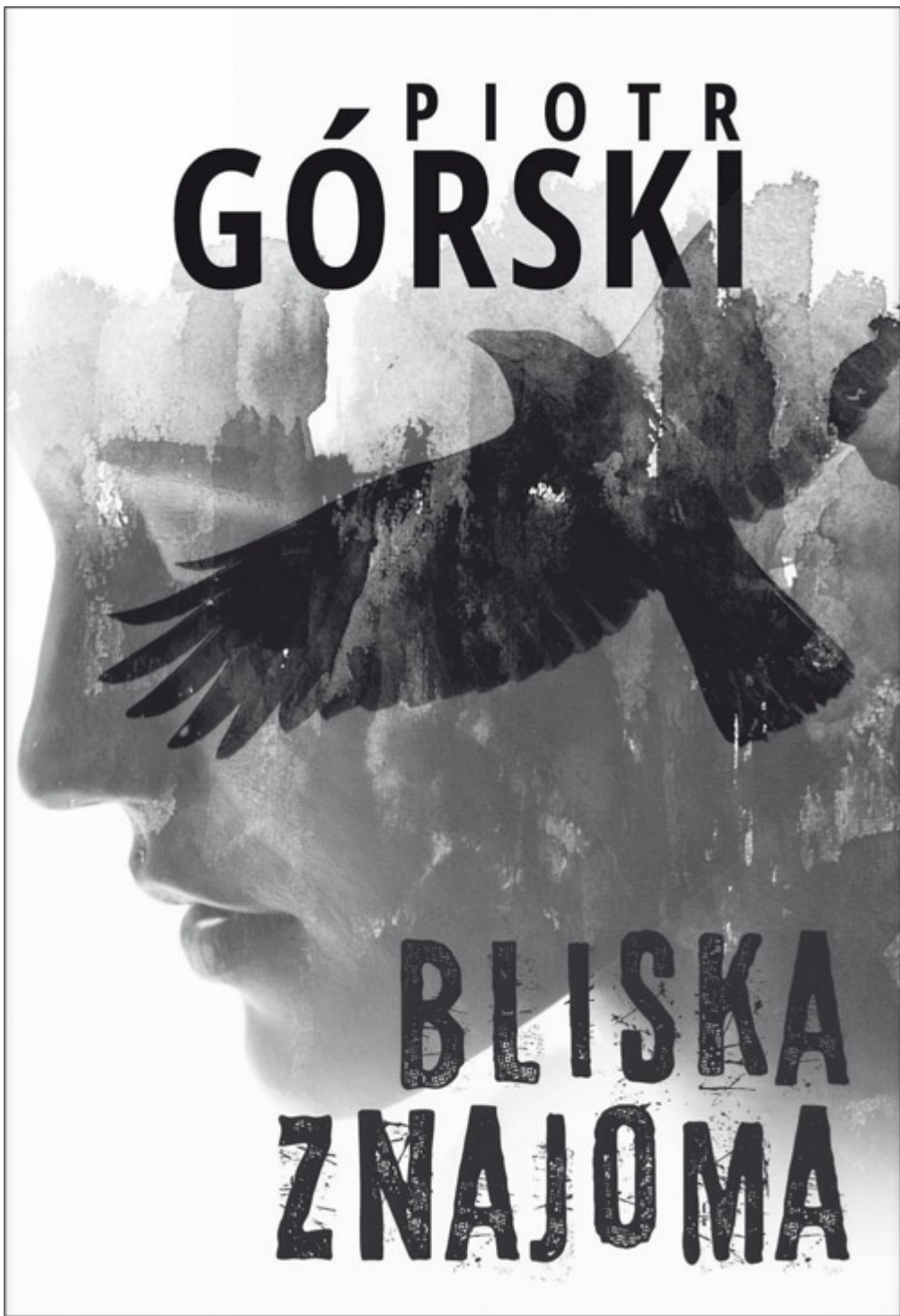


PIOTR
GÓRSKI

*Fakty i spekulacje układały się w całość.
To była ładnie opowiedziana historia.*

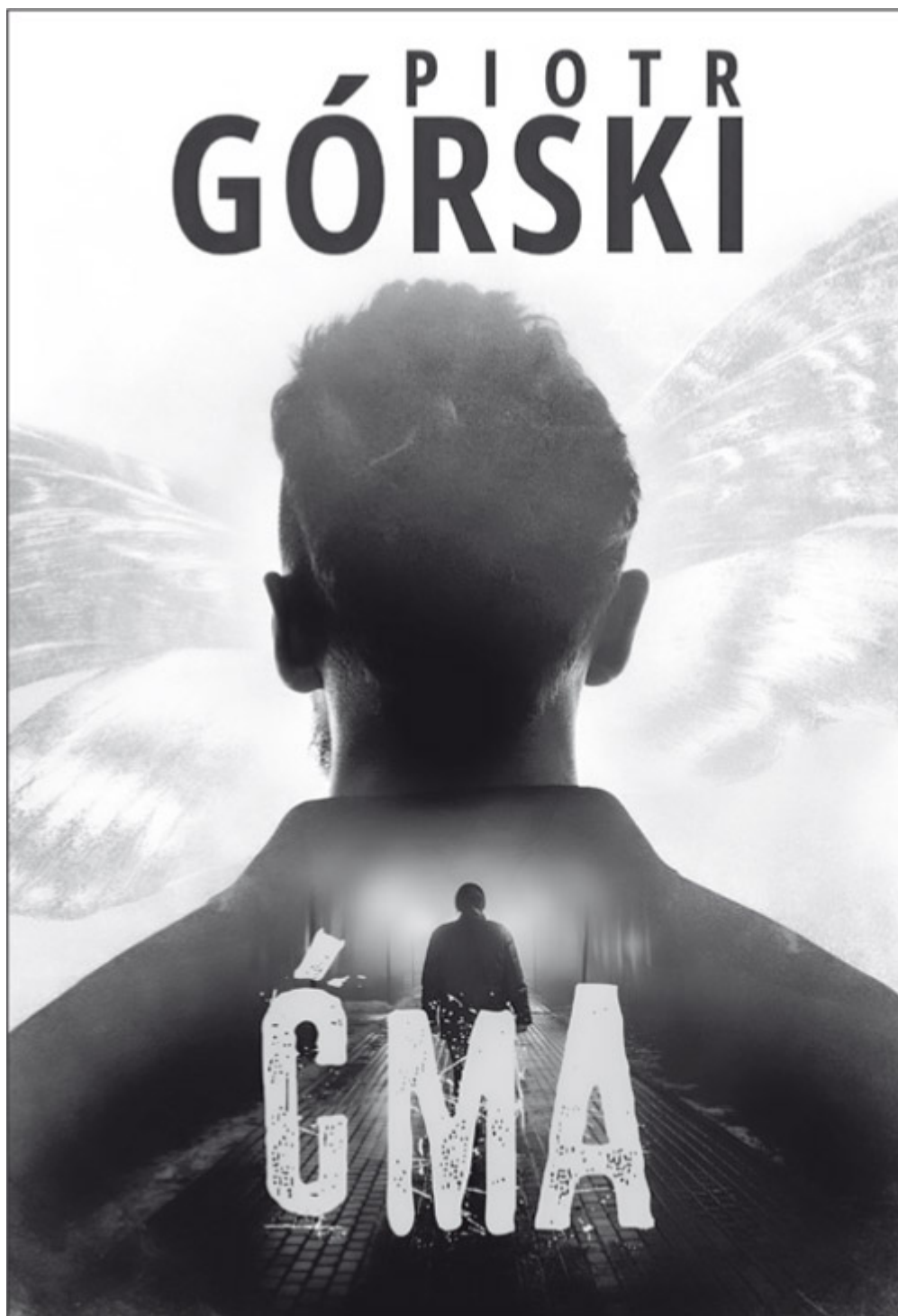
KROLOWA
LALEK

PIOTR
GÓRSKI



**BLISKA
ZNAJOMA**

PIOTR
GÓRSKI



SPIS TREŚCI:

Strona tytułowa

Prolog 1

Prolog 2

Prolog 3

Prolog 4

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45

Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54
Rozdział 55
Rozdział 56
Rozdział 57
Rozdział 58
Rozdział 59
Rozdział 60
Rozdział 61
Rozdział 62
Rozdział 63
Rozdział 64
Rozdział 65
Rozdział 66
Rozdział 67
Rozdział 68
Rozdział 69
Rozdział 70
Rozdział 71
Rozdział 72
Rozdział 73
Rozdział 74
Rozdział 75

Rozdział 76

Rozdział 77

Rozdział 78

Rozdział 79

Rozdział 80

Rozdział 81

Rozdział 82

Rozdział 83

Rozdział 84

Rozdział 85

Rozdział 86

Rozdział 87

Rozdział 88

Rozdział 89

Rozdział 90

Rozdział 91

Rozdział 92

Rozdział 93

Rozdział 94

Rozdział 95

Rozdział 96